EDWARD
GUZIAKIEWICZ
Zdrada
strażnika planety

EDWARD
GUZIAKIEWICZ

ZDRADA
strażnika planety

powieść science fiction • nagrodzona Złotym Piórem ZLP

Copyright © 2015 Edward Guziakiewicz

ISBN 978-83-64865-25-1 (EPUB)

Obraz na okładce licencjonowany przez
Depositphotos.com/Drukarnia Chroma

Tytułem wprowadzenia

Napisana lekko archaizującym językiem powieść przenosi czytelnika do starożytności. Jej akcja toczy się w 475 r. p.n.e. najpierw w Tracji (na terenach dzisiejszej Bułgarii), potem w ukrytym w masywie Olimpu skarbcu, by wreszcie znaleźć ciąg dalszy w Attyce (Grecja). Na Ziemi rozbija się statek kosmiczny z przedstawicielami obcej cywilizacji, a z katastrofy uchodzą z życiem jedynie nieliczni przybysze. Obecność wrytego w grunt goliata odnotowują nie tylko pobliscy prymitywni Trakowie. Na planecie zagościł bowiem ktoś znacznie potężniejszy, kto losy kilku niezwykłych rozbitków pragnie związać z własnymi. To zagadkowy kosmita, tytułowy strażnik planety. Nici intrygi sięgają daleko w kosmos i rozstrzyga się przyszłość Ziemi.

Fantastyka jest tu ujęta w ramy powieści historycznej, a narracja i dialogi są podporządkowane jej stylistycznym wymogom. Jednak realia greckiego antyku i odwołania do panteonu greckich bóstw nie gryzą się z technologicznym potencjałem potężnej pankosmicznej rasy. Jej przedstawiciele, na swój sposób nieśmiertelni, potrafią to samo, co mityczny Zeus z Olimpu i inni bogowie. A nawet więcej.

Starożytność została dobrze zbadana przez historyków, zaś autor zadbał w powieści o realia epoki. Ateny odbudowują się po wojnach z Persami, powstaje Symmachia Delijska, zaś Kimon oblega Eion. Nie zanudza on jednak czytelników tymi wydarzeniami i nie zmusza ich do repetytorium z historii starożytnej Grecji. Tylko raz w powieści tytułowy bohater, siwobrody Raha, opowiada Urchitce Ni o wojnach Dariusza i Kserksesa. Autor gustuje natomiast w detalach,

co widać — na przykład — w opisie bogatej w dzieła sztuki willi Eurypidesa w Atenach. Poza tym jego bohaterowie zmagają się z losem również poza Ziemią — w odległych stronach kosmosu — dzięki możliwości błyskawicznego pokonywania wielkich przestrzeni (sztuczne planetoidy Tauros i Favo).

Przenikają się w książce dzieje trzech różnych cywilizacji: ziemskiej, urchickiej i transgalaktyckiej. Subtelnie zaznacza się również obecność czwartej, pochodzącej jakby z innego wymiaru kosmosu. Potwierdzają ją swym istnieniem wiecznotrwali (immortusi). Poza tym dopiero na Ziemi rozbitkowie z Urch odkrywają cała prawdę o ich osobliwej naturze. Reprezentują rasę zdolną do biologicznych przeobrażeń. Metamorfoza pozwala im przyjmować nowe kształty fizyczne i upodabniać się do dowolnych gatunków w przyrodzie.

Rozdział pierwszy

NA SKALNYM uskoku przysiadł ptak i niepokojąco zaskrzeczał, zwiastując obecność intruza. Przybysz z kosmosu o zwierzęcym wyglądzie wytrwale wspinał się po prawie pionowej ścianie, ze ślepym uporem łapiąc kolejne występy skalne i szukając ogonem oparcia. Igrał ze śmiercią. Jego ciało pokrywała z tyłu długa gęsta sierść i sięgająca połowy pleców lwia grzywa, jednak z przodu chronił je tylko krótki włos, więc źle znosił karkołomną wspinaczkę. Co rusz groziło mu, że oderwie się od pochyłości i jak straceniec poleci w dół, ale nie ustępował. Nie miał zresztą odwrotu. Opuszczając miejsce upadku kapsuły ratunkowej i wybierając drogę w górę, postawił bowiem wszystko na jedną kartę.

Powstałe przed wiekami na tej planecie wybrzuszone olbrzymy wydawały się głuche i wymarłe. Poniżej plątały granie, grzędy i uskoki. Czego tu szukał nieznany obcy z gwiazd? Nie myszkował za ukrytymi skarbami, ani nie próbował grać roli łowcy, zasadzającego się na górskie okazy. Tym bardziej że sam bardziej przypominał zaszczute zwierzę niż myśliwego. Z trudem sobie radził, gdyż brakowało mu zabezpieczeń i asekuracji. Kiedy się osuwał, ciągnął za sobą kaskady drobnych kamieni oraz zdzierał mchy i porosty. Raz utknął w szczelinie skalnej, a trzy lub cztery razy wylądował na przypadkowych występach, nieoczekiwanie znajdując oparcie.

Przybysz o zwierzęcym wyglądzie nieruchomiał w takich chwilach, był inteligentną istotą, a w myślach czepiał się natchnionych słów proroka pustyni Ab-ida z planety Urch, z której pochodził. Mędrzec zwykł był pokrzepiać swoich bliskich chrypliwym zawołaniem: „Idźcie i prowadźcie słabych na szczyty!" Jego cherlawe pokrzykiwania

mogły budzić zdziwienie w strefie wydmowych piasków równikowych, gdzie nie było wysokich gór, ale uczniowie powszechnie czczonego starca przyjmowali je z powagą. Dopatrywali się w nich metaforycznego znaczenia. Znamionowały upór i silną wolę, wytrwałość i nieugiętość, nieustępliwość i niezłomność. Czyż nie takie przymioty winny były cechować dzielnego wojownika, gotowego oddać życie w słusznej sprawie?

— Idźcie i prowadźcie... — Mu-ur wykrztusił z siebie i teraz, z lękiem zezując na pokonaną stromiznę. Tętno miał wysokie, krew zdawała się mu rozrywać żyły i pospiesznie oddychał. Mętny wzrok ześlizgnął się aż na dno kotła. Po rozleniwiającym spokoju podróży międzygwiezdnej tu zmierzył się z prawie niepokonanym. Szukał wsparcia w sobie, ale na próżno. Odwoływał się rozszalałymi myślami do wszystkiego, co znał, lecz pozostawały mu tylko proste słowa ociemniałego proroka w opadającej do kostek i wypłowiałej od słońca szacie.

— Idźcie... i prowadźcie... — szeptały jego spękane od gorączki wargi. — Wiedźcie... słabe... uszy... na szczyty...

Kapsułę, w której zdążył się schronić, wyrzuciło w niewłaściwą stronę. Spadła na góry zamiast na przeciętą rzeką pofałdowaną równinę. Spływająca ścianami w głąb kotła linia grani skoczyła ku niebu. Znalazł się z dwójką rodaków nie na samym dnie, ale na kruchym występie rumowiska. Zawiodły grawitochrony, więc siła uderzenia była straszna. Cudem przeżył. Drugiemu uciekinierowi, Mirowi, też udało się wyjść cało z katastrofy. Zwinął się, przywarł do nagiej ściany i skrył się w szoku pod długą grzywą. Trzeci z kompanów, Li-ip, najgorzej zniósł upadek i był w opłakanym stanie.

Porzucił ich obu, salwując się ucieczką. Li-ipa wytargał z kapsuły, ostrożnie składając lecącego mu przez ręce nieprzytomnego kamrata na nierównej płycie piaskowca. Biedak miał pokiereszowane kończyny, ale dużo gorsze były pewnie obrażenia wewnętrzne. Na jego

opuchłych wargach znaczyła się krwawa piana. Z Mi-irem wojownik nie mógł się porozumieć. Zastygły przy skale rozbitek dygotał, mamrocząc o barwnych kwiatach ze ścian sterowni statku. Usiłował poderwać go na nogi. Szarpał go, krzycząc: „Chodź, wstań, musimy się stąd wydostać!" Kompan jednak go nie słyszał. Wzrok miał niewidzący i nie odpowiadał, jakby nikogo przy nim nie było.

Szukając ratunku w czynie, porywczo zmierzył się z prawie pionową skalną ścianą. Teraz zaś, gdy znalazł się dostatecznie wysoko, bredzenie Mi-ira o kwiatach podniosło go nagle na duchu, przynosząc pokrzepiające skojarzenia. „Wszędzie rośnie kwiecie — głosił Mati-ag — dla tego, kto chce je dostrzec!" Dla Mu-ura kruchym kwiatem był ich statek kosmiczny, który bezapelacyjnie spadł na gładź, kryjącą się za pasmem gór. Za wszelką cenę chciał go ujrzeć jeszcze przed zachodem słońca.

— Wszędzie… rosną… — nerwowo wyrzucał z siebie pojedyncze słowa. — Wszędzie!..

Niezmordowanie się wspinał, a w chwilach przerwy mrużył oczy i z niepokojem zerkał pod słońce. Złocista kula chyliła się ciężko ku horyzontowi i opadała za poszarpane szczyty. Zmieniała barwę, a góry stopniowo zalewała czerwień zachodu.

W słabnącym świetle gasnącego dnia dotarł do wąskiej przełęczy. Chwiał się, ale nareszcie poczuł pod sobą pewniejszy grunt. Po omacku wyciągał przed siebie dłonie. Stawiał pijane kroki i z trudem łapał powietrze, aż padł zziajany na poduchy mchów i skalnic. Nie wolno mu było odpoczywać. Oczyma wyobraźni ujrzał otaczanego czcią ślepego proroka. Zwlókł się więc z chłodnej zielonej poduszki i ruszył dalej, mając przed sobą kompleksy osadowych skał, opadających w dół po drugiej stronie grani. Musiał jeszcze się wdrapać na pobliski szczyt.

Omal nie załkał, gdy sobie uzmysłowił rozmiary tragedii. Chodziły mu po głowie różne domysły, związane z „Met-ar-usem", tak opty-

mistyczne jak pesymistyczne. Statek mógł przetrwać gwałtowne zderzenie z powierzchnią i wryć się głęboko w ziemię, ale równie dobrze mógł się roztrzaskać lub z hukiem eksplodować, zarzucając kotlinę dymiącymi się szczątkami.

Wlekły się minuty wytężonej pracy mięśni. Między skałami pojawiały się ułomki o barwie brunatnej i brunatno-czerwonej, a tu i ówdzie pomarańczowej. Przyroda nagromadziła w tym zakątku wiele odmian czarownych kamieni. Podobnych poszukiwano na Urch do celów zdobniczych. Nie zwracał na nie uwagi i nie obchodziły go ich kolory i kształty. Jedna ze skał granatu potoczyła się po prawie pionowej ścianie urwiska — i przerażony zamarł, sądząc, że wyżej ktoś się kryje. Wkrótce osiągnął to miejsce. Nikogo tam nie dojrzał. Półka z łamiącymi się krawędziami występu była wąska i znaczyły na niej w oprawie z mchu drobne pnącza obsypane kwitnącymi pąkami. Przyczaił się tam, a tęczowe minerały sprawiły, że całą uwagę skupił na metamorfozie. Nazywano ją szumnie szlachetnym kamieniem na drodze ewolucji, tej głównej mocy napędowej wszystkiego we wszechświecie. Jednak jeśli nawet była ona czymś wyjątkowym, to na tej planecie zabrakło jej właściwej oprawy.

— Klejnot budzi zachwyt… kiedy… osadzi się go… w oczku obejmy lub pierścienia… — odkrywczo szeptał do siebie. — Nie kiedy rzuci się go między omszałe kamienie lub ciśnie nim w piasek…

Ogarniała go senność i kleiły mu się powieki. Zmęczona wyobraźnia wywiodła go bez uprzedzenia w pole i ujrzał przed sobą zapierające dech baśniowe ogrody z Lipsuarra. Położoną na południowej półkuli feeryczną wyspę odwiedził w szczenięcych latach, a morska podróż wpisała się mu w pamięć. Właśnie tam pojął, że jego planeta jest piękna. Wieczyste drzewa ocieniały rozłożystymi koronami pachnące zielne mozaiki i rozszczepiały światło słońca na tysiące barw. W nastrojowym półmroku delikatne kwiaty cieszyły oczy bogactwem kształtów. Między strzelającymi ponad głowę wspaniałymi

rozrostami nie czuło się upływu czasu. Stał tam, bojąc się oddychać. Był zachwycony. Cóż, dorastał na zalegających aż po horyzont rozgrzanych piaskach, które wiatr porywał, gryząc oczy i przenosił, układając w pofałdowane wydmy. Był dzieckiem palącego słońca i surowych obyczajów.

Znowu drobny ptak usiadł obok. Czyżby ten sam, co poprzednio? A może to dobry duch bez uprzedzenia przybrał jego postać, chcąc pocieszyć straceńca i wesprzeć go, nim wyda ostatnie tchnienie? „Ostatnia wola skazańca?" Mu-ur usłyszał świergot i nerwowo się poderwał, naglony potrzebą przetrwania. Bajeczne ogrody z Lipsuarra rozmyły się przed jego oczami. Były ułudą i nie należało skupiać na nich uwagi. Walczył dalej, bowiem szczyt miał tuż przed sobą, niemal na wyciągnięcie ręki.

— Wytrwasz! — nieudolnie się pokrzepiał, warcząc przez ściśnięte gardło. — Poradzisz sobie!... — świszczał przez zęby.

Poczuł, że znowu słabnie i znieruchomiał, chcąc odzyskać siły. Z trudem łapał powietrze. Myślami przeniósł się na wyspę Ab-dan-gra, na której z podobnymi sobie śmiałkami gotował się do odlotu. To były inne czasy. Stary pokrzywiony nauczyciel, z którym potajemnie spotykał się po zmroku, dzielił się z nim wiedzą daleką od tego, czego nauczano oficjalnie. Szeptano o nim po kątach, że był szalony, że sprzeciwiał się woli kapłanów — i że dlatego ze wstrętem wygnano go z bazy, pozbawiając należnych przywilejów. Mu-ur uważał, że mistrz przegrał, gdyż chciał zachować niezależność. Do końca bronił swoich poglądów. Nieprawomyślny nauczyciel twierdził, że przeistoczyć się można w dowolnym miejscu i że nie trzeba szukać w kosmicznych pustkach innej rozwiniętej rasy. Co nie znaczyło, że nie doceniał wagi ich krucjaty. Nie kwestionował celowości wypraw w kosmos, ale był zdania, że nie należy ich łączyć z programem metamorfozy. Mu-ur chciwie słuchał jego opowieści o transformacjach, do których podobno dochodziło, nim Urchici okrzepli kulturowo.

Dobrze się rozumieli. Wysiadywali razem na skrytych w leśnych gąszczach pokaźnych kamiennych płytach, wpatrując się w dal, kontemplując zachody słońca, cedząc słowa i gawędząc bez pośpiechu.

DOTARŁ nareszcie do szczytu i ciężko dysząc przywarł do skał. Roztaczał się przed nim wspaniały krajobraz. Wstęga rzeki odbijała ostatnie promienie zachodzącego słońca, które zdawało się czekać na dziwnego przybysza z kosmosu, żeby mógł nasycić się widokiem rozległej kotliny. Kompleksy skał osadowych, w których woda wyrzeźbiła ścieżki, ujścia i wąwozy, ciągnęły się w dół i ginęły na jej skraju jak ścięte. Kosmiczny goliat wbił się w ziemię. O dziwo, był cały. Żółte i brązowe plamy rozrytego gruntu znaczyły się wyraźnie na tle gasnącej zieleni.

Z piersi Mu-ura wyrwał się ochrypły okrzyk radości. Wróciły mu nagle siły. Wyprostował się, unosząc ręce i zaczął gardłowo śpiewać. Gruchnął jak zwycięzca. Z jego ust popłynęły słowa triumfalnej sury, którą heroiczni przodkowie wykonywali na polu walki. Powtarzały się w niej zwroty o wielkości ludu pustyni, o jego sile, o wytrwałości i odwadze, oraz o tym, że tego ludu, mimo niedostatku i biedy, nic nie pokona i nie zmoże.

Zapadał zmrok i Mu-ur pojął, że musi schodzić. Ujrzał to, co chciał ujrzeć. Z uniesieniem pieścił w myślach obraz kosmicznej fregaty. Rozpaczliwie wykrzyczał radość zwycięstwa, a obca planeta cierpliwie go wysłuchała. Wąwóz nie był zbyt szeroki, a jego biały budulec długo utrzymywał światło. Potem posuwał się w gęstniejących ciemnościach, widząc nad sobą konstelacje gwiazd. Nie znaczył się nad nim Trójkąt Obietnic. Na tym globie nieboskłon był inny i po pewnym czasie zaczęły mu znowu towarzyszyć posępne myśli. Nie przypuszczał, że widok firmamentu niebieskiego może tak bardzo wiązać się z pamięcią trzaskającego plemiennego ogniska i rwanego

przez wiatr płóciennego dachu nad głową.

Nie byli rdzennymi Urchitami. Z przekazywanych od pokoleń podań wynikało, że ich praprzodków ściągnięto na tę planetę z nieznanych stron kosmosu. Za niezwykłymi przenosinami miały się kryć półboskie siły, niewidzialnie rządzące gwiazdami. Wrócił myślami do pomylonego starca z Ab-dan-gra. Ów zaś zdawał się kroczyć obok niego, podpierać się sękatym kijem i w ciemnościach nocy powtarzać zapomniane credo. „Pierwotnie twoi przodkowie mieli inne oblicza i postury. Nie byli jeszcze podobni do grzywaczy, bo nie posiadali grzyw, a ich ciał nie pokrywała ruda szczecina — płynął jego cichy i senny głos, przechodzący chwilami w półszept, a czasami zamieniający się w chrypiący dyszkant. — Na planecie Urch pojawili się jako odrażające bestie. Ich szczątki odkrywają nasi uczeni na zboczach ziejącego ogniem wulkanu En-ra!.."

Na pustyniach głęboko wierzono w pradawne podania i legendy. Czczono przodków i przywiązywano ogromną wagę do tego, co głosili. Jako malec przysłuchiwał się opowieściom o toczonych bitwach, o nieustraszonych bohaterach oraz o plemiennych waśniach i sporach. W dziecięcych latach wbiła mu się w pamięć obrzędowa pieśń o pierwszych dniach wielkiego przebudzenia i umiałby ją wyrecytować nawet w środku nocy. Jej rytmiczne strofy były jednak niejasne i wywoływały mieszane uczucia — a zabijaka z pustyni, zastanawiając się nad tym, czego uczył banita z Ab-dan-gra, przeżywał rozterki. Stary nauczyciel bowiem silnie do niej nawiązywał. Gdzie jednak przebiegała granica między prawdą historyczną a mitem? Komu należało wierzyć, a komu nie? „Czarne aotusy — podpowiadał mu ledwo słyszalny głos starca — stanowiły uosobienie zła i przemocy. Były zwyrodniałe i wynaturzone, szybko się mnożyły, pustosząc otoczenie i zagrażając innym gatunkom. Dlatego światła cywilizacja, która się z nimi zetknęła, wyrugowała je z życia rokującej planety, a może nawet całego układu gwiezdnego. Wyłapano wszystkie bestie i prze-

niesiono je do innego systemu solarnego!..”

Czy mógł wywodzić się z rodu zajadłych potworów? Czy coś go łączyło z zaślinionym aotusem, który przybrał kształty dającego się poskromić grzywacza? Czy odziedziczył jego ukryte cechy? Jeżeli miałby się z kimś lub z czymś utożsamiać, to raczej z duchami walecznych przodków, którzy niewidzialnie powracali z zaświatów, by wesprzeć młodych o gorących sercach w ich pierwszych pustynnych starciach.

Słuchał monotonnego głosu starca, zapominając o przebytej drodze. Był zdumiony, że stała się tak łagodna i że posuwa się w dół bez przeszkód. Wzeszedł księżyc i w jego srebrzystej poświacie ujrzał obce otoczenie. Skały się skończyły, a pod zdartymi pokładowymi mokasynami poczuł chłód trawy pokrytej rosą. Przystanął, nie wiedząc, co począć. Ustąpiło napięcie, które męczyło go podczas wspinaczki. Po chwili bolesnego wahania ruszył przed siebie, wybierając kierunek na chybił trafił. Nie dotarł jednak daleko. W górze mignęła spadająca gwiazda, kojarząca mu się z tracącym orbitę kosmolotem i Mu-ur uzmysłowił sobie, że jest bez sił. Zmęczenie wzięło górę i jak nagły ciężar zwaliło się na niego. Próbował się przed nim bronić i za wszelką cenę utrzymać na nogach, ale nagląca potrzeba snu okazała się silniejsza. Przefrunął cicho obok niego nocny ptak. Odwołał się w myślach do słów wyśpiewanej na szczycie sury zwycięstwa i do wielkości ludu pustyni — mimo to potknął się i bezradnie upadł. Chciał się podnieść, lecz już nie zdołał. Nieznana siła wydawała się przypierać jego twarz do chłodnej murawy. Pieśń herosów z zalanych słońcem pustyń Urch popłynęła sama, zamieniając się w wibrujący śpiew o zupełnie innym rytmie.

Niepodobny do dyszkantu pomylonego banity z Ab-dan-gra obcy głos melodyjnie dzielił się z nim zdumiewającym orędziem. Pochodzący jakby z innego wymiaru kosmosu niewidzialny posłaniec nucił o tym, że leżący bez czucia wojownik wesprze w walce tajemni-

czego strażnika planety, by tamten mógł odnieść zwycięstwo. Przewidywał przyszłość planety. Śpiewał o bliskim triumfie zagadkowych wiecznotrwałych, którzy skrycie przybyli na ten glob, aby go uratować przed zagładą.

Rozdział drugi

MI-IR nie cierpiał Mu-ura i instynktownie zaciskał zęby na jego widok. Czuł do niego organiczną niechęć. Nie mógł się jednak uwolnić od jego towarzystwa. Przewidywał, że manifestując obojętność, będzie mu ciągle schodzić z drogi. Znalazł się z nim i innymi śmiałkami na wyspie Ab-dan-gra. Wyniośli kapłani przygotowywali ich do odlotu w kosmos i czekała na nich nowiutka fregata, prawdziwe cudo, w której mieli przegonić światło. Mu-ur był toporny, gruboskórny, arogancki, ordynarny i bezczelny. Afiszował się przyna-leżnością do bitnego ludu z białych piasków, jakby z wojowaniem, tym wynaturzonym zajęciem, wiązało się jeszcze coś doniosłego. Mi-ir utożsamiał go z ponurą przeszłością planety i wiekami bezlitosnych wojen. Mordowano się nawzajem, prześcigając w okrucieństwie. Zabijaka niósł przekleństwo bezmyślnie rozlewanej krwi i symbolizował ciemne stulecia sprzed światłego zjednoczenia szczepów. Jego twardogłowe plemię, podobnie jak inne z oślepiających białych pustyń, kurczowo trzymało się starych tradycji i nadwątlonego kultu przodków, nie poszerzając horyzontów myślowych i za nic mając postępowe idee. Było zapóźnione cywilizacyjnie. Mimo to doszło do łask, kiedy zainicjowano debatę nad metamorfozą. Powód był niebłahy. Po wiekach stabilizacji i względnego spokoju ich jedyna w swoim rodzaju rasa znalazła się w krytycznym położeniu. Mówiono, że wypaliła się biologicznie i społecznie. Groziła jej poważna stagnacja, jeśli nie zagłada. Z nieskrywaną nadzieją spoglądano więc na tych, którzy w opinii kapłanów mieli w sobie dość sił, by przezwyciężyć inercję, a gatunkowi zapewnić przetrwanie. Mu-ura zaliczono do grona wybrańców, więc został uroczyście namaszczony, czego

Mi-ir nie był w stanie przeboleć. Dysponował druzgocącym atutem. Cechowała go — mianowicie — niezwykle wysoka podatność na przeobrażenie. Jednak to nie wystarczało, żeby wejść z nim w komitywę, nie mówiąc o szczerej sympatii i pokładowym braterstwie. Przyjaźń, przywiązanie, wzajemność? Przenigdy! Takie rzeczy w ogóle nie wchodziły w grę. Kiedy ich kosmiczna fregata zawisła w próżni, zaczęły ich mimowolnie łączyć dyżury przy pulsujących światłami pulpitach kontrolnych. Podzieliła ich jednak drażliwa sprawa kwietnych niby-dywanów z Ti-tan-gra. W ogarniającej wszystkich piramidalnej nudzie błahe sprawy niebezpiecznie wysuwały się na pierwszy plan, zatrważająco zaciemniając umysły.

Ogarnięty nostalgią Mi-ir poddał myśl, żeby jedną ze ścian wielkiej sterowni „Met-ar-usa" ozdobić żywymi kwiatami. Po kilkudniowym wahaniu surowy dowódca wyprawy podpisał się pod tym projektem. Wybrano okazy i wyhodowano delikatne sadzonki, ale kiedy się okazało, że na tym nie koniec, bowiem trzeba uzbroić ścianę, zainstalować przejrzyste osłony i podłączyć aparaturę, zapewniającą wrażliwym egzotykom odpowiednie oświetlenie, temperaturę i wilgoć, znaleźli się zgorzkniali oponenci. Wiązało się z tym trochę dodatkowej pracy. Mu-ura coś ugryzło i kategorycznie przeciwstawił się temu pomysłowi. Czy z powodu kopy kwitnącego zielska należało przewracać statek do góry nogami? Dotąd mało rozmowny, zaczepiał innych członków załogi i bijąc ogonem o ziemię zgryźliwie komentował poczynania garstki zapaleńców.

Mi-ir siedział w kucki przy targanym konwulsjami Li-ipie, ponuro medytował nad opłakanym położeniem, w jakim się znaleźli i łykał gorzkie łzy. Jeśli chodziło o ścisłość, mógł być z siebie dumny, gdyż prawidłowo zareagował w obliczu nagle wyrosłego zagrożenia. Pociągnął towarzysza podróży korytarzem w kierunku śluzy, gdy tylko się zorientował, że coś niepokojącego dzieje się z grawitacją śródokrętową. To nie były przelewki. Mięśnie niepokojąco dygotały, dono-

sząc o wahaniach ciężaru ciała. Od razu odgadł, z czym wiążą się te sensacje, więc nie miał wątpliwości, że należy brać nogi za pas. Szczęście chciało, że obaj znaleźli się w pobliżu. Zapewne zdążyliby z awaryjnym startem, unikając w ten sposób dalszych perturbacji, gdyby nie to, że Li-ip kątem oka dostrzegł biegnącego wojownika. Kilka chwil zwlekali z zamknięciem kapsuły ratunkowej i to zaważyło na ich losie. Na ścianach znaczyły się drobne błyski wyładowań elektrycznych. Ostatnie sekundy okazały się decydujące. Sprzęt odmawiał posłuszeństwa. W rezultacie tego niebezpiecznie zawirowało ich szalupą. Poleciała nie w tym kierunku, w którym chcieli.

Łypnął wzrokiem w górę, bowiem posypały się na kapsułę drobne kamienie. Wbrew jego nadziejom Mu-ur nie zawrócił. Przepadł, pnąc się jak zwinne górskie zwierzę. Widocznie uległ ślepemu instynktowi, który kazał mu walczyć zaciekle i do końca. No i w pojedynkę. Ten drań nigdy nie oglądał się na innych.

Smętnie spuścił głowę, lustrując otarte nadgarstki.

— Mu-ur reaguje impulsywnie, co zmusza go do rozpaczliwej szamotaniny nawet w położeniu bez wyjścia — charczał z żalem do Li-ipa, który bez przytomności leżał na nagiej skale. — Zawsze będzie desperacko szukać ratunku. A co ze zdrowym rozsądkiem? Z trzeźwą oceną sytuacji? To nie wie, na czym stoimy? Bo przecież przegraliśmy z kretesem. Pogrzebaliśmy się tu do reszty — szlochał przy kamracie, a łzy spływały mu po porośniętej rudą szczeciną brodzie. — Czyż tak nie jest? Spojrzyj na naszą pożałowania godną szalupę ratunkową — histerycznie go zachęcał. — Zakleszczyła się w tej szczelinie skalnej i jest wgnieciona w kilku miejscach... — chlipał jak smarkacz. — Podnieś się i popatrz! Obejrzysz ją sobie, to pozbędziesz się wątpliwości...

Nieszczęsny Li-ip nie mógł mu odpowiedzieć, ponieważ nic do niego nie docierało. Konał. Niczego nie słyszał i nie widział. Gasł w oczach i nieodwołalnie żegnał się z tym światem. Jednak pod wpły-

wem jękliwych słów kamrata wydawał się uspokajać, a drgawki ustępowały. Załamany Mi-ir spoglądał na rannego, który w ogromnym górskim kotłowisku był dla niego jedynym punktem odniesienia. Bez niego jego samotność sięgnęłaby zenitu. Widząc, że leżący nie uchyla oczu, nie na żarty się zaniepokoił. To nie mieściło mu się w głowie. Nie tak sobie wyobrażał pierwsze chwile po lądowaniu, te miały być przecież triumfalnym ukoronowaniem ich zbiorowego wysiłku. Odkryta planeta stwarzała wrażenie gościnnej, nie brakowało na niej wody, bogatego w tlen powietrza oraz fauny i flory. Przypominała rodzinną Urch, choć jednocześnie różniła się od niej pod wieloma względami. Miała zbliżoną masę, a także podobne ogromy mórz i oceanów. Na lądach wszechwładnie królowała żywa przyroda, ale nie brakowało również pustyń. Białe lodowe czapy pokrywały oba bieguny. Kontynentalna rzeźba terenu była urozmaicona. Ruchy tektoniczne sprawiły, że pojawiło się przez miliony lat sporo skalistych wybrzuszeń oraz bardzo wysokich gór, pokrytych wieczną zmarzliną.

Wstał i niezgrabnie zbliżył się do kamiennej ściany, ślizgając się po płytach skalnych, które obsuwały się i groźnie zgrzytały. Niektóre kruszyły się pod stopami. Stok był prawie pionowy i przeniknął go nieskrywany podziw dla Mu-ura, który umiał wspiąć się po nim bez lęku. Sam nie byłby zdolny do takiego wyczynu. Nie odważył się dotykać i badać skalnego masywu, gładkiego, lecz wyżej poszarpanego i poprzecinanego, z ciągnącymi się tu i ówdzie wąskimi progami. Z nabożnym szacunkiem ocenił wysokość.

Krzyknął, próbując dodać sobie odwagi.

— Ooo... Hooo!..

Echo odpowiedziało mu złośliwym chichotem. Ukryte w zakamarkach gór duchy wydawały się radować, że przegrywa z przeznaczeniem. To nie wlało w jego serce ani krzty otuchy. Zawołał więc jeszcze raz z widoczną rozpaczą:

— Jestem. Żyję. I nie zginę!..

Góry znowu odpowiedziały. Zaśmiał się wiatr w nagłym podmuchu. Żywioły jakby się wahały. Oto bowiem kruchy i drobny przybysz z dalekich gwiazd ośmielił się rzucić im wyzwanie! Chichot był ostrożniejszy, bardziej wyważony i mniej złośliwy. Może przewidywały, że ów obcy odwoła się do niezwykłej mocy, która go tu przywiodła i że w zmaganiu z duchami planety niespodziewanie okaże swą potęgę?

Mi-ir przez krótką chwilę czuł się strasznie ważny. Wrócił do szalupy, szerokim kołem omijając leżącego. Bał się sprawdzić, czy ranny jeszcze żyje. W wyposażonym w podręczną aparaturę ciasnym wnętrzu mieściły się fotele i tu pozostał, w jednym z nich się sadowiąc. W ciszy i półmroku mógł sobie wyobrażać, że nadal przebywa we wnętrzu ogromnego statku, który tnie lodowate przestrzenie. Ekrany były ciemne. Działało awaryjne ogrzewanie, zaś świst powietrza dowodził, że wentylacja jest sprawna. Mimo to bolid nie nadawał się do użytku. Był kupą złomu. Mi-ir strzelał palcami w kolejne klawisze. Na jednym z monitorów udało mu się wyświetlić drogę upadku. Zaraz jednak obraz zamienił się w stygnący punkt. Potem usiłował zajrzeć do skrytek z zaopatrzeniem dla rozbitków, ale zakleszczyły się w ścianach kapsuły. Były tam na pewno racje żywności. Ostatni boks zdawał się ustępować, pokrywa się ruszała, ale zmaganie z nim odłożył na później.

Przybity wydostał się na zewnątrz. Góry trwały w majestacie. Świeciło złotawe słońce, a na skalnej półce nic się nie zmieniło. Ranny leżał nadal na kamiennym podeście, zaś wojownik nie wracał. Nie miał zresztą po co wracać. Czego mógł szukać w bezużytecznym gracie? Gorzkie fatum wdarło się w ich plany.

Ciekawość, która przezwyciężyła na krótki moment depresję, pchnęła go na skraj rumowiska. Dotarł tam nie bez lęku i drżenia. Ostrożnie sprawdzał niepewne podłoże przy każdym kolejnym kro-

ku. Następnie płasko się położył, dociągając się do ostrej krawędzi. Spojrzał w dół na dno kotła. Gwałtownie się cofnął, czując, że łapią go mdłości. Rumowisko się zakołysało, a wraz z nim rozbujały się góry. Okoliczne szczyty przechyliły się najpierw w jedną, a potem w drugą stronę. Omal nie zwymiotował. Zawrócił, łapiąc z trudem powietrze. Nie miał jednak wyboru. Wysunął się i znowu spojrzał w dół. Penetrował wzrokiem ścianę pod sobą. Wąziutki występ biegł nieco poniżej rumowiska — i dalej, wzdłuż masywu. Ścieżka wyglądała jak zbawienna kładka, łącząca dwa krańcowo różne światy, pierwszy wydawał się groźnie szczerzyć kły, drugi bałamutnie mamił życiem. Zapamiętał ten widok.

Usiadł w kucki przy kapsule ratunkowej, rozpaczliwie szukając wyjścia z koszmarnego labiryntu. Trwał tak, niczym gotujący się na śmierć urchicki starzec, świadomy tego, że życie z niego bezpowrotnie wycieka. Czy dotarł do kresu swoich dni? Oczyma wyobraźni widział rozrzucone piszczele, białe czaszki i puste oczodoły. Olśniła go z nagła myśl, że choćby tego bardzo pragnął, nie umrze — i uczepił się jej jak ostatniej deski ratunku. Nie miał zamiaru oddawać głowy pod topór. Odniósł wrażenie, że nie było to jego zadziwiającym przeznaczeniem. Instynktownie to czuł, jednak nie potrafił przebić się przez mur niewiedzy.

— Życie czy śmierć? — szepnął z lękiem, spoglądając na Li-ipa. — Błogosławieństwo czy przekleństwo? Opłakany koniec czy zaskakujące wybawienie?

Rysująca się poniżej przyklejona do ściany wąziutka ścieżyna niosła odrobinę nadziei. Winien był ostrożnie zsunąć się na zeskok, a następnie — przytrzymując się nagiej ściany — przesuwać się w lewo nad przepaścią, powoli, kroczek po kroczku, aż do miejsca, gdzie uskok zdecydowanie się poszerzał. Dalej miałby większą swobodę manewru. Zejście było diablo trudne, ale możliwe. Tym niemniej przy braku asekuracji wymagało nie byle jakiej odwagi, nie

mówiąc o wprost niewyobrażalnych umiejętnościach akrobatycznych.

Podniósł się z mozołem, gdyż Li-ip zdawał się go potrzebować. Drgawki stały się gwałtowniejsze i przeszyła go bolesna myśl, że koniec jego kompana jest naprawdę bliski. Spozierał na jego naznaczoną cierpieniem twarz, szczerze mu współczując, ale nie mógł przynieść mu ulgi. Po niejakim czasie konwulsje ustąpiły, zaś leżący zapadł w niespokojny sen. Gorączkował. Mamrotał coś bez sensu i kogoś gwałtem przyzywał do siebie. Pozostał przy nim, cierpliwie przytrzymując go za rękę. Tyle dla niego mógł zrobić.

Oddał się bolesnym wspomnieniom. Często dumał nad tym, jak będą wyglądać po przeobrażeniu. Intrygowało to wszystkich lecących „Met-ar-usem" i rosło napięcie, gdy tylko ktoś w toczących się rozmowach potrącił ten temat. Po zejściu na orbitę stacjonarną dla niektórych stało się to obsesją. Wystrzelone sondy przekazywały obrazy z powierzchni. Oglądali je w sterowni z niedowierzaniem. Tutejsi dwunożni nie mieli ogonów. Byli na swój sposób cywilizowani. Poziom ich kultury zależał od usytuowania geograficznego, różny w różnych zakątkach globu. Żeglowano po morzach, znano pieniądze, handlowano, wytwarzano broń, uprawiano rolę, zaś w niektórych regionach wykwitły państwa z rozbudowaną administracją. Do osobników tej rasy, nieświadomych tego, że są inwigilowani przez obcych, niewątpliwie mieli się upodobnić — ale jak i kiedy, tego jeszcze nikt z nich nie wiedział.

Słońce było nisko i kryło się za masywem gór. Robiło się chłodno i Mi-ir popadł w odrętwienie. Bezmyślnie przypatrywał się rękom i nogom, a ledwo słyszalny głos zdawał się mu wbijać do głowy, że nigdy więcej ich nie ujrzy. Obejrzał się nawet na Li-ipa, ale ranny się nie odzywał, dogorywając w milczeniu. Modlitewny szept płynął gdzieś z gór, a może wydostawał się z obłoków, które przyżeglowały z oddali. Po pewnym czasie wypełnił przestrzeń wokół niego i zaczął

przenikać wszystko, nawet obłe ściany uszkodzonej kapsuły.

Pomyślał, że zatarga rannego kompana z powrotem do szalupy ratunkowej i w zamknięciu spędzi z nim noc, a rankiem zastanowi się nad dalszymi krokami.

W HERMETYCZNEJ kabinie ślizgacza było cicho i przytulnie. Urocza Ni rozgościła się w niej na dobre, a nudząc się, od niechcenia błądziła palcami po przyciskach. Bawiła się rodowym pierścieniem. Mający solidną budowę wehikuł nadawał się do eskapad po nierównym zdradliwym terenie. Znakomicie się spisywał na Urch w rejonie niebezpiecznych bagien O-ato i na skalistych wzniesieniach Ab-raben. Wydobyty z bocznej niszy ze względu na przewidziany przegląd, trafił na poczesne miejsce w hali. W tej maszynie się znalazła, kiedy nadeszło najgorsze, a łączyło się to z pewnością z jej niewiarygodnym szczęściem. Budziła respekt, pomyślność nigdy jej nie opuszczała i czuła się istną wybranką losu. Nie narzekała na brak uznania, a jej rzadka uroda sprawiała, że odnoszono się do niej życzliwie. Nawet w czasie lotu. A to sprawiało, że nie obarczano jej pracami, na które nie miała ochoty. Siedziała sama, bowiem gdzieś się zawieruszył technik Ta-ot, który pomagał jej w testowaniu sprzętu. Przypuszczalnie nie zdołał wyrwać się ze sterowni i jak zahipnotyzowany tkwił przed monitorami, przejęty rewelacyjnymi przekazami z powierzchni globu. Niektórych z załogi trzeba było stamtąd wyciągać sznurami.

Zbieg okoliczności okazał zdumiewający i nieomal graniczył z cudem. Los chciał, że mieli właśnie sprawdzać maszynę, wyposażoną w autonomiczny system grawitacyjny. Prawdziwe cudo! Do niej zgrabnie wskoczyła, nie chcąc nudzić się na zewnątrz. A co najważniejsze, po zajęciu miejsca w kabinie nie zapomniała włączyć osłon. Nie pojmowała, dlaczego to uczyniła, bo przecież nie musiała. Nie

wiedziała więc, bo nie mogła wiedzieć, co naprawdę się dzieje ze statkiem kosmicznym, znieruchomiałym na orbicie stacjonarnej. Nie poczuła wstrząsów, które znienacka targnęły ich z pozoru niezniszczalnym kolosem. Oderwana od systemów pokładowych i od krzątaniny na przyciemnionych korytarzach, słodko wyobrażała sobie, że gości w letnim domku rodziców nad brzegiem idyllicznego jeziora i że chowa się przed stareńką nianią w zagłębieniu powstałym między korzeniami wiekowego drzewa. Jako mała dziewczynka przepadała za podniecającymi wyprawami w nieznane i uwielbiała różne baśniowe zakamarki.

— Tu jestem, Mi-ti — figlarnie wyszeptała do swoich myśli. — Szukaj mnie, szukaj wytrwale, musisz mnie odnaleźć, ucałować i pochwalić za pomysłowość…

Potem znienacka się ocknęła. Nagły pobór energii dowodził, że gdzieś nastąpiło niebezpieczne przeciążenie. Przeszyła ją niepokojąca myśl, że Ta-ot, który skrycie w niej się podkochiwał, postanowił z psotnymi kompanami zabawić się jej kosztem. Trzymały się go wątpliwe szczenięce figle, ale wspaniałomyślnie mu je wybaczała. Zaczęła podejrzewać, że ślizgacz, w którym się znalazła, ukradkiem podłączono do symulowanego programu katastrofy. Wskaźniki szalały, na ekranach panował chaos, zaś automatyczny kontroler systemu ostrzegał, że przyspieszenie przekroczyło dopuszczalną granicę. W powietrzu wisiała awaria, a to nie mieściło się jej w głowie.

— A cóż to takiego?! — zapytała z odrobiną irytacji w głosie.

Walczyła z absurdalnym przypuszczeniem, że ich kolos znalazł się w stanie nieskoordynowanego ruchu. Poczuła, że z wrażenia wilgotnieją jej dłonie.

Kadłub dygotał od dłuższej chwili. Początkowo wibracje były słabe i mylnie uznała, że rezonuje generator, mający nie najlepiej dobrane parametry pracy. Próbowała porozumieć się ze sterownią statku, żeby sprawdzić, czy istotnie włączono program ćwiczebny, ale wizji

nie było, a ekran lśnił jaskrawo. Kanał fonii przez chwilę działał i dobiegły ją mrożące krew w żyłach krzyki. To jej omal nie poderwało na nogi. Tam działo się coś okropnego! Niespokojnie oparła się o fotel. Wstrząsy znienacka wróciły i z różnych stron zaczęło łomotać o poszycie ślizgacza. Usiłowała nie ulec panice. Nie wykluczała tego, że przerwana łączność ze sterownią jest częścią programu ćwiczebnego, a wrzaski i wibracje stanowią element wściekle wyrafinowanej symulacji. Doszła do tej fałszywej konstatacji i z ulgą odetchnęła. Coś jej mówiło, że Ta-ot w towarzystwie kompanów wlepia gały w monitory, sycąc się jej niezdecydowaniem i lękiem. Przyszło jej do głowy, że zachowa twarz i że nie narazi się na uszczypliwe uwagi i chichoty za plecami, jeśli cierpliwie i bez nerwów zaczeka do końca mało zabawnego popisu. Wydęła z niesmakiem usta. Z drugiej jednak strony patrząc, czy chciała czy nie, musiała się liczyć z tym, że załodze wymknęło się coś spod kontroli. Głosy w sterowni brzmiały zanadto prawdziwie i nie stwarzały wrażenia udawanych. Niecierpliwie wzruszyła ramionami.

— Ufff — sapnęła. — Nie obchodzą mnie takie numery. Mogą sobie robić, co chcą. I tak nie mam na nic wpływu!

Cierpliwie stukała w klawisze. Szukała połączeń z kabinami mieszkalnymi, ale daremnie, bowiem nikogo nie mogła wywołać. Panowała grobowa cisza, jakby mieszkańcy kosmicznego kolosa opuścili statek w olbrzymim pośpiechu, udając się na podniecający piknik w próżni i o niej zapominając. Czyżby wypadła z jakiejś frapującej gry? Przerwała poszukiwania, gdyż po pewnym czasie wskaźniki przestały szaleć. Wywnioskowała, że diaboliczny program dobiega końca i chrapliwie się roześmiała. Nozdrza jej się rozszerzyły i urosła we własnych oczach. Uznała, że za ten koszmarny dowcip musi z nawiązką zrewanżować się Ta-otowi. Tym razem poważnie przeholował i uraził jej dumę. Były granice, których się nie przekraczało. Na różne rzeczy mogła pozwalać, ale nie na to, żeby ktoś w tak perfidny

sposób zabawiał się jej kosztem.

— O, nie! Obowiązują pewne zasady... — wymamrotała.

Mogła właściwie wyłączyć osłony i jak gdyby nigdy nic wyskoczyć z kabiny ślizgacza, ale nie była pewna tego, czy na zewnątrz nie zastawiono na nią kolejnych pułapek. W końcu nie wytrzymała nerwowego napięcia.

— Nie napędzicie mi strachu, skończone łotry — ze wzgardą prychnęła. — Nie dam się okpić, nic z tego, nie jestem naiwna. Nawet się nie wysilajcie!..

Siedziała dalej w fotelu. Próbowała sobie uzmysłowić, jak jej pokryta delikatnym meszkiem piękna twarz prezentuje się na ekranach w sterowni. Nikt jej nie uprzedził, że będzie poddawana okresowym testom kontrolnym, więc nie miała powodu, żeby się wstydzić. Mimo to obawiała się, że wypadła ociupinę za pasywnie.

— Ta-ocie — warknęła. — Jeżeli to twoja robota, policzę się z tobą. Rozkwaszę ci mordę, draniu. Wypuść mnie stąd — i to natychmiast!..

Nikt jej nie odpowiadał. Ta-ot pewnie milczał zakłopotany, przeżuwając w myślach jej ostrzeżenia, albo po prostu trzymał się za brzuch ze śmiechu, bagatelizując jej pogróżki. Brak reakcji ze sterowni statku odebrała w końcu jako niedorzeczną prowokację. Dłużej tego nie mogła ścierpieć i bez wahania wybrała manewr. Włączyła zewnętrzne światła ślizgacza i odsłoniła wizjery. Skonstatowała, że w tym przypadku byłoby najtrudniej o symulację.

— Moja mamuśko, co to? — zaskomlała ze zgrozą.

Widok, który się przed nią roztaczał, budził grozę. Ładownia była w katastrofalnym stanie. Właściwie już nie była ładownią, ale składnicą nieprzydatnych staroci i bezużytecznego złomu. Nie witała jej tam sfora lekkoduchów i złośliwców, ciekawych jak pokładowa piękność zachowa się po opuszczeniu pojazdu, ale góra rupieci, poszarpanych maszyn i pogiętych robotów. Bogate wyposażenie, które

miało trafić po lądowaniu na planetę Y-o, nie nadawało się do użytku. Jej ślizgacz tkwił ukosem w tym złomowisku.

Dopiero teraz dopadł ją koszmarny lęk, obezwładniający ją, paraliżujący i ścinający z nóg. Nie mogła podnieść się z fotela. Otaczający ją cudowny świat w jednej chwili przestał istnieć — rozprysł się jak ciśnięte o ziemię zwierciadełko. Usłyszała nagle głos swojej niani, Mi-ti. „Nie możesz kryć się i przepadać bez wieści. Jesteś stworzona po to — piastunka ciepło szeptała jej do ucha — żeby być radością innych, być szczęśliwą i dawać szczęście…"

Wyłączyła wewnętrzne pole ślizgacza i fotel gwałtownie się przechylił. Omal nie zwaliła się na zamknięty właz. Uruchomiła mechanizm rygla, przerażona myślą, że wyjście będzie zablokowane. Nie zawiodła się, bo klapa uchyliła się w okamgnieniu, więc gdyby się nie przytrzymała, wypadłaby z kabiny.

Starała się nie patrzeć na zniszczenia. Lawirowała między rozrzuconymi częściami maszyn, chcąc jak najszybciej wydostać się z ładowni. Przy wyjściu na pokładowy korytarz ze zgrozą natrafiła na pierwsze zwłoki. Z trudem rozpoznała Ta-ota. Twarz miał zmiażdżoną i potwornie zniekształconą, a jego szklane oczy spoglądały w górę z wyrazem niebotycznego zdumienia. Odruchowo poszła za tym martwym spojrzeniem, ale niczego zajmującego nie dostrzegła.

— A więc to nie ty — wyrzuciła z siebie, świadoma tego, że niesamowicie się pomyliła. Tchórzliwie podwinęła pod siebie ogon. Lęk dławił jej gardło. — Niesłusznie cię posądziłam, stary przyjacielu, nie zabawiałeś się moim kosztem. Śpieszyłeś się, biegłeś, żeby mi pomóc. Zawsze stałeś przy mnie, kiedy byłam w potrzebie — nerwowo tłumaczyła się przed trupem, łkając z przejęciem, a łzy ciurkiem płynęły jej po twarzy. — Wiedziałeś, gdzie jest twoje miejsce, choć nigdy… nie traktowałam cię tak, jak na to… zasługiwałeś… — bezmyślnie się wywnętrzała. Surowo oceniała siebie, jednak na jakąkolwiek zmianę w ich wzajemnych stosunkach było za późno.

Rozklejała się i słabła, a przecież nie mogła sobie na to pozwolić w obliczu niewyobrażalnego nieszczęścia. Z trudem oderwała się od zwłok. Statek kosmiczny był pochylony. Pospieszyła przed siebie, wybierając drogę. Boczny korytarz, którym się posuwała, był zupełnie pusty — dopiero więc przed głównym wejściem do sterowni unaoczniła sobie rozmiary katastrofy. Apokalipsa ogarnęła cały świat, który w lodowatych próżniach był ich domem, a w owalnych ścianach kadłuba doszło do czegoś makabrycznego. Nie mogła opanować drżenia. Odsuwała nogą zwłoki leżących, pokonując bolesne skurcze brzucha. Łapały ją torsje. Starała się dostać do centralnego monitora. Potem zaś, widząc bezsens przedzierania się między zmarłymi, deptała po poskręcanych ciałach kolegów, zataczając się i ślizgając w kałużach krwi. Nie miała się czego przytrzymać. Oparła się w końcu o pulpit sterowniczy.

Kilka uderzeń w szare klawisze wystarczyło jej, by pozbyć się ostatnich złudzeń. Majestatyczny „Met-ar-us" znajdował się na powierzchni planety Y-o. Awaryjnie wylądował, a właściwie w nią wyrżnął, choć nie pojmowała, jak do tego doszło. Działał centralny system wizyjny, więc mogła zajrzeć do różnych pomieszczeń statku, ale nie do wszystkich. Katastrofa zastała pasażerów kosmicznego kolosa przy rozmaitych, najczęściej prozaicznych czynnościach, odbierając im możliwość ich ukończenia. Odniosła wrażenie, że jakaś monstrualna siła zepchnęła goliata z orbity stacjonarnej. Odkryła, że brakuje jednej kapsuły. Pojęła, że ktoś zdążył się wyrwać z niszczycielskich objęć. Identyfikator nie podawał imion, tylko liczbę uciekinierów. Troje się ostało — troje umknęło, nie poddając się przeznaczeniu. Nie mogła dociec, komu dopisało szczęście. Zresztą, nie było to dla niej ważne, a w tej opłakanej sytuacji liczyło się raczej jej własne położenie. Musiała zmierzyć się z losem i wydostać się z zaklętego kręgu, którym władało upiorne fatum.

Poruszała się jak sprawny automat, który wcześniej po mistrzow-

sku zaprogramowano — i w okamgnieniu podejmowała niezbędne decyzje. Rąbnęła fotelem w twardą osłonę, za którą kryły się awaryjne startery. Po kilku mocnych uderzeniach półprzejrzysta ścianka z trzaskiem ustąpiła. Starannie wybrała jedną z czarnych dźwigni, złapała ją i pociągnęła w dół. Charakterystyczny trel dowodził, że śluza ustąpiła, a luk ładowni otwiera bez przeszkód. I tu obyło się bez niespodzianek. Z ulgą odetchnęła i starła ręką pot z czoła. Mogła opuścić wnętrze zdemolowanego molocha i wymknąć się na powierzchnię globu. Wracała do hali, obciążona jak juczne zwierzę. Zabrała, co tylko mogła, przede wszystkim zaopatrując się w broń palną. Mimo balastu biegła. Zręcznie ominęła ciało Ta-ota. Zaraz jednak przystanęła. Niepojęta siła przyciągała ją do zwłok.

— Wybacz mi, przyjacielu — jeszcze raz wydukała, ciężko dysząc. — Wierz mi, niczemu nie jesteś winien — kajała się przed nim jak przed żywym. — Nie kombinowałeś, nie rozrabiałeś. Ani ty, ani nikt inny. Bądź zdrów!

Gniewne fatum zachichotało. Ponownie poszła za szklistym spojrzeniem Ta ota, ale wyżej znowu niczego nie dostrzegła. Cyniczny i drwiący upiór krył się w jej wyobraźni rozhuśtanej do ostatnich granic.

— Nie wywołałeś eksplozji danych — nadal się usprawiedliwiała, chcąc zagłuszyć powracający lęk. — To naprawdę nie ty — ostatecznie uwolniła go od odpowiedzialności. — Bardzo cię przepraszam. I nie bierz sobie do serca tego, że cię oskarżałam...

Leżący Urchita niczym się nie przejmował, a jej spóźnione przeprosiny nic dla niego nie znaczyły. Opuściła go i ruszyła dalej. Zrzuciła zabrany sprzęt przy maszynie, która dziwnym trafem przyniosła jej wybawienie. Przez otwarty luk zaglądało do wnętrza tutejsze słońce. Czerwona kula powoli chyliła się ku zachodowi. Niżej niej wyrastały szczyty górskie, znaczące się wyraźnie na tle ciemnobłękitnego nieba. Ten obraz ją pokrzepił. Zamarła na moment, świadoma tego, że

znalazła się u celu i dopiero teraz poczuła znużenie. Brakowało jej tchu. Musiała chwilę odpocząć, bo zesztywniałe mięśnie karku odmawiały jej posłuszeństwa. Wyczerpana usiadła i zapadła w bezruch. Rysujący się przed nią y-ocki pejzaż zdawał się działać hipnotycznie. Nie wiedziała, jak długo trwała w dziwnym półśnie. Wreszcie zerwała się na równe nogi, chcąc podołać zadaniu, które przed sobą postawiła. Sprzęt znalazł się szybko w kabinie za fotelami. Wybrała się jeszcze dwa razy do magazynów, znosząc wszystko, co wydawało się jej niezbędne. Wdrapała się i uruchomiła napęd. Pojazd był sprawny, choć straszył brudnymi rysami i wgnieceniami, a silniki cicho pracowały, stopniowo nabierając mocy. Podniosła maszynę i ustawiła ją z wprawą w stronę luku. Szykowała się do nagłego manewru.

— Teraz — szepnęła z rozmysłem. — Poradzisz sobie. Ruszaj!

Ślizgacz skoczył z impetem do przodu i wyrwał się na zewnątrz, lecąc prawie jak kula z lufy armatniej. Masywna maszyna poszła po łuku, miękko opadając na zieloną murawę, odbijając się kilkakrotnie od obcego gruntu i jak pług ryjąc trawę. Była posłuszna poleceniom z kabiny. Ni zręcznie wyprowadziła wehikuł na rozległy teren i powoli zawróciła, kierując się w stronę statku. Nie chciała tracić go z oczu. Silniki zgasły.

— Już! — odsapnęła z niewymowną ulgą. — Koniec wieńczy dzieło...

Dopiero wtedy pojęła, że sobie poradziła. Zaciążyły jej nagle powieki. Rysujące się przed pojazdem góry stawały się dziwnie nierealne, rozmazywały się przed jej oczami i zachodziły mgłą. Wtuliła się w miękką wykładzinę fotela i zwinęła się prawie w kłębek. Pojęła, że jej jedynym ratunkiem jest sen. Przemknęła jej przez głowę myśl, że jest maleńką Urchitką — bobasem, który nie musi się o nic martwić i niczym przejmować. Usłyszała dziwny tętent. Nieokiełznane stado dzikich zwierząt pędziło w popłochu, wywołując dudnienie gruntu.

Przez iluminatory nieprzytomnie się rozejrzała, ale żadnych gadzin nie dostrzegła. Zbagatelizowała halucynacje słuchowe. Tętent obrócił się po chwili w odgłosy dalekiej bitwy, a masyw górski poruszył się i zaczął się przesuwać. Tutejsze duchy przemawiały z coraz większą siłą. Opadła jej głowa. Troskliwa niania utulała ją do snu, cichutko nucąc nad nią jej ulubioną kołysankę. Reszty nie pamiętała.

Rozdział trzeci

BYŁA noc. Trwożny sen przywrócił Mi-ira do rzeczywistości. Obudził się z wrażeniem, że ściany szalupy ratunkowej, w której schronił się po zmroku, zbiegają się ku sobie, chcąc go zgnieść na miazgę. Zerwał się, poczuł ostry, świdrujący ból kręgosłupa i zatoczył w mroku jak pijany. Ze wstrętem odkrył, że na sąsiednim posłaniu z rozłożonych foteli leży nie ranny Li-ip, ale nieznany mu tubylec, ktoś z planety Y-o. Jak się tu dostał? W mglistym świetle wyczerpujących się baterii z trudem rozpoznawał szczegóły. Rzucił się do tyłu, natrafiając na coś twardego. Nie mógł podeprzeć się ogonem. Ból rozsadzał mu teraz krtań — i przeląkł się, że brakuje mu powietrza. Znowu się poderwał, zderzając z zaryglowaną klapą kapsuły. Wyjście starannie zamknął na noc, nie chcąc wdarło się do środka jakieś zwierzę. Nieudolnie próbował się wydostać i w panice szukał mechanizmu zasuwy. Potem ujrzał swoje ręce. Osunął się z lękiem, przeraźliwie krzycząc. Dłonie nie były mu posłuszne. Lodowato zimne i drętwe, stwarzały wrażenie należących nie do niego, lecz do kogoś obcego, a może nawet zmarłego. Wzrok wyławiał z półmroku coraz więcej szczegółów. Tubylec nie żył. Spoczywał zaś dokładnie tam, gdzie z wieczora ułożył poranionego Li-ipa.

— Nie — charknął. — Niemożliwe! Nieee!

Uzmysłowił sobie, że nocą dokonało się przewidywane przeobrażenie i że obaj z Li-ipem należą nieodwołalnie do planety Y-o, do której dotarli pokonując „Met-ar-usem" przestrzenie kosmosu. Nie pogodził się jednak z tą zdumiewającą przemianą, ukrytą właściwością ich gatunku. Z odrazą się odwrócił, nie chcąc patrzeć na zmienionego towarzysza. Wolał nie sprawdzać, jak sam wygląda. Przypusz-

czalnie tak samo. Poczuł palącą nienawiść do całego świata. A potem ze wszystkich sił, jakie w sobie znalazł, przeklął ohydny glob, na który rzucił go los. Pojął, że popełnił straszliwy błąd, wybierając się w tę podróż. W chwilę później stracił przytomność.

NADSZEDŁ ranek. Mu-urowi wydawało się, że niezliczona ilość maleńkich stworów, pokrytych chityną owadów, kotłuje się w nim i kłębi, zaciekle walcząc o skrawek wolnego miejsca. Czaszkę rozsadzał mu okropny ból, a w zdrętwiałych rękach i nogach czuł nieznośne mrowienie. Ta niemal fizyczna tortura sprawiła, że ocknął się na dobre. Bezradnie jęknął. Wyciągnięty jak długi leżał na miękkiej murawie z policzkami wtulonymi jak w poduszkę w kępy gęstego mchu. Z gór spłynęły do kotliny nocne mgły i dymy, stopniowo rozmywając się, rzednąc i niknąc w rannym powietrzu. Słońce dźwigało się coraz wyżej, osuszając mokre rosy. Mali opierzeni wokaliści w koronach drzew prześcigali się w entuzjastycznych trelach. Powieki miał jak z ołowiu. Quasi-owady wreszcie się uspokoiły, więc poruszył się i niepewnie uchylił oczu. Natychmiast zmrużył powieki, oślepiony dokuczliwym światłem dnia, zaś mrowienie — niby pod wpływem dźgnięcia — gwałtownie się wzmogło. Maleńkie stwory pędem się zmobilizowały, przedzierając wyżej, jakby w jego obolałym czerepie kryło się ocalenie. Instynktownie szukały dróg wyjścia z przyciasnego więzienia.

Mu-ur pokonał paraliżujący go bezwład i ciężko uniósł się na łokciach. Po chłodnej górskiej nocy był bez czucia. Zapomniał o dręczących go niby-stworach, bowiem przed jego oczami niewyraźnie zamajaczyły dwie ohydnie obce dłonie. Kiedy je dostrzegł, poruszyły się jak na komendę. Niecierpliwie zamrugał powiekami i obraz się wyostrzył. Uprzytomnił sobie, że gdzieś takie widział, ale nie mógł sobie uzmysłowić, gdzie. Ciężko dyszał, nie mogąc uwolnić się od

rannego zamroczenia i oszołomienia, aż doznał olśnienia. Niemożliwe?! To były dłonie istoty rozumnej z Y-o, a więc z planety, do której z wyroków urchickich mędrców mieli dotrzeć przez mroźne próżnie. Nie rozumiał, dlaczego ni stąd ni zowąd znalazły się w zasięgu jego wzroku. W końcu pojął, co się stało.

Zerwał się z przeraźliwym, histerycznym krzykiem, jakby go obdzierano żywcem ze skóry, szarpnął się konwulsyjnie, zatoczył, tracąc równowagę, aż w końcu runął jak ścięty na murawę. Łkał, uzmysławiając sobie, że ma dziwnie wiotkie ciało, zupełnie nagie, bo pozbawione okrywającej go szczeciny. Serce waliło mu jak młot z przerażenia i omal nie wyrwało mu się z piersi.

— Nieee, to nie ja — niewyraźnie zabełkotał, broniąc się przed nowym wizerunkiem. — Nie pragnę... przeobrażenia... Na proroków... tylko nie to!

Zamarł w bezruchu jak zranione zwierzę. Powoli się uspokajał, a nad wzburzonymi emocjami zaczynały krążyć trzeźwe myśli. Nie miał na to żadnego wpływu. Wybrał los banity już na Urch, bez przymusu godząc się na rolę herosa i na udział w wyprawie, z której żaden z wybrańców nie miał wrócić. Zrządzeniem losu stał się istotą rozumną z Y-o. Metamorfoza dokonała się bezwiednie, bez udziału jego woli, tak jak to trafnie przewidywano na Ab-dan-gra. Okazał się straszliwym kosmicznym kameleonem. Czy tego chciał, czy nie, musiał fizycznie się dostosować do nowego środowiska przyrodniczego, kiedy tylko w nim się znalazł. Ten zadziwiający genetyczny przymus był wpisany w jego mroczną naturę i stanowił ukryty przymiot jego pokracznego gatunku.

Próbował wczuć się w nowe ciało i na dzień dobry poznać jego niektóre sekrety. Ostrożniutko wsparł się na kolanach i niepewnie podniósł. Poruszył rękami, a potem nogami. Patrzył, jak zginają się i prostują. Napinał mięśnie i macał bicepsy. Obejmował dłońmi uda. Ze zgrozą odkrył, że nie ma ogona. Na jego miejscu między poślad-

kami znaczył się tylko niewielki ślad. Wyczuł zgrubienie pod palcami. „Na kapłanów! Na co mi przyszło? To aż tak? Czy do tego nawyknę?" — bezgłośnie wyszeptał do swoich myśli.

Nie zdążył do końca obejrzeć siebie, chociaż zabrał się do tego z zacięciem. Y-ocki głos, tym razem nie będący wytworem chorobliwie rozhuśtanej wyobraźni, dobiegł go zza oddalonych porośniętych gęstymi liśćmi krzewów. Natychmiast przypadł do ziemi, wiedziony nakazującym ostrożność instynktem wojownika. Wywnioskował, że został dostrzeżony przez tutejszych. Coś w nim niebezpiecznie zadygotało, jakby drugie głębsze ja nagle zapragnęło, by przybrał gwarantujące bezpieczne przetrwanie kształty groźnego aotusa.

— Hej, hej. Panie, panieee!..

Wołający go głos był rześki, dźwięczny i młody — brzmiał ujmująco, życzliwie, przyjaźnie i pogodnie. Zbliżający się tubylec nie lękał się obcego, na którego właśnie się natknął. Czuł się pewnie w półdzikim pofałdowanym i zalesionym terenie. Wydawał się ponadto spieszyć z czymś niezmiernie ważnym, z wieścią naprawdę niezwykłą, elektryzującą i wywołującą podniecenie — obligującą go do zwracania się do wszystkich napotkanych po drodze, nawet całkiem nieznajomych, może przypadkowych wędrowców i kupców ciągnących z towarami.

— Hej, hej. Panie! Dobrodzieju! Nie odchodźcie! — powtórzyło się obce wołanie.

Odziany w źle wyprawione i byle jak zszyte skóry zwierzęce wyrostek był pierwszym zwiastunem witającej go cywilizacji. Młody dziarski pastuch żwawo stąpał ku niemu, wymachując krótkim biczem. Zabijaka nieufnie go zlustrował, obawiając się podstępu. Jednak doszedł do wniosku, że bez trudu pokonałby młokosa w walce wręcz, nawet gdyby chłopak ukrywał pod szatą krótką broń — nóż myśliwski lub sztylet. Nie musiał więc się go lękać. Uzmysłowiwszy to sobie, pilnie się zastanowił nad znaczeniem rzuconych słów.

Pastuch się zatrzymał. Wpadły mu w oczy leżące w trawie mokasyny, zniszczone podczas wspinaczki. Potem obrzucił wzrokiem okrywający ramiona obcego i sięgający mu prawie do kolan pokładowy chałat.

— Pokłon wam, panie — z wolna się odezwał, witając go, jak nakazywał obyczaj. — Oby bogowie, których tu czcimy, okazywali wam łaskawość — wykonał gest, który miał oznaczać szacunek. — A zwłaszcza Gromowładny... — A potem prędko dodał, nie czekając, aż obcy odwzajemni powitanie: — Z pewnością jeszcze nie wiecie, do czego u nas wczoraj doszło, bo żeście z dalekiej drogi. Jak świat światem, nikt nigdy czegoś takiego nie widział. To jakby nieśmiertelni się poróżnili i skoczyli sobie do gardeł, tłukąc się jak młokosy...

Błyskawicznie do niego dotarło, co gapowaty wyrostek o rumianych policzkach chce mu powiedzieć. W rachubę mógł wchodzić tylko jeden bulwersujący epizod, zdolny poruszyć mieszkańców zielonej kotliny, z dziada pradziada parających się wojaczką, myślistwem, rolnictwem i pasterstwem. Była to niespodziewana katastrofa kosmicznego kolosa.

— Obca osada spadła tu z nieba — śpiewnie ciągnął chłopak, zdradzając przy tych słowach nadzwyczajne podniecenie. — Spadła i dymiła. Jest przeogromna — żywo gestykulował i pokazywał rękami — niczym świątynia Zamolksisa, albo niczym namiot wielkiego króla Persów, Dariusza, zdolny pomieścić i ze sto słoni. Nadleciała z hukiem i świstem z niedosięgłych wysokości...

Wojownik przytakiwał, okazując niejakie zrozumienie. Mrużył oczy, z niezwykłym napięciem i uwagą wsłuchując się w padające słowa i zwroty. To, co mówił odziany w skóry młody pastuch, odbijało się zwielokrotnionym echem w jego umyśle, potężniało i wracało. Niewiarygodnie szybko łączyło się z urywanymi znaczeniami i konkretnymi wspomnieniami, z bliskimi mu obrazami i scenami, z tym, co znał i czym przesiąknął od dziecka. Nadstawiwszy uszu, odgady-

wał w lot słowa i zwroty. Wszystko było dla niego jasne. Fakt ten napełniał go to niebywałą dumą, to straszliwą grozą. Czyżby ktoś skrycie manipulował przy jego systemie nerwowym i wyposażył go w nadzwyczajne umiejętności? Wbrew logice i wbrew doświadczeniu, które zdobył, a które nakazywało najpierw wytrwale uczyć się obcego języka, zaś potem dopiero podejmować wysiłek konwersacji, łapał bez trudu śpiewne frazy. Nie powinno było tak być, ale było.

Postanowił się podnieść. Nawiedzony chłopak odrzucił bicz, podbiegł i śmiało nad nim pochylił. Ochotnie podał mu dłoń. Czuć było od niego zwierzęcymi odchodami, kozim mlekiem i dymem jałowcowego ogniska. Mu-ur wsparł się na jego chudawym ramieniu i chwiejnie wyprostował. Był wyższy od tuziemca i bardziej atletyczny. Obejrzał pastucha z góry. Młodzik nie wyglądał na szczególnie rozgarniętego i nadzwyczaj inteligentnego, choć spojrzenie miał bystre.

— Spadłaaa... — głos, który z siebie wydobył, był rzężący i chrapliwy. Przez krótką chwilę miał wrażenie, że gardło jak topielcowi wypełniają mu wodorosty. Odchrząknął raz i drugi. — Spaaadłaaaa i dyyymiiiłaaa... — dziwacznie przeciągał sylaby.

Gołowąs wyraźnie się ucieszył, widząc, że został zrozumiany. Przysługiwał się kapryśnym bogom, roznosząc ową ekscytującą wieść. Bez wątpienia, odmiennie odziany mężczyzna, którego spotkał u podnóża gór, nie był do końca obcokrajowcem, chociaż na takiego wyglądał, zważywszy jego rysy twarzy, wzrost i odcień włosów. Gadał przecież jego mową, powszechnie znaną w tych stronach.

Mu-ur opuścił gołowąsa i jak powołany do życia golem samodzielnie uczynił pierwszy sztywny krok do przodu. Nawet mu się to udało, czym się niebotycznie zdziwił. Trzymał się prosto i nie tracił równowagi.

— Spadła i dymiła — potwierdził z ogromnym wysiłkiem orędzie pastucha. — Jest przeogromna — nieskładnie pokazywał rękami. —

Nadleciała z hukiem... — wyrywały mu się z gardła kolejne dźwięki. Miał przy tym wrażenie, że gra jakąś pokrętną rolę, do której kompletnie się nie nadaje i że w związku z tym wypada jak kiepskawy aktorzyna, którego za moment wygwiżdżą niewidoczni widzowie.

Młokos z ukontentowaniem przytaknął, pokazał mu ręką właściwy kierunek, a następnie z szacunkiem skłonił się na pożegnanie. Spodobała mu się reakcja obcego. Odnalazł swój bicz i zdecydował, że pobiegnie dalej. Jeszcze raz się skłonił. — Bądźcie zdrowi! — krzyknął. Widocznie tyle nakazywał mu wewnętrzny imperatyw: wyłuskiwać podróżnych i przekazywać im wieść o tym, do czego doszło z woli sił wyższych, a przy tym nie zatrzymywać się po drodze dłużej niż trzeba. Inne rzeczy nie były ważne. — Niech bogowie będą z tobą! — dorzucił jeszcze, śmigając piętami i niknąc za pobliskim wzgórzem.

Mu-ur pozostał sam. Z nadzieją obejrzał porzucone mokasyny, lecz te nie na wiele już się zdały. Cisnął je precz. Głęboko się zadumał nad słowami chłopaczyska. Opuścił zacisze, w którym spędził noc, pozostawiając wygniecioną trawę. Ostrożnie i bez pośpiechu ruszył dalej, najpierw krok po kroku, a potem coraz szybciej. Upewnił się, że stąpa mocno i że się nie chwieje. Musiał dojść do statku. Rozglądał się, z uwagą obserwując otoczenie i badając przenikliwym wzrokiem pobliskie zarośla i gąszcze. Między gęstymi krzewami mógłby od biedy znaleźć kryjówkę, gdyby znowu na jego drodze pojawili się tubylcy, w przeciwieństwie do tamtego chłopaka wrogo nastawieni.

W pewnej chwili się zatrzymał i z zaniepokojeniem przysiadł, oglądając z uwagą od spodu swoje stopy, najpierw jedną, a potem drugą. Kroczył boso i te w lot się przystosowały, pokrywając grubą warstwą zrogowaciałego naskórka. Potem wdrapał się na porośnięty parzącymi chwastami pagórek. Widok był rozległy. Oświetlone słońcem góry majestatycznie osłaniały mu tyły. Nie dostrzegł nigdzie śladów istot żywych, żadnego obozowiska czy dymu z ogniska. Rozrzucone

po zielonej równinie zagajniki łączyły się dalej w bezkresną puszczę.

Statek kosmiczny tkwił w ziemi, stanowiąc karkołomnie obcy element pejzażu. Nie dymił, a na potężnym kadłubie z oddali nie było widać uszkodzeń lub pęknięć. Dopiero po dłuższej chwili Mu-ur uprzytomnił sobie, że nie zwrócił uwagi na z pozoru nieistotny szczegół. Przysłonił oczy, aby się upewnić, ale nie mógł się mylić. Mimo przeobrażenia wzrok miał nadal bystry. Ktoś nie zamknął luku przepastnej ładowni. Był to ważny znak — widomy dowód tego, że nie wszyscy zginęli w strasznej katastrofie. Z pewnością wielu ocalało, skoro podjęto próbę wyjścia. A może nikomu nic się nie stało — dumał — i wszyscy przeżyli? Ruszył dalej, starając się opanować podniecające bicie serca.

Jego radość nie trwała długo. Nie liczył kroków, bo nie było po co, kiedy jednak przeszedł ich ze dwa lub trzy tysiące, ogarnął go niepokój. Był doświadczonym wojownikiem, radzącym sobie w każdej sytuacji, więc wyczuł tropiącego go przeciwnika. Posuwał się zygzakiem, starając się nie tracić bezpiecznego kontaktu ze skupiskami drzew. Śledzący go musiał ciągnąć za nim od pewnego czasu, z premedytacją się maskując i utrzymując bezpieczny dystans. Z wolna przystanął i pieszczotliwie rozgarnął krzewy. Znalazł zagłębienie za szerokim zbutwiałym pniem powalonego dębu. Zjechał głową poniżej gęsto rosnących paproci i zamarł w zwierzęcym bezruchu. Osłaniały go omszałe konary i gałęzie. Wcześniej cisnął kilkoma wygrzebanymi z poszycia szyszkami w tę stronę, w którą podążał, aby wywołać wrażenie, że trzeba go szukać dużo dalej.

— Nie ujdzie ci to na sucho, łajdaku. Kim byś, draniu, nie był, ze mną nie wygrasz! — wyszeptał. — Obyś sczezł. Nikt nie może bezkarnie mieszać mi szyków…

Nie musiał długo czekać. Śledzący go był pewien, że nic mu nie grozi. Nie zorientował się, że został zdekonspirowany. Minął go w odległości kilku kroków, prawie bezszelestnie prąc naprzód. Potem

coś go widocznie zaniepokoiło, bo z nagła się zatrzymał i znieruchomiał. Z pewnością nie dojrzał dalszych śladów lub ostrzegła go intuicja.

Wojownik cicho wypadł z kryjówki, skacząc w stronę swego wroga. Spadłby na niego jak błyskawica i zwaliłby go z nóg, gdyby nie to, że przeciwnik instynktownie uskoczył. Śledzący go młodzian był rączy. Obrócił się i zręcznie zamachnął biczem. Mu-ur jednak przewidział ten manewr. Bykowiec chlasnął więc powietrze.

— To ty? — oniemiał, nieruchomiejąc. — Czemu za mną ciągniesz? — rzucił w swoim języku.

Wyrostek, który wcześniej z entuzjazmem go witał, chwilę milczał, ale z oczu już mu dobrze nie patrzyło. Można było odnieść wrażenie, że ktoś mocarny go ujął, błyskawicznie przeprogramował i cynicznie posłał z powrotem z szatańską misją zadźgania Urchity. A może po prostu pastuch okazał się na tyle domyślny, by po pewnym czasie pojąć, kogo to naprawdę spotkał?

Gra była skończona.

— Nie pochodzisz stąd. Jesteś demonem — młody wykrztusił ze zgrozą, a z wrażenia oczy omal nie wyszły mu z orbit. — Żmiją z tej wielkiej świątyni, co spadła z nieba...

Zamachnął się wściekle jeszcze raz, a wojownik nie pozostał mu dłużny. Tubylec nie miał takiego jak on refleksu. Cios w rękę sprawił, że bicz opadł na ziemię. Złapał młokosa i zmusił do półobrotu. Chwycił go od tyłu za włosy i przejechał mu nożem po gardle.

Chłopak wił się i charczał, kopał nogami, tryskająca tętnicza krew zabarwiła czerwienią okoliczne krzewy, a gdy uścisk osłabł, bezradnie osunął się na ziemię.

Mu-ur przyklęknął przy dogorywającym pastuchu. Szeptał coś z wściekłością, płynęła litania obcych słów, jakich nigdy nie słyszała ta planeta, zrazu cichych, jakby syczał wąż, potem przechodzących w wycie, którego nie powstydziłby się samotny wilk. Bestia była bestią

i nie dawało się zmienić jej natury. Wykrzyczał swój nagły ból i piekącą nienawiść do wszystkiego, co żyło, potem wstał, by z ulgą się wyprostować. Poplamione krwią ręce starannie wytarł w pobliskie gęste trawy. Podobnie uczynił ze sztyletem.

Zarżnięty jak świniak na plemienną ucztę pastuch był w posiadaniu czegoś, czego bojownik z pustyń Urch pilnie potrzebował. Stopy i łydki miał owinięte onucami, a od spodu skórami, następnie zaś okręcone wełnianym sznurkiem. Zaczął ściągać z niego te prymitywne skórznie, chcąc w nie wyposażyć siebie. Potem zajął się naderwanym pasem, nasadzonym mosiężnymi ozdobami. Obejrzał go z uwagą, ale z niego zrezygnował. Nie był mu do niczego potrzebny.

GDY Mi-ir ocknął się rankiem, nie mógł uwierzyć własnym oczom. Obejrzał z uwagą swoje ręce i obmacał nimi twarz. Był znowu Urchitą. Uświadomił sobie, że odrzucił metamorfozę, gdyż jej w gruncie rzeczy nigdy nie pragnął, a karne ciało, niczym instrument duszy, posłusznie podporządkowało się jego woli. Kapryśna natura uległa, przywracając mu pierwotną postać. Panował więc nad tym, co się z nim działo i to zaskakujące odkrycie podniosło go na duchu. Otworzył bez trudu klapę kapsuły, wpuszczając do wnętrza jasne światło. Potem zaś pochylił się nad Li-ipem. Biedak zmarł jako Y-ot. Był zimny. W niczym nie przypominał spolegliwego kompana z wyspy Abdan-gra i przybity Mi-ir musiał z tym się pogodzić.

— Żegnaj, mój stary druhu! Będę pamiętać o tobie do końca mych dni — płynęły pełne powagi żałobne słowa, niby z oficjalnej plemiennej ceremonii. — A jeżeli przeżyję, jeśli będę mógł tu kiedyś powrócić, obiecuję ci solennie: wzniosę ci pomnik i uczczę cię kamiennym obeliskiem z wyrytym twoim imieniem... — ślubował zmarłemu z przeświadczeniem, że nie rzuca słów na wiatr. — Nie pozostaniesz na tej planecie opuszczony i zagubiony — bez mogiły, na jaką

zasłużyłeś.

Duchy planety zachichotały, słysząc tę przykrótką ale wzniosłą mowę pogrzebową, a Mi-ir doszedł do wniosku, że pożegnawszy kamrata powinien zająć się sobą i zatroszczyć o swój los. Słońce, które wydobyło się zza szczytów górskich, rozświetliło popękane zbocza, poprzetykane plamami soczystej zieleni. Pojął, że nie może dłużej zwlekać. Dłuższą chwilę walczył ze skrytką, aż jej zamknięcie puściło. Jak się spodziewał, znalazł tam zwiniętą linę. Jej właśnie szukał. Otworzył kilka konserw i się posilił. Rozpadlina, którą znowu z uwagą zbadał, nie wydawała się mu tak straszna i drapieżna jak poprzedniego dnia. Ze znawstwem ocenił jej wysokość. Zmarłego zatrzasnął w kapsule niczym w grobowcu. Tu mógł spoczywać w pokoju nawet długie wieki, choć nie był to pochówek, odpowiadający jego godności. Przeciągnął linę przez uchwyt przy klapie, przewiązał się nią w pasie i z determinacją postąpił na skraj rumowiska. Naciągnąwszy drugi koniec, zaczął się zsuwać.

Wąski występ biegł nisko i przez chwilę sądził, że go nie dosięgnie. Po omacku macał rękami ścianę, szukając wypukłości i zagłębień. Opuszczał się, tuląc twarz do chłodnego kamienia. W pewnej chwili usłyszał zgrzyt, lina drgnęła i domyślił się, że kapsuła niebezpiecznie się przesunęła. Obawiał się, że wyrwie się ze szczeliny skalnej i poleci w dół, pociągając go za sobą. Serce waliło mu jak młot i przypomniał sobie dzień odlotu z Ab dan gra. Sekundy płynęły, jedna za drugą. Trwało to całą wieczność. Nareszcie jego stopy znalazły oparcie. Zluzował linę. Potem zaczął się ostrożnie przesuwać. Kiedy występ się poszerzył, obrócił z ulgą głowę, lustrując odcinek, który pokonał. Był to nie lada wyczyn i ogarnął go histeryczny śmiech. Dystans wydawał się mu większy niż odległość między planetami Urch i Y-o. Ostrożnie spojrzał w dół. Uzmysłowił sobie, że przenigdy nie powtórzyłby takiego zejścia. Wolałby raczej umrzeć, skoczyć w czeluść i zginąć od razu, niż ponownie poddać się katuszom, związa-

nym z potępieńczym ryzykiem. Nie cierpiał zagrożeń, a popisy na kruchych stromiznach były nie dla niego.

Po kilku godzinach wyczerpującego marszu znalazł się w wąwozie. Słońce sięgnęło zenitu. Jaskrawo świecąca złota kula nie pozwalała mu zapomnieć, że znalazł się daleko od rodzinnego domu. Rumowisko z dna kotła zdawało się wylewać przesmykiem, do którego się dostał, więc musiał uważać na kruche i niepewne podłoże. Skracał sobie drogę, brnąc przez zarośla i przedzierając się przez kosodrzewinę. Wypłaszał drobne ptaki i ssaki. Pił zimną wodę z jeziorka o zielonej toni, nie zastanawiając się nad składem chemicznym rozpuszczonych w niej minerałów. Widział wysoko, w górze, majestatycznie krążącego jastrzębia, gospodarza tych stron. Żałował, że sam nie ma skrzydeł. Miał jednak nadzieję, że mimo to wydostanie się z labiryntu dolin, zakosów, rozwidleń, małych i gęstych borów, dzikich skał i górskich uroczysk — i że dotrze do statku, o ile kolos się ostał. Nie chciał być gorszy, tchórzliwszy i słabszy od wojownika z pustyni, Mu-ura, którym w czasie podróży międzygwiezdnej głęboko gardził, mając go za nic.

Rozdział czwarty

KOTLINA falowała, bliżej gór poprzecinana utworami kredowymi i wapiennymi. Świeciło słonce. Jej pojazd miękko sunął, bez najmniejszych wstrząsów, nie stykając się z podłożem, od którego oddzielała go poduszka wibrującego powietrza. Ni omijała kuszące zielone zagajniki, pełne zakamarków, nieznanych roślin, paproci, mchów i grzybów. Mogły okazać się dla niej niebezpieczne, bowiem jeszcze nie rozszyfrowała wszystkich tajemnic tej dzikiej planety. Nie miała wprawdzie złych przeczuć, tym niemniej rutyna zwiadowcy brała w niej górę. Płynąc ślizgaczem w ślimaczym tempie i z pozoru bez celu, była w stanie dokładnie obejrzeć okolice kosmicznego kolosa i wbić sobie w pamięć mapę obcych terenów.

W pobliżu nie było nikogo z tutejszych. Nie plątał się tu żaden dwunożny. Jednak z pewnością kryli się gdzieś dalej, nie chcąc się na razie ujawniać. Trafnie założyła, że mieszkańcy kotliny nie przeoczyli katastrofy niebiańskiego rydwanu. Przypuszczalnie przyczaili się i warowali, czekając na to, co jeszcze się wydarzy. Zatem na ich kontruderzenie było za wcześnie. Tak sądząc, na razie nie musiała przejmować się zagrożeniem z ich strony.

Poprowadziła ślizgacz wzdłuż linii lasu. Gęsty bór szpilkowy mieszał się z drzewostanem liściastym, rosły tu dęby, graby, jesiony, lipy i brzozy. Szczególnie podobały się jej te ostatnie, cieszące oczy bielą kory.

Przebudzenie, po nocy spędzonej w kabinie ślizgacza, nie było dla niej wielkim wstrząsem. Przyjęła nową fizys ze spokojem, bez paniki i spazmów, a nawet z odrobiną satysfakcji. Nie dziwiła się swoim rękom i nogom, włosom i twarzy. O wiele większego szoku doznała

zaraz po katastrofie, zmuszona w samotności oglądać jej straszliwe skutki. To, co stało się z jej posturą — w porównaniu z tamtymi chwilami — wydawało się jej czymś znacznie łatwiejszym do strawienia. Ponadto miało swoje dobre strony. Nowe smukłe ciało uznała z namysłem za prawdziwy dar przeznaczenia. Stanowiło element niezbędnego kamuflażu. Odczuwała niewymowną ulgę, mając świadomość tego, że nie różni się wyglądem od tutejszych wojów i pastuchów, ich połowic i pociech. Mogła wtopić się w tło, rozpłynąć się między tubylcami, ukryć prawdziwe pochodzenie i stać się niejako cząstką lokalnego pejzażu. Liczyła na to, że jej się powiedzie i miała nadzieję, że się nie rozczaruje. Nie mogła walczyć z gatunkiem, który niepodzielnie władał tą planetą. Sztuka pozorowania — jak to z rozwagą oceniała — była w jej przypadku sztuką przetrwania.

Zawróciła transportowiec, chcąc dotrzeć do wypływającego z gór strumienia. Maszyna z szelestem otarła się o młodnik z królującymi w nim brzozami, wypłaszając dwa szaraki. Pomknęły jak wypuszczone z procy. Nie zauważyła drobnych czworonogów, gdyż myślami była znowu w kosmosie, a ściśle biorąc w przytulnej kabinie, którą zajmowała z przemiłą Li-o. Wspomnienia nieodparcie powracały, nie pozwalając wymazać przeszłości.

„Wiesz, kochana?! Tubylcy na Y-o wcale nie są obrzydliwi. Cóż z tego, że nie mają ogonów? I że są pozbawieni sierści? — Ni zwierzała się najbliższej przyjaciółce, biorąc ich w obronę. — Nasi bracia przesadzają, nazywając ich wyliniałymi bezmózgowcami. Chociaż wydają się wybrykiem natury, ewolucyjnie oddaleni od świata fauny, to jednak mają w sobie coś fascynującego — szeptała w największej tajemnicy. — Zdradzę ci to, czego za nic w świecie nie odważyłabym się głośno powiedzieć w sterowni. Chcę być y-ocką ślicznotką — jak te, z ekranów. Mieć taką delikatną i gładką cerę… Chcę, chcę, chcę! Nie sądzisz, że tutejsze podlotki górują nad nami urodą?”

Pozbawione sierści, nagie y-ockie ciała nie odpychały jej i nie bu-

dziły w niej niechęci. Natura wyposażyła bowiem wrażliwą i delikatną skórę ludzką w ogromną ilość miejsc erogennych. I to było jej koronnym atutem. Widziała na ekranach, z jaką rozkoszą młodzi tubylcy spółkują i z lekka im zazdrościła. Z tak szeroką gamą pieszczot erotycznych nigdy wcześniej się nie zetknęła. Jako samica miała świadomość tego, że urchickie rytuały miłosne przegrywają z y-ockimi. Trudno jednak było szermować tym wstydliwym argumentem na pokładach „Met-ar-usa". Tam do głosu dochodził męski punkt widzenia.

Li-o nie dziwiło jej stanowisko. Myślały podobnie i znajdowały wspólny język w wielu sprawach. Uśmiechała się i przytakiwała, dając do zrozumienia, że przyznaje jej rację. „Nasi druhowie sprowadzają metamorfozę do tego, co fizyczne, dlatego nie dostrzegają jej wymiaru duchowego — dopowiadała, idąc tokiem myślenia Ni. — A moim zdaniem proces adaptacji już trwa — perorowała z przejęciem. — Rozpoczął się na obrzeżach tego układu solarnego. Psychicznie stajemy się Y-otami, czy tego chcemy, czy nie. Nawet jeśli sobie z tego kpimy. Ta błękitna planeta przejawia dziwną moc i silnie emanuje. Przyzywa nas do siebie, nieomal woła do nas po imieniu. Wkrada się w nasze sny, a jej szept dociera do ukrytych zakamarków statku!"

Słońce było wysoko i Ni poczuła, że jest głodna. Burczało jej w żołądku. Właściwie temu się nie dziwiła, gdyż od chwili katastrofy niczego nie jadła. Nie mogła myśleć o czymś tak trywialnym jak pożywienie, gdy jej życie było zagrożone, a cała przyszłość stanęła pod znakiem zapytania. Przegoniła ciepłe wspomnienia, które odrywały ją od smutnej rzeczywistości i westchnęła z żalem. Nigdy więcej nie miała ujrzeć słodkiej jak cukierek Li-o, ani z nią poszeptać po ciemku o tym, co nurtowało wybranych, tworzących niewielką społeczność kosmicznego kolosa. Zmniejszyła prędkość. Ślizgacz opadł, ocierając się o zieloną murawę i znacząc za sobą trzy równoległe

bruzdy. Wreszcie maszyna się zatrzymała. Ni zgrabnie wyskoczyła z kabiny.

Powietrze było rześkie i świeże. Stała nieruchomo jak posąg, głęboko oddychając. Słońce przeświecało przez przysłaniające błękit białe obłoki, a złote promienie odbijały się tysiącami iskier od pancerza maszyny. Krążyły wokół niej muchy, pszczoły i osy. Rozróżniała je, ale nie umiała ich nazwać. Kolorowe motyle bezszelestnie trzepotały skrzydełkami. Czuła się dziwnie zespolona z tętniącą życiem przyrodą planety. Pas z przypiętym miotaczem był za luźny i musiała go skrócić. Usłyszała szum strumienia. Poszła w tamtą stronę, zanurzając się w chłodnej gęstwinie krzewów. Odgoniła głośnego trzmiela. Ciekawie się rozglądała, szukając czegoś, co odpowiadałoby podniebieniu istoty z Y-o. Czarne jagody robiły wrażenie apetycznych, zerwała więc kilka i wrzuciła sobie do ust. Okazały się strasznie gorzkie i krzywiąc się z niesmakiem je wypluła. Dotarła do potoku i z ulgą rozprostowała ramiona.

Wrażenie bezpieczeństwa okazało się złudne. Kryjący się wyżej zwinny drapieżnik znienacka zeskoczył z drzewa, pod którym się znalazła, powalając ją na ziemię. Uratował ją solidny kombinezon, który włożyła poprzedniego dnia. Ostre kły wbiły się w materiał kołnierza. Krzyknęła, padając pod uderzeniem sprężystego ciała. Tuż obok wyrwał się w górę łomoczący skrzydłami wypłoszony szary ptak. Gibki koci napastnik puścił jednak zdobycz, z charkotem odskakując. Wykorzystała ten moment. Błyskawicznie wykonała półobrót i z pozycji półleżącej wypaliła do ssaka. Strumień białego ognia rozorał pokrytą futrem skórę agresora, a pobliskie krzewy zaskwierczały od żaru.

— Giń, potworze! — syknęła z nienawiścią. — Nic ci do mnie!

Potem usiłowała się opanować. Ciężko dyszała. Cóż takiego zaniepokoiło napastliwe zwierzę, że zrezygnowało ze zdobyczy? Od razu to odkryła. Wyczuło, że zadrżała ziemia. I ona po strzale odczuła na-

rastający dygot gruntu. Niedaleko od niej załamało się podłoże, zaś w powstałą szczelinę waliły się z trzaskiem drzewa.

— Co to?! Trzęsienie ziemi? Nie! — zaskomlała. — Niemożliwe! Czary?!

Siedziała jak sparaliżowana, nie mogąc ruszyć się z miejsca. Iluzoryczna wiara w życzliwość tej planety opuściła ją bezpowrotnie. Czar Y-o rozprysł się jak bańka mydlana. Pomyślała z trwogą o ślizgaczu, obawiając się, że go straciła. Odniosła wrażenie, że nie jest już sobą i że szamocze się w niej pragnąca uwolnienia okrutna bestia. Głębsza część jej natury domagała się porzucenia y-ockiej postury i ucieczki do pierwotnych kształtów — jednak nie urchickich, lecz dużo wcześniejszych, przeraźliwie dzikich i nienawistnych.

Wreszcie wstała. Dygot gruntu szybko ustał. Dla pewności jeszcze raz strzeliła do dzikiego kota, tym razem zmniejszając siłę rażenia. Potem przyjrzała się mu z bliska i doszła do wniosku, że wcale nie był taki groźny. Strach miał wielkie oczy. Pewnie zazwyczaj polował na dużo mniejsze okazy.

Poruszyła szyją, czując narastający ból. Spływała jej krew z pociętego pazurami karku, ale rany były powierzchowne. Właściwie drapieżnik pozostawił tylko zadrapania. Gdyby nadal była grzywaczem, uratowałaby ją potężna grzywa. Powoli schowała broń, starając się spojrzeć z dystansu na to niespodziewane starcie i dostrzec jego jaśniejsze strony. Oto zrządzeniem losu przypadkowa ofiara przeistoczyła się nagle w myśliwego. Role znienacka się odwróciły i Ni zwyciężyła w krótkiej bezlitosnej potyczce. Dlaczego jednak w momencie ataku ziemia pękła jak skorupa jaja? Niepojęty zbieg okoliczności? Cud? Czyżby po raz kolejny w życiu miała niewytłumaczalne szczęście? Wyjrzała z lasu, ale ślizgacz stał tam, gdzie go zostawiła. Pojęła, że trzęsienie ziemi miało niewielki zasięg, co ją jeszcze bardziej zdziwiło. Może zawiniła gigantyczna podziemna roślina, której korzenie rozrastały się w ogromnym tempie?

Powoli wracał jej spokój, poczuła znowu znajome ssanie w żołądku, więc wróciła i pochyliła się nad upolowanym zwierzęciem, medytując się nad tym, czy jego mięso jest jadalne. Mignęła jej przed oczyma seria obrazów z tubylczej wioski, w której dzierżący dzidy ciemnoskórzy Y-oci otaczali zawieszoną nad paleniskiem półtuszę. Musiała upiec zdobycz. Coś jej mówiło, że w okazach tego gatunku tubylcy nie gustują, ale nie miała wyboru. Nastawiona na wąski i krótki strumień broń działała jak ostry miecz. Bez ceregieli obdarła łup ze skóry. Potem rozejrzała się za suchym drewnem. Zbierając patyki przepłoszyła sporego węża, który schronił się w zaroślach. Słońce było w zenicie, kiedy kończyła pierwszą na Ziemi prymitywną ucztę, dziwiąc się nieznanym wcześniej odruchom, które w niej się wyzwalały. Pieczone mięso bez przypraw było niespecjalnie smaczne, ale nie wybrzydzała. Resztę pozostawiła krążącym nad drzewami ptakom, gasząc pragnienie wodą ze strumienia. Zdawała sobie sprawę z tego, że postępuje jak godny pogardy barbarzyńca, lecz tym się nie przejmowała.

Zbadała skutki wstrząsu, który targnął gruntem. Była to erupcja o zdumiewająco ograniczonym zasięgu. Jakby ziemia pod nią żyła własnym organicznym życiem lub zamieszkiwały jej głębie potężne krecie stworzenia. Sporawa szczelina ciągnęła się łukiem, znacząc teren na odcinku mniej więcej takim jak średnica „Met-ar-usa". Nie rozumiała, dlaczego podłoże gwałtownie się poruszyło i to właśnie w tak ważkiej dla niej chwili. Poszła wzdłuż strumienia. Znalazła cichą zatoczkę, a tam przejrzała się w zwierciadle stojącej wody. Ciemnogranatowy kombinezon, który w obawie przed nowymi atakami instynktownie zaciągnęła pod szyją, kontrastował z jej jasną cerą i słomianymi włosami.

— Ani cienia wątpliwości. Jestem stąd, z Y-o — niewzruszenie poinstruowała swoje odbicie.

Potem zebrało się jej na płacz. Nieruchomo stała nad zdrojem, kon-

templując skutki przeobrażenia, a z jej oczu zaczęły spływać łzy. Li-o zdawała się ją słyszeć. „Musisz, kochana, do końca rozstać się z Urch — ledwo słyszalnym szeptem podpowiadała jej z zaświatów. — Zerwać wszystkie więzi, ostatecznie i bezpowrotnie. Inaczej sobie nie poradzisz!" Ławice drobnych ryb, krążących tuż przy piaszczystym dnie, znaczącym się wyraźnie pod przejrzystą taflą wody, reagowały płochliwie na jej cień. Próbowała się dopatrzyć w prawie nieruchomym zwierciadle odbicia rysów twarzy przyjaciółki, ale ich tam nie znalazła.

— Żegnaj, najmilsza! — żal ściskał jej krtań. — Na zawsze. Z tamtej strony się nie wraca!

Nietknięty ślizgacz stał na swoim miejscu. Oglądając go po wyjściu z lasu, wywnioskowała, że ukochana maszyna nie pasuje wyglądem do otoczenia. Swymi kształtami nie przystawała ani do zielonej murawy, ani do cichych zagajników i młodników, ani do gór, ani nawet do jasnobłękitnego nieba. Pojęła, że wcześniej czy później musi się jej pozbyć, ukryć ją lub zniszczyć, jeśli chce wytrwać przy zamierzonym scenariuszu, jedynym, jaki jej pozostał. Zgodnie z nim miała przecież odgrywać przed tubylcami rolę najprawdziwszej w świecie Y-otki.

Na razie jednak nie zamierzała jej nierozsądnie porzucać. Była przydatnym środkiem lokomocji, a zarazem bezpieczną sypialnią, świątynią dumania i jedynym miejscem, w którym mogła się schronić, gdyby usiłowali ją dopaść dyszący żądzą krwi krajowcy.

RATUNEK był o krok. Serce biło mu gwałtownie i omal nie wyrwało się z piersi. Co tchu przedarł się przez gęstwinę zielonych krzewin i wynurzył się z młodego zagajnika, nie bacząc na rudymentarne środki ostrożności. W obliczu tego, co ujrzał nie miały one żadnego znaczenia i zupełnie przestały się liczyć. Nie musiał tchórzliwie kryć

się za listowiem.

Urchicka maszyna majestatycznie przed nim sunęła, płynąc ku wrytemu w grunt goliatowi. Chełpliwy wojownik biegł w jej kierunku, wyciągał ręce, machał nimi po wariacku, darł się jak najęty i jak pajac skakał w górę. Lękał się, że penetrujący okolicę pokładowym pojazdem nie zauważą rozbitka.

Ślizgacz zwolnił, a potem leniwie zboczył z obranego wcześniej kursu. A zatem go dostrzeżono. Pokrzepiony tym Mu-ur nadal dawał znaki.

— Hej, hej, tu jestem! — krzyczał. — Odnalazłem się, nie zginąłem — trąbił na cały głos. — Zatrzymajcie się!

Maszyna zatoczyła pokaźne koło i znieruchomiała w niewielkiej odległości. Rozbitek zamilkł. Miał przed sobą pokiereszowany pancerz i zamknięte wejście do kabiny. Jednak nikt z załogi „Met-arusa" nie kwapił się, żeby wyskoczyć mu na spotkanie i radośnie go powitać. To ostudziło nieco jego zapały i wydało mu się cokolwiek podejrzane.

— Hej, hej! — jeszcze raz zawołał w gasnącym uniesieniu. Potem uczynił kilka rozważnych kroków z ręką uniesioną w geście pokoju. Nie pojmował, na co tamci czekają.

Osłona drgnęła. Z kabiny zgrabnie się wyślizgnęła smukła kobieca postać. Ku jego zaskoczeniu prowadząca maszynę nie była Urchitką. Pochodziła z tej planety. Wywodziła się z Y-o. Zadrżał, uzmysławiając sobie, że nie tylko on, ale także inni poddali się odwiecznemu prawu ich gatunku. „Nie, nie tylko on!.." — cichuteńko zachichotały duchy gór i zamilkły. Granatowy kombinezon i broń przy pasie mówiły same za siebie. Ktoś tak odziany i zarazem podróżujący ślizgaczem, nie mógł być prymitywnym krajowcem, nawet jeśli swym wyglądem go przypominał. Uzmysłowił to sobie i śmiało ruszył na spotkanie, a nawet przyspieszył kroku.

Witająca go przy ślizgaczu ziemska kobieta nie wydawała się jed-

nak przejawiać entuzjazmu na jego widok. Była obojętna, chłodna, wyniosła i dziwnie powściągliwa. A kiedy znalazł się wystarczająco blisko, by mógł z nią się rozmówić, jednym szybkim ruchem sięgnęła po broń i zgrabnie ją wydobyła, błyskawicznie przyklękając i celując do intruza. Było mało prawdopodobne, żeby z tej odległości chybiła.

— Na proroków, co jest grane?! — zatrzymał się jak wryty i nienawistnie zgrzytnął zębami. — Dlaczego?

Nie rozumiał, co się stało, a jego rysy twarzy nagle stwardniały. Zastygła na niej radość, zaś wojownik z rozpaczą pojął, że jak dureń dał się złapać w pułapkę — on, najostrożniejszy z całej załogi kosmicznego kolosa. Kim była młoda kobieta? Czyżby nie dostrzegła w nim Urchity? Przecież jego ciało okrywał miidim, widomy znak rozpoznawczy. Mógł rzucić w nią nożem, ale z pewnością byłaby szybsza. Nie zdążyłby nawet sięgnąć po sztylet. Czuł, że za chwilę zamieni się w garść popiołu, który potem rozwieje wiatr i że powinien pożegnać w myślach wszystkich, którzy byli mu bliscy.

Jego przerażenie było przekonujące. Witająca go podniosła się i powoli schowała broń, a jej twarz rozjaśniła się bladym uśmiechem. W pierwszej chwili nie pojął, skąd się wzięła nagła odmiana, zaraz jednak doznał olśnienia. Przybrudzony pokładowy chałat nie wystarczał jako dowodny znak rozpoznawczy. Zachłanny tubylec mógł go brutalnie zedrzeć z ciała martwego Urchity i na siebie nałożyć. Ale prymitywny krajowiec na pewno nie robiłby w gacie na widok niegroźnego rekwizytu przytroczonego do pasa. Przestraszyłby się włóczni, łuku, procy, kuszy, topora, sztyletu lub krótkiego miecza, lecz nie broni palnej, z którą nigdy się nie zetknął, bo na tej planecie nie była dotąd znana.

Mu-ur otrząsnął się z szoku. „Wredna suka!" — miauknął do swoich myśli. Przez krótką chwilę czuł się ośmieszony.

Dziewczyna w kombinezonie ruszyła się z miejsca. Była nieco niż-

sza od niego. Piersi miała pełne jak y-ockie kobiety. Stanęli twarzą w twarz, z uwagą się lustrując. Jeszcze raz się uśmiechnęła, tym razem dużo serdeczniej. Jej osadzone głęboko niebieskie oczy ufnie zajrzały w jego twarz.

— Przepraszam! Musiałam cię sprawdzić! — rzekła w języku, którym posługiwali się przez całe lata. — I dodała: — Jak widzisz, jesteśmy po metamorfozie. Jest ona zręcznym maskowaniem i trudno pod tym względem znaleźć coś bardziej zadziwiającego...

Z namysłem przytaknął, godząc się z jej trafną uwagą. Pomyślał, że powinien rozproszyć jej ostatnie wątpliwości.

— Przyroda zdaje się — odrzekł powściągliwie — przechodzić niekiedy samą siebie, a nasz gatunek jest pod tym względem niedościgły...

Mówił po urchicku. Chwilę milczeli, nadal taksując się wzrokiem. Z napiętą uwagą przyglądał się jej okolonej jasnymi prostymi włosami y-ockiej twarzy i pojęła, że musi się przedstawić. Wizualnie byli dla siebie obcy i przybyły nie wiedział, z kim z załogi „Met-ar-usa" właśnie się spotkał.

— Jestem Ni — powiedziała, wyciągając szczupłą dłoń. — Niepodobna, prawda?

Osłupiał.

— Jesteś Ni? To ty? — Nie chciało mu się wierzyć, że ma przed sobą dumną piękność z czwartego poziomu.

Z dumą się wyprostował.

— To ja, Mu-ur — wymownie wskazał na siebie.

Jej rozszerzone źrenice dowodziły, że pojęła. Stał przed nią zabijaka z pustyni, znany na pokładach samotnik i mruk, ale przy tym — jak to po kobiecemu odkryła już na wyspie Ab-dan-gra — filut na swój sposób łatwy do rozszyfrowania. O ile umiało się zajrzeć do jego duszy. W tej wyjątkowej chwili wydał się jej niemal rodzonym bratem, który z myślą o niej wrócił do życia, pokonując mroki świata

podziemnego.

Dotknęła jego muskularnego ramienia, jakby chcąc się upewnić, że nie jest zjawą.

— To dobrze, że na ciebie trafiłam — potulnie wyjawiła. — Gdyż... gdyż... — jak trudno jej było to powiedzieć! — nikt, ale to nikt z naszej załogi nie przeżył... Tylko ja zostałam. Inni są martwi!

Gdy w końcu to wyznała, z jej błękitnych oczu popłynęły dwie duże łzy.

— Nikt? Tylko my?! Nie płacz, to nic nie da!

Zrozumiał, co czuje osamotniona Urchitka i w niepojętym dla siebie odruchu przytulił ją do siebie. Ni rozszlochała się na dobre w jego szorstkich objęciach. Stała się na kilka krótkich chwil maleńką bezradną dziewczynką, która po wstrząsających przeżyciach znalazła wreszcie w kimś silnym oparcie i ratunek.

Zaraz jednak oderwała się od niego i przetarła ręką zapłakane oczy. Nie powinna była się rozmazywać. Solennie sobie obiecała, że nigdy więcej nie popisze się słabością. Musiała być twarda, jeśli chciała przeżyć.

STARAŁ się nie myśleć o śmierci, ale nie mógł się uwolnić od przygnębiającego przeświadczenia, że wskutek tragicznej pomyłki znalazł się nie na macierzystej korwecie, ale na nieznanym pobojowisku. Nie tak sobie wyobrażał powrót na pokłady. Przetoczyły się po nich demony zniszczenia, z rozmachem kosząc wszystko, co żywe i zbierając cmentarne żniwo. Już we wczesnym dzieciństwie wbijano Mu-urowi do głowy, że wojownik nie lęka się bólu i cierpienia, głębokich ran i utraty członków. I że mężnie zagląda w oczy przeznaczeniu — bez względu na to, jakie by nie było, zatrważające czy nie. Spoglądał więc na sponiewieranych w godzinie śmierci chłodno i bez cienia współczucia — jak na zajadłych wrogów, którym i tak był-

by pisany zgon. Pogarda, którą udało mu się w sobie wykrzesać, pomogła mu zachować lodowaty dystans. Z rezerwą obchodził wnętrza międzygwiezdnego kolosa, na krótko zaglądając w twarze martwym kompanom, jakby były na nich wypisane ich ostatnie myśli.

Nikt nie przeżył. Nikt nie zdradzał najmniejszych objawów życia. Dla Mu-ura to było niepojęte. Zatrzymał się w swojej kajucie, w której — na szczęście — nie znalazł żadnych poszarpanych zwłok. Nie musiał więc gapić się na zbryzgane krwią ściany, jak również deptać po rozciągniętych jelitach, nerkach i wątrobach. Przebrał się w kombinezon, podobny do tego, który miała Ni. Przysiadł i przejrzał się w odłamku lustra, który podniósł z flizy. Wpatrywał się w swe odbicie i ciekawie wodził palcami po swojej nowej twarzy. Znalazł w kącie totem, pamiątkę z Ab-dan-gra. Wręczył mu ją pomylony starzec, kiedy żegnał się z nim przed odlotem w nieznane. W niewielkim skórzanym woreczku krył się mocno popękany czarny minerał.

— Kamyk jak kamyk — wymamrotał. — Nic niezwykłego. Nadzwyczaj pospolity. I nie mający w sobie żadnej mocy. Nie wierzę zresztą w żadne czary i zaklęcia.

Jak przez mgłę widział scenę rozstania. Sterany życiem Urchita trzęsącą się dłonią wydobył totem z sakwy. „Weź to — mówił urywanym szeptem. — Weź, schowaj i nikomu nie pokazuj. Niech tego nie widzą. To kamień szczęścia. Nie zawodzi tych, którzy go posiadają!" Sapał i mówienie przychodziło mu z trudem, a Mu-ur domyślał się, że stary ciągnie ostatkiem sił. „Ma wiele tysięcy lat i był tajemnie przekazywany z pokolenia na pokolenie. Pochodzi z odległej planety, na której żyli przed wiekami nasi przodkowie, jeszcze nierozumni, jeszcze jako dzikie aotusy o pokrytej niby-pancerzem skórze, o ostrych i twardych jak stal kłach i pazurach!"

Mu-ur ważył kamień w dłoni. Opowiadanie o jego pochodzeniu uznał — już tam, na Ab-dan-gra, w ciemnościach parnej nocy i przy trwożnym pohukiwaniu płochliwych keromów — za mocno nacią-

gane, nieprawdziwe i wydumane. Kiwał z melancholią głową, podejmując dysputę ze starcem, który z pewnością od dawna nie żył. Dręczyły go nadal wątpliwości.

— A może to tylko przypadkowy szczątek meteorytu? — cedził, bijąc się z myślami. — Może to odłamek, wydobyty z dna morskiego lub z rzeki? Może nic nie warty odprysk skalny?

Starzec z wyspy Ab-dan-gra nie odpowiadał. Nie był w stanie ustosunkować się do niepokojących pytań swego ucznia. Nieodwołalnie należał do przeszłości. Mu-ur westchnął z bólem. Nie odważył się jednak wyrzucić plemiennego totemu. Włożył wyślizgany kruszeń do skórzanego woreczka i zawiesił go sobie na szyi.

Miał zamiar powrócić na pokład sterowniczy statku, gdzie wciąż tkwiła Ni, próbująca ocenić rozmiary szkód. Łudzili się oboje, że uda im się ustalić, co było przyczyną tragicznej katastrofy. Coś go podkusiło, aby zajrzeć po drodze do mieszczącej się na pierwszym poziomie kabiny dowódcy. Nigdy tam wcześniej nie zachodził. Budzący respekt Ag zdawał się wiedzieć więcej niż jego załoga o pochodzeniu ich gatunku i o prawdziwym celu wyjątkowej wyprawy. Należał do wtajemniczonych i reprezentował kastę, która sprawowała władzę na dwu największych kontynentach planety. Wiedziony ciekawością, z duszą na ramieniu wszedł do zajmowanych przez niego pomieszczeń, zabierając się do przeglądania rozrzuconego sprzętu. Panował półmrok, podobny jak na korytarzach, bowiem działało tylko oświetlenie awaryjne. Z pozoru nie było tam niczego ciekawego — instynkt jednak go nie zawiódł. Pękła ściana z wbudowaną w nią skrytką. Bez trudu otworzył skarbczyk i rzuciła mu się w oczy przepiękna inkrustowana szkatułka. Odnalazł na jej misternie zdobionych ściankach te same motywy, które znaczyły się na szatach wybitnych osobistości z Ab-dan-gra i na lamówkach strojów dostojników należących do wysokiej rady. Zabiło mu mocniej serce, kiedy ostrożnie ją wyjmował. Musiała być cenna, skoro tak dobrze ją scho-

wano.

— A więc odkryłem skarb — ledwo słyszalnie poruszył wargami. — Ten drobiazg pochodzi, ani chybi, ze świątynnego sanktuarium w Urch-a-mara... — Nie odważył się jednak zajrzeć do wnętrza szkatuły, którą dzierżył w dłoniach. — Jest tu coś, co może rzucić światło na moje niepewne losy — wstydliwie usprawiedliwiał się przed samym sobą. Czuł, że dopuszcza się świętokradztwa. Na Urch za takie czyny bezlitośnie karano sprawców. Utraciłby prawą rękę. Obcinano by mu palec po palcu, ale najpierw wyrwano by mu paznokcie.

Zabrał pod pachę inkrustowaną skrzyneczkę, chyłkiem wynosząc się z pomieszczeń dowódcy i z ulgą ocierając pot z czoła. Udał się do sterowni. Ni siedziała skupiona przed ekranami, nie odrywając rąk od klawiatury i od razu się zorientował, że poczyniła znaczne postępy. Nawiązała łączność z satelitą, pozostawionym na orbicie, a płynące stamtąd dane układały się w rzędy cyfr. Liczby pojawiały się i znikały, ustępując miejsca bądź to wykresom, bądź to zygzakowatym liniom symboli matematycznych.

Stał za nią cicho jak duch, nie okazując zniecierpliwienia.

— Zdziwisz się, przyjacielu, ale wniosek jest nieodparty — skwitowała Ni w pewnej chwili, nie podnosząc wzroku. — Na naszym kochanym „Met-ar-usie" nie doszło do żadnej awarii. — Mówiła spokojnie i beznamiętnie, jakby zdawała relację swemu następcy z tego, co działo się na jej dyżurze. — Niestety, nic z tych rzeczy. Kosmolot był do ostatniej chwili stuprocentowo sprawny. Mam to wszystko jak dłoni. Zapytasz więc, co się stało? — obejrzała się na zabijakę. — Grawitacja śródokrętowa załamała się pod wpływem czynnika zewnętrznego. Daję głowę, że tak było — wyjaśniła. — Nie zaatakowano nas jednak z powierzchni Y-o, nie. Wbito nam nóż w plecy. Cios przyszedł z kosmosu, ze źródła, mieszczącego się poza zasięgiem naszej aparatury. Tym niemniej z obrębu tego układu solarnego — podkreśliła, świadoma tego, że dzieli się z nim prawdziwą rewelacją.

— Podejrzewam, że z okolic tej ogromnej pokrytej burzami planety z pierścieniami wokół równika. Mijaliśmy ją po drodze, podziwiając ją i z uwagą lustrując jej widoczne cztery księżyce.

Mu-ur wsłuchiwał się w słowa Ni, z wysiłkiem marszcząc brwi. W końcu obojętnie wzruszył ramionami. Miała na nadgarstku tandetny pasek z błyskotkami. Chodziło mu po głowie, że podobny nosiła Li-o.

— Mało przekonująca hipoteza — stęknął z niechęcią. — No, ale skoro tak uważasz...

Zesztywniała. Zalała ją z nagła fala gorąca. Nie znosiła, gdy ktoś kwestionował jej fachowość i umiejętności. Przezwyciężyła się i uniosła głowę, spod fury jasnych włosów badawczo spozierając na kompana. Nie próbował wbić jej szpili. Był zmęczony i stwarzał wrażenie półprzytomnego, nie gotowego do takich rozmów. To, ujrzał na pokładach, musiało ściąć go z nóg. Przysunął się do pulpitów, powoli ładując się w drugi fotel.

— Nie zrozum mnie źle — usiłował się usprawiedliwić — ale to nie mieści się w głowie!

Musiała go przekonać do swojego punktu widzenia.

— Inne wyjaśnienie nie wchodzi w grę — w jej głosie zabrzmiały niecierpliwe nuty. — Jeśli uważnie przejrzysz dane, dojdziesz do tego samego wniosku. Czy na naszym cudownym statku kiedykolwiek coś się psuło? Wszystkie systemy były sprawne — podsumowała z goryczą. — Jednak ktoś gorączkowo szukał przyczyn awarii. Nie wiadomo, po co. Nasi kompani oparli się na błędnym założeniu, że zawiniły urządzenia i to ich zgubiło. Tymczasem należało natychmiast włączyć silniki i uciec z zagrożonej strefy, błyskawicznie zmienić orbitę. Fala uderzeniowa była bardzo wąska, co oznaczało, że tylko na niewielkim odcinku trajektorii znaczyły się anomalie grawitacyjne...

— Nie do pomyślenia — sapnął poruszony wojownik, gdy obejrzał

to, co mu pokazała. — Nie zaufaliśmy „Met-ar-usowi". Wszyscy wpadli w popłoch. Nasz trójka salwowała się ucieczką. A należało zachować zimną krew — z rozwagą skonstatował. — No, ale któż to mógł przewidzieć? Nie braliśmy pod uwagę tak nieprawdopodobnej ewentualności. Atak? Nikt nas nigdy nie atakował. A tym bardziej w tak perfidny sposób…

Z uznaniem przytaknęła. Chodziła jej po głowie jeszcze jedna hipoteza, którą dociekliwie weryfikowała pod jego nieobecność. Na pierwszy rzut oka i ona wydawała się nieprawdopodobna. Wyświetliła model systemu słonecznego.

— Spójrz na to! — zerknęła na Mu-ura. — Zatka cię. Ale to się naprawdę stało. Zmieniła się mapa układu solarnego.

Wojownik łypnął okiem na ekran. Z uniesieniem przyjrzał się barwnej animacji.

— Masz rację — szepnął wstrząśnięty.

Nad wyraz dokładna Ni nie omieszkała wdać się w szczegóły.

— W tej samej chwili, a może ciut, ciut później — trudno mi to obecnie ponad wszelką wątpliwość ustalić, to wymaga precyzyjnych obliczeń — do zaburzeń grawitacyjnych na o wiele większą skalę doszło w dwu innych skupiskach materii wokół tej gwiazdy. Widzisz?! — pokazała mu palcem, z dumą oceniając owoce swej pracy. Komputer kolejny raz płynnie odtwarzał przebieg zdarzeń.

— Tak, widzę — odrzekł zabijaka. — Piąta planeta tego układu… tak, piąta… pamiętam ją… nie miała atmosfery… rozpadła się na drobne części. Jakaś siła rozsadziła to ciało niebieskie od środka. Może jej jądro eksplodowało? Będzie dalej obiegać tę gwiazdę, ale w postaci smugi meteorów i asteroid — dodał smętnie. — A ta ostatnia, peryferyjna? Umknął jej księżyc, nie utrzymała go na grawitacyjnej uwięzi…

— Ów niewielki księżyc — wpadła mu w słowa Ni — prawdopodobnie wpadnie na orbitę okołosłoneczną i tym samym stanie się

najbardziej oddaloną planetą układu. Wygląda na to — ostatecznie zawyrokowała, sumując wnioski — że osiągnięty przez nas sukinsyński system solarny cierpi na „grawitacyjne trzęsienia ziemi". Tylko skąd się one biorą?

— Serio? Wbijano nam do głowy, że jest wyjątkowo stabilny. Brakowało podstaw, by przypuszczać, że...

— Jednak widzisz, co się stało — głośno dumała, szukając przyczyn. — Przecież nie bredzę. Trzymam się faktów.

— Nie ma żadnych zabójczych burz grawitacyjnych w tym rejonie kosmosu — bił się z myślami podminowany wojownik. — W ogóle takich nie ma. — Potem spadło na niego nagłe olśnienie. Syknął. I ostrożnie dodał, zezując na boki, jakby w obawie, że ktoś obcy może go usłyszeć: — Drań, który tak się popisał... musiał dysponować ogromną energią...

Ni znieruchomiała.

— Ktoś? Nie coś?.. — sarknęła zdumiona. — Sądzisz, że mamy tu ukrytych wrogów, przed którymi nikt nas nie przestrzegł?

Jej kamrat skrzywił się z niesmakiem.

— Nie mam zielonego pojęcia — bezradnie rozłożył ręce. — Skąd mogę wiedzieć? Po prostu dociekam. Oddać precyzyjny strzał z takiej odległości? I bezbłędnie trafić? Trzeba dysponować technologią, o jakiej nam się nie śniło.

Zamilkł, przeżuwając porażkę.

— Eksplozja grawitacyjna? — głośno myślała Ni. — Dwie gigantyczne eksplozje? I to w tak krótkim czasie? Trudno nie zakładać ich wspólnego mianownika, a więc niejako tej samej przyczyny. Lecz jednocześnie nie sposób bez pełniejszego materiału dowodowego utrzymać tak absurdalnej tezy — sprawnie uderzyła palcami w klawisze. — Jeżeli kryłby się za tym rzeczywiście inteligentny sprawca — paplała jak najęta, przejęta jego domysłem — to byłby naprawdę bardzo groźny. — Potem przypomniała sobie o lokalnych wstrzą-

sach sejsmicznych po ataku miejscowego drapieżnika. Miała jeszcze smak jego mięsa w ustach. Zestawiła migiem te fakty i z przerażeniem poczuła, że ogarnia ją lodowaty chłód.

— Ktoś? Nie coś? — ze strachem powtórzyła.

Czyżby przypadkiem trafili w zakazane rewiry wszechświata? Byłoby to jedno z najbardziej upiornych odkryć, gdyby miało się potwierdzić. Tym układem solarnym zdawał się władać potężny demiurg, a z demonami trudno było walczyć.

Mu-ur cmoknął z powątpiewaniem, ale nie przestał nad tym medytować.

— Czy można sobie wyobrazić kogoś takiego? — smętnie zapytał, bardziej zwracając się do siebie niż do partnerki. — Quasi-materialnego giganta?

Snuła mu się po głowie niejasna myśl, że komuś zależało na tym, aby nie ulegli metamorfozie. Ktoś gniewnie się sprzeciwił zamysłowi stworzenia na Y-o świetnie wyposażonej przez naturę rasy. I przeszedł do wściekłego kontrataku. Cisnęły mu się na usta dwa oderwane od siebie słowa, same się składające w wywołujący paniczny lęk tytuł.

— Strażnik?! Strażnik planety? — rzucił półgębkiem, szarpiąc się za ucho i nerwowo zezując na Urchitkę. — Nieee, wybacz, nie wiem, skąd ta myśl — natychmiast się usprawiedliwił, widząc jej pełne przestrachu spojrzenie. — Wieczorem, kiedy zmęczony zasypiałem — zaczął jej wstydliwie wyjaśniać — jakiś głos… jakby nade mną… szeptał coś… o strażniku… O kimś, kto nieustannie czuwa, broniąc tego osobliwego globu.

Na twarz Ni wypełzł pąs. I ona coś podobnego słyszała, gdy zapadała w sen.

— Kiedy nadchodzi przeobrażenie, system nerwowy staje się nadwrażliwy — asekuracyjnie z siebie wyrzuciła. — Odbiera sygnały niewiadomego pochodzenia. Zapewne tak się stało w twoim przy-

padku... — z nerwową nadgorliwością dała mu do zrozumienia. A w myślach płochliwie dodała: „I pewnie w moim też!"

Mu-ur przytaknął.

— Być może — odrzekł, ale bez przekonania. A potem dopadła go irytacja. Rozgniewał się nie na żarty. — Po stokroć przeklęta planeta — zaklął, bo poniosły go nerwy. — I po co nas tu przygnano? Żebyśmy wykopali sobie groby?..

Ni szybko wróciła do wcześniejszego zajęcia, nie dziwiąc się rozpaczy kamrata. Próbowała dokładnie określić położenie statku kosmicznego i niebawem z pamięci komputera wyłonił się zarys kontynentu, a następnie plastyczny obraz okolicy. Teren wokół był górzysty, zaś równina tworzyła spore zapadlisko tektoniczne. Osłonięta od północy, oraz od zachodu i wschodu przed wiatrami, wydawała się mieć łagodny klimat. Nie udało jej się jednak znaleźć miejsca upadku wystrzelonej kapsuły ratunkowej. Brakowało danych z ostatnich chwil przed lądowaniem.

Wojownik widział jej ciche wysiłki. Zakasłał, widocznie zawstydzony swoim wybuchem.

— Nigdy do nich nie dotrzemy — orzekł bezradnie. — Nie mamy turbolotów. Te w ładowni do niczego się nie nadają. Nie oderwałyby się od ziemi.

Musiała przyznać mu rację. Pozbawieni marzeń dryfowali pośrodku bezkresnego oceanu, nie mając nadziei na to, że ujrzą przyjazny brzeg. Nikt ich tutaj nie oczekiwał, ani nie witał. Oderwała wreszcie wzrok od świecących ekranów i ciężko podniosła się z fotela.

— To koniec — rozstrzygnęła z goryczą. — Nic tu po nas. Możemy się stąd wynosić. I to na dobre. — W jej oczach błysnęły znowu dwie łzy.

Sprawdziła pogodę na powierzchni. Na zewnątrz właśnie szalała burza. Musieli poczekać, aż przejdzie. Dostali się na pokłady przez luk w ładowni. Ustawili ślizgacz tuż przy statku i z niego wdrapali

się na górę. Jeżeli zamierzali opuścić „Met-ar-usa", powinni byli wybrać tę samą drogę.

Rozdział piąty

BURZA wciąż trwała. Wydostał się z ciasnego kotła górskiego, docierając na nierówny skraj równiny, ale nie odważył się wyściubić nosa z lasu. Instynkt go ostrzegał, że wróg czai się za jego plecami. Nie był tu mile widziany. Swoją obecnością profanował i kalał tę planetę. Nieuchwytny demoniczny tropiciel skrycie podążał jego śladami i Mi-ir lękał się, że wcześniej czy później go dopadnie. Żywioł jakby osłabł, lecz niebo było wciąż zasnute ciężkimi ołowianymi chmurami, które przewalały się i kłębiły przy akompaniamencie jaskrawych wyładowań atmosferycznych i ponurych grzmotów. Na ostatniej przełęczy poczuł przypływ nadziei, potem jednak znowu ogarnęło go zwątpienie. Na zacienionej koronami iglastych drzew polance natknął się na y-ocki szałas, zrobiony z gałęzi i liści. Długo warował w zaroślach, nim odważył się do niego zbliżyć. Nie zastał tam nikogo. Popiół po ognisku był jeszcze ciepły, a z głębi lasu dobiegło go złowieszcze postukiwanie. Ktoś uderzał w pnie drzew. Usłyszał żałosny jak beczenie głos rogu.

Z przerażeniem pojął, że grozi mu rychłe spotkanie z tubylcami, a jeżeli do niego dojdzie, tutejsi wezmą go za oszalałą bestię i budzącego strach potwora, zważywszy jego obcy wygląd. Przecież na tych ziemiach nie znano grzywaczy. Nie pochodziły z tego układu solarnego. Uzmysłowił sobie, że popełnił fatalny błąd. Siłą woli uniemożliwił bowiem metamorfozę i jak ostatni pomyleniec zatrzasnął przed sobą bramy raju. Lęk dławił go i obezwładniał. Nie rozumiał, dlaczego nocą w kapsule tak wściekle walczył ze sobą. Był w opłakanym położeniu, bo bez y-ockiego ciała nie miał na tym globie żadnych szans.

Postanowił przeczekać kaprysy aury na skraju boru. Natrafił przypadkiem na przytulny zakątek. Pod okapem z gęstego listowia było sucho i liczył na to, że w tym niewielkim zaciszu trochę obeschnie. Położył się. Przymknął nawet oczy, chcąc się zdrzemnąć. Jednak nie dane mu było wypocząć.

Szczerzący kły czworonóg wypadł nagle z charkotem z gęstwiny i gniewnie przyskoczył mu do gardła. Widocznie posuwał się tropem rozbitka. Mi-ir przestraszył się nie na żarty. Zerwał się na równe nogi i konarem, który podrzucił ogonem z ziemi zdzielił zwierzę w kosmaty łeb. To pomogło, a gadzina, piskliwie skomląc, odskoczyła. Po czym tchórzliwie schroniła się w zaroślach. Za nią jednak ciągnęli — jak od razu się domyślił — przebiegli dwunożni Y-oci. Ani deszcz, ani zimny wiatr nie były już przeszkodą. Gnał na oślep, mknąc przez odsłonięte połacie porośniętego niską trawą terenu. Wartki strumień pokonał pędem. Po niejakim czasie odważył się zwolnić. Obejrzał się, chcąc się upewnić, że zgubił pogoń. Niestety, jego nadzieje okazały się płonne. Odziani w skóry mężczyźni z siekierami i motykami w dłoniach tyralierą podążali jego śladem, pokrzykując i dodając sobie odwagi. Ujadały tropiące go psy. Strach dodał mu znowu skrzydeł. Nie czekał, aż się zbliżą. Pędził, rwał do przodu, chcąc być jak najdalej od złowrogiej linii lasu i od tuziemców, którzy wpadli na jego trop. Zatrzymał się dopiero wtedy, kiedy opadł całkiem z sił. Las stał się dawno ciemną kreską na tle gór. Padł na mokrą trawę. Płuca pękały mu od wysiłku. Wyczerpany do ostatka wtulił twarz w duże liście polnej rośliny. Nie mógł wstać i nie mógł się bronić.

— Pozbędą się... monstrum, zetrą je... z powierzchni... ziemi... — stękał, z trudem łapiąc oddech.

Mimo tego, że czas płynął, nikt obcy się nie pojawiał — i wymęczonego do ostatka Mi-ira nieco to zdziwiło. Podniósł się resztkami sił. Dygotał, a nogi ledwo go trzymały. Rozejrzał się po okolicy, jednak

nikogo nie dostrzegł. Tamci gdzieś przepadli. A może zgubili ślad? Kuśtykając, dotarł do pobliskiego młodnika, gdzie poczuł się bezpieczniej. Tam postanowił odpocząć. Zapadł w męczący łsen, z którego ocknął się dopiero przed zmierzchem.

Deszcz przestał kropić, a gniewne ołowiane chmury odpłynęły, ustępując miejsca białym kłębiastym obłokom. Czerwona kula słońca dotykała szczytów górskich, barwiąc niebo purpurą i szkarłatem. Posuwał się jak skazaniec, potykając się o wystające korzenie i leżące tu i ówdzie kamienie. Dopiero o zmroku ujrzał przed sobą kosmicznego kolosa.

Kontury „Met-ar-usa" rosły na tle poprzetykanego miliardami gwiazd ciemnogranatowego nieba i nieustępliwie kierował się w jego stronę. Zmęczenie wzięło jednak górę, a gdy był już blisko, niemal o rzut kamieniem, stracił pamięć zdarzeń. Niechybnie zasnął w czasie marszu, bo nie wiedział, co dalej z nim się działo.

Kiedy się ocknął, był słoneczny poranek. Oparty o chłodną chropowatą ścianę pancerza kosmolotu, tkwił na samym dnie głębokiego leja, do którego — najwyraźniej nieprzytomnie — stoczył się z wieczora po stromiźnie. Leżał, pokryty błotem, a przez to prawie niewidoczny. Z góry dobiegły go pohukiwania i pokrzykiwania. Uzmysłowił sobie, że to one go obudziły. Mimo że zlewał się z brudnym tłem, ktoś sprytnie go wypatrzył bystrym wzrokiem. Jednak ku jego zdziwieniu to nie byli pokładowi kompani. Witali go prymitywni krajowcy, z dawna pradawna gospodarze tych ziem, mający na tyle odwagi, by zbliżyć się do strąconego z niebios goliata.

WIECZÓR zastał ich na przeciwległym skraju szerokiej kotliny. Dalej zaczynał się nierówny i porośnięty lasem obszar, pełen wilgotnych ciemnych jarów, w których dogorywało wiele zbutwiałych drzew. Ni wybrała miejsce na nocleg, zdając się na ślepy traf. Czuła,

że mimo sporego oddalenia od rozbitego statku kosmicznego i zachowanych środków ostrożności nie są w tej dzikiej okolicy całkiem bezpieczni. Dryfowali po terenie, który był im słabo znany, zaś świadomość tego, że ktoś monstrualnie obcy, niby to strażnik Y-o, może w każdej chwili ich odnaleźć i śmiertelnie zabawić się ich kosztem, pogłębiała jej frustrację. Wprawdzie Mu-ur, robiąc dobrą minę do złej gry, utrzymywał, że strach ma wielkie oczy, ale Urchitka wiedziała swoje. Utknęli w labiryncie, z którego nie było wyjścia. Po pracowitej sesji w sterowni statku kosmicznego nabrała przekonania, że niewidzialny, a jednak nad wyraz realny wróg może dopaść ich w każdej chwili: wychylić się z leśnych mateczników, rzucić się z wysokiego nieba, spłynąć z pofałdowanych gór. A nawet wynurzyć się z głębin ziemi. Cóż to było dla mocarza, który potrafił jednym strasznym ciosem rozpłatać zastygłą planetę i zamienić ją w sznur meteorów? Nieodgadniona forma życia, której przestrzenie kosmiczne nie krępowały w wędrówce, wydawała się warować tu w ukryciu, złowrogo szczerząc kły. Być może, szykowała na nich kolejną zmyślną pułapkę, pewna, że wkrótce w nią wpadną.

Wypakowali z maszyny niezbędny sprzęt, porozumiewając się tylko szeptem i starając się nie robić hałasu. Ni majstrowała przy niewielkim pakieciku, wreszcie syknęło sprężone powietrze i w górę wystrzelił zgrabny namiot. Po chwili wykwitł drugi, bo taki sam wyjęła dla kompana. Nie przeszkadzało jej, że miał spać tuż obok. Wyczuwała bowiem, że z jego strony nic jej nie grozi. Zajęty sobą, był daleki od myśli o umizgach i nie zamierzał się do niej dobierać. Korciło ją wprawdzie, żeby przenocować w ślizgaczu, gdzie czułaby się bezpieczniej, jednak nie pokusiła się na to rozwiązanie. Musiała przemóc się i uwolnić od potrzeby ustawicznej asekuracji. A poza tym nie chciała źle wypaść w oczach pokładowego milczka. Nie wybaczyłaby sobie, gdyby uznał ją za tchórza, lękającego się własnego cienia.

Mu-ur zdecydował się na cichy obchód pobliskiej okolicy. Nie zamierzał zanadto się oddalać, bo nie chciał zostawiać Urchitki samej w ciemnym borze. Z niejakim zdziwieniem odkrył, że po przeobrażeniu świetnie radzi sobie w mroku i że widzi tak dokładnie, jakby miał ze sobą jeden z pokładowych noktowizorów. Ni nie zapakowała ich do ślizgacza, uciekając z rozbitego kosmolotu, widocznie nie natknęła się na nie w magazynach. W otoczeniu rozbitego obozu nie natrafił na żadne nocne zwierzęta. Ukryte w koronach drzew ptaki szykowały się do snu. Spłoszone drobne gryzonie chroniły się przed nim w norach pod ziemią. Kierowany nostalgią dłuższą chwilę badał wzrokiem rozgwieżdżone niebo, a potem śledził spadające gwiazdy. Nie wypowiadał jednak w myślach żadnych życzeń. Zatoczył szeroki krąg i uspokojony wrócił do obozu. Wyciągnął z namiotu przygotowany przez Ni śpiwór, decydując się na sen pod gołym niebem.

Po pewnym czasie wiatr zmienił kierunek, a wojownik poczuł w nozdrzach dym odległego ogniska. Zerwał się więc z legowiska. Ni spojrzała z przestrachem na jego milczącą twarz i w panice sięgnęła po broń. Miała właśnie wsunąć się do śpiwora. Przez chwilę z lękiem wsłuchiwała się w ziemię, przykładając do gruntu rękę, święcie przeświadczona, że znowu złowrogo zadygoce. Nie odkryła jednak niczego niepokojącego.

— Dym — powiedział, widząc w jej oczach nieme znaki zapytania. — Ktoś tam jest, skoro płonie ognisko. Muszę to sprawdzić — mruknął.

— Daleko? — zapytała.

— Nie wiem.

Nie chciała zostawać sama.

— Pójdę z tobą — powiedziała.

Przyświecał im blady księżyc, wydobywający z mroku zarysy koron drzew. Posuwali się powoli, nieco przygięci do ziemi. Ciszę leśną przerywały pohukiwania puszczyka.

Ni wreszcie przystanęła. Przedzieranie się przez chaszcze było dla niej męczące.

— Ile jeszcze? — jęknęła, przeczesując palcami włosy i uwalniając je od zerwanych liści. Nie udawało się jej kroczyć bezszelestnie i wyschnięte patyki alarmująco strzelały jej pod stopami. Nie nadawała się na tropiciela.

Zabijaka posuwał się pewnie do przodu, stąpając tak, jakby nie dotykał ziemi, a zarośla same usuwały mu się z drogi.

— To niedaleko — odsapnął, przysuwając się do dziewczyny. — Nie czujesz? Idziemy pod wiatr, więc bez trudu dotrzemy do celu. Całkiem możliwe, że tutejsi zatrzymali się tam na nocleg. O ile to nie jest pułapka…

Nie mogła nie czuć podziwu dla tych, którzy planowali tę wyprawę, obmyślając ją w najdrobniejszych szczegółach i żmudnie weryfikując jej kolejne scenariusze. Nie poradziłaby sobie bez kogoś takiego jak wojownik, reprezentanta pustynnego plemienia, które od pokoleń parało się wojaczką. Pod tym względem trafiono w cel bez pudła.

Zaaferowana swymi myślami omal nie zawędrowała za daleko. Usłyszała krótkie „cyt" i Mu-ur delikatnie złapał ją za ramię. Cofnęła się i opadła obok niego. Pozwolił jej nieco się unieść, domyślnie szepcząc do ucha:

— Jesteśmy na miejscu…

W rzeczy samej dotarli do celu. Ostrożnie podciągnęli się na skraj stromizny i Ni z wrażenia omal nie zabrakło tchu. To nie były przypadkowe kadry z pokładowego monitora. Z przejęcia otworzyła szeroko usta. Ujrzała przed sobą na dnie jaru dwie najprawdziwsze w świecie istoty rozumne z planety Y-o — dwóch mężczyzn, całkowicie realnych, nie wirtualnych, z krwi i kości. Siedzieli na powalonym pniu przy rozpalonym ognisku, w którym trzaskały drwa. I z cicha gawędzili, sącząc gorący napój z glinianych garnuszków. Nie mieli ze sobą żadnych znacznych bagaży i widocznej broni, a ich dobytek

był bardziej niż skromny.

— Ludzie! — ze zdumieniem wymamrotała do swoich myśli. — Z bliska.

Z całą pewnością tubylcy jeszcze nie odkryli, że są pod obstrzałem czujnych obcych oczu. A przecież byli skrycie obserwowani. I to przez kogo? Przez przybyszy z innego układu solarnego.

— Y-oci — z cicha potwierdził Mu-ur.

Wojownik był faktycznie nieoceniony. Ognisko płonęło w naturalnym zagłębieniu i dlatego z oddali nie było widoczne. Odgadł jego obecność, dostrzegając ledwo znaczącą się poświatę w koronach drzew. Tylko ktoś taki jak on doceniał wagę podobnych leśnych wskazówek. Tu, w jarze, odblask płomieni był mocny, a po pniach drzew skakały ruchliwe cienie.

— I co teraz? — cichuteńko zapytała, kiedy nasyciła wzrok, a pierwsze wrażenie minęło.

— Cóż?! — dmuchnął jej do ucha. — To przypadek. Ci dwaj wybrali to miejsce na nocleg. I przypuszczalnie nie są dla nas groźni. Zachowują się jak podróżni, a nie jak wojownicy. Warto jednak sprawdzić — wahał się przez moment — czy gdzieś w pobliżu nie przyczaili się inni krajowcy. Może to pułapka? Może ci są wystawieni na wabia? Obejdę to zagłębienie, by nabrać pewności. Ty się stąd nie ruszaj. Czekaj, aż wrócę!

Zapatrzona, nie zauważyła, kiedy odszedł. Zniknął niczym zjawa, nim zdążyła powiedzieć, że dostosuje się do jego wskazówek. Kiedy jednak pozostała sama jak palec pod rozgwieżdżonym niebem, obudziło się w niej przemożne pragnienie, żeby wbrew radom zabijaki zbliżyć się do płonącego ogniska. Przytuliła na moment rozognione z wrażenia policzki do pokrytej wieczorną rosą trawy.

— Idę do was — wyszeptała bezgłośnie.

Nie przypuszczała, żeby ci dwaj tubylcy mogli napędzić jej strachu. Byli dziwnie niewinni i bezbronni, jakby nigdy w życiu nie zetknęli

się z prawdziwym niebezpieczeństwem i nie musieli walczyć o swoje życie. Popisując się brawurą podciągnęła się, zuchwale zsuwając na zbocze i pilnując, żeby żaden kamyk nie potoczył się w dół. Na wszelki wypadek sprawdziła, czy będzie mogła szybko sięgnąć po broń.

Starszy dostojnie grzebał patykiem w ogniu i z miną mentora leniwie się ustosunkowywał do jakichś zawiłych kwestii. Jego broda była długa, siwa i zmierzwiona. Łysiejąca czaszka odbijała światło i błyskała, kiedy pochylał się w stronę płomieni. Chłopiec siedział bokiem i widziała jego delikatny profil. Twarz okalały czarne, kręcące się włosy. Dochodziły ją strzępy słów.

Zaspokoiwszy pierwszą ciekawość, ostrożnie się wycofała, świadoma przestróg wojownika. Obawiała się, że zarzuci jej brak wyobraźni. Nie ryzykowało się bez widocznej potrzeby. Znieruchomiała w tym samym miejscu, w którym się z nim rozstała. Zapamiętała charakterystycznie przekrzywioną sosnę w oprawie z rozłożystych paproci.

— Są sami — wyjaśnił jej szeptem, gdy wrócił, dzieląc się rezultatem poszukiwań. — Zeszli tu opadającym w dół traktem, wiodącym z gór. W pobliżu nie ma nikogo więcej, a na podmokłym gruncie znaczą się tylko ich ślady...

Ze zrozumieniem skinęła głową.

— A więc z ich strony nic nam nie zagraża? — pragnęła się upewnić.

— Nic — potwierdził Mu-ur, przez chwilę wahając się nad odpowiedzią.

Odetchnęła z niewymowną ulgą. Nie miała ochoty wracać na ciemną polanę, na której sterczały dwa małe urchickie namioty. Nie mogła się uwolnić od nonsensownego przeświadczenia, że bezzwłocznie powinna zbliżyć się do tubylców, zasiąść z nimi przy trzaskającym ognisku, ogrzać twarz i dłonie, a ponadto włączyć się do rozmo-

wy. Wcześniej czy później musieli wejść w komitywę z tutejszymi. Obrzuciła pytającym spojrzeniem oblicze Urchity, ale niczego z niego nie wyczytała.

— Pozostań tu jeszcze, jeśli chcesz — miauknął do dziewczyny. — Sam jeszcze trochę poniucham w ciemnościach. Być może, natknę się na coś godnego uwagi.

Znowu rozpłynął się jak duch między pokrzywionymi pniami drzew. Uderzyło ją, że zabijaka przypomina bardziej rdzennego Yota niż bliskiego jej sercu Urchitę z pokładu „Met-ar-usa". Mu-ur poruszał się z dużą swobodą po tej okolicy — co najmniej tak, jakby urodził się w tych stronach i znał je od lat. Nawykła do pokładowych wygód, nie miała zielonego pojęcia o dziczy i nocnych eskapadach po strzegącej swych tajemnic puszczy. Uzmysłowiła to sobie i z uporem postanowiła, że musi nadrobić zaległości. Nie mogła wciąż wlec się za Mu-urem i wieszać mu się na ramieniu. Z mocnym postanowieniem poprawy znowu odważnie podpełzła w stronę ogniska, starając się sunąć płasko jak wąż i nie wystawiać zanadto głowy. Na stromym zboczu nie było wielu drzew i kryły ją tylko niskie kępy znaczącego się tu i ówdzie poszycia.

Siwobrody mężczyzna dalej grzebał patykiem w ognisku, wyrzucając — od czasu do czasu — w górę snopy iskier, jakby skrycie dawał komuś znaki. Może gdzieś tam nad nim w górze zawisła niedostrzegalna z dołu karawela kosmiczna? Opowiadał młodszemu o Faetonie, synu boga słońca Heliosa i okeanidy Klimene. Dzielił się dawną mityczną wiedzą o nieopierzonym młodzieńcu, który zapragnął powozić rydwanem swego boskiego ojca. Kryjąca się nieopodal i wstrzymująca oddech Ni mogła się wsłuchać w szczegóły tej barwnej historii. Kiedy niosący się od dziecka z tym zamiarem Faeton podrósł — opowiadał starzec — udał się najpierw do Klimene, a potem do Heliosa, prosząc ich, aby na to przystali. Pragnął udowodnić, że jest godny władającego niebem potężnego rodzica. I że potrafi

mu dorównać, mimo swego młodego wieku. Ognisko trzaskało, swoiście potwierdzając prawdziwość tej archaicznej opowieści. W ciemnościach nocy, pod gwiazdami, którymi utkany był firmament, nawet najdziwniejsze klechdy i podania brzmiały wiarygodnie. Nie to jednakże uderzyło Ni i nie tym się w duchu przejęła. Słuchając grzebiącego patykiem w ogniu starca, odkryła, że rozumie prawie całą gawędę, choć toczyła się w obcym dla niej języku. Namacalnie doświadczyła tego, o czym wcześniej wstydliwie wspomniał Mu-ur i czemu w gruncie rzeczy dotąd nie dawała wiary.

— Jesteśmy upodobnieni do gatunku rozumnego Ziemi w sposób niemalże doskonały… — wyszeptała do swoich myśli.

Nie mogła wyjść z podziwu. Jeżeli katastrofa kosmolotu była dla niej wielkim wstrząsem, to wspomniane odkrycie — jeszcze większym, ba, nieomal doznaniem metafizycznym. Bo czyż mogło być coś bardziej szokującego?

Starzec bez pośpiechu ciągnął swą opowieść, mając u swego boku wiernego słuchacza, który chłonął chciwie każde słowo, padające z jego ust.

— Helios nieopatrznie się zgodził, ulegając kaprysowi syna. Tak często postępują ziemscy rodzice, ci śmiertelni — kiwając się wyjaśniał. — Nie są zbyt rozsądni i pozwalają dziatwie na to, na co pozwalać jej nie powinni — ze szkodą dla niej i dla nich… — Zamilkł na chwilę, jakby chcąc przetrawić tę głęboką prawdę z zakresu stosunków między starszym i młodszym pokoleniem, a potem niezmącenie kontynuował: — Tak więc lekkomyślnie oddał mu rydwan na jeden dzień. Ale jakże ów dzień okazał się tragiczny, jakże bolesny dla wielu żyjących pod błękitnym niebem! Kiedy niedoświadczony Faeton znalazł się wreszcie w drodze, przeraził się wysokości — ciągnął z przejęciem. — Przeląkł się i zwątpił w siebie. Zboczył ze szlaku niebiańskiego i utracił z oczu niewidzialny boski trakt, niebezpiecznie opadając w dół. A następstwa tego były straszne… — jak

wytrawny aktor modulował głosem, nadając swej opowieści charakter tragicznego eposu. Dorzucił suszu do ognia, by pogłębić efekt. — Zapłonęły lasy — snuł katastrofalny wątek. — Żyzne pola zamieniły się w pustynie. Pożoga ogarnęła całe połacie zamieszkałej i dającej plony ziemi. Wszędzie było słychać płacz i lament...

Ni nie usłyszała dalszego ciągu tej zajmującej gawędy. Zamarła z przerażenia.

— Nie, tylko nie to! — wyjąkała ze zgrozą.

Nigdy w życiu nie była tak zatrwożona. Ostatkiem sił sięgnęła po broń i skierowała ją bez wahania w stronę rozpalonego ogniska — w panice pewna tego, że za chwilę będzie musiała jej użyć.

— Ty kretynie, ty głupcze. Ty tumanie i matole! — szeptem obrzucała wojownika wyzwiskami.

Ponure widmo wynurzyło się z ciemności, rozgarniając z hałasem krzewy i przedzierając się gwałtownie przez zarośla. Opanowany i trzeźwy Mu-ur zachowywał się jak skończony idiota. Przez moment wydawało się Ni, że podporządkował się nieznanej mocy i że przez nią wiedziony stał się niewolniczo posłusznym medium.

— Cóż ty najlepszego zrobiłeś?! — bezgłośnie wyrzuciła z siebie, przeświadczona, że będzie musiała pozostawić w zagubionym leśnym wąwozie dwa zwęglone y-ockie ciała, jeśli nawet nie trzy.

Nie tylko ona struchlała. Przelękły starzec, który drapieżnie sięgnął po swój worek, zdołał się jednak w ułamku sekundy opanować. Gwałtownie się zerwał, z niedowierzaniem spoglądając na intruza i lustrując z uwagą jego postać.

— Ktoś ty? — niepewnie zawołał. — Swój?..

Wpadł mu zaraz w oczy jego niecodzienny strój i to pewnie sprawiło, że odetchnął z ulgą. Surowy grymas znikł z jego twarzy. Jeszcze chwilę niepewnie stał, zaraz jednak spokorniał, aby w końcu zgodnie ze świętym prawem gościnności wyciągnąć przed siebie rękę w geście zaproszenia.

— Pewnie żeście z drogi, witajcie! — wychrypiał.

Zachęcająco wskazał Mu-urowi wolne miejsce na powalonym pniu i strzelające iskrami ognisko.

Ni nie miała innego wyjścia. Wstała i nie kryjąc się zeszła na dno jaru. Wiedziała, że w każdej chwili może błyskawicznie sięgnąć po broń.

— Dwoje was? Siadajcie! — sumitujący się starzec i ją zaprosił do towarzystwa.

Dopiero gdy usiedli przy ognisku, Ni uzmysłowiła sobie, że w takim spotkaniu, poza tym że doszło do niego nocą, nie ma niczego niezwykłego. Różni podróżni ocierali się o siebie na górskich szlakach. Lgnęli do siebie, jeżeli nie wyczuwali złych intencji. Wzięła do rąk kubek z gorącym napojem, który usłużnie podał jej milczący chłopak. Skosztowała. Był to słodki wywar z ziół i leśnych owoców.

Zapadło milczenie.

— Skąd pochodzicie i dokąd zmierzacie? — życzliwie zapytał starzec, grzebiąc długim patykiem w ognisku.

Zjechała wzrokiem na jego dłonie, suche, pomarszczone i pokryte przebarwieniami.

— Może najpierw wy coś o sobie powiecie? Przysłuchamy się waszej mowie.

— Ano, dobrze… — po chwili namysłu sapnął siwobrody. — Zatem posłuchajcie!

PSIAK nie był duży, miał gładką lśniącą sierść i wyglądał przyjaźniej niż śliniąca się gadzina, która dopadła Mi-ira poprzedniego dnia w czasie burzy, wściekle szczerząc kły. Piszczał, łasząc się i machając krótkim ogonem. Ze skarpy podejrzliwie go lustrowały smagłe twarze. Miał znowu y-ockie kształty. Wszechwładna natura doszła do głosu, kiedy spał, ponownie odmieniając jego postać. Tym ra-

zem jednak jej ingerencję uznał za dobroczynną.

— Hej, hej, hej! — wołano z góry. — Wyłaźcie... Wartko...

Nie mógł się wymigać i chcąc nie chcąc ruszył się z miejsca, zaczynając się wspinać po ziemistym zboczu. Szło mu to nieporęcznie, więc rzucono mu szorstką konopną linę, a potem mocno złapano go za ramiona.

Od młodych, okrytych zwierzęcymi skórami tubylców zalatywało smrodem. Pod wierzchnim odzieniem znaczyły się koszule, wpuszczone w ciasne u dołu, a luźne u góry spodnie z grubego poszarzałego sukna. Stopy i łydki mieli owinięte onucami i okręcone sznurkiem. Wprawdzie byli uzbrojeni, ale musiał uznać, że ich oręż jest niewiele warty. Dzidy, łuki i strzały, topory i krótkie noże... Jeden z nich nosił przy pasie orkan, widocznie łowił nim zwierzęta, a może i ludzi. Wywindowali go — jakby nie do końca przeświadczeni o tym, że potrafi wywlec się o własnych siłach. Szczerzyli zęby, z uznaniem przyglądając się jego lnianej czuprynie. Z zaciekawieniem głaskali go po głowie. Potem ochoczo zajęli się jego zabrudzonym strojem, wpadając w nie lada podniecenie. Pojął, że jego pokładowy chałat posiada niejaką wartość handlową i że staje się przedmiotem kłótliwego przetargu. Niby-wojowie szybko wymieniali uwagi, miętosząc materiał i jeżdżąc paluchami po szwach. Nie znali takiego sposobu łączenia brzegów. Słowa płynęły coraz szybciej i nakładały się na siebie, przechodząc w jarmarczny jazgot. Pojmował, z jakim zamiarem się noszą.

— Na bogów naszego plemienia i bogów plemion ościennych, panujących na ziemi i na niebie, w górach i leśnych uroczyskach — darł się ten najczyściej odziany w nieco przydużym skórzanym kołpaku na głowie, okutym blachą i ozdobionym zwierzęcymi rogami. — Mnie się należy ta suknia, ten przyodziewek, nie komu innemu, boć jestem synem wodza!..

Drugi, równie młody i popędliwy, z nim się nie zgadzał. Wyglądał

dziko, a długie, ciemniejsze niż u innych włosy spływały mu kudłami na barki.

— Ależ to ja, najstarszy syn Troptu, pierwszy dostrzegłem obcego — srożąc się, gniewnie tłumaczył — a mój psiak przed innymi podbiegł do niego i go dotknął. Więc mój jest człowiek z północy, on sam, a nie tylko jego suknia!

Kłótnię przerwał dużo starszy, nieco kulejący wąsaty woj, który dotąd milcząc stał na boku. Nie znoszącym sprzeciwu gestem nakazał Mi-irowi zdjąć z siebie miidim. Urchita nie zamierzał stawiać oporu i potulnie ściągnął z siebie chałat, odsłaniając mniej zafajdaną lewą stronę i kryjące się tam misterne zapięcia. Dopiero teraz, gdy odzienie opadło, spór rozgorzał na całego.

Mi-ir mimochodem ocenił liczebność tubylczej grupy, która po wschodzie słońca dotarła do „Met-ar-usa". Krajowców było około piętnastu. „Same gołowąsy!" — z pogardą odnotował. Nie czuli się zagrożeni, a wręcz przeciwnie — zadufani i pewni siebie, zdawali się liczyć na łatwy łup. Olśniła go myśl, że zapewne nie otarli się dotąd o nikogo żywego, kto mógłby im się skojarzyć z osobliwym znaleziskiem. „Nie widzieli dotąd — przesądził z trwogą — żadnego z naszych!" Chałat przeszedł przez kilkoro rąk, a wąsaty woj, który ostatecznie zatrzymał miidim, rzucił mu do stóp — znów gestem nie znoszącym sprzeciwu — marne, mocno wytarte okrycie ze skór zwierzęcych. Niemal w tym samym momencie oglądający się za siebie Mi-ir dostrzegł otwarty luk ładowni. Zadrżał z podniecenia, przestając się przejmować obecnością tuziemców.

Bez pośpiechu wciągał na siebie śmierdzący przyodziewek, czując, że otwarty luk przyciąga go jak magnes. Ogarnęło go przemożne pragnienie, by znaleźć się natychmiast w przepastnym wnętrzu.

— Na proroków, na to, co piękne — półszepnął. — Poradziłem sobie. Tam są nasi! To pokrzepiające odkrycie dodało mu odwagi. Lecz zaraz przeszyła go niepokojąca myśl, że kryjący się przed oczyma

prymitywnych tubylców pokładowi kompani nie poznali go, biorąc za jednego z Y-otów.

To wystarczyło, by ostatecznie się wyłamać. Wyrwał się w stronę luku, krzycząc głośno, jak mógł najgłośniej, i wymachując rękami:

— Tu jestem. To ja, Mi-ir. Swój. Nie zostawiajcie mnie. Ratujcie!..

Nie zdołał dobiec do statku i podcięty przez jednego z wyrostków wyrżnął głową w mokrą ziemię. Prychał, próbując wypluć z ust brudny piasek. Z wprawą wykręcono mu ręce do tyłu. Tamci nadal debatowali, kłócąc się i gestykulując, a jeden z młokosów podsunął mu przed oczy zakrzywiony nóż, groźnie nim potrząsając. Zgarbił się i potulnie usiadł, pojmując, że zabrakło mu sprytu i że tym samym przegrał potyczkę z prymitywnymi krajowcami. Postradał wolność i stał się jeńcem. Bez żenady skrępowano go grubym sznurem, a pośród krzyków i nawoływań postanowiono odprowadzić go za pobliskie wzgórze.

Rozdział szósty

SŁOŃCE wstało i wytrwale wspinało się po nieboskłonie. Ni przetarła dłońmi zaspane oczy. Zbudził ją ptasi świergot. Z rozkoszą się przeciągnęła, pokrzepiając myślą, że los odtąd będzie im sprzyjać. Poziewując wygrzebała się z lekkiego jak puch śpiwora. Zapowiadał się upalny dzień, a błękitu nie znaczyły żadne obłoki. Jej rosły kompan pochylał się nad ułożonymi polanami z pokładową zapalniczką w ręku. Zabierał się do rozpalania ogniska. Snuł się wątły dym z pryzmy suchego mchu i igliwia. Obok leżał upolowany szarak. Uzmysłowiła sobie, co zaszło późnym wieczorem i poczuła ulgę. „A więc przełom w stosunkach z krajowcami!" — leniwie przesądziła. Starzec, na którego się natknęli, dowiódł, że jest nietuzinkowym i nad wyraz rozgarniętym tubylcem. Wykalkulowała, że trafiając na niego mieli niebywałe szczęście.

— Bądź pozdrowiony — z cicha rzuciła za plecami Mu-ura zgodnie z pokładowym obyczajem.

Wojownik obejrzał się i odburknął tym samym. Potem wyprostował się i niedbale pokazał jej ręką kierunek.

— Niedaleko stąd jest strumień — mrukliwie podpowiedział. — Możesz się odświeżyć. Te y-ockie ciała... — odruchowo zaczął, lecz zaraz zasznurował usta.

Poszła tam, pieszczotliwie rozgarniając gałęzie. Wróciła myślami do tego, co stało się późnym wieczorem w głębokim jarze. Niewybaczalny popis Mu-ura na chwilę wyprowadził ją z równowagi. Udało się jej zapanować nad rozedrganymi nerwami i nie zrobić niczego, czego później musiałaby żałować.

Jak się okazało, strach miał wielkie oczy, a ich wygląd nie budził

żadnych podejrzeń. Nie przypominali przecież grzywaczy. Tym niemniej zagrali w otwarte karty. Nie potrzebowali wielu słów, by wyjaśnić, kim są i co robią w dzikim ustroniu, a wędrujący po świecie stary autochton w okamgnieniu wczuł się w ich niecodzienne położenie. Był gołębiego serca i osobliwie szybko mu zaufali. Opowiedzieli mu o kosmicznym rydwanie, którym przybyli z odległych gwiazd, a on uwierzył im na słowo. Niczemu się nie dziwił. Może i do niego już dotarła wieść o katastrofie? A może z gór na własne oczy ujrzał spadający gwiazdolot?

Ziewnęła, godząc się z nagłą odmianą. Nie każdy był w stanie dostrzec ledwo się znaczącą granicę między barwiącą życie ulotną fikcją a przygniatającą szarą rzeczywistością. Zrzuciła z siebie granatowy kombinezon i naga zanurzyła stopy w wodzie. Ujrzała poruszające się odbicie. Coś jej mówiło, że jest bardzo piękną kobietą, widziała to zresztą w oczach starego i chłopca. Według słów brodacza wyglądali tak, jakby przybyli z dalekiej północy, zza potężnych gór. Zamieszkiwały tamte tereny dumne szczepy, pielęgnujące własne obyczaje. Nie musieli się więc lękać, że wzbudzą nadmierne zainteresowanie Traków. Ci widywali i gościli u siebie podobnych obcokrajowców, choć owi nie pojawiali się u nich zbyt często. Nie ciągnęło ich na południe. Poszukała palcami na karku zadrapań po starciu z leśnym drapieżnikiem. Znikły bez śladu i wyczuła tylko gładką skórę. Zdziwiła się, bowiem pokrytym sierścią Urchitom rany goiły się wolniej. Pomyślała o swej zmarłej przyjaciółce.

— O najdroższa, gdybyś wiedziała, co mnie tu spotka! — z bólem szepnęła. — Niestety, nigdy ci o tym nie opowiem.

Posunęła się w dół strumienia, starając się nie stracić równowagi na śliskich kamieniach. Dalej znaczyła się utworzona przez przybrzeżne zwierzęta tama i do niej dotarła, mogąc całkiem zanurzyć się w wodzie. Potem trzęsąc się z zimna wróciła na pokryty trawą brzeg. Kombinezon dociągnęła tylko do pasa, nie chcąc, żeby się za-

moczył od ociekających włosów i zawróciła do ogniska.

Mu-ur zamarł z wrażenia. Oszołomiony widokiem półnagiej kobiety, nie mógł oderwać wzroku od jej kształtnych piersi. Poczuła, że ogarnia ją wstyd.

— Nie gap się! Przestań! — impulsywnie rzuciła w swojej obronie.

W popłochu skryła się w namiocie, usiłując opanować niespokojne bicie serca. Musiała ochłonąć. Na rodzinnej Urch nie wywołałaby takiej reakcji, bowiem tam nie uderzał samcom do głowy widok drobnych kobiecych sutek, pokrytych gęstym puszkiem. Ważniejszy był ogon, a zwłaszcza jego górna część, najsilniej wywołująca pożądanie. Wyjęła grzebień i klęcząc zaczęła rozczesywać zmierzwione włosy.

Pobiegła myślami ku przygarbionemu siwobrodemu. Starzec okazał im szczere współczucie, ale na tym nie poprzestał. Zadeklarował daleko idącą pomoc i zgodził się na rolę przewodnika. Znał dobrze te tereny i umiał się po nich poruszać. Dlatego pod jego czujnym okiem — jak przewidywała — nie mogło ich spotkać nic złego.

MATUZALEM odnalazł ich legowisko. Przyciągnął z ciemnowłosym chłopcem, chociaż umówili się, że wojownik wybierze się po nich późnym rankiem i że ich przyprowadzi. Znał dobrze las, więc trafił po śladach, a przygnała go ciekawość. Z nieskrywanym podziwem oglądał znieruchomiałą na skraju polany machinę, którą obcy się posłużyli, aby dotrzeć tu z drugiej strony kotliny. Była dowodem ich półboskiego pochodzenia i nie mógł oderwać od niej oczu. — Na Zeusa, na Aresa! — cmokał z uznaniem, obchodząc obły ślizgacz dookoła i wydając okrzyki zachwytu. Poruszał się niezdarnie i podpierał kosturem. Kruczowłosy chłopak w milczeniu dotrzymywał mu towarzystwa i nie odstępował go ani na krok.

Starzec nie dał się namówić na podniecającą zabawę mrugającymi

przyciskami. Nie miał ochoty wspinać się do kabiny i sadowić za pulpitem sterowniczym. A gdy nasycił wzrok bezbożnym dziełem urchickiej techniki i zasiadł przy trzaskającym ognisku, zmienił front i bez wahania zdradził im, iż jest stanowczo przeciwny temu, by nadal podróżowali tym boskim rydwanem.

Jego poorana zmarszczkami twarz zdradzała głęboki namysł.

— Zaiste, jeżeli wasi potężni bogowie są tacy rozumni — piał z przejęcia — to powinni wiedzieć, iż tutaj wędruje się pieszo, albo na ośle, albo na koniu, albo na mule. Nikt tu nie zna takiej kwadrygi, nikt też bez wielkiego wzburzenia nie pogodzi się z jej przybyciem. A co więcej, wielu straszliwie się przerazi...

Ni nie protestowała, tym bardziej że trudno było odmówić mu racji. W gruncie rzeczy już wcześniej była gotowa na taki krok. Dla pewności zbadała wzrokiem nie zdradzające żadnych uczuć oblicze Mu-ura.

— Nie mylicie się, dobry człowieku — potulnie z nim się zgodziła. — U was obowiązują inne prawa niż u nas. A poza tym nie możemy już liczyć na naszych bogów — wyznała z nutą smutku w głosie. — Są za daleko, aby nam pomóc. I nie usłyszą naszych wołań i próśb. Żywimy nadzieję, że teraz to tutejsi będą nam sprzyjać i otoczą nas opieką. I że nie odwrócą się z tego powodu, że jesteśmy inni...

Zabrali się do posiłku, a gościnny siwobrody usiłował podzielić się z nimi skromnymi zapasami. Wydobył suszoną rybę i nabyty po drodze bochen czarnego chleba. Chłopak pomógł myśliwemu oprawić upolowanego przed świtem szaraka i umieścić go nad ogniskiem, potem zaś czuwał przy lizanym przez płomienie mięsiwie. W międzyczasie Mu-ur ukrył ślizgacz w gęstym zagajniku, który wskazał sekundujący mu Ziemianin. Obłożył maszynę ściętymi gałęziami, żeby nie była widoczna. Zabezpieczył wejście do kabiny uniwersalnym pokładowym kodem, aby żaden z tubylców nie mógł wedrzeć się do środka. Wcześniej wyjął z pojazdu niezbędny ekwipunek, pa-

kując przydatne rzeczy w dwie niewielkie sakwy. Zawsze mogli tu powrócić, by skorzystać z pozostawionych zapasów.

Kiedy uporali się ze wszystkim, mogli pospołu ruszyć w drogę. Starzec odnalazł trakt. Prowadzeni przez siwobrodego, który mimo wieku radził sobie z marszem, dotarli po południu do najbliższej ludzkiej sadyby. Przeszli przez wspierający się na wiązkach z pali most nad fosą, a następnie przez otwartą bramę i znaleźli się za drewnianym cokołem. Wkroczyli tam nie bez lęku. Nadrabiająca miną Ni rzucała dokoła spłoszone spojrzenia. Wpadały im w oczy lepianki, zbite z sosnowych, lipowych i dębowych pni chałupy, studnie z żurawiami oraz wozy na drewnianych ciężkich kołach, służące do przewożenia towarów. Kilka tutejszych kobiet prało bieliznę, w kuźni kowal walił młotem w rozgrzane żelazo i cisnął nogą miechy. Gromadka roześmianych dzieciaków zabawiała się rzucaniem szmacianej kukły. Dwa osły, krowa i stadko kóz odwróciły na chwilę uwagę Mu-ura. Nikt ich jednak o nic nie pytał, mimo niespotykanych strojów i nikt nie dziwił się ich przybyciu.

WEWNĄTRZ karczmy z ciemnych grubych bali panował półmrok. Zasiedli za jednym ze wspartych na krzyżakach wolnych stołów. Na środku polepy paliło się obłożone kamieniami ognisko, a gęsty słodki dym snuł się w powietrzu, liżąc poczerniałe ściany i belki. Niepokaźne okno z niewymyślną okiennicą wpuszczało trochę światła. Z tyłu za nimi wisiały poschnięte wianki i wiązki różnego ziela. Było tu pięciu greckich kupców, pijących wino z glinianych dzbanów i raczących się podanym jadłem.

— Możemy dać spoczynek nogom — z ulgą oznajmił starzec, widzący, że przerażenie dwójki obcych ustępuje. — Jako sami widzicie — usiłował podnieść ich na duchu — tutejsi nie są do was nieprzychylnie usposobieni. Nie musicie się ich lękać, ani spodziewać cze-

goś złego z ich strony.

Odważny Mu-ur chyba to pojął, Ni jednak nie. Zapach jałowca, dym rozchodzący się po ciemnym pomieszczeniu, przytłumione rozmowy i dochodzące z zaplecza zduszone odgłosy zdawały się działać na nią obezwładniająco. Czuła, że traci grunt pod nogami. Oparła się łokciami o wyślizgany blat i wtuliła rozpalone policzki w dłonie. Była potwornie zmęczona i bała się, że za chwilę zaśnie, choć z rana czuła się przewybornie. Niepokoiła ją myśl, że potulny starzec, którego siłą były z pozoru wiedza i doświadczenie życiowe, wierutnie ich oszukał i że potulnych jak owce wiedzie ich na rzeź. „Boję się, Li-o!" Usiłowała schronić się w myślach w ramionach pokładowej przyjaciółki.

Obrzuciła niepewnym wzrokiem gospodarza, który z zaplecza przyniósł kupcom pieczeń z jagnięcia. Był mężczyzną sporego wzrostu i tuszy. Nie należało ufać szczęśliwym przypadkom i nieprawdopodobnym zbiegom okoliczności. Odruchowo sprawdziła broń, podpiętą pod kombinezonem. Gdyby musiała, zabiłaby karczmarza bez zmrużenia oka. W chwilę później podano im kaszę z mięsem i zajęła się zawartością drewnianej misy, zapominając o lękach. Jadła palcami, tak jak starzec i chłopiec, zgarniając resztki sosu chlebem. Mu-ur pomagał sobie sztyletem. Strach powrócił, gdy przepasana brudnym fartuchem posługująca postawiła przed nimi gliniany dzban z winem i kubki.

Przyjrzała się nieufnie greckim kupcom, którzy ciężko podnosili się zza sąsiedniego stołu. Powoli gotowali się do drogi. Przez moment sądziła, że gdzieś widziała te twarze i że powinny być jej dobrze znane, a drzemiąca w jej trzewiach bestia znienacka zadygotała. Od tej chwili siedziała jak na rozżarzonych węglach. Pojęła, że długo nie wytrzyma w zamkniętym megaronie i że musi się z niego szybko wydostać, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Bała się jednak wychodzić sama. Dlaczego kapłani wysłali ją w kosmos? Czy to nie

był ich błąd?

Coś nieopatrznie trąciło ją z tyłu w łokieć, więc nerwowo nie wytrzymała i zerwała się jak oparzona, rzucając za siebie przerażone spojrzenie. Trzymała już w ręku broń.

— To tylko koza — roześmiał się setnie ubawiony Abihu, widzący obłęd w jej oczach. — Dajcie jej kawałek chleba — po przyjacielsku jej podszepnął. — Gadzina też się chce pożywić.

Usiadła i uczyniła, jak jej podpowiedział, ale przez chwilę jej się wydawało, że się ośmiesza.

— Masz, nierozumna istoto — nadąsana, obróciła się do głupiego zwierzęcia. — Pożyw się!

Oswojona koza potulnie jadła jej z ręki. Miała białe umaszczenie, włos raczej krótki i wygięte do tyłu kręcone rogi. Obwisłe wymię opadało jej nisko, za to ogon zabawnie sterczał do góry. To prozaiczne zajęcie niespodzianie uspokoiło Urchitkę. Zwierzę się jej nie bało, co sprawiło, że się przełamała. Czyż nie pragnęła tego, żeby stać się prawdziwą Y-otką? Wrócił jej animusz, który ją opuścił w ładowni „Met-ar-usa". W kilka chwil później zaśmiewała się do łez, pieszczotliwie głaszcząc cudaczną bródkę głodnego stwora i ciesząc przy tym jak małe dziecko.

Nie rwali się do drogi. Za jeden z pokaźnych sztyletów Mu-ura planowali nabyć komplety tutejszych ubiorów. Siwobrody musiał najpierw dobić targu z karczmarzem, lecz na razie pił wino i do tej transakcji się nie palił.

OBOZOWISKO nie było okazałe, a między okrytymi skórami nielicznymi namiotami kręciło się co najwyżej z dziesięć ciemnowłosych kobiet. Dalej pasło się niewielkie stadko kóz. Snuł się siwawy dym nad obłożonym kamieniami ogniskiem. Porzucono go na skraju koczowiska, nie martwiąc się o jego los. W chwilę później rozwią-

zano mu ręce, które następnie długo masował, gdyż zdrętwiały mu od sznura. Wąsaty woj dał mu władczo do zrozumienia, że nie wolno mu opuszczać tego miejsca.

Mi-ir nie zamierzał brać nóg za pas, bo i tak nie miałby dokąd uciec. Skapitulował, wiedząc, że przegrał z losem. Przy kolosie z niebios warowali krajowcy, a ci nie dopuściliby go do otwartego włazu. Usiadł więc w kucki i zaczął smętnie się rozglądać. Usiłował jakoś się pozbierać. Tuż za nim znaczył się martwy szkielet namiotu, na który jeszcze nie narzucono pokrycia. Dalej widniała kępa niskich krzewów. Obok leżał płaski wyślizgany kruszeń, niby niski stoliczek, ze źle wytartymi śladami tłuszczu na powierzchni. Zezował na krzątające się przy rozpalonym ognisku Y-otki, z uwagą śledząc ich kroki. Strzygł uszami, wsłuchując się w dobiegające z wiatrem słowa i zwroty. Szykowały posiłek.

Między starszymi wiekiem kobietami kręciły się ze trzy młodsze i po niejakim czasie jedna z nich przykuła jego uwagę. Była najładniejsza. Zdradzała dużą pewność siebie, twarz miała gładką, włosy starannie zaczesane, a przy tym była odziana lepiej od innych dziewek. Nie rwała się też do żadnej brudnej pracy. Podfruwajka zainteresowała się jeńcem. Krążyła w pobliżu i rzucała w jego stronę skryte spojrzenia. Nie miał pojęcia, z jakimi zamiarami się nosi i to go wprawiało w zakłopotanie. Nie wiedział, czy ma się cieszyć, że plemienna piękność darzy go względami, czy też z góry przewidywać, że to się dla niego źle skończy.

Przyszło mu do głowy, że jeżeli tutejsi uprawiają kanibalizm, to tracka anielica może kontemplować swoje przyszłe danie. Czyżby łykała ślinę na jego widok? Oczyma wyobraźni ujrzał siebie w postaci pieczystego na mosiężnej tacy, ale nie rozbawiła go ta perspektywa. Nie chciał trafić do tubylczych żołądków, ani skończyć w żaden inny podobny sposób. Zresztą, nie zmieściłby się do kotła nad ogniskiem. Chyba żeby go dokładnie poćwiartowano.

Oglądał swoje ręce i nogi, zaciekawiony odmianą, jaka w nim się dokonała.

— Jedno jest oczywiste i tego muszę się trzymać — cicho szeptał do siebie, jakby w obawie, że zapomni ojczystej mowy, którą posługiwał się przez tyle lat. — W niczym nie przypominam wędrowców z gwiazd. To, co było, minęło. Stałem się Y-otem, kimś z tej planety, nie z tamtej. Teraz stąd się wywodzę i stąd mój ród...

Kruczowłosej ślicznotki nie dręczyły wątpliwości, związane z zawiłym pochodzeniem Mi-ira. Brała go za Ziemianina z krwi i kości. Z pewnością nie wypadł — w jej odczuciu — z niebiańskiego rydwanu i nie był przybyszem z innego układu solarnego. Cóż ona mogła wiedzieć o nieogarnionym kosmosie? O miliardach gwiazd? Zmieniały się pory roku, słońce regularnie wschodziło i zachodziło, nocą świeciły gwiazdy, a księżyc rzucał siwy blask. I na tym się kończyła jej wiedza o firmamencie. Niebo było w górze, niżej ziemia, a jeszcze niżej świat podziemny, do którego trafiali zmarli.

Przyniosła mu w dłoniach gliniany kubek z gorącym rosołem, nabranym z poczerniałego od dymu kociołka nad ogniskiem. Parzył sobie wargi, jednak dmuchał i pił. Następnie dostał pajdę ciemnego chleba i misę kaszy z garścią oliwek. Był bardzo głodny i nie wybrzydzał. Z niesłabnącym przejęciem podpatrywał obsługującą go młódkę i z apetytem wsuwał, co mu podawała. Ona też nie spuszczała z niego wzroku. Stała kilka kroków od jeńca z przekrzywioną głową, czekając, aż upora się z posiłkiem. Jej piersi zdobiła zawieszona na rzemyku kunsztownie zdobiona blaszka z brązu w kształcie serca. Obracała nią w palcach. Dłonie miała delikatne, nie zniszczone ciężką pracą. Nie bała się obcego i było widać, że ciągnie ją do niego. Wyczuł, że chce przysiąść i uciąć sobie pogawędkę.

Przemogła ostatnie opory.

— Pochodzicie z północy — trochę zaczepnie zaczęła, gdy mu się napatrzyła. — Nie ukryjecie tego, zdradza was wasz wygląd. Ludzie

stąd są inni.

Zrozumiał rzuconą kwestię. Nie zabrzmiała jak zarzut. Usiłował jej odpowiedzieć, pokonując niepojętą inercję.

— Ja, ja, ja!.. — gorączkowo szukał odpowiednich słów, ale ich nie znalazł. Nie opanował jeszcze trackiego. Zrewanżował się więc kilkoma szybkimi zwrotami w potocznym urchickim. Potem rzucił kilka pełnych galanterii zdań, które spodobałyby się każdemu w jego rodzinnych stronach. Ale nie tutaj.

Dziewce z wrażenia rozszerzyły się oczy i Mi-ir ze zgrozą pojął, że niechcący napędził jej strachu. Tak dziwacznej mowy na pewno nigdy nie słyszała, choć różni podróżni ciągnęli pobliskim szlakiem, zatrzymując się na gościnę. Zesztywniała, porwała glinianą miskę i czmychnęła.

W obozie pojawił się ponury woj o koszmarnie mocnym zaroście, którego Mi-ir wcześniej nie widział. Kobiety go obległy, ciekawe wieści. Gniewnie pokrzykiwał, jakby chciał podkreślić, że niczego się nie boi, lecz można było wyczuć, że czai się w nim lęk. Mówił o tym, że we wnętrzu niebiańskiego rydwanu kryły się dzikie bestie, na szczęście, jak jedna wszystkie martwe. Co robili dzielni wojownicy? Ze wstrętem wydobywali zwłoki i wyrzucali je na piasek, chcąc oczyścić z obrzydliwości ogromny pałac i dobrać się do jego skarbów. Woj był zastrachany, bo jego rodacy zadzierali z bogami. Skoro obcych dosięgła upiorna klątwa, mogła ona również przejść na nierozważnych trackich chwatów, a nawet na całe plemię.

Wieść o tym, że we wnętrzu kosmicznego kolosa nie ma żywej duszy była dla Mi-ra ciosem w serce. Wydawało mu się, że duchy gór znowu złośliwie zachichocą. Ale czegóż innego mógł się spodziewać? Był opuszczony i samotny, jak planetoida mknąca przez galaktyczne pustkowia. Próbował wyłuskać wzrokiem dziewczynę, która przyniosła mu posiłek i przyjaźnie do niego zaświergotała. Krzątała się po drugiej stronie obozowiska, od czasu do czasu migając mię-

dzy namiotami. Tylko ona, jedna jedyna z tego globu, życzliwie uśmiechnęła się do niego i okazała mu względy. Przemógł w sobie ostatnie opory, związane ze słyszanym dialektem.

— Safono, Safono! — rozpaczliwie zawołał, panicznie się lękając, że miejscowa piękność gdzieś się zawieruszy i zniknie na zawsze, tak jak jego pobratymcy.

Kobiety przy palenisku obejrzały się na jeńca. Wyczuł, że ich spojrzenia są przychylne. Ze zdumieniem obmacywał palcami swoją gardziel. Mówił i to było teraz dla niego najważniejsze. Przywoływana młódka się nie pojawiła, jednak jedna z tych starszych odkrzyknęła, że dziewczyna wkrótce mu usłuży.

Słońce było w zenicie, gdy doczekał się kolejnego posiłku z tych samych uczynnych rak, a kruczowłosa pannica zdecydowała się z wdziękiem przysiąść u jego stóp. Jak się pokrótce okazało, wcale jej nie przeraził urchicką mową.

— Na Wielką Matkę i na duchy przodków! — wyszeptała, wpatrując się w niego z oczarowaniem i zachwytem, jakby był miłością jej życia. — Wyście to, jako żywo, tak jak było w wyroczni — zdradziła mu w sekrecie. — Inny tu nie przybędzie!

Skwapliwie przysunęła się do niego. Poprosiła go, kurczowo łapiąc za ramię, jakby znali się od dawna, by znowu coś do niej wyrzekł w ojczystej mowie. Zdecydował się na cichą i nieco wstydliwą deklamację krótkiego poematu o miłości z pism proroka Mal-a-gaba.

Z zabawnie przekrzywioną głową i przymkniętymi powiekami wysłuchała obcych rytmicznych strof, a kiedy skończył, rozwiązał się jej język. Impulsywnie ujęła go za rękę.

— Musicie mnie wysłuchać! — z przejęciem wydukała, czym go niebotycznie zdziwiła. — To ważne!

— Dobrze — odrzekł. — Mówże wreszcie! Co masz mi do powiedzenia?

Dziewczyna ani chwili się nie wahała.

— Mam szesnaście wiosen, a nie jestem jeszcze zamężna, zacny przybyszu — ociupinę się rumieniąc, wyznała mu jak kuzynowi, który powinien o wszystkim wiedzieć. — Inne w moim wieku dawno wyswatano. — I przeszła do rzeczy: — Z pewnością nie wiecie, co było tego powodem, bo jak? Zatem się dziwicie? A one się nie dziwią — pokazała za siebie na kobiety w obozie. — Kiedy nad moją kolebką nucono tkliwe kołysanki, ujęła mnie w ramiona stareńka wróżka i wsłuchując się w głosy gór, przepowiedziała moje przyszłe losy.

— Twoje przyszłe losy? — powtórzył, nadal nie pojmując, ku czemu może zmierzać śmiała młódka.

Przytaknęła i odgarnęła włosy z czoła.

— Wszyscy w wiosce wierzą w tę wróżbę i dlatego nikt nie stara się o moją rękę — z pogodą wyjawiła. — A przecież chętnych by nie brakowało. Zgodnie z przepowiednią miałam wyjść za mąż za cudzoziemca — za kogoś, kto nadejdzie z dalekich stron, zza wielu mórz i wielu gór, a będzie gadał mową, której nikt u nas nie pojmie. Nie niecierpliwiąc się czekałam, aż wybraniec przybędzie. Różni próbowali. I dziś właśnie nadszedł mąż, którego języka nikt nie przełoży. I siedzi tu przede mną, jako żywo. Bo nie jest to mowa żadnego z ościennych ludów, ani nawet Persów. Po trosze je znam.

— To mnie, biednego, masz na myśli?

Medytował nad jej pospiesznym orędziem, nie będąc pewny tego, czy dobrze je zrozumiał.

— Jako rzekliście — ochoczo przytaknęła, a z jej błyszczących oczu wyczytał, że powzięła decyzję. — To wy, zgodnie z obietnicą, nie może być nikt inny. Stareńka wróżka się nie myliła, była niczym czczona Sybilla. — Wiecie już. A teraz chciałabym zapytać, czy się zgodzicie? Czy dacie się pokierować przeznaczeniu? Czy pojmiecie mnie, weźmiecie za żonę? Jestem czysta i nietknięta! — z podnieceniem czekała na to, co jej odpowie.

Zagoniła go w kozi róg i musiał to sobie szybko w głowie poukła-

dać. Dozgonna miłość? Od pierwszego wejrzenia? Zmarszczył brwi w głębokim namyśle. Nie przypuszczał, że może znaleźć się w tak zaskakującej sytuacji, a byłby ostatnim głupcem, gdyby odrzucił złożoną mu ofertę. Żebrak plemiennym księciem? Takiej karty nie wypuszczało się z rąk, stawką przecież było jego życie.

— Na proroków! Niech będzie tak, jak chce los! — szepnął z bolesną determinacją i odrobiną rezygnacji w głosie.

Przejęty do głębi rolą, która nieoczekiwanie przypadła mu w udziale, ujął jej delikatną dłoń i z atencją złożył na niej pocałunek. Przypieczętował swoją deklarację. Czy miał inny wybór? Czy nie działo się to z woli bogów?

Na to w skrytości ducha liczyła. Była święcie przekonana, że przybysz jej nie odmówi. Przecież zapisano to w gwiazdach. Radośnie się zerwała, z zapałem klasnęła w dłonie i pobiegła po misę z czystą wodą, a potem z troską zajęła się jego toaletą. Mocząc co rusz koniuszek czystego gałganka, czule zmywała z jego twarzy resztki zaschniętego błota. Z prawdziwym przejęciem oglądał jej twarz, kibić i dłonie. Nie była szkaradą, a jej bliskość sprawiała mu przyjemność. Zezował jej przez ramię. Tamci filuci nie mogli udawać, że tego nie widzą. Było dla nich jasne, co ten flirt oznacza i pewnie w myślach już tańcowali na ich weselu.

Nieudolnie usiłował sobie wyobrazić ceremonię zrękowin i zaślubin w górach oraz przyszłe szare życie w kręgu spraw trackiego szczepu, ale póki co, nie czuł, że to widoki na jego miarę. Jak na jego gust, sprawy biegły za szybko. Nie oczekiwał takiego daru losu i robiąc dobrą minę do złej gry, zaczął skrycie główkować nad tym, czy byłby w stanie wywinąć się trackiej młódce.

WIEŚCI, które napłynęły przed zmierzchem, kiedy płonąca kula słońca lizała linię gór, barwiąc na purpurowo horyzont, były niepo-

myślne, jeśli nie wręcz zatrważające. Tubylcy wtargnęli do sektora silnika grawitacyjnego, a Mi-ira, gdy sobie to uzmysłowił, dopadł dławiący lęk. Młokos, który przydrałował do obozu, dzierżył dumnie w łapach wyniesioną ze statku kosmicznego tablicę z ostrzegawczym napisem, zakazującym wstępu. Urchita doskonale wiedział, skąd ją zerwano. Odniósł wrażenie, że znowu samotnie zawisł na występie skalnym, nieopodal kapsuły ratunkowej, nad straszliwą przepaścią prawie bez dna.

— Na wszystkie moce, to koniec — szepnął do nurtujących go myśli, martwiąc się nie na żarty o bliskiego sercu „Met-ar-usa".

Nieprzytomnie dumał nad przebiegiem zdarzeń, poświęcając coraz mniej uwagi adorującej go Y-otce, a coraz więcej zagrożonemu kolosowi. Pojął, że skretyniał do reszty, bo nie podjął wcześniej żadnych skutecznych kroków. Jednak było za późno, żeby to naprawić. W gigancie drzemały niebezpieczne moce, których nie należało budzić. Przypomniał sobie, że kiedy rankiem ocknął się na dnie leja, poczuł ledwo wyczuwalne wibracje kadłuba. Centralny system zatem nadal działał. Tubylcy plądrowali wnętrze tytana, panosząc się po wszystkich poziomach, a przecież nikt nie wyłączył dwu potężnych wirujących pierścieni, indukujących pole grawitacyjne. Wolał nie wyobrażać sobie, co by się stało, gdyby ktoś niepowołany podjął próbę zatrzymania jednego z nich. A wystarczyło zająć się desynchronizacją obrotów. Zbliżyć się do pulpitów, porozbijać przejrzyste osłony, a następnie lekkomyślnie pobawić się przyciskami.

— Dlaczego ci bezprzykładni idioci nie zabezpieczyli napędu? — przejęty do ostatnich granic gorzko pytał samego siebie. — Na bogów, z kim właściwie zmagali się ci, którzy pozostali przy życiu i wyrwali się na zewnątrz?

Czuł, że dygocze. Coś mu nakazywało nie poddawać się losowi. Czyż nie tak uczyniłby wojowniczy Mu-ur? A w ogóle, to gdzie on przepadł? Dłuższą chwilę walczył ze sobą, aż wreszcie podjął decyzję

— jedną jedyną, na jaką było go stać. Z nieskrywaną nadzieją spojrzał na tracką dziewkę. Safona siedziała obok, zapatrzona w niego bez reszty i uszczęśliwiona — co najmniej tak, jakby ceremonia ślubna już się odbyła, a ucztę weselną zaplanowano na późny wieczór.

Pieszczotliwie pogładził ją po śniadym licu.

— Zdradziłaś mi, że jestem tym, którym obdarowało cię przeznaczenie — spokojnie zaczął, postanawiając umiejętnie to rozegrać. — I ja powinienem ci coś wyznać, choć może cię rozczaruję. Rzecz w tym, że jeżeli mamy być posłuszni moim bogom, to po zmierzchu musimy stąd odejść — zaryzykował, niepewnie zaglądając jej w oczy. — Jak najszybciej i jak najdalej. Musimy uciec, gdyż — jak odgaduję — potężni władcy wielkiego rydwanu bardzo się rozgniewali — z cicha wbijał jej do głowy. — Jeszcze tej nocy niechybnie zstąpią z niebios, by zesłać palący ogień na twoich braci...

Nie był pewny tego, czy go posłucha. Chwilę się wahała, a potem obrzuciła smutnym wzrokiem obozowisko. Wyczuła jego desperację, więc chcąc nie chcąc przyzwalająco skinęła głową. Nadzwyczaj szybko mu uległa. Ale trudno się było jej dziwić. Z uśpionymi demonami nie należało zadzierać. Jej plemię nie powinno było tak nieroztropnie mierzyć się z nieznanymi bogami. A poza tym miejsce Safony było u boku mężczyzny, którego całym sercem wybrała.

Położyła dłoń na jego ramieniu.

— Gdzie ty, tam i ja — wyrzekła i szybko się pochyliła, kryjąc oczy za furą ciemnych włosów. — Uczynię jako zechcesz. — Potem wstała i prędko odbiegła.

— Gdzie ty, tam i ja — z namysłem powtórzył jej słowa.

Powiało chłodniejszym wiatrem. Cierpliwie czekał aż na niebie pojawią się gwiazdy, nie dając poznać po sobie, że powziął plan ucieczki. Rozłożył derkę, którą mu rzucono, udając, że gotuje się do snu. Jego zamysł był szalony. Zamierzał bowiem nie tylko tchórzliwie

czmychnąć, ale i podstępnie uprowadzić plemienną dziewkę na wydaniu. Ognisko przygasło, a kobiety poukrywały się w namiotach. Słyszał szczekanie psa. Ktoś tam niecierpliwie zawołał na Safonę i niespokojnie zabiło mu serce, ale młódka odkrzyknęła, że jest zajęta.

Dziewczyna nadeszła i ulegle przysiadła obok niego. Było widać, że przysposobiła się do podróży. Odziała się na drogę.

— Chyba już czas! — rozstrzygnął.

Zorientował się, że nikogo nie ma w pobliżu, podniósł się, ujął ją za rękę i łagodnie pociągnął w ciemność. Niosąca chrust do ognia przygarbiona staruszka, na którą się natknęli, wstydliwie zachichotała. Pewnie przypomniała się jej odległa młodość.

Potykając się, szli na spotkanie losowi: on, widzący w ciemności wybawienie i pragnący uciec jak najdalej od drzemiącego w kolosie anioła śmierci; ona, gotowa na wszystko, pieczętująca swój wybór i pragnąca zbratać swój los z losem obcego.

Tracka młódka cicho szeptała zaklęcia, których jednak Mi-ir nie rozumiał. Odprawiała w drodze modły, błagając o coś swoich bogów, może o to, by pobłogosławili jej ucieczce. Odchodzili bez pośpiechu, z rozwagą i ostrożnie. Jednak gdy znaleźli się o kilka rzutów kamieniem od obozu, instynktownie przyspieszyli — jak dzikie zwierzęta, które nie widzą wprawdzie zagrożenia, ale wyczuwają je i nieomylnie odgadują, że wkrótce nadejdzie.

Rozdział siódmy

WOJOWNIK stał z założonymi rękami, do głębi przejęty popełnionym świętokradztwem. Na jego twarzy malowała się bezradność. Elektroniczny zapis z pewnością nie był dla nich przeznaczony, ale bezbożna Ni wiedziała swoje i na nic by się nie zdały jego usilne protesty. Zresztą, kto mógłby ich tutaj ukarać za to, że targnęli się na świętość? Tak daleko od Urch? Nikt nie był w stanie obłożyć ich klątwą, ani wtrącić do lochu. A tym bardziej obciąć im dłoni na oczach gawiedzi.

Projektor nie zawiódł, cicho pracował, a Ni z zapartym tchem przysłuchiwała się opowieści świetlnej postaci. Podparta na łokciach, nie spuszczała z niej wzroku i omal nie zawisła na jej wirtualnych ustach. Pokasłujący matuzalem przysiadł obok na przewróconym pieńku i przyszło jej do głowy, że będzie mu musiała wszystko streścić. Tubylczy starzec nie znał urchickiego. Miniaturowy obcy z wystającymi uszami i ogonem spokojnie przemawiał, oszczędnie gestykulując, chociaż go przecież fizycznie przy nich nie było. Czy nieuczony Y-ot był w stanie to pojąć? Czy nie zakładał, że to czary? Nie żałowała, że namówiła Mu-ura do otwarcia wyniesionej z kabiny Aga sakralnej szkatuły. Wyłowiła zdobycz wzrokiem, gdy pokładowy mruk przepakowywał swoje rzeczy. Zdobione ornamentem falistej plecionki i ażurowej rozety wieczko, z sygnaturami profetów pośrodku, nie stawiało oporu. Podważyła je ostrym sztyletem i szybko ustąpiło.

Wielki Mi-as z dalekiej planety Urch opowiadał łagodnym głosem o okrytych mgłą początkach ich cywilizacji, potwierdzając to, co głosiły legendy. Czynił to otwarcie i szczerze, niczego nie kryjąc, jakby

jego słuchaczami byli wtajemniczeni, a nie plebs, może garstka wyższych rangą kapłanów z jednej ze świątyń Ab-dan-gra. Bezlitośnie obnażał prawdę. Błyskał zawieszony na łańcuchu pektorał z insygniami proroka. Nie było widać, do kogo się zwraca, bowiem wybrani bezpiecznie kryli się w mroku. Migały tylko ognie pochodni, płonących przy pokrytych freskami kamiennych ścianach. Ogon miał opuszczony i prawie nieruchomy, jak tego wymagał rytuał świątynny. Wieści, którymi się dzielił, nie były jednak radosne.

Napastliwe aotusy dostosowały się w lot do warunków życia na nowej planecie, osiągając z czasem znaczny poziom rozwoju. Upodobniły się fizycznie do grzywaczy. Stopniowo się ucywilizowały i uduchowiły, tracąc pierwotną agresywność. Jednak po wiekach stabilizacji i względnego spokoju okazało się, że bezpieczeństwo jest złudne. Złośliwa bestia dopominała się o nowe wcielenia. Zabrakło czegoś, co Mi-as enigmatycznie nazwał instynktownym odreagowaniem. Na mocno zmurszałym gmachu ich cywilizacji zaczynały się znaczyć pojedyncze zarysowania i pęknięcia, grożące przyszłym runięciem całej budowli. Rasa znalazła się w krytycznym położeniu — i aby się odrodzić, musiała poszukać sobie silnego bodźca, łudząco podobnego do tamtego sprzed wielu wieków. Nasuwał się wniosek, że na innym globie należy rozpocząć wszystko od nowa. Znaleźć obiecujący gatunek i pozwolić, by wysłani upodobnili się do niego. Ktoś z cienia chrapliwym głosem zapytał, czy na Urch dochodziło do regresywnych metamorfoz, a dostojnik z powagą to potwierdził. A jak przebiegały? Spokojnie to objaśniał. Łagodny Urchita wpadał we wściekłą furię — klarował ze swadą — przewracał się na ziemię i toczył pianę, a w wyniku chorobliwego ataku tracił dotychczasową fizys. Na oczach wstrząśniętych krewnych, o ile przy tym byli, przeobrażał się w aotusa. Oczywiście, kontakt z nim był już niemożliwy, a siejącego postrach degenerata należało czym prędzej zgładzić. W ten sposób, utrzymując polowania na kryjące się w lasach potwory w

całkowitej tajemnicy, wymordowano na przestrzeni ostatnich lat blisko trzy tysiące poczwar. To zjawisko się nasilało. Z każdym rokiem przybywało gwałtownie przeobrażonych, więc nie zapowiadało się ciekawie. I trudno było przewidzieć, czym się skończy. Padło kolejne niespokojne pytanie o to, czy wyzwolone aotusy znosiły jaja i czy wykluwały się z nich młode, ale nie usłyszeli odpowiedzi.

Niczego więcej się nie dowiedzieli, bo zapis się urywał. Obraz zamigotał i zgasł, a świetlista postać Mi-asa rozmyła się w powietrzu.

— To tyle — pochylony Mu-ur sprawdził urządzenie, a potem rozłożył ręce w wymownym geście.

Ni cisnęły się do oczu łzy. Czuła, że musi w samotności przetrawić wstrząsające wieści. Podniosła się i bez słowa odeszła, niknąc między drzewami i wtapiając się w ciemną ścianę lasu.

— Jak niewiele nam powiedziano — w pewnej chwili wyszeptała. — Utrzymywano wszystko w tajemnicy. Byliśmy tacy naiwni. I trzeba było dopiero znaleźć się tutaj, żeby odkryć całą prawdę.

Brodziła między paprociami i omijała młode kłujące świerki. Zatrzymała się z dala od ogniska i przebiegła myślami ostatni dzień. Pożegnali tracką osadę, podejmując przerwaną podróż. O zmierzchu rozbili namioty, szykując się do snu. Wybrali na nocleg skromny zakątek przy starej szopie, na którą przypadkiem się natknęli. Znaleźli w niej trochę siana.

Dotarła na rozświetloną światłem księżyca cichą polanę i rozpłakała się, mierząc wzrokiem zdobiony diamentami gwiazd granat nieba. Przepełnione goryczą słowa wielkiego Mi-asa upewniły ją, że wybrała właściwą drogę przez życie. Poleciała z innymi w kosmos, by zapewnić jej gatunkowi przetrwanie. Zastanowiły ją te odrażające wsteczne metamorfozy. Nie usiłowała sobie wyobrażać, do czego by doszło, gdyby destruktywne przeobrażenia stały się na Urch chlebem powszednim. Prymitywne aotusy zniszczyłyby cały dorobek ich cywilizacji. Co jednak wywołało tę tragedię?

Prześlizgnęła się myślami po najważniejszych wydarzeniach z ostatnich stuleci i przypomniała sobie o zakazie obchodów dorocznego święta trzech włóczni. Rytualne orgie, które w jego ramach się odbywały, poprzedzane żuciem narkotycznych korzeni rachi, gromadziły odczuwających potrzebę duchowego oczyszczenia. Tych zaś nie brakowało. Tłumnie ściągano do świętych gajów. Każda biorąca w nich udział kobieta rzucała się nocą w ramiona trzech kolejnych mężczyzn, przeżywając z nimi upojne chwile. Mówiąc obrazowo, nadziewała się na trzy włócznie. Było to jedno z najstarszych świąt, a swymi początkami sięgało dziewiątego stulecia przed zjednoczeniem plemion. Zakaz wprowadził drugi wielki synod, bowiem jego ojcowie uznali, że ta obrzędowa rozpusta zagraża trwałości związków małżeńskich. Jednak w przeświadczeniu wielu delegatów na to święte zgromadzenie interdykt był kaleki, błędny, sprzeczny z naturą i mógł doprowadzić do katastrofalnych następstw. Odebrano Urchitom społeczny wentyl bezpieczeństwa. Niewykluczone, że regresywne metamorfozy były następstwem tej niemądrej decyzji.

Protestujący na synodzie byli w mniejszości i z ich zdaniem się nie liczono. Opozycja jednak pozostała, a do jej tradycji nawiązywało potem wielu wtajemniczonych. Uznała, że Mi-as do nich należał.

Czy jednak na tym globie Ni była w stanie cokolwiek zdziałać? Usiłowała ratować siebie przed zwątpieniem i rozpaczą, więc heroicznie wyobraziła sobie, że niczym tutejsza Kybele staje się założycielką i matką odrodzonego gatunku. Potem przeszyła ją bolesna myśl, że ta perspektywa wcale jej nie pociąga. Nie chciała wbrew temu, co czuła, oddawać się Mu-urowi i fundować sobie z nim potomstwa. Nie widziała go w roli kochanka. On też pewnie nie miał na nią ochoty.

— Złudne nadzieje — pociągnęła ze smutkiem nosem i wytarła ręką łzy. — Tylko jedno się liczy — żeby ujść z życiem. Nie dać się rzucić na kolana i zniewolić...

NIESPODZIEWANY kataklizm uciął jej jałowe medytacje. Ni w okamgnieniu przestała się mazać. Ujrzała w oddali potężny błysk światła i niespokojnie zwróciła się w tamtą stronę. W kilka chwil później ziemia złowrogo zadygotała i zdezorientowana Urchitka bezwiednie przyklękła, przykładając rękę do gruntu. Żyjąca własnym życiem planeta wydawała się protestować przeciw jej nazbyt śmiałym planom, jakby w nich było coś dla niej uwłaczającego. Może y-ocka Wielka Matka, bogini urodzajów i płodności nie znosiła konkurencji?

— Na tutejszych bogów, co to?! — szepnęła, bacznie rozglądając się po czarnym niebie.

Przerażona ruszyła z powrotem do obozu. Przedzierała się między rozrosłymi krzewami i młodymi drzewkami, prąc naprzód po omacku, aż dotarła na miejsce. Starzec i chłopak stali nieruchomo i wpatrywali się w znaczący się na niebie ponury świt. Do wybuchu doszło na północy, skąd przybyli.

— To kres „Met-ar-usa" — domyślnie rzucił Mu-ur, który posępnie wychylał się z szopy. — Już po statku. Jakaś dupek go zniszczył.

Horyzont długo się różowił, jakby rozleniwione i beztroskie słońce nie skryło się do końca w podziemnej krainie, lecz zatrzymało się, chcąc zawrócić na nieboskłon. Potem byli świadkami niespotykanych zjawisk atmosferycznych. Zakłębiły się wściekle ciemne chmury, powiał niespokojny wiatr, błyskawice rozświetliły mrok i groźnie zagrzmiało. Żywioły jak nigdy dotąd się spieszyły. Kiedy pierwsze krople dżdżu ochłodziły im twarze, z konieczności wycofali się pod kiepski dach.

W zapachu mokrego siana było coś upajającego, jednak siedząca z nosem na kwintę Ni nim się nie delektowała. Nie mieli wątpliwości, że to ich statek kosmiczny wyleciał w powietrze. Było oczywiste, że

jakiś intruz wdarł się do wnętrza kolosa i doprowadził do eksplozji.

— Jak sądzisz? Czy ocalała otoczona palisadą osada, w której dziś gościliśmy? — zapytała Ni.

— Prawdopodobnie uszła z pogromu — odparł zabijaka. — Przypuszczam, że fala uderzeniowa nie dotarła tak daleko.

— Domyślasz się, kogo należy za to winić — prychnęła ze zniechęceniem i złością. — Tylko jeden niegodziwiec mógł to zrobić… — rzekła, nie zdradzając, kogo ma na myśli. — Śmieje się w kułak i drwi sobie z nas.

Nie umieli się wyplątać z koszmarnej pajęczyny. Mu-ur zmarszczył w wysiłku brwi.

— Strażnik planety? Tak myślisz? On cię niepokoi? — głowił się nad tą kwestią. — Całkiem możliwe, że ciągnie za nami, starannie się maskując. A jeżeli nas śledzi, to nic nas nie uratuje. Wcześniej czy później nas dopadnie. Nie ukryjemy się przed nim, bo nie mamy jak — dokończył złowróżbnie. — Jesteś pewna, że to jego należy obciążyć tą eksplozją? — medytował nadal w skupieniu. — Mam wątpliwości. Może strach ma wielkie oczy? Czy nie boimy się na wyrost?

Nestor, który stał pod skąpym okapem, przypadkiem usłyszał przez szczeliny ich cichą wymianę zdań. Jak na podeszłego w latach Ziemianina słuch miał niemal doskonały. Skrzywił się z odrobiną dezaprobaty i niesmaku, jakby chcąc zaprotestować. No, ale oficjalnie nie rozumiał ich języka. Czy mógłby znać mowę, którą posługiwano się z dala od jego planety? Pomiętosił chwilę brodę, decydując się nie wtrącać, zaraz też w milczeniu przykuśtykał do wnętrza, łapiąc się ręką za niby to dokuczające mu biodro.

Streścili mu pokrótce relację Mi-asa. Z respektem zezował na złożony w otwartej szkatułce karnet z kryształem. Przy tej okazji byli zmuszeni odkryć przed nim ostatni z wielkich sekretów ich gatunku. Opowiedzieli mu pokrótce o metamorfozie. Później zapadła posępna cisza i słychać było tylko odgłos bębniącego o okap deszczu.

Starzec długo milczał, trawiąc to, co usłyszał. Siedział na złożonej z dwóch pniaków i krzywej deski ławie, a czarnowłosy chłopak wpatrywał się chciwie w jego usta.

Wreszcie sapnął i rzekł:

— Zaiste, największym nauczycielom i magom, którym przysłuchiwałem się w Egipcie i w Persji, przez myśl nawet by nie przeszło, iż takie rzeczy mogą mieć miejsce. Cóż, niewiele wiedzą o tym, co znajduje się ponad nieboskłonem — tam, wyżej, gdzie nie sięgają ziemscy bogowie, bo nie mogą sięgać. Niebywałe to i budzące zachwyt; niby nierealne, a jednak realne, niby nonsensowne, a jednak sensowne, niby fałszywe, a jednak prawdziwe — sumował, gładząc w zadumie brodę. — Wierzcie mi, o takich dziwach nie śniło się jeszcze filozofom. Przeczycie sobą temu, co tu sobie umyślono i czego się z powagą naucza. To tak, jakby ktoś włożył kij w mrowisko i mocno nim zakręcił...

Odchrząknął, mądrze pokiwał głową, a później z przejęciem zaczął ich wypytywać o różne sprawy, mieszając z pozoru nieistotne dziecięce pytania z dojrzałymi i rozważnymi. Styl miał kwiecisty i budował długie złożone zdania, więc musieli się uważnie wsłuchiwać, by nie stracić wątku. Zajmowała go budowa wszechświata i był niezmiernie ciekawy tego, czy trafiają się w niebiesiech planety podobne do Urch i Ziemi, a jeżeli tak, to czy pleni się na nich bujnie roślinność i czy goszczą tam obok zwierząt istoty takie jak człowiek, myślące i wolne, a przy tym wierzące w bogów. Dłuższy czas wiercił im dziurę w brzuchu, a oni odpowiadali mu, jak umieli.

W pewnej chwili matuzalem jednak mocno ich zaskoczył. Podjął całkiem nową myśl, powracając do prapoczątków ich dziwnej cywilizacji.

— Czy nie sądzicie, wielce czcigodni przybysze — cedził, unosząc krzaczaste brwi i zagłębiając się w to, co niepojęte — że ci, którzy przenieśli czarne aotusy na planetę Urch, mogą dalej skrycie zajmo-

wać się wami? I przyglądać się z oddali temu, co czynicie? A jeśli wiedzą o tym — odkaszlnął — że tutaj przybyliście? A nawet maczali w tym palce? Czyliż nie jest to możliwe? Wszak sami twierdziliście, że są wszechmocni, jak bogowie nad bogami. Bo ponad jednymi bogami są z pewnością drudzy bogowie. A nad nimi jeszcze inni...

Ni otworzyła szeroko usta. Nigdy nie brała pod uwagę takiego punktu widzenia. Wyraz zdumienia zaznaczył się również na kamiennej twarzy Mu-ura.

Skonfundowana wytężyła pamięć.

— Czy ja wiem? — skrzywiła się. — Nie, nie zajmowali się nami — orzekła, usiłując zbagatelizować jego kłopotliwy domysł. — A przynajmniej przypuszczam, że tego nie czynili. Ba, nie mogli tego czynić — raptem się ożywiła. — Gdyby zaglądali nam do garów, zostałyby namacalne dowody ich obecności na Urch, jakieś widoczne ślady, a nasi uczeni na pewno by na nie wpadli — wykombinowała na poczekaniu, ucinając ten temat. Nie chciała, by mieszał jej w głowie.

Dali spokój siwobrodemu, który kiwał się na prowizorycznej ławie i nadal medytował nad sekretami wszechświata. Szykowali się do spoczynku. Rudera była przestronna, więc na środku ustawili namioty. Ni była święcie przeświadczona, że ich rewelacje mocno wstrząsnęły światopoglądem Y-ota i z tą myślą głęboko zasnęła. W nocy obudził ją przykry sen i wygrzebała się ze śpiwora. Zbierało się jej na płacz. Szczerzący kły zaśliniony aotus wydawał się złowróżbnie zaglądać do jej prowizorycznej sypialni. Obawiała się, że maszkary doszczętnie zniszczyły jej planetę i że nie ma na niej nikogo, kto byłby jej bliski.

Zauważyła, że starzec zniknął z posłania, które z wieczora chłopiec rozłożył mu w szopie. Abihu spał głęboko, podobnie Mu-ur. Deszcz dawno ustał, chmury przeszły, księżyc jasno świecił, a kiedy się podniosła i wyjrzała, dostrzegła nestora na skraju polany. Podparty kosturem, w skupieniu wpatrywał się w firmament niebieski. Czyżby

tam, w bezgranicznych przestworzach, kryły się odpowiedzi na wszystkie niepokojące pytania, jakie tylko dawało się postawić? Mimowolnie poszła za jego spojrzeniem, zatrzymując wzrok na jaśniejącym paśmie Drogi Mlecznej. Uzmysłowiła sobie, że gdzieś daleko, między ledwo znaczącymi się gwiazdami, mogą gościć przerastające ją inteligencją istoty — te, które przed wiekami wielkodusznie podarowały jej rasie planetę Urch, a potem ulotniły się bez śladu. Niestety, ani sercem, ani umysłem nie umiała do nich dotrzeć.

RANNE słońce przedzierało się przez korony drzew, a czyste powietrze wypełniał ptasi świergot. Poziewująca Safona przecierała zaspane oczy, nie pojmując, jak to się stało, że nie obudziła się wcześniej od ukochanego. Jak przystało na oddaną żonę, powinna była zerwać się o świcie. Nie miała dotąd okazji, by obyć się z powinnościami, związanymi z pradawną rolą kapłanki ogniska domowego. Wiernym tym świętym obowiązkom sprzyjała litościwa dla kobiet bogini Hestia. Podniosła się i rozejrzała, świadoma tego, że musi to nadrobić. Pośpiesznie oddała pokłon słońcu, szepcząc słowa porannej modlitwy. Jej pan i władca na pewno był głodny i spragniony. Usiłowała go odnaleźć. Na szczęście, nie odszedł daleko.

Zachmurzony Mi-ir nie ruszał się krokiem z pobliskiego wzgórza. Nie odwracał wzroku od rysujących się w oddali i wymytych przez deszcz czarnych plam spalenizny. Nie musiał już się lękać hałaśliwej pogoni i obcesowego zainteresowania ze strony natarczywych tubylców, a nie znosił natrętów, którzy wdzierali się z kopytami w jego życie. Tym niemniej coś go nadal nurtowało. Z zasępionym obliczem obejrzał się za siebie, słysząc młodą Y-otkę. Czy chciał, czy nie, miał na tej planecie niby-żonę, gotową podążyć za nim wszędzie, a zarazem młodego i urodziwego przewodnika. Czy jednak z tego powodu czuł się szczęśliwy? Przysiadła przed nim i ufnie wpatrzyła się w

jego twarz, a potem poszła za jego smętnym spojrzeniem. Nie zajmowały ją ślady czerni. Tam była tylko pogrzebana przeszłość. Powstała i zabrała się do zrywania orzechów i jagód, których tu było bez liku.

Mi-ir nie przestawał się zamartwiać. Wydawało się, że chce przewiercić wzrokiem nadpaloną równinę. Wytężał sprawiającą mu zawód pamięć. Kiedy po porzuceniu kapsuły ratunkowej schodził z gór, na jednej z przełęczy zarysował się przed nim na chwilę odległy zielony krajobraz. Odniósł wtedy wrażenie, że dostrzega poruszającego się po równinie szarego metalicznego żuczka. Odbiło się w nim światło. Szukał teraz w myślach tego utrwalonego na siatkówce oka ulotnego obrazu, dochodząc do wniosku, iż mógł to być ślizgacz, pewną ręką wyprowadzony z ładowni „Met-ar-usa". Kojarząca się ze sporej odległości z owadem maszyna sunęła po murawie, niemy świadek obecności obcej cywilizacji. Czy faktycznie ją widział, czy tylko mu się wydawało? Może ujrzał to, co chciał ujrzeć? Wcześniej z niebywałym zainteresowaniem oglądał swoje bose stopy. Z wieczora, gdy zmykał z tubylczą dziewką, zauważył, że pięty mu dziwnie twardnieją i że pod wpływem biegu zamieniają się w kopyta. Początkowo sykał i podskakiwał, trafiając na wystające kamienie i korzenie, jednak później już nie czuł bólu. Przez noc wszakże zgrubienie ustąpiło, a stopa była znowu delikatna i gładka. Główkował nad tym, czy przypadkiem ciała tubylców nie adoptują się podobnie do zmieniających się szybko warunków bytowych, ale nie doszedł do żadnego olśniewającego wniosku. Safona była obuta. W ogóle lepiej niż on przysposobiła się do podróży. Wyposażyła się w bezcenne krzesiwo i nóż, bardzo przydatny w tym dzikim terenie. Pomyślał, że jako mężczyzna powinien dźwigać dzidę lub łuk i kołczan ze strzałami. Nie miał akcesoriów myśliwego, a nawet gdyby je miał, to i tak nie umiałby się nimi posłużyć.

Tracka dziewka wróciła, podając mu porcję słodkich jagód na mię-

sistym zielonym liściu. Zdążyła zaczesać sobie włosy, zatem przed opuszczeniem obozu — jak wywnioskował — zaopatrzyła się w jakieś zgrzebło. Jej linia bioder była miła dla oka. W drugiej ręce miała garść orzechów.

— Tyle tylko można wyszukać w tym ustroniu — usprawiedliwiła się, ponownie zasiadając u jego stóp. — Potem może trafi się nam jaki potok, a w nim pluskające ryby. Albo dopadniemy rosłego ptaka, oskubiemy go i upieczemy nad ogniskiem. Będzie uczta, jak się patrzy.

Przełknął ślinę. Zabrał się do bardziej niż skromnego posiłku, nie spuszczając oczu z Ziemianki i w mig sprzątnął, co mu podała. Nie czuł się szczególnie predysponowany do tego, aby wyrokować o tubylczych gustach, tym niemniej nie mógł jej nie pochwalić:

— Safono, urodą górujesz nad dziewojami, które dane mi było poznać — wyraził swoje uznanie. — Jesteś prawdziwym kwiatem tych stron…

Zarumieniła się i ze wstydem spuściła oczy, zasłaniając je długimi rzęsami. Rozpuszczone z powrotem czarne, lśniące włosy zaplatała w warkocz. Nie, nie miała zwierzęcego zgrzebła. Posługiwała się kształtnym grzebieniem z kości słoniowej, zdobionym na krawędzi stylizowanymi figurkami lwów. Z pewnością był cenny.

— Chyba mało ich jeszcze mierzyłeś łakomym wzrokiem — skromnie odparła. — I nie miałeś ich wielu pod sobą… — pozwoliła sobie na figlarny żart. Jeśli chciała, umiała zareagować na zaczepkę. Potem szczerze wyznała, spoglądając w dal: — Pewnie to ciebie oglądałam w snach, kiedy tęskniłam i płakałam, choć oblicze widziałam niewyraźne i zamazane…

Wierzchem dłoni pogładził ją po policzku, a potem wziął ją pod podbródek. Ogarnęła go przemożne pragnienie, żeby przytulić ją do siebie i sięgnąć do jej zmysłowo rozchylonych ust, ale stłumił w sobie odruch słodkiego pożądania. Zakarbował sobie, że musi być taki

jak Mu-ur — twardy, niewzruszony i niezłomny, prawie jak wyciosany z kamienia. Nie był na tyle bezpieczny, żeby niefrasobliwie oddawać się amorom. Swawole i pieszczoty musiał odłożyć na później. — Czy twoi bliscy byli w pobliżu gwiezdnego rydwanu? Kogo tam straciłaś?

— Nikogo — odrzekła, wzdychając. — Tylko stareńką ciotkę, która stała już nad grobem. Matka od lat nie żyje, a ojciec jest na wojnie. Wybrał się z drużyną dzielnych wojów. Wziął ich koło setki!

Myślami wrócił do maleńkiego żuczka, który leniwie pełzł po gładzi.

— Gdybyś miała nóż na gardle i musiała uciekać — i chciałabyś znaleźć się jak najdalej od strasznego miejsca, na które spadł rydwan z nieba — w którą stronę byś się zwróciła?

Bez wahania wskazała ręką odległy horyzont z rysującymi się wzniesieniami na przeciwległym brzegu kotliny.

— W tamtą stronę bym się udała — odrzekła. — Tamtędy biegnie trakt, prowadzący z Achai na północne szlaki. I wielu nim podąża. — Tam też jest mój dom…

Westchnął, godząc się na ryzyko. Jeżeli wzrok go nie mylił, a maleńki żuczek był naprawdę ślizgaczem, to musiał — jak z zawiązanymi oczyma — podążyć niewidocznymi śladami uciekinierów z kosmicznego kolosa. Było najzupełniej zrozumiałe, iż pragnie ich odnaleźć i do nich dołączyć.

— Nie mamy wyboru — odpowiedział z nutą rezygnacji w głosie. — Udamy się w stronę, którą pokazałaś. — Później dorzucił, pogrążając się w myślach: — Wiesz, jaka to radość, posiadać ogon, którym można wymachiwać? I przy jego pomocy wyrażać to, co czuje serce?

Nie odpowiedziała. Może pomyślała o psie, wiernym przyjacielu człowieka? Przez dłuższą chwilę pytająco się jej przyglądał, a potem skapitulował. Z rezygnacją machnął ręką, widząc, że tracka dziewczyna przenigdy tego nie pojmie. Nie była Urchitką. Przesunęły mu

się przed oczyma pokładowe piękności. Z Li-ti zaczął się przyjaźnić i chodziło mu po głowie, że po wylądowaniu i przeobrażeniu stworzą całkiem udaną parę, ale potem przestał się z nią spotykać. Zerwał drobny żółty kwiat i próbował nieudolnie wpiąć Safonie we włosy. Znowu się zarumieniła i przytrzymała jego ciepłą dłoń. Jego dotyk sprawiał jej przyjemność.

— Ma za krótką łodyżkę — rzekła. — Do warkocza muszą być dłuższe...

SŁOŃCE wspięło się wysoko i robiło się upalnie, a Mi-ir co rusz ocierał pot z czoła. Minęło południe i wędrowali już długo, nigdzie się po drodze nie zatrzymując. Teren był miejscami nierówny i Urchita chwilami wpadał w irytację, ale nogi nie odmawiały mu posłuszeństwa. Wspinali się na z pozoru łagodne kopulaste wzgórza, a potem opuszczali w dół. Żałował, że nie zabrał z zakleszczonej kapsuły podręcznego czasomierza, ale wtedy uznał, że do niczego mu się nie przyda. Po cóż zegar na planecie, na której tubylcy nie mierzyli czasu? Zresztą, nie był dostosowany do y-ockiej doby. Ziemska była dłuższa od pokładowej o dobre dwie godziny.

Od siedzących przy kozach i owcach napotkanych pastuchów jego niby-żona nieśmiało wyprosiła dwa kubki mleka. Mi-ir zarządził postój przed ich krytym skórami namiotem. Górale byli świeżo po udoju i mieli go pod dostatkiem w cebrzyku z klepek. Do niego dodali wędrowcom po sporym kawałku wędzonego sera. Pojedli sobie i popili. Sataria nie miała ochoty im płacić, choć coś tam przy sobie cennego skrywała. Później zorientował się, że zapobiegliwie zabrała w drogę dwie nieforemne monety z elektronu i kilka ułomków różnych srebrnych przedmiotów, nie licząc zgrabnych kobiecych ozdób. Dopiero gdy jeden z pastuchów, widzący bose stopy Mi-ira, przyniósł podbijane skórą onuce, zdecydowała się wyjąć grudkę szarego

kruszcu. Chętnie przyjęli ten dar.

Poszli dalej. Przeprawili się przez spływający z gór strumień, który według słów dziewczyny w dolnym nurcie zamieniał się w dostojną rzekę. Bardzo późnym popołudniem trafili na kilka wyraźnie znaczących się ścieżek, by wreszcie przeciąć większy trakt. Rysowały się tam ślady po uprawianych kiedyś polach, które porzucono po wyjałowieniu się gleby. Safona radośnie zakrzyknęła, witając gościniec do nieodległej osady, w której w przeszłości bywała. Nieśmiało dała mu do zrozumienia, że chętnie by się tam udała w jego towarzystwie. Jednak Mi-ir zignorował jej kaprysy. Gościniec był uczęszczany i pozdrowili jeźdźca, który się napatoczył. Z pewnością konny należał do plemiennej starszyzny, bo tu mało kto mógł się pochwalić posiadaniem wierzchowca. Dzierżył włócznię i topór, a przy siodle telepał się mu hełm z nosalem. Spieszyło się mu, więc tylko na moment zwolnił, by przelotnie rzucić okiem na pieszych. Odpowiedział na powitanie i pogalopował znowu naprzód.

Urchita miał się na baczności, gdy konny ich mijał.

— Ufff — odsapnął, kiedy jezdny się oddalił. — A już myślałem, że ciebie stracę. Dziwnie na ciebie popatrzył. Nie dałbym mu rady, gdyby porwał cię na siodło.

Ujrzał w jej oczach twarde błyski.

— Nie obawiaj się, nikt mnie nie uprowadzi — zuchwale odparła. — Tu bezpiecznie. Popatrz na to! — podniosła mu do oczu wiszący na szyi zdobny łańcuch. — To znak, że jestem córką wodza. A poza tym umiem się obronić.

— Mówisz poważnie?

— Ojciec uczył mnie sztuki walki. Przyglądałam się, jak starsi bracia ćwiczą z bronią i czasami się z nimi mierzyłam. Oni też są na wojnie. Jeśli trzeba, potrafię zadać cios nożem lub uderzyć dzidą.

— A z kim ta wojna?

— Z Persami — odrzekła.

Przez cały dzień Urchita strzelał myślami w stronę wojownika z pustyni, z którym niefortunnie się rozstał po upadku kapsuły ratunkowej. Usiłował wzbudzić w sobie jego zadziwiający instynkt. Skupiony aż do bólu, wytrwale kroczył przed siebie, pod wieczór już zupełnie nie licząc się z siłami i nie robiąc postojów. Dziewczyna niedbale pokazała mu kierunek, on zaś niby medium, posłuszne podszeptom bóstw, wytrwale parł do przodu, nieludzko pewny tego, że nie minie się z celem. Jednak i on w końcu uległ zmęczeniu. Potknął się i padł jak długi na zieloną murawę, z trudem łapiąc oddech.

Chwilę wcześniej zeszli z traktu, który zbaczał w stronę gór.

Rozdział ósmy

ŚLAD był ledwo widoczny, ale znużonemu Urchicie w jednej chwili przywrócił siły. Rozgarnął rzadszą w tym miejscu trawę, nie wierząc własnym oczom. Na zielonej murawie znaczyły się trzy niegłębokie bruzdy, jakby trzej równo idący oracze ciągnęli tu rylcowe radła, szykując górskie pole pod zasiew. Szczęście mu sprzyjało. Stał, milcząc i medytując nad odkrytymi koleinami — niczym myśliwy, który po godzinach błądzenia po leśnych ostępach wpadł na trop umykającej mu płochliwej sztuki.

Czuł się w czepku urodzony.

— Miałaś nosa, kierując mnie w tę stronę. I nie na darmo wędrowaliśmy cały dzionek — z ożywieniem zdradził zaintrygowanej Safonie, przyglądającej się niewiele jej mówiącym wgłębieniom na skraju wygonu. Nie wiedziała, skąd się wzięły.

— Ktoś tu rył w ziemi lubo coś ciężkiego ciągnął? — dociekliwie zapytała, ale jej nie odpowiedział.

Zmęczona drogą dziewczyna pomyślała o noclegu i o rozpaleniu ogniska, ale Urchicie dmuchnął wiatr w żagle i uparcie ruszył dalej, wyrzekając się spoczynku. Nerwowo zabrał się do przetrząsania najbliższej okolicy. Niestrudzenie rozglądał się za innymi dowodami obecności załogi „Met-ar-usa", chcąc się z tym uporać, nim zapadnie zmrok. A chociaż ich w pobliżu nie znalazł, nie zniechęcił się i nie przerwał poszukiwań. Teraz już nie mógł się mylić. Był o krok od celu, a to sprawiło, że wpadł w trans. Znowu stał się hipnotycznym medium, poddającym się cichym podszeptom bezimiennych bóstw z nieosiągalnego pozaziemskiego panteonu.

Safona dogoniła go, zaglądając mu z troską w oczy. Była przez mo-

ment o krok od rozpaczy. Słońce się skryło i dalsza wędrówka nie miała sensu. Jednak jej luby nie był rozpalony i półprzytomny. Nie zapadał na żadną groźną chorobę — zwłaszcza taką, która odbiera człowiekowi umysł i zamienia osiłka w bezradne dziecko. Widząc upór na jego umęczonej twarzy i wymalowaną na niej determinację, posłusznie za nim ruszyła, myśl o wytchnieniu odkładając na później.

Mi-ir uszedł w upojeniu może z dwieście kroków, a potem instynktownie przystanął. Przyciągnął jego uwagę przypadkowy zagajnik, nie różniący się niczym od wielu innych, które wcześniej obojętnie minęli. Sądząc po śladach, na które wpadł, ślizgacz mógł sunąć w tym właśnie kierunku.

— Głowę daję, że to tu! — z wariackim przekonaniem pokazał jej drżącym palcem. Zmęczony oparł się o pień starej sosny, a potem ciężko się osunął, nieruchomiejąc na igliwiu wśród wystających korzeni. Nie spuszczał z gęstwiny wzroku.

Posłusznie poszła w tamtym kierunku. Kilka kroków dalej znalazła resztki świeżo zdartej kory, co ją zastanowiło. Nic nie rzekła, jednak swym bystrym wzrokiem z uporem zaczęła się rozglądać za podobnymi śladami i wnet na nie trafiła, przepatrując okolicę.

— Tu, tu!.. — niegłośno zawołała, przywołując go do siebie.

Między rosnącymi z rzadka bukami koleiny się powtórzyły. Było ich znacznie więcej niż przedtem. Nieco dalej ślady się przecinały — widomy dowód tego, że manewrowano tu obcą maszyną. Znowu wyprzedził swą towarzyszkę, by nareszcie natrafić na popiół po ognisku.

— Jest, jest, znalazłem — odkrzyknął za siebie zduszonym głosem. — Mam, do diaska, chodź szybko! Zostawili go, szuje, tutaj! Co za padalce! Niedołęgi i fujary!

Zrobione na odczepne maskowanie nie kryło dobrze obiektu. Z podnieceniem i nerwowym pośpiechem odrzucał ścięte gałęzie, od-

słaniając obłe kształty nieziemskiej maszyny.

Safona z przestrachem łypała zza pnia rozłożystego dębu na to, co robi jej miły. Przeszło jej najpierw przez myśl, że widzi zmurszałą budowlę, może tajemną leśną świątynię po zapomnianym bogu, czczonym w tych stronach w zamierzchłej przeszłości. Potem pojęła, że to, co ogląda, nie wyszło spod trackiej, greckiej lub perskiej ręki. Skojarzyło się jej wieczorne znalezisko z niebiańskim rydwanem, na którego pokłady wtargnęli poprzedniego dnia młodzi wojowie z jej plemienia, płacąc za to życiem.

— Ku temu tak cierpliwie dążyłeś? — podejrzliwie zapytała, pokonując lęk, niepewnie podchodząc i z wahaniem stając obok niego.

Przytaknął z dumą, wspierając dłonie na biodrach.

— I owszem, ale warto było — odparł bez namysłu. — Bez tej machiny nadal miałbym nóż na gardle. To bydlę przyniesie nam ratunek — rozsądził z euforią w głosie. — A potem dodał impulsywnie, z niedowierzaniem kręcąc głową: — Ach, gdybyś ty, biedna dziewczyno, wiedziała o mnie wszystko…

Zaraz jednak ugryzł się w język. Naiwna ziemska adoratorka nie powinna była zapuszczać żurawia w jego przeszłość. Nie pojęłaby tego, że pochodzi spoza Y-o. Stał tak, przepełniony triumfem, ciesząc się i chwaląc siebie w duchu za inwencję i pomysłowość.

Opacznie zrozumiała jego ostatnie zdanie, odbierając je po swojemu.

— Wszystko?.. — smutno zapytała. — Może tam, skąd pochodzisz, masz kilka młodych żon, które za tobą tęsknią i nie rwie cię do tego, by pojąć jeszcze jedną?

Osłupiał. Wreszcie parsknął śmiechem, lustrując ją z nieskrywanym ubawieniem. Objął ją ramieniem.

— Ależ nie, mylisz się, córko wodza. Wyobraź sobie, że nie mam ani jednej — wyprowadził ją z błędu, gdy przestał się śmiać. Odchrząknął, robiąc surową minę. — Jako niemądre dziecię jesteś —

przywołał ją do porządku. — Zresztą nie wrócę tam, skąd przybyłem — skwitował nie bez cienia żalu. Zaraz też uciął ten temat, nie chcąc się gmatwać i wdawać w karkołomne, a przy tym mylące wyjaśnienia: — Tu staniemy na nocleg, na tej polance. Ani chybi, to koniec drogi. Wystarczy na dzisiaj! Uf, co za ulga!

Nie musiała się rozglądać za suchymi patykami na ognisko. Skorzystała z pozostawionego nieopodal rozrzuconego zapasu. On zaś nadal wpatrywał się w maszynę, działającą na niego jak magnes. Niejasno krążyło mu po głowie, że poddano go na obcej planecie niezmiernie wyrafinowanym, ale i zarazem dziwacznym testom. Śledzący go z niedosiężnych wysokości niewidzialny gigant osobliwie mu je narzucał, igrając sobie z nim i bawiąc się jak z maleńką mrówką. Stawiał go przed koniecznością szukania wyjść z kolejnych zawiłych korytarzy niby-labiryntu. Dotarł do kosmolotu, wydobywając się z gmatwaniny szczytów i kotlin; dotarł, choć odrobinę za późno. Teraz zaś prawie cudem udało mu się odkryć zamaskowany ślizgacz. Co go jeszcze czekało? I kim był ów natrząsający się z niego wynaturzony eksperymentator? Nie znał odpowiedzi na denerwujące go pytania. Potem przeszyła go przykra myśl, że maszynę tu porzucono, bowiem przestały działać silniki lub zawiodło coś innego. Czyżby miał do czynienia z kupą bezużytecznego złomu? Wpisał kod dostępu, udało mu się dostać do kabiny i uruchomić zasilanie. Zajarzyły się światełka kontrolne. Przyjrzał im się z uwagą, sprawdzając systemy pokładowe.

— Wszystko działa jak trzeba — wybąkał z niesłychaną ulgą. — Nie muszę pluć sobie w brodę. To diabelstwo jest na chodzie. Gdyby coś szwankowało, byłbym w kropce. Ale nie jestem!

Wyskoczył z kabiny i stęknął. Straszliwie bolały go krzyże. Czuł, że musi się na moment położyć. Kiedy wyciągał się na miękkiej trawie, przymykając oczy, żołądek wygrywał mu trele. Pomyślał, że chwilę wypocznie, a potem się podniesie, lecz natychmiast zasnął. Tracka

dziewka pochyliła się z oddaniem nad jego głową, jednak już nie słyszał tego, co do niego szepcze. Nie widział rozpalonego ogniska.

PRZED świtem wojownik i chłopak wyrwali się na łowy. Nosili się z nadzieją, że uda im się wytropić większą sztukę, z wprawą ją osaczyć, a potem dopaść. Kiedy tamci byli w borze, rozespana Ni nudziła się przy szopie, za kompana mając jedynie markotnego starca. Założyła pokładowy kombinezon, bo było mało prawdopodobne, by natknęli się w tym miejscu na podróżnych. Siwobrody wstał tego ranka lewą nogą, zasznurował usta i traktował ją jak powietrze. Mimo, że miał Urchitkę wciąż na widoku, milczał jak zaklęty. Czym się tak frasował? Kulał mocniej niż poprzedniego dnia, a kiedy się pochylał, krzywił się i sykał, widocznie boleśnie odczuł skutki przebytej drogi. Wywnioskowała, że dawały mu się w znak dolegliwości, związane z wiekiem. A może uznał tutejszym zwyczajem, że kobieta jest mniej warta od mężczyzny i nie musi z nią gadać?

Strumień był daleko, nie miała ochoty schodzić na dół zbocza, więc przemyła oczy i policzki rosą z mięsistych liści, którymi gęsto porastał brzeg lasu. Urchicką szczotką rozczesała zmierzwione włosy. Złożyła i zrolowała namioty, uporządkowała rzeczy w podróżnej sakwie, a potem zajęła się miotaczem plazmowym. Wreszcie znieruchomiała i zaczęła poziewywać.

Od czasu do czasu obrzucała krótkim spojrzeniem pooraną zmarszczkami twarz siwobrodego, ale nie umiała z niej niczego wyczytać. Siedzieli we dwoje najpierw przy ognisku, a później na porzuconych pieńkach przed szopą, wsłuchując się w odgłosy lasu. Przykładała do nestora różne miary, jednak żadna do niego nie pasowała. Był do nich przychylnie nastawiony, to prawda, tym niemniej intuicja jej podpowiadała, że coś przed nimi ukrywa, zaś uwięziona w niej bestia miała się na baczności. Przez półszept starej

niani zdawał się przebijać inny głos, o niskim chropowatym brzmieniu, ostrzegający ją przed zagrożeniem. Licho nie spało, toteż należało zachować czujność. Toczyła się wyrafinowana gra, której zasad nie znała, więc w pewnej chwili mogła się w niej pogubić. Nie wybrali się przecież z Mu-urem na beztroski biwak. Trafili na pełną niewiadomych planetę, o której mrocznych sekretach nadal niewiele wiedzieli.

Słońce coraz mocniej grzało, a powietrze wypełniał ptasi świergot. Myśliwi długo nie wracali, więc brodacz w końcu się podniósł i bez słowa wyniósł sprzed szopy, decydując się na przechadzkę brzegiem polany. Postanowiła nie odstępować go ani na krok i nie czekając na zaproszenie, ruszyła za nim na leśną łąkę. Próbowała go sobie zjednać, podpytując go o nazwy owadów i roślin. Chyba to poskutkowało. Wkrótce starzec sam zaczął zwracać jej uwagę na ciekawsze okazy, wymieniając greckie lub trackie miana. Poznawała więc biedronki, osy, pszczoły, trzmiele, muchy, motyle i ważki.

Zaczęła zrywać kwiaty, myśląc o niewielkim wdzięcznym bukieciku.

— Gdyby nie ty, tuziemcze — rzekła w pewnej chwili — nie poruszalibyśmy się tak pewnie po tych górach i dolinach. Los okazał się łaskawy, krzyżując nasze drogi. Nie poradzilibyśmy sobie, gdyby nie twoje wsparcie i twoja pomoc. Co tu kryć, oddałeś nam nieocenioną przysługę, do której inni nie byliby zdolni.

Z namysłem skinął głową, godząc się z nią, ale nic nie powiedział. Mówiła więc dalej. Starała się dostosować do jego kwiecistego stylu i zrobić na nim wrażenie.

— Mieliśmy prawdziwe szczęście, żeśmy cię spotkali. Bo mogliśmy na ciebie nie natrafić. Chowalibyśmy się lękliwie po gęstych lasach lub wdawalibyśmy się w burdy z tutejszymi. Pokierowałeś mądrze nami, ale tym samym uczyniłeś nas swoimi dłużnikami. Winniśmy o tym pamiętać, a w miarę możności się odwzajemniać, bo przecież

tak wypada, czy to u was, czy u nas…

Pod jego nosem zaigrał półuśmiech. Dotąd się nie uśmiechał, jakby mu tego ktoś zakazał — i Ni spostrzegła, że jego ogorzała i spalona słońcem twarz się odmładza. Cmoknął z uznaniem. Mądrze prawiła, jakby była mężczyzną, a nie kobietą. Skupił uwagę na kosmitce, która niczym zstępujące z Olimpu boginie ukryła się pod kuszącymi kształtami Ziemianki. Chyba do niego dotarło, że chociaż nie uniosłaby ciężkiego miecza, to jednak w głowie miała poukładane nie gorzej niż ponury zabijaka. A może nawet dużo lepiej.

— Co tam zapłata! I ja wiele wam zawdzięczam, skoro o tym mowa, nadobna niewiasto — zapobiegliwie odpowiedział, ruszając z miejsca. — Otwieracie mi oczy na nieznane i opowiadacie o dalekich eonach, do których stąd nie można dotrzeć, bo przecież człowiek nie może jak ptak oderwać się od ziemi, a tym bardziej polecieć w gwiazdy… — z zadumą pokręcił głową. — I Dedal by nie pomógł. Prometeusz przyniósł ogień, wy zaś dzielicie się ze mną sekretną wiedzą, której nie zdobyłbym, krążąc między tutejszymi nauczycielami, nawet gdyby byli najmądrzejsi i najświatlejsi. Śmiertelni nie o wszystkim zresztą mogą wiedzieć — wychrypiał z nutą zawodu z głosie — są bowiem rzeczy, których znajomość przystoi tylko bogom. A wy zaś bez mała jesteście jako bogowie. Możecie przyjmować kształty, jakie tylko zechcecie i posługiwać się różnymi mowami. Czy to nie dowód, że trzeba się wam jak herosom kłaniać w pas? I pilnie od was się uczyć?

Pomyślała, że umiał gadać. Nie żonglował frazesami. Czy jednak nie przesadzał z pochlebstwami? Wkurzało ją, gdy na pokładach „Met-ar-usa" ktoś brał ją pod włos.

Przystanęli przy obsypanych drobnym białym kwiatem krzewach. Fuknął i wyciągnął ostrzegawczo rękę, kiedy chciała się pochylić. Trzymał mocno kostur w dłoni. Z gęstwiny wypełzł pręgowany wąż i starzec kijem skierował go w inną stronę.

— Mógłby ukąsić — powiedział.

Uzmysłowiła sobie, że zostawiła miotacz w szopie, lekceważąc zasady bezpieczeństwa.

— Jesteś taki bliski, ale i taki daleki… — mimowolnie podzieliła się z nim tym, co ją nurtowało w głębi duszy. Miała to na końcu języka i nie umiała się powstrzymać.

Poruszyła w nim czułą strunę, więc najeżył się i nieuchwytnie zadrżał. A może udzielił się mu na moment jej lęk? Odebrał to jako subtelny wyrzut. Podniósł na nią wzrok, głaszcząc trzęsącą się dłonią siwą brodę. Żywe ciemnobrązowe oczy nie kojarzyły się z gasnącym spojrzeniem stojącego nad grobem starca.

— A czyż może być inaczej, młoda istoto? — odrzekł popędliwie. — Nasze rasy podrastały pod tymi samymi gwiazdami, albo pod podobnymi, ale niczego o sobie nie wiedziały. No bo jak? I dopiero teraz niespodziewanie stanęły oko w oko… — urwał, jakby chcąc podkreślić nadzwyczajność chwili. — Zresztą, nawet tu, wśród śmiertelnych tych ziem, nie jest łatwo o wspólny język, nie mówiąc o życzliwości i zaufaniu. Żeby z bliźnim się zbratać, trzeba zjeść z nim beczkę soli. Tak tu obrazowo mawiają, imputując, że idzie o komitywę i zażyłość…

Pomyślała o kulcie bogini Kybele i o tym, co sobie obiecała, nim eksplodował ich statek. Skrzywiła się, serdecznie żałując, że jej rozmówca nie jest dużo młodszy. Jeśli chodziło o ścisłość, byłby lepszym kochankiem niż chłodny i nieczuły Mu-ur. Szybciej by się z nim dogadała. Naturalnie, gdyby mu ująć lat.

— Jednakże nie masz domu, rzecz dziwna. A to dlaczego? — głośno się zastanowiła.

Nie namyślał się ani chwili.

— Dom to ludzie, nie miejsce — świsnął jakby na odczepne. Pewnie takim pytaniem wiercono mu w brzuchu wiele razy, więc miał na nie gotową odpowiedź. Tyle, że zabrzmiała jak banał.

Rozgrzał ją spacer w słońcu. Rozsunęła z przodu kombinezon, głęboko oddychając świeżym powietrzem. Zapomniała na moment, że na tej planecie kobiety nie odsłaniają piersi.

— Trafiasz zawsze w sedno — wesoło pokazała mu zęby, uprzytamniając sobie, że nie powinna przeistaczać tej niewinnej pogawędki w nieformalne przesłuchanie. A już miała z zaciekawieniem indagować go o żony i o potomstwo. Zrezygnowała z dalszego kobiecego śledztwa, choć świerzbił ją język.

Wstydliwie ominął wzrokiem jej nazbyt głęboki dekolt i kusząco wyzierające krągłości. Zawrócili, powolutku kierując się górę. Ogień przygasł i należało dorzucić drew. A poza tym myśliwi właśnie wyszli z lasu ze zdobyczą i pohukiwali, przywołując niewidoczną parę, która gdzieś się zawieruszyła, miast cierpliwie czekać przy szopie.

— Kim są Dedal i Prometeusz? — ciekawie zapytała.

Przystanął i odrzekł, opanowując zadyszkę:

— Opowiem ci o nich, kiedy usiądę.

Zabrano się za oprawianie upolowanej loszki. Abihu z zaaferowaniem asystował ponuremu łowcy, który przy nim wyraźnie nabierał formy. Na twarzy przeobrażonego rysował się kilkudniowy zarost. Urchitka pomyślała, że pokładowy mruk ma — po prostu — przed kim się popisywać. Na pokładach kosmicznego kolosa brakowało mu upajającej się nim publiczności. Chłopiec zerkał na wiszący Muurowi przy pasie miotacz, a oczy błyszczały mu z wrażenia. Mając tę potężną broń, wojownik był w stanie powalić na ziemię każdego przeciwnika, kim by ten nie był — i to z oddali, bez potrzeby stawania do wyczerpującej siły walki wręcz.

— Nasz samotnik ni stąd ni zowąd zdobył sobie prawdziwego adoratora — z odrobiną przekąsu rzuciła Ni do starca, gdy już doradził myśliwemu, jak ma się obejść z upolowaną lochą.

Siwobrody nie okazał z tego powodu rozżalenia. Rzucił okiem na młokosa.

— Na Artemidę, córkę Zeusa i Latony, młodość ma swoje prawa — rozsądził, kiwając w zamyśleniu głową. — Wdrażałem go, w co tylko mogłem. Sam jednak nie potrafiłbym hasać z nim po lasach i uganiać się za zwierzyną łowną...

Wojownika nie obchodziło, co tamci bzdurzyli za jego plecami. Zdążył wejść w komitywę z wyrostkiem o czarnych kręconych włosach. Jak się okazało, Abihu tylko z pozoru był nierozmowny i cichy. Z nożami w rękach zajmowali się dziczyzną, szepcząc do siebie w sekrecie. Po jednej wspólnej wyprawie do kniei byli ze sobą za pan brat.

JESZCZE raz obszedł wkoło zastygłą tu masywną maszynę, lustrując ją z niekłamanym uznaniem. W jej pancerzu odbijały się złote błyski. Postanowił ruszyć z miejsca nieziemskiego mocarza. Nie zdobył się na to z wieczora, bo całkiem opadł z sił. Znowu ważyły się jego losy. Włączył silnik. Delikatne wibracje nie na żarty zaniepokoiły Safonę, która pojęła, że posągowy twór nie jest martwy jak porośnięty mchem przydrożny kamień, ale że ma duszę. Monstrum lekko się uniosło i wysunęło z leśnej kryjówki. Potem znowu opadło, miażdżąc wysokie trawy i zioła.

Spoglądała na to z jawnym lękiem.

— A może mieszka w nim złe bóstwo, któremu nieopatrznie wejdziemy w drogę? — zawołała z obawą, gdy wychylił się z kabiny. Z jej ciemnych oczu przezierała trwoga. Nie złożyli z wieczora żadnej ofiary, by zyskać sobie przychylność kryjących się w chaszczach leśnych duchów, co dobrze o nich nie świadczyło.

Zaprzeczył, ale nie chciał wikłać się w wyjaśnienia. Nie chodziło o żadne złe duchy. Nie na jej głowę był status nieziemskiego środka transportu. Maszyna okazywała mu posłuszeństwo i niemal odgadywała jego życzenia, więc humor mu się w lot poprawił. Poczuł się jak

młokos, przed którym świat stoi otworem.

Zeskoczył na trawę z niewinnie wyglądającym automatem w ręku. Wygrzebał go z ładowni.

— Jeszcze nie takie cuda obejrzysz — chełpliwie się pochwalił. Niefrasobliwie wycelował w niezbyt odległe drzewo. — Patrz i ucz się, piękna panno!

Trysnął cienki strumień gorącej plazmy. Sięgający wysoko samotny dąb wydawał się dziwić maleńkiemu jak skrzat przybyszowi i posiadanej przez niego mocy. Pamiętał niejedną gwałtowną burzę, lecz nikt nigdy dotąd tak brutalnie nim nie wstrząsnął. Katastrofalnie się pochylił, potem jeszcze bardziej, a wreszcie zwalił się z głuchym trzaskiem. Buchnęły płomienie.

Safona krzyknęła jak zrozpaczone dziecko, lękliwie kryjąc się za szerokimi plecami Mi-ira.

— Dęby są święte — zawołała z oburzeniem. — Tak nie można...

Przejaśniło mu się w głowie.

— Nie obawiaj się — rzekł, przygarniając ją do siebie. — To tylko pokaz. Nie mam nic przeciwko twoim świętym drzewom. Kiedyś ci objaśnię, jak można posługiwać się taką mocą. Przyuczę cię do tego...

Pozostawił ją z rzuconą na wyrost obietnicą, zabierając się do segregowania zdobytego sprzętu. Płomienie przygasały, potężne drzewo pozostało tam, gdzie padło i nie zapowiadało się nic złego. Leśne bóstwa jakoś się nie dąsały. Uspokojona Safona nieufnie zajrzała do wnętrza kabiny. Podsadził ją i pomógł jej tam się rozsiąść. Był to pierwszy kontakt prostej dziewuchy z Y-o z pozaziemską techniką, więc oniemiała z wrażenia. Wydawała ciche okrzyki, widząc migające światełka i słysząc piski sygnalizatora. Zamilkła dopiero wtedy, kiedy ociężała poczwara ruszyła z miejsca. Nie mieściło jej się w głowie, że można pędzić w rydwanie, którego nie ciągną ani muły, ani konie, ani też słonie, o których słyszała od wojów z wioski. Osobliwy

pojazd nie miał kół i prawie nie dotykał gruntu. Płynął niczym popychane wiosłami dębowe dłubanki, a przecież nie było pod nimi gładzi jeziora czy nurtu rzeki.

Ślizgacz sprawnie pokonywał łagodne wzniesienia i omijał przeszkody w postaci wystających kruchych skał wapiennych oraz niepokaźnych zagajników. Mi-ir kierował się na południowy wschód, sądząc, że właśnie tam udali się jego współbracia. Nim ruszył z miejsca, opróżnił maszynę z części bagażu, tworząc potężny pakunek, który wciągnął na linie między gęste konary. Nie wiedział, dlaczego tak zrobił. Może chciał się pozbyć części balastu i sprawić, by pojazd był bardziej zwrotny? A może liczył się z tym, że wcześniej czy później utraci machinę i że w związku z tym będzie mógł tu powrócić i skorzystać z ukrytych zapasów? Znowu zawierzył instynktowi i tajemnemu magnetyzmowi, który nie pozwalał mu mylić się w wyborze drogi. Maszyna posłusznie poddawała się jego woli. Kiedy zwalniał, opadała, ryjąc grunt i ciągnąc za sobą ogon z wyrywanych traw i wyrzucanego w górę piasku. Omiatał wzrokiem teren, szukając czegoś, co skojarzyłoby mu się z rozbitkami i rodzinną planetą. Jechał wolno, bo nie chciał niczego przegapić. Uzmysławiał sobie co rusz, że jeżeli ma natknąć się na członków załogi „Met-ar-usa", nie powinien rozglądać się za Urchitami, ale za tubylcami. Za Y-otami, czyli za ludźmi.

— Kolejny kretyński test — psioczył, dumając nad nieznanymi siłami wyższymi, które sprawiły, że znalazł się w tak fatalnym położeniu. — I mnóstwo komplikacji. Bo jak tu odgadnąć, czy to oni, czy nie oni?

Safona nie miała zielonego pojęcia, z czym nie może sobie poradzić jej ukochany. Zastygła w fotelu dumała nad zagadkową przepowiednią, która spełniła się po latach. Wróżby nie kłamały. Przyszłość można było przewidzieć i nawet bogowie poddawali się niepisanym wyrokom losu. Zetknęła się bowiem z krzepkim mężczyzną, który

pochodził zza wielu borów i rzek. Właściwie mógł przybyć z jeszcze bardziej odległych krain. Och, nie tylko spoza wielkiej rzeki Ister! Wędrował przecież nie jak śmiertelny, mający do dyspozycji dwie cherlawe nogi, ale jak heros, ktoś tytaniczny i wielki. Może urodził się za północnym chłodnym morzem, które wyrzucało na brzegi złociste skarby, zwane jantarami?

Wkrótce przecięli trakt, który oglądali poprzedniego dnia, a w chwilę później dojrzeli wędrowca jadącego na mule. Jezdny zamarł w bezruchu, a potem przerażony rzucił się do ucieczki, w popłochu popędzając zwierzę. Panika ogarniała też pieszych, podążających w stronę osady, która rysowała się na horyzoncie. Zatrwożeni przystawali, nie mogąc dociec, cóż to za bóstwo zstąpiło na ziemię i po co ukazywało się śmiertelnym. Mógł to być dobry znak, to prawda, ale również mógł to być zły omen.

Safona zauważyła osadę i radośnie zakrzyknęła, pokazując palcem:

— Tam osiedli moi krewni, tam! Jakżeby inaczej. Zawsze byli mi życzliwi...

Osada przybliżała się i rosła w oczach. Mi-ir zmniejszył prędkość, jakby miał zamiar zatrzymać ślizgacz przed solidną palisadą. Jednak nie zahamował. Skierował maszynę w lewo, łagodnym łukiem opływając zabudowania. Przeciął porośnięte jarzynami okoliczne poletka. Tu nie mogło być jego pobratymców i przeczuwał, że się nie myli. Zawiedziona Safona zaczęła się dąsać, ale Urchita nie zwracał uwagi na jej kaprysy. W jakiś czas później, syta wrażeń, przymknęła powieki, tuląc twarz do oparcia. Zsunęła się na ramię Mi-ira i słodko zasnęła.

Ominął osadę i przyspieszył, lecz po pewnym czasie pojął, że musi zwolnić. Mus to mus! Raz czy dwa natrafił na ślady po dawnych uprawach roli. Nie znający nawożenia Y-oci porzucali wyjałowioną ziemię, pozostawiając jej rekultywację naturze. Coś mu mówiło, że minął już swoich i dlatego zdecydował się zatrzymać ślizgacz.

— Stoimy, obudź się! — klepnął w policzek dziewczynę.

Ta otworzyła oczy i wyjrzała na zewnątrz.

— Czy dopłynęliśmy do wielkiego morza, do pelikanów i palm? — naiwnie zapytała poziewując.

Pojazd osiadł na nierównym kamienistym gruncie, pokrywającym szczyt łagodnego wzniesienia. Wspiął się na obudowę maszyny, ciekawie rozglądając się dookoła. Na błękitnym niebie znaczyły się postrzępione białe obłoki. Panowała cisza. Lekki wiatr chłodził mu policzki. Widocznym stąd traktem z wytartymi koleinami nie posuwał się nikt — ani w jedną, ani w drugą stronę. Otaczała go pustka i tylko krążące wysoko ptaki wydawały się zdawać sobie sprawę z jej ogromu.

Długo się wahał, nie mogąc podjąć żadnej decyzji. Do cna stracił rezon.

— Hej, hej! — zakrzyknął, mocując się ze swoim gardłem. Przyłożył dłoń do ust. Niestety, nie odpowiedziało mu nawet słabe echo. Nikt się nim nie przejmował, a duchy, które w górach złośliwie chichotały, słysząc jego wołanie, tu milczały jak zaklęte. — Hej, hej. Tuuuu-taaaj! — zadarł się znowu, ale bez oddźwięku. Któż to miałby bawić oko maleńkim robaczkiem, zagubionym w labiryntach nieznanego globu? Mógłby tak się wydzierać do końca świata i nikt by go nie usłyszał.

— Jeśli tak — heroicznie rozstrzygnął, wsłuchując się w ciszę — to zabiorę się do tego po swojemu. Trzeba ruszyć głową!

Pomysł, na który wpadł, skojarzył mu się z nudnymi wykładami z geometrii na Ab-dan-gra. Uruchomił ślizgacz i pojechał po spirali, zataczając z miejsca postoju coraz większe kręgi. Zwalniał przy każdym wąwozie, przy drobnych zagajnikach i gajach oraz przy skałach, za którymi ktoś mógłby się kryć. Z uporem zaciskał zęby. Cierpliwość była cnotą. Metodycznie i planowo przetrząsał okolicę.

ZERWAŁA się w panice z murawy i zamarła w obliczu tego, co ujrzała. Przestały ją zajmować zioła i kwiaty. Ślizgacz, który ukryli w zagajniku u podnóża gór, wynurzył się spoza wzniesienia i majestatycznie ku nim sunął, swoim przybyciem zdając się przeczyć prawom natury. Nie powinien był się tu pojawić. Sam nie mógłby udać się ich śladami. Nie był przecież wiernym psem.

— Czyżby tym globem naprawdę władali bogowie? A może postradałam rozum i mylą mnie zmysły? — Ni szepnęła do siebie, do głębi poruszona. Na sztywnych z przerażenia nogach wycofała się w stronę ogniska, omal nie przewracając się na wystającym korzeniu. Z rozpaczą obejrzała się za siebie. — Hej, hej, wojowniku, już po nas! — ostrzegawczo krzyknęła. — Mamy gości!

Odwrócony do niej tyłem Mu-ur grzebał patykiem w żarze i z zaciekawieniem wsłuchiwał się w wywody kruczowłosego chłopaka. Siedzieli na sakwach. Młody Izraelczyk bajtlował o rybach, w które obfitowały tutejsze wody.

— Jakich gości?! — rosły kompan poderwał się i rozejrzał, nie wiedząc, co ją wytrąciło z równowagi.

— Spójrz! To nasz koniec. Prędzej bym się śmierci spodziewała… — pokazała mu ręką, gdy znalazła się obok niego. — Widzisz to samo, co ja?

Przetarł załzawione od dymu oczy i przysłonił je dłonią. Chwilę patrzył. Nie mógł mieć wątpliwości, płynął ku nim ich ślizgacz.

Znaleźli się w potrzasku. Bagatelizując środki bezpieczeństwa, niefortunnie zatrzymali się na odkrytym terenie, snuł się widoczny z daleka dym z ogniska i choćby chcieli, nie mieli dokąd uciec, ani gdzie się ukryć. Ktoś tu przed nimi koczował, zostawiając drwa na opał, więc wybrali to miejsce, by dać ulgę zmęczonym nogom.

— Nie mylisz się, ale to nie mieści się w głowie — odparł. — Nasza maszyna, nie ma drugiej takiej samej.

— Jakim cudem? Co tu robi? I kto ją uruchomił? Na pewno nikt z Yo... — lękliwie domyślała się Urchitka.

— Masz rację, tubylcy nie byliby zdolni do takiego wyczynu — ulegle zgodził się z Ni. — Żaden z Traków nie odblokowałby napędu, a gdyby mu się to udało, nie byłby w stanie ruszyć w drogę. Na wyspie Ab-dan-gra obsługi uczyłem się przez dwa miesiące — wycedził po chwili namysłu i zerknął na nią spode łba. — Może rozbitkom z kapsuły udało się samodzielnie zejść z gór? — olśniła go myśl. — Może to Mi-ir i Li-ip? A nie przeoczyliśmy przypadkiem kogoś, kto uratował się tak jak my?

Za ich plecami wyrósł starzec, który wcześniej krążył w pobliżu, wypatrując rzadkich ziół. Spieszył się, bo również wpadło mu w oczy zbliżające się dzieło urchickiej techniki.

— Ho, ho, to wasz rydwan, nie pozostał w gęstym borze! — wystękał, ciężko dysząc i pokazując krzywym kosturem w jego stronę. — Przybył tu sam, na wasze zawołanie — zapytał — czy posłużył się nim nieznany bóg, umiejący wprawić go w ruch?

Nie odpowiedzieli, bo nie wiedzieli. Mogli tylko się domyślać. Nie spuszczali wzroku z maszyny.

— Dobrze, że nieuzbrojony — wściekle palnęła Ni. — Gdybym zabrała ze statku pociski... Na proroków, miałam na to ochotę...

Prowadzący nieziemski pojazd skorygował kurs, teraz kierując się wprost na nich, jakby z zamiarem ich staranowania, a potem zwolnił. Nie kazał im długo czekać. Maszyna przestała ryć grunt i znieruchomiała.

Młody mężczyzna, który wyskoczył kabiny, nie wyglądał groźnie, chociaż był słusznego wzrostu. Rzucały się w oczy jego jasne, słomiane włosy — charakterystyczny znak rozpoznawczy przeobrażonego Urchity. Nie mógł być ani prymitywnym Trakiem, ani cywilizowanym kupcem z Hellady. Odzienie miał pastusze, bardziej niż skromne. Ni wpatrywała się w niego z nadzieją, czując przedziwny

ucisk w gardle. Mimo to zachowała daleko posuniętą ostrożność — jak wtedy, kiedy samotna jak palec natknęła się na zmierzającego ku goliatowi Mu-ura. Mimowolnie sprawdziła broń.

Wojownik zachował spokój. Wysunął się do przodu. A kiedy obcy uniósł rękę w geście powitania, śmiało uczynił to samo.

Przybyły nie wahał się i odważnie podszedł do ogniska ze świadomością tego, że trafił na swoich.

Nie czuł lęku. Szeroko rozpostarł ramiona, witając ich jak starych znajomych.

— Pokój wam, bracia! Miałem niebywałe szczęście, ciężko was było znaleźć, ale mi się udało — chrapliwie rzucił w języku, którym cała trójka posługiwała się od dzieciństwa. I szybko dodał, wyciągając radośnie dłoń: — Nie dziwcie się, to ja, Mi-ir, pokładowy analityk!

Uspokojona Urchitka odetchnęła z ulgą i wdzięcznością dla kapryśnego losu. Zawstydzona schowała broń.

— Jestem Ni — przedstawiła się, odważnie wysuwając się zza szerokich barów Mu-ura.

Ujrzała zdumienie w niebieskich oczach przybyłego. Zdębiał. Cóż, miał prawo być zaskoczony.

— Na proroków, to miło — wstydliwie wymamrotał. — Jesteś jeszcze piękniejsza niż... — nie dokończył podjętej myśli. — A to kto?.. — zwrócił się w stronę milczącego wojownika.

— To Mu-ur — zdradziła jego imię.

Tym razem dostrzegła w oczach przybysza iskierki gniewu, które jednak zaraz zgasły.

— Pozostała dwójka jest z tej planety. Są tubylcami — pokazała za siebie na starca i chłopca, którzy z niekłamanym zaciekawieniem przyglądali się przybyszowi. — Zdążyli się z nami zaprzyjaźnić.

Mi-ir z lekka skłonił się w stronę tamtej pary.

— A inni? Nikt więcej nie uszedł z pogromu? — analityk poczuł się zawiedziony. Podświadomie liczył na to, że rozbitków, którym udało

się przetrwać upadek goliata, będzie więcej. Nabił sobie tym głowę i nie przewidywał aż takiej porażki. — Oj, kapłani nie byliby radzi!

Ni spuściła smutno głowę, myśląc o techniku Ta-ocie, o uroczej Li-o, z którą zajmowała kabinę, oraz o innych lecących „Met-ar-usem". Miała jeszcze przed oczyma nieopisane skutki tragedii.

— Niestety, nikt — z żalem skwitowała. — Wszyscy jak jeden mąż zginęli w katastrofie — jeszcze teraz ogarniała ją zgroza, gdy to sobie uprzytamniała. Lecz nagle oczy jej zalśniły. — A twój towarzysz, Li-ip? — spojrzała na Mi-ira z odrobiną nadziei.

Przybyły Urchita stał się na chwilę odległy i nieobecny.

— Zmarł z ran, ale już po przeobrażeniu — cicho odpowiedział. — Nie odzyskał przytomności. — Przez moment czuł się jak monstrualne, rozjątrzone zwierzę i wydawało się, że obudzi się w nim uśpiony od wielu pokoleń wściekły praprzodek. — Biedak nie miał żadnych szans!

Ni dokonała szybkiego, ale jakże żałosnego bilansu zysków i strat.

— Zrządzeniem losu pozostało nas troje — gorzko zawyrokowała. — I to z przeszło czterdziestoosobowej załogi, która wystartowała z Ab-dan-gra. Czy mamy się z czego cieszyć? — cierpko zapytała. — Jesteśmy sierotami, tu, na tych ziemiach i na tej olbrzymiej planecie — roześmiała się sarkastycznie. — Dwaj mężczyźni i jedna kobieta. Tylko tyle? Cóż za zadziwiający układ sił?

W tej ostatniej kwestii Mi-ir nie podzielał jej punktu widzenia. Zwrócił się w stronę transportowca. Dał umówiony znak i na stopniach pojawiła się młodziutka czarnowłosa Ziemianka, która wcześniej nie odważyła się wyściubić nosa z kabiny.

— To Safona — oznajmił z prostotą, widząc ich zdumione miny. Nie próbował wdawać się w żadne tłumaczenia czy wykręty. — Pochodzi z trackiego plemienia, którego wojowie nieszczęśliwie wdarli się na pokład kosmolotu, doprowadzając do wybuchu. — I dorzucił z nutą ironii w głosie: — Nikt ich nie przestrzegł, że ze sztuczną gra-

witacją nie ma żartów.

Mu-ur łypnął na Ni, a ich oczy na chwilę się spotkały. Pomyśleli o tym samym.

— A więc to byli wścibscy Y-oci? — zdziwiła się Urchitka.

Ogarnęło ją zażenowanie. Unaoczniła sobie, że nie wszystko, co złe, dawało się przypisać bliżej nieokreślonym siłom wyższym. Z uwagą zlustrowała sylwetkę Ziemianki, zatrzymując wzrok na jej obuwiu, plemiennym stroju i ozdobach. W przeciwieństwie do nich przybyła była starannie odziana. Nie miała na sobie byle jakich łachów.

— Witaj! — Ni zachęcająco rzuciła, gdy nieśmiała tracka pannica zbliżyła się do ogniska. Na gładkiej twarzy Urchitki zagościł życzliwy uśmiech.

Brakowało jej towarzystwa innej kobiety i intuicyjnie wyczuła, że żywa jak iskra tubylcza dziewoja wypełni dojmującą pustkę u jej boku, powstałą po stracie Li-o. Pojęła, że powinna się nią zaopiekować.

Rozdział dziewiąty

TUŻ ZA ich plecami wyrastała ściana stromego urwiska. Spływający z góry potok z czystą, niemal krystaliczną wodą, znaczący się szeroko u jego stóp, był naturalną granicą między ich przypadkowym koczowiskiem a okolicznymi łagodnymi wzniesieniami. Wyglądający jak mała twierdza ślizgacz oddzielał skąpy skrawek wąskiego trójkątnego wybrzeża od otwartego terenu. Tu nie mogło ich nic złego spotkać, a ich prowizoryczny obóz pozostawał doraźnie osłonięty przed wrogami — nadmiernie domyślnymi tubylcami, zdolnymi wpaść na ich ślad i dzikimi zwierzętami, wyruszającymi nocą na łowy. Prawdę mówiąc, nie musieli się nikogo bać, byli bowiem przyzwoicie uzbrojeni. A ponadto poza młodzikami nie miałby kto stawić im czoła. Wojowie z okolicznych rodów wyprawili się bitnie w dół rzeki, a we wioskach pozostali tylko starcy z kobietami i dziećmi.

Znudzonemu Mi-irowi wyraźnie brakowało zajęcia. Krążył wzdłuż cichej przystani, bezmyślnie kopiąc leżące kamyki i leniwie zaglądając w różne kąty. Gdyby był na pokładach „Met-ar-usa", miałby czym wypełnić czas. Wybrałby się do sali ćwiczeń na czwartym poziomie, do cichej biblioteki na drugim lub po prostu ślęczałby przed monitorem. Tamten rozdział życia miał jednak za sobą. Bezczynnie się plątał, wreszcie dla zabicia czasu zaczął wspinać się wąską ścieżyną w górę wartkiego strumienia. Wyżej w niewielkim zakolu Mu-ur i Abihu cierpliwie łowili ryby, posługując się wędkami, które sami wykonali. Wykorzystali do tego celu wyjęte ze ślizgacza długie elastyczne tuleje i szpule cienkiej linki. Wstydliwie zakasłał i przysiadł obok skupionych wędkarzy, jednego z planety Urch, a drugiego z Ziemi, zapuszczając żurawia do blaszanej puszki z żywą przynętą.

Cofnął się zaraz z odrazą. Wijące się robaki odbierały apetyt.

— Biorą? — kurtuazyjnie zapytał, pamiętając, że zwątpił w słuszność metody, do której odwołał się wojownik, majstrujący o świcie przy wędziskach. Uważał, że najlepiej rzucać w ryby dzidą, co wędkarzy mocno rozbawiło.

Ryby brały, zaś spławik co rusz nurkował w wodzie. W umocowanej na dnie siatce znalazło się kilka okazów i Mi-ir nabrała ochota, żeby tej dwójce zaoferować pomoc. Miałby nadal poziewywać i kręcić się bez celu wokół ogniska lub asystować przeróbkom odzieży przytarganej z osady? Zachwalane przez karczmarza łachy nie były przedniej jakości. Zależało mu na butach i przy nich posiedział, ale kiedy starzec z pomocą Safony dopasował mu parę z ładowni ślizgacza, przestał im asystować. Abihu pokazał mu, jak trzymać wędkę i jak podcinać rybę, która połakomiła się na przynętę. Wkrótce pozostał sam przy tym na pierwszy rzut oka nietrudnym zajęciu, gdyż rosły łowca i szczupły chłopak wybrali się w górę wąwozu. Chcieli dotrzeć do płaskowyżu i rozejrzeć się po okolicy. Nęciły ich zalesione wzniesienia.

Zajęty podglądaniem ryb Mi-ir nie zapytał, kiedy zamierzają wrócić. Siedział w grobowym milczeniu, śledząc krążące pod powierzchnią wody podłużne cienie, gotowy w każdej chwili poderwać wędkę. Czuwał przy obu stanowiskach, wpatrując się w przejrzystą toń i piaszczyste dno. Zakątek należał do uroczych, jednak w samotności nachodziły go posępne myśli. Nie umiał ich od siebie odpędzić.

— Widzicie, niemoty? — smętnawo filozofował, poszeptując do niemych ryb. — Rywalizujecie o samice i rwiecie się do godów, wyszarpujecie sobie pożywienie, walczycie, zadręczacie się i trudzicie. A tu koniec rozpaczliwie bliski, czy tego chcecie, czy nie. Nie minie sekunda i już po was! Wystarczy, że nadciągnie silniejszy stwór i szeroko otworzy uzębioną paszczę. W mig traficie do jego głodnego

żołądka. Oj, biedaki, brakuje wam szczęścia! — rozwlekle ciągnął, zagłębiając się w sekrety niekończącego się cyklu życia i śmierci. — Może mi powiecie, że nie mam racji? I że trzeba cieszyć się tym, co się ma? Rozkoszować się każdą chwilą i nie myśleć o tym, co przyjdzie potem? To tandetny wybieg — spekulował. — Perfidne oszustwo. Nie dajcie się na to nabrać. Jakże przedziwna ta przyroda, jakże zmienna i kapryśna, nieokiełznana i furiacka. A przy tym rozrzutna i oburzająco nieoszczędna. Gwarantuje ciągłość gatunkowi, ale za nic ma jednostkę...

Brzany krążyły, to zbliżając się, to oddalając od spławika. Trącały cykady. Dawały się łatwo podejść. Nie zajmowało ich, co myśli siedzący nad wodą goliat, ani nie docierały do nich jego szeptane ostrzeżenia. Kolejna złapała się na ostry haczyk. Zdjął ją i odrzucił z powrotem do wody. Była za mała, aby nadawać się nad ognisko. Górujący nad Urchitą w tym fachu Abihu chwytał o wiele większe. Przemknęła mu przez głowę myśl, że powinien zapolować na nie według własnego planu i rozprawić się z nimi tak, jak to zrobił na oczach Safony z wiekowym dębem — wiedział jednak, iż nie należy bez pilnej potrzeby popisywać się bronią palną. Wszystko miało swoje granice. Decydując się na taki krok, naruszyłby niepisany rytuał, święty dla myśliwego, który ciesząc się uderzającą przewagą pozostawia furtkę osaczonej zwierzynie. Jeżeli niedoszła ofiara popisze się zręcznością i wymknie z zastawionej pułapki, może dalej cieszyć się życiem.

Znudziło mu się bezczynne ślęczenie. Podniósł się, by rozprostować kości. Rozstał się z wędkami, osadzając je między oblepionymi przez małe ślimaki mokrymi kamieniami. Odszedł kilka kroków. Ziewnął szeroko, nie zasłaniając ust, a potem przeciągnął się aż strzeliły kości.

— Na duchy gór, jaki ładny dzionek! — zakrzyknął, ale nie za głośno, nie chcąc budzić echa.

Z dala dostrzegł, że spławik drgnął, a wędka się lekko ugięła i za-

częła dygotać, ale nie chciało mu się wracać, by zająć się mizerną zdobyczą. Wkrótce ponure myśli znowu go dopadły. Może z kosmosu napływały ciche sygnały o ukrytym zagrożeniu, drażniąco oddziałując na jego podświadomość? Brakowało mu skąpo oświetlonych korytarzy „Met-ar-usa", pokładowego regulaminu i z umiarem dozowanej dyscypliny. Podobne do siebie senne dni lotu wypełniała regularna praca. Dawała poczucie satysfakcji. Zadumał się nad swymi obowiązkami, z których z reguły wywiązywał się bez zarzutu.

— Ech, te niedorzeczne testy — żachnął się z żalem, mając niejakie pretensje do ślepego losu. — Dlaczego moje życie na tej durnej planecie musi składać się z koszmarnych poniżeń? — smutno płynęły jego słowa. — Jakby ktoś urągliwie zabawiał się moim kosztem. I cynicznie sprawdzał, czy przetrwam w skrajnych warunkach! — Z trzema ekstremalnymi zadaniami jakoś sobie poradził: dotarł z gór do kosmolotu, odnalazł ukryty ślizgacz, wreszcie — dołączył do pozostałych Urchitów. Wyciągnął przed siebie dłoń, prostując trzy palce. — Na bogów tej planety — nie na żarty się zniecierpliwił. — Z czym ma się wiązać czwarte wyzwanie? Przecież nic się wokół mnie nie dzieje...

Od świtu dochodziło w koczowisku do drobnych nieporozumień. Powoli się docierali. Te incydenty były z pozoru bez znaczenia, tym niemniej nie uchodziły jego uwadze. Dziwiło go, dlaczego Mu-ur i Ni chcą wędrować pieszo i nie pojmował, czemu noszą się z zamiarem ponownego ukrycia ślizgacza. Pragnęli pozbyć się tej maszyny jak prawdziwego nieszczęścia i w związku z tym posądzał ich o uleganie pokątnym namowom starca. Potem uderzyło go, że Ni traktuje Safonę jak swoją niewolnicę. Jej gesty były nad podziw wielkopańskie i dumne. Widział to na własne oczy. Urchitka władczo nakazała Safonie przenieść bagaż, a młódka ochoczo się do tego zabrała, zbyt gorliwie jak na jego gust. Od czasu do czasu rzucał okiem na gnącą kark dziewkę, wprost rwącą się do usług, by w końcu odkryć ze zgro-

zą, że wykonywanie poleceń kapryśnicy z Urch sprawia jego ziemskiej wybrance masochistyczną przyjemność. Zapomniała, że jest córką wodza, czy co? Zblazowany zawrócił i rozsiadł się przy wędkach, analizując te drobne epizody i starając się o żadnym szczególe nie zapomnieć. Znowu przykleił się do ryb. Zaczął im się pokrętnie zwierzać.

— Nie ogarniam tego, do diaska. Może brak mi konsekwencji? Jeśli jest skutek, powinna też być przyczyna. Z pozoru poprawnie rozumuję, zawsze ceniłem logikę, jednak wciąż wyciągam mylne wnioski — szeptał, weryfikując budowane na pieńku hipotezy. — Gdzie popełniłem błąd? Może wy mi powiecie? Jeśli potraficie…

Ryb nadal nie obchodziło to, czym się zadręczał siedzący nad wodą ich prześladowca — lecz Mi-ir w pewnej chwili i bez ich pomocy doznał olśnienia.

— Już wiem, mam, to Ni. Ona jest winna… — odnotował z dziką satysfakcją.

Poderwał się, płosząc ryby i przewracając wędkę. Puściły mu nerwy. Omal nie stracił równowagi. Drzemały w nim stare nawyki i nieświadomie założył, że zdąży podeprzeć się ogonem. Nagle cała jego wściekłość zwróciła się przeciw urchickiej bogdance. W gniewie zacisnął pięści. Powinien był tej dupie zdrowo przetrzepać skórę. Zmrużył oczy i podejrzliwie spojrzał pod słońce. Ni samowolnie przejęła dowództwo nad grupą rozbitków, zajmując tym samym święte miejsce Aga, który wcześniej z werwą kierował wyprawą międzygwiezdną. Skrzywił się z odrazą. Dlaczego Urchitka przypisała sobie prerogatywy wodza? Nikt jej ich przecież nie przekazał.

Usiadł i odsapnął, osadzając wędzisko między kamieniami.

— Czyżby następny absurdalny sprawdzian miał się wiązać z pokładową grymaśnicą, która na Y-o uległa pokusie władzy? — dociekliwie indagował ryby, radząc się ich tak, jakby znalazły się wyżej od niego na drabinie ewolucji. Skupił uwagę na Urchitce i zabulgotał w

uniesieniu. — Nic z tego, wredna suko — prychnął, obnażając białe zęby. — Nie pójdzie ci ze mną tak łatwo! — Wyobraził sobie, że wściekle skaczą sobie do oczu. — Tamci mogą padać przed toba na kolana — warczał do wapiennej skały, wyrastającej po drugiej stronie potoku — i robić, co im każesz. Mogą spełniać twoje kaprysy. A ja nie. Nie będę tańczył jak mi zagrasz, wiedźmo z A-sa-an!.. — Doznał kolejnego olśnienia i znowu impulsywnie się poderwał, tym razem pilnując, by nie potrącić wędki. — A może to ja — jego brwi powędrowały wysoko, kiedy pokazywał na siebie palcem — powinienem tu dowodzić?

Jęknął, przypominając sobie sielskie zabawy, w których jako wątła pociecha brał udział na rodzinnej planecie. Nigdy nie pociągała go władza i nie miał instynktów przywódczych. Lubił być równym między równymi. Maluchy krążyły w kole, dziarsko trzymając się za ogony. Urchicka dziatwa była hałaśliwa lecz ujmująca.

— Było się młodym i naiwnym! — wyskamlał.

Pojął, że powinien dać sobie spokój z chmurnymi rozważaniami. Wiedział już, w czym rzecz. Czuł palący żal do Mu-ura i do Ni, bowiem nie zaczekali na niego, lekką ręką zapisując go na straty i skazując na poniżenia ze strony zacofanych tubylców. Porzucili go, pozostawiając bez żadnego oparcia. Tylko prawdziwy cud sprawił, że przetrwał i że nie przepadł bez śladu. Zawinili wobec niego — dumał osowiały — i powinien był im tym samym odpłacić.

Mu-ur i Abihu wracali i dobiegły go ze skarpy ich głosy. Pokrzykiwali i pohukiwali, popisując się i naśladując udolnie tutejszą dzicz. Któremuś dobrze wychodziło wycie wilka. Czuli się jak u siebie w domu i nie przejmowali się tym, że ktoś obcy i niepowołany może ich usłyszeć, a kierując się niegodziwymi zamiarami chyłkiem podążyć ich śladami. Zacietrzewienie przeszło mu jak nożem uciął. Nie chciał się mścić. To nie miało najmniejszego sensu. Gdyby nie oni, byłby sam jak palec. W położeniu bez wyjścia.

— Hej, hej! — wołano na niego.

Myśliwy dumnie niósł upolowaną sarnę. Zwisała mu przez ramię, trafiona strzałem w łeb. Wyprostowany, schodził z powagą po zboczu, pilnując, by nie stracić równowagi. Abihu podążał jego śladem, dzierżąc dużego ptaka o barwnym upierzeniu.

— Gratuluję — układnie kłapnął Mi-ir. — Grunt to rodzinka. Nie umrzemy z głodu.

Chłopak zatrzymał się przy niedowarzonym wędkarzu, fachowo oceniając stan łowiska.

— Tu nie będą brać — rzekł bez wahania. — Musicie przenieść się trochę wyżej. No i zmienić przynętę.

Mi-ir podporządkował się mu bez oporu. Akurat na tym polu niewiele miał do powiedzenia. Brzany i pstrągi rzeczywiście nie brały, jakby wymyślna gra, zaproponowana przez ogromne istoty z brzegu, już im się znudziła, a teraz zniecierpliwione oczekiwały na nową, bardziej podniecającą.

Chłopak zajął się szukaniem innego miejsca, kierując się w górę za kolejne zakole. W zatoczce na dnie strumienia znaczył się żółty piasek. Pochylił się, by osadzić wędzisko.

Urchita potulnie za nim podążył. Stał za nim, czekając, aż sobie z tym poradzi.

— Masz na imię Abihu, nieprawda? — pytanie było zatrważająco arcybanalne. W przeciwieństwie do Mu-ura, który wcześniej poznał bliżej młodego Ziemianina, analityk nie miał dotąd okazji, by z nim pogadać w czetry oczy. Nie byli dotąd sam na sam. — Co oznacza twoje imię, o ile coś oznacza?

Chłopakowi ręka z wędką wyraźnie zadrżała. Pewnie nie miał do nowo przybyłego wystarczającego zaufania. Powoli się wyprostował, myślami umykając daleko na południe, poza góry, do Hellady, albo jeszcze dalej, za pokryte licznymi wyspami morze, aż do Egiptu i afrykańskich krain za kataraktami.

— Wiatrem jestem, wichrem północnym — po chwili odpowiedział. — Tak mnie nazywali w mojej rodzinnej osadzie. Lubię gnać po łąkach, po borach, kryć się za skałami i buszować między konarami drzew...

— Możesz zwracać się do mnie po imieniu — zachęcająco rzekł do wyrostka. — Słyszałem, że jesteś na ty z Mu-urem — popadł w zadumę, uśmiechając się do swoich myśli. — Bywało, że nie przepadaliśmy za sobą, a nawet traktowaliśmy się wrogo. Ale teraz... — machnął ręką — To jest już mało ważne...

Chłopiec z lekka się ożywił.

— Lubię wołać do innych po imieniu — pochwalił się Mi-irowi. — Tak jest w zwyczaju w rodzie i w plemieniu. Abihu — wyjawił — to imię z Judy. To imię zza wielkiego morza, które można obejść, przedostając się przez cieśninę i wędrując przez ziemie Persów. Nie znam mego ludu, bo ojciec i matka przybyli z dalekiej Babilonii. Cyrus podpisał dekret, pozwalający powrócić wygnanym synom Izraela na prastare ziemie. Jednak moi rodziciele wybrali Milet. Musieli potem z tego miasta uchodzić, gdyż Grecy zbuntowali się przeciw satrapie. I dobrze starzy uczynili, bo Persowie ponoć złupili je do cna. Dotarli wreszcie do ujścia Hebrosu, gdzie się urodziłem. Tam pomarli, gdy przyszła zaraza. Mój opiekun obiecał mi, że kiedyś pospołu udamy się do Jeruzalem, może statkiem z Aten, a może nie. Mówił, że polecimy tam jak ptaki, jak Ikaros i jego ojciec z pradawnych opowieści...

Mi-ir zmarszczył brwi. Próbował sobie uzmysłowić, jak przebiega poszarpana linia wybrzeża i na co można się natknąć za rozległym śródziemnym akwenem wodnym, o którym wzmiankował siwobrody.

— Czyżby?! — odniósł się do z rezerwą do tego, co usłyszał. — Obiecał ci coś takiego? — wzruszył sceptycznie ramionami. — To ogromna odległość. Nie wystarczy przypiąć sobie skrzydeł ptaka...

Abihu nie zamierzał wdawać się w spory i porzucił ten temat.

— Teraz będą brać — zawyrokował. — I możecie… możesz jeszcze kilka złapać, o ile nie opuści cię ochota.

Chłopak odszedł. Mi-ir machinalnie przytaknął, przysiadł na płaskim kamieniu i nagle ogarnęło go dziwne przeświadczenie, że jest bardzo stary — tak stary, jak rosnące od niepamiętnych czasów wiekowe dęby, mające ogromne pnie, a i już niewiele liści. Zamarł, spoglądając na cienie ryb, które pilnie krążyły wokół spławika i głęboko się zadumał. Można było odnieść wrażenie, że niewidoczny pająk smutku zasnuł go szarą siecią, zamykając w cichym kokonie i oddzielając od pełnego barw świata. Gdyby znieruchomiałego Urchitę ktoś teraz zapytał, nad czym tak medytuje, pewnie zdziwiłby się i nie umiałby odpowiedzieć.

OBOK rozbitych przy ścianie urwiska trzech namiotów widniały trzy prymitywne, lecz mimo to wygodne legowiska, osłonięte pokrytym gałęziami i liśćmi prowizorycznym okapem, umocowanym na wypadek deszczu. Na niepogodę jednak się nie zanosiło, a niebo nad nimi było bezchmurne. Paliło się ognisko. Zmieniające kierunek lekkie porywy wiatru przegoniły Ni na inne miejsce. Usiadła po drugiej stronie, nie chcąc, żeby snujący się dym gryzł ją w oczy. Przycupnęła obok Safony i całą uwagę skupiła na jej zajęciu. Dziewczyna cierpliwie nawlekała na cieniutką linkę drobne czerwone owoce, które przyniósł jej z lasu Abihu. To była ubiegłoroczna jarzębina. Przydała się igła, którą chował w spłowiałym worku zapobiegliwy brodacz. Jej tracka przyjaciółka ruchy miała pewne i szybkie, więc spod zręcznych palców w mig się wyłonił foremny sznur korali.

Zobojętniały Mi-ir zerkał na nie z ukosa, główkując nad tym, jak się w przyszłości ułożą ich stosunki w osobliwym zespole, który tworzyli. Zapędzono go do smażenia ryb i czuwał przy ognisku, prze-

wracając je na żelaznej kracie. Wcześniej je natarł z obu stron przygotowaną przez starca przyprawą, złożoną z kryształków soli i mieszaniny suszonych ziół. Podniósł z zaciekawieniem wzrok, gdy Safona uporała się ze swoją robótką i z dumą wręczyła ją Urchitce. Ni przymierzyła korale z zażenowaniem, a potem wybuchła perlistym śmiechem.

— To dla mnie? — wstydliwie usiłowała się upewnić. — Doprawdy przepiękny prezent. — Założyła je sobie na szyję, żałując, że nie zabrała ze statku kosmicznego żadnego zwierciadełka, w którym mogłaby się przejrzeć. No, ale kto miałby myśleć tuż po katastrofie o takich rzeczach?

Starzec, który drewnianym młotkiem wyklepywał kocioł z pogiętej blachy miedzianej, przerwał to żmudne i monotonne zajęcie. Spoglądał jak urzeczony na obie młódki. Mi-ir jednak z grymasem pogardy na twarzy oszacował wartość daru.

Safona przytaknęła, poprawiając dłonią włosy, opadające jej na czoło.

— Jakżeżby inaczej, dla ciebie. Zdobią się takimi u nas niewiasty, zwłaszcza jeśli nie stać je na jantar.

Ni ważyła chwilę korale w dłoni i można było odnieść wrażenie, że otrzymała znacznie więcej, niż się spodziewała. Po chwili namysłu sięgnęła do sakwy, pragnąc się czymś Safonie zrewanżować. Miała łzy w oczach. Może przypomniała się jej szczebiocząca po wachcie rezolutna Li-o, z którą dzieliła kajutę?

— I ja mam coś dla ciebie — szybko się zdecydowała. Jednak nic na odczepnego. — Ta rzecz pochodzi z mojej planety... — zająknęła się i zaraz się poprawiła. — To dzieło mojego plemienia...

Szkatułka z kabiny dowódcy wyprawy błysnęła w słońcu, które zatańczyło na jej nierównej powierzchni złotymi refleksami. Była bezcennym dziełem sztuki. Tak piękne okazy z pewnością nie krążyły między wioskami i osadami tubylców — nawet po wyprawach, z

których bitni wojowie przywozili łupy. Ni wcześniej wyjęła z niej kryształ informacyjny i mieszczący się na dnie odtwarzacz.

Safona nie mogła ukryć zachwytu.

— Na bogów, jakież to wspaniałe — w uniesieniu zawołała. — Czymże jest w porównaniu z tym mój skromny upominek? A może ci odrobię tę kasetkę? — zaczęła się zastanawiać. — Albo za nią zapłacę? — wypaliła naiwnie.

Mi-ir wyszczerzył zęby. Biedaczyna nie miała pojęcia o handlu. Za jej monety z elektronu, choć mające pewną wartość, żaden kupiec nie odstąpiłby podobnego cuda.

— Nie mówisz serio? To też prezent! — obruszyła się Ni.

Można się było domyśleć, że tracka dziewka, mimo że była córką wodza, pierwszy raz w życiu dzierżyła w dłoniach tak królewski przedmiot. Oglądała szkatułę ze wszystkich stron, piszcząc z radości. Potem skoczyła jak łania ze swoją zdobyczą nad brzeg strumienia, z wdziękiem przysiadając tuż nad taflą wody, aby nacieszyć się darem w samotności.

Mi-ir niemrawo za nią pociągnął. Tak poruszonej jeszcze jej nie widział. Dotąd powściągliwa i cicha, raczej nie okazywała niepohamowanej radości. Wyczuła go za swymi plecami i pojął, że dziewczyna pragnie, by dzielił z nią jej szczęście.

— Na matkę bogów, czyż to nie jest zachwycające? — zwróciła się do niby-męża, pana i władcy.

Okazałby wyjątkowy brak taktu i sprawiłby jej przeogromną przykrość, gdyby w takiej chwili ośmielił się zaprzeczyć.

— Nie da się ukryć, czarowne — wydusił z siebie cherlawą pochwałę. Miał przy tym wrażenie, że gardło wypełniają mu wodorosty. — Bardzo cię Ni polubiła… — odkrywczo dorzucił, nie pojmując, co strzeliło do głowy kapryśnej anielicy z „Met-ar-usa".

Wodziła drobnymi palcami po misternych wypukłościach i dotykała z podnieceniem każdego finezyjnego wzoru. Zajmowały ją nie-

równości i wgłębienia, krawędzie i puste wnętrze pudełka, wyłożonego szkarłatną materią z gniazdem na nośnik informacji. Dotykała z obu stron wieczka, które poruszało się na ledwo widocznych zawiasach.

W pewnej chwili jednak zapiszczała z odrobiną trwogi i poderwała się na równe nogi.

— Nieee!

Gdyby nie refleks Mi-ira, cenny podarek Ni wpadłby do wody i porwałby go nurt strumienia. Urchita jedną ręką błyskawicznie złapał puzderko, drugą przytrzymując tracącą równowagę dziewczynę.

— Na proroków, co się stało?! — krzyknął, rozzłoszczony jej nieporadnością. — Taka z ciebie oferma?

— Tam coś się ruszało — lękliwie oznajmiła w swojej obronie, pokazując mu palec, na którym znaczyła się kropelka krwi.

Boczna ściana szkatułki niespodziewanie się uchyliła, odsłaniając niewidoczną wcześniej skrytkę. Zaskoczony Mi-ir rzucił okiem do środka. Przeszył go lęk, że mimowolnie przytaskali na Y-o jadowitego pająka, ale zaraz z ulgą odetchnął.

— Do licha, to niesamowite — żachnął się zdębiały.

Nie wahając się ani chwili, wytrzepał zawartość na otwartą dłoń.

Zafrapowana Ni zbliżyła się i zrobiła wielkie oczy.

— Jeszcze jeden kryształ informacyjny? — z przejęciem pochyliła się nad kasetką, zadyndały przy tym jej korale, a potem pytającym wzrokiem obrzuciła Safonę i Mi-ira. — A to ciekawe — zagadnęła. — Kto go tak starannie ukrył? I po co?

Rozdział dziesiąty

WSZECHŚWIAT ulegał przeobrażeniom na gigantyczną skalę, lecz rejestrujący je nieznany obserwator zdawał się im nie poddawać — jakby bezcieleśnie bytował ponad przestrzenią i czasem, a miliardy lat były dla niego nieledwie ulotną chwilą. Czuł się między olbrzymimi skupiskami gwiazd jak kolorowy motyl między kwiatami na łące. Nagranie pozbawiono dźwięku, mimo to stanowiło niezaprzeczalne dzieło sztuki. Z pewnością nie pochodziło z Urch. Fenomenalny demistyfikator miał wręcz obsesję na punkcie najważniejszego z żywiołów — ognia. Dzięki niemu z zapartym tchem mogli śledzić narodziny spiralnych galaktyk i wielkich gwiazd. Towarzyszyć potężnym wybuchom i następującym po nich kolapsom. Niemego giganta z kamerą fascynowały ponadto tajemnicze podróże. Mknął przez otchłanne próżnie, a kolejne obłoki materii gwiezdnej rozbiegały się przed nim na wszystkie strony. W końcu wędrowiec zwolnił, zbliżając się do celu podróży, a mglista chmura złocistego pyłu zaczęła rosnąć i nabierać wyrazu. Wyłoniły się z niej galaktyki, różniące się rozmiarami i kształtami.

— Efektownie zrobione, nie sądzisz? — zapatrzona Ni zwróciła się do sterczącego obok Mi-ira.

Z rozwagą skinął głową. Mieli nad sobą nocne rozgwieżdżone niebo. Nieopodal płonęło ognisko.

— Dalekie od naszych tradycyjnych liniowych narracji — rozstrzygnął z miną prawdziwego profesjonalisty. Na Ab-dan-gra lubił się popisywać znajomością wysmakowanych osiągnięć artystycznych. Bywało, że zafascynowani słuchacze wpatrywali się w niego jak w tęczę. — Jak pamiętam, ku podobnym rozwiązaniom skłaniali się nie-

którzy twórcy z Lipsuarra, ale nie znaleźli... eee... zrozumienia — zachłysnął się, z żalem uciekając myślami do tamtych chwil. — Widać wyprzedzali swoją epokę...

Mu-ur podszedł, pochylił się nad aparaturą i nadstawił uszu.

— Ciiii... — syknął skupiony, więc skarcony gaduła natychmiast zamilkł.

Wsłuchiwał się w ledwo słyszalny szum dochodzący z wirtualnych głośników. Potem skrzywił się i obojętnie machnął ręką. Wszystko działało jak trzeba.

Wokół wyłuskanego z czerni słońca krążyły tylko dwa globy. Pojętny kamerzysta, prowadzący jak hipnotyzer ich wzrok, zdecydował się na nieprzewidziany manewr. Zsunął się w okamgnieniu na powierzchnię jednej z planet. Na szczęście, nie straszyła martwotą i pustką. Znaleźli się w pełnej mgieł gęstej dżungli o obcej dla nich dzikiej roślinności. Kamerzysta mknął zygzakami przez zbite zielone chaszcze, nie pozwalając zatrzymać wzroku na okazach flory, by nareszcie przystopować się na skraju oświetlonej słońcem sporej polany.

— Na proroków, to aotusy! — krzyknął z przejęciem Mi-ir. — Prawdziwe.

Przypatrywali się niewielkiemu stadu, chłonąc szczegóły budowy. Obraz wreszcie przygasł, a w chwilę później pojawiły się znowu zarysy tego samego skupiska gwiezdnego.

— Ich gniazdo? Czyżby stamtąd pochodził ten jedyny w swoim rodzaju gatunek? — próbowała dojść z tym do ładu urchicka piękność. — Jeżeli mamy do czynienia z mistyfikacją, to należy do nadzwyczaj udanych — ciągnęła, uderzona tym, co ujrzała. — Ha! Przecież wiemy, jak wyglądały te potwory, bo ich kształty wiernie odtworzyli nasi archeolodzy — dzieliła się swymi domysłami, nie spuszczając wzroku z projektora. Potem naraz przypomniała sobie, o czym z bólem mówił wielki Mi-as i zadziwiona zamilkła. Przebiegło jej przez gło-

wę, że zajmujący się pradziejami wcale nie musieli się trudzić nad rekonstrukcją poczwar. — Do diaska, przecież polujący na przeobrażonych Urchitów oglądali je na własne oczy — odkrywczo palnęła, dziwiąc się, że wcześniej na to nie wpadła. — Żywe...

Kapryśny gigant wyrwał się w kosmos. Cóż to był za widok! Trasa biegła od układu słonecznego, do którego przed chwilą zajrzeli, ku nowemu celowi podróży. Zbliżał się lotem błyskawicy. Trafili do skupiska gwiazd o kształcie silnie spłaszczonej elipsoidy z zagęszczonym jądrem pośrodku. Wpadli między miriady słońc, ale prowadzący kamerę niebawem opuścił centrum galaktyki. Pognał na peryferie, zagłębiając się w jedno z ramion gwiezdnych.

Ni od razu odgadła, dokąd tym razem poniosło kosmicznego obieżyświata. Miewała przebłyski geniuszu.

— Tak myślałam, leci na naszą ukochaną Urch — uradowała się i z rozrzewnieniem pokazała palcem trzy jasne plamki. — Nie mylę się, jakżeby inaczej, witajcie w domu, kamraci...

Niby to posłuszny jej poleceniu kosmiczny gigant z kamerą w ręku wybrał jedną z trzech gwiazd i znużony drogą zawisł ponad powierzchnią otulonej chmurami planety, której obraz nosili ukryty głęboko w pamięci. Znieruchomiał na orbicie.

— Faktycznie, nie mylisz się, to Urch — zgodził się Mu-ur, stojący za nimi z porcją upieczonej ryby. Zachłannie włączył się do rozmowy. — Wystarczy rzucić okiem na zarysy kontynentów. A tam jej księżyce — mówił z prawie pełnymi ustami. — O, tu widać wyspę Ab-dan-gra. A tu gwieździsty kontynent, z którego pochodzę — machał wystruganym z drewna widelcem.

Można było mówić o sakralności chwili. Przyglądali się z nabożeństwem ojczystej ziemi, czując, że wzruszenie ściska im gardła. Była to dawna Urch. Przez kłębowiska chmur przeświecały dziewicze tereny, których jeszcze nie zagospodarowano.

Starzec łypał na to jednym okiem. Był zajęty doglądaniem pieką-

cych się ryb. Safona i Abihu gdzieś razem przepadli, mimo że było już po zmroku, i to drugi raz tego dnia, więc chcąc nie chcąc musiał sam krzątać się przy ognisku.

Napływająca z góry tajemnicza korweta nie skojarzyła się im z niczym bliskim. Nie miała żadnego znanego im napędu. Niewiadomego pochodzenia widmowy kolos osiadł łagodnie na nierównym niegościnnym gruncie, tracąc zaraz po lądowaniu swe opływowe kształty i ślamazarnie wysuwając na wszystkie strony czułki towarowych kluz. Dzięki upiornej grze świateł był widoczny w mroku nocy. Rozpoczął się ruch. Z jego przepastnego wnętrza roboty transportowe zaczęły wydobywać nieduże kontenery. Otwierały je, uwalniając przewożone nimi szybkonogie okazy, a potem zabierały puste z powrotem. Podobne statki opadały wszędzie, gdzie się tylko dało, pokrywając sobą nagie kamieniste wzgórza i wypluwając po wylądowaniu ze swych pojemnych wnętrz ten sam żywy ładunek. Właściwie była ich cała flotylla. Nie wierzyli własnym oczom. Kolejne oszołomione aotusy odzyskiwały swobodę ruchów, natychmiast kryjąc się w pobliskich gęstych skupiskach zieleni. Pochłaniała je żarłoczna dżungla. Wolne od biologicznego balastu spedycyjne korwety przyjmowały wcześniejsze kształty, jedna po drugiej niespiesznie unosiły się w górę i odpływały w mrok. Ich nawigatorzy wywiązali się z nałożonej na nich misji i mogli z ulgą powrócić do odległej kosmicznej bazy.

— I pomyśleć — rzekł Mi-ir do wojownika. — Musieliśmy pożegnać na zawsze Urch, żeby to zobaczyć... To działo się jakieś... półtora tysiąca lat temu. A może znacznie wcześniej?

Mu-ur machinalnie przytaknął.

Horrendalnemu kamerzyście przypadła do gustu rola skrupulatnego dziejopisa. Jego wyrywkowe raporty ze zmieniającego się planu były poświęcone niełatwym początkom przypominającego podrzucone kukułcze jajo gatunku. Jak się okazało, przybyłe z gwiazd

potwory natrafiły na zdecydowany opór ze strony rosłych okazów rodzimej fauny. Z wypiekami na twarzy śledzili wściekłą walkę osaczonego aotusa z pięcioma rosłymi grzywaczami. Ociekający trującym śluzem czarny potwór poradził sobie z nimi, białymi kłami rozdzierając je kolejno na strzępy, ale i tak się nie uratował. Ni przeszył zimny dreszcz. Miejsca poległych w krwawym starciu szybko zajęły następne grzywacze, a pole bitwy zasłały dziesiątki poszarpanych ciał. Obcy w końcu osłabł i uległ wobec liczebnej przewagi.

Potem kamerzysta odsłonił przed nimi nową odmianę grzywaczy.

— Ufff, to już po przeobrażeniu — z ulgą podsumowała Urchitka. — Poradziły sobie te maszkary...

Prymitywni przodkowie koczowali w plemiennych kręgach przy rzucających wysoko skry ogniskach. Poruszali się wyprostowani i okrywali się odzieniem ze skór. Posługiwali się włóczniami, łukami i strzałami. Później parali się nie tylko myślistwem, ale i pasterstwem, spulchniali ziemię, zasiewali ją i zbierali plony, zaś sprzęty, którymi się otaczali, dowodziły, że radzą sobie coraz lepiej. Ujęcia zmieniały się jak w kalejdoskopie. Migały im przed oczyma pierwsze stawiane na planie koła sadyby z kamiennych brył i zadbane przyzagrodowe działki, okolone umocnieniami wioski i osady, oraz łączące je trakty, a wreszcie chronione wysokimi murami i głębokimi fosami niezdobyte fortece z czasów przed zjednoczeniem plemion.

W pewnej chwili skupiona Ni niepokojąco krzyknęła i poleciła czym prędzej zatrzymać czytnik.

— Jesteś stuknięta, czy co? — zdenerwował się Mi-ir, który chciał oglądać dalej.

— Spokojnie, zaraz zobaczysz, fujaro — odfuknęła, nie przejmując się jego irytacją.

Jej kobiece oko wyłuskało z ciemnego tła coś, co inni by przeoczyli. Obraz zastygł we wskazanym miejscu, a przejęta do głębi Urchitka pokazała im palcem zarysy tajemniczej postaci, z pewnością nie po-

chodzącej z ich planety.

Mu-ur manipulował przy projektorze, chcąc uzyskać maksymalne powiększenie.

— Przecież to absurd — porywczo zawołał Mi-ir, nie wiadomo dlaczego zwracając się z wyrzutem w stronę starca. — Co to? Kosmita? Nikogo takiego nigdy nie było na naszym globie...

Łypali z niedowierzaniem okiem na tajemniczą istotę. Osobliwe indywiduum bezsprzecznie nie pasowało swoją powierzchownością do otoczenia. Jego zupełnie łysa jajowata czaszka zdumiewała swoją wielkością i wydawało się, że wątła szyja jej nie udźwignie. Obcy kończyny miał wysmukłe i długie, wyraźnie górując wzrostem nad tubylcami, między którymi się kręcił. Przez delikatną, prawie przeźroczystą skórę przezierały naczynia krwionośne.

— Na prochy przodków, któż to jest? — padło frapujące pytanie.

Dłuższą chwilę nikt nie kwapił się z odpowiedzią. No, ale czy trzeba było szukać klucza do tej zagadki?

— Gdzie Safona? — zapytał nagle Mi-ir. — I Abihu?

— Stawiają słup trackim bóstwom — uspokoił go siwobrody, nieopatrznie zdradzając ich plany. — Pewnie niedługo wrócą. Prosiła, aby ci o tym nie gadać. Niebawem przypadnie tutejsze święto...

— O zgrozo, tylko tego nam trzeba było!

— Któż to wie? — domyślnie bąknął Mu-ur. — Jeżeli kryłaby się gdzieś między gwiazdami wysoko rozwinięta rasa, to taki wygląd pasowałby do niej jak ulał...

— A któż inny mógł zrobić to nagranie na krysztale? Przecież nie nasi...

Obcy dzierżył w dłoniach sekretny instrument, niby to fletnię ze świetlistym końcem. Puścili ten urywek w zwolnionym tempie, aby się przekonać, że bez pośpiechu krąży między urchickimi brzdącami i omiata świetlistym formantem ich pokryte rudą grzywą głowy.

— Medyk? Nauczyciel? Kapłan? — z okrągłymi z wrażenia oczyma

domyślała się Ni. — Tak czy siak, ktoś potężny z gwiazd. Prawdę powiedziawszy, coś robi z tymi dziećmi. Może wzmocnia ich siły fizyczne lub przyspiesza rozwój umysłowy? — znowu miała przebłyski geniuszu. Zadumała się, a potem pokusiła się o szybki bilans. — On należy bezsprzecznie do tych, którzy przerzucili naszych przodków na Urch — z niepodważalną pewnością siebie zawyrokowała. A potem dodała: — Ależ doborową mamy kompanię! — pokręciła z niechęcią głową.

Przyglądali się w milczeniu zagadkowemu przybyszowi. Wojownik na krótką chwilę wrócił myślami na wyspę Ab-dan-gra. Popadł w zadumę. Pomylony nauczyciel bajał coś o wysłannikach z niebios, którzy rzadko kiedy odsłaniali swe oblicza, a jeżeli to czynili, to tylko wobec nielicznych. Przebąkiwał również o tym, że ci, którzy doznawali tego przywileju, osiągali nieśmiertelność i bywali zabierani do nieba. Wyprostował się, wiążąc ze sobą strzępy niejasnych relacji. Miętosił w palcach zawieszony na szyi kamień, ukryty w skórzanym woreczku. Te bajdurzenia zaczynały nabierać sensu.

Finalne kadry pochodziły z czasów po zjednoczeniu plemion. W zawrotnym tempie osiągnięto wysoki pułap rozwoju. Rozbito atom, odkryto subkwantową strukturę cząstki elementarnej, a w następstwie tego — naturę grawitacji. Na rozległej wyspie Ab-dan-gra powstawały pierwsze zakrzywiające przestrzeń silniki, a odległy wszechświat stawał przed Urchitami otworem. Byli świadkami udanych lotów załogowych i penetracji skrajnych planet układu słonecznego. I to wszystko w ciągu niespełna dwustu lat.

Oglądająca projekcję Ni nie miała już wątpliwości.

— Wierzyliśmy, że jesteśmy cudownymi dziećmi — rzekła gorzko do Mu-ura. — I wyjątkowymi istotami we wszechświecie. A to tej koszmarnej rasie zawdzięczaliśmy postęp techniki…

— Co za dranie! Hodowali nas jak rośliny i robili z nami, co chcieli! I jak tu z takimi gadać?

Prezentacja dobiegła końca, zapewne reżyser spektaklu uznał, że dzieje ich gatunku zostały dostatecznie zobrazowane, a przyglądali się teraz barwnemu, plastycznemu modelowi planety Y-o. Glob niby puszczony w ruch bączek powoli wirował wokół swej osi, to oddalając się, to zbliżając do obiektywu kamery. Przed ich oczyma przewijały się kontynenty. Ujrzeli ten, na którym się znaleźli.

— Och, znam te strony, na Zeusa — długo milczący starzec poderwał się z miejsca. — Umiem czytać nanoszone na papirus mapy — wskazał drżącym palcem. — Tu jest Morze Egejskie. Tu zaś ogromne państwo Persów — zaczerpnął tchu. — My zaś jesteśmy wyżej, o, tu, w tym oto miejscu. Prawie tam, gdzie rzeka Hebros niczym z Hadesu wypływa ze skalistych gór.

Przesuwały się przed nimi malownicze krajobrazy spod różnych szerokości geograficznych. Widzieli rzucone na bezmiar wód urocze wyspy z palmami, tropikalne dżungle, wielkie rzeki, potężne wodospady i jeziora, oraz sięgające nieba i pokryte wiecznym lodem majestatyczne góry. Wreszcie przyszedł czas na pradawne y-ockie miasta.

— To wiszące ogrody w Babilonie — chwalił się siwobrody znajomością rzeczy. — To grobowce królów Egiptu nad Nilem. A to Ateny...

Siedzieli w milczeniu, nie wiedząc, co począć. Śmiały kosmiczny reporter z kamerą w ręku wstrząsnął nimi do głębi. Osadzony w bocznej ściance szkatułki nagrany kryształ okazał się bardzo cenny. Był nasycony wiedzą o nich i o planecie, na której wylądowali. Bardziej jednak poruszył ich fakt, iż nie pozostawali osamotnieni w zmaganiach ze ślepym losem. Za ich plecami kryli się bezimienni półbogowie, od pokoleń z ukrycia pociągający za sznurki.

Zza chmur wyjrzał księżyc, a jego zimne światło odbijało się znowu łagodnymi błyskami w strumieniu. Wsłuchiwali się w głosy przyrody. Szemrał strumień, a szykujące się do łowów nocne ptaki odzy-

wały się w mroku. W oddali smętnie zawył wilk. Nie był to głos mitycznego Orfeusza. Safona i Abihu wracali. Któreś z nich niosło zapaloną pochodnię. Należało pomyśleć o spoczynku.

MASZYNA dostojnie sunęła po równinie, widomy dowód tego, że znudzone bóstwa niekiedy zstępowały na ziemię, aby tu się niefrasobliwie zabawić. A może to zagniewany Ares szykował się do potyczki ze śmiertelnymi? Abihu z wypiekami na twarzy śledził poczynania Mu-ura. Zabijaka przedzierzgnął się z myśliwego w nobliwego woźnicę nieziemskiego rydwanu. I nieźle sobie radził.

Pokładowy mruk widział niekłamany podziw w jego oczach, więc od czasu do czasu rzucał kilka słów, leniwie komentując wykonywane czynności. Stopniowo wprowadzał go w sekrety urchickiej techniki, choć nie przypuszczał, by jego młodziutki kompan był w stanie szybko przeskoczyć stulecia zapóźnienia cywilizacyjnego. Ziemianom daleko było do takich machin. Wymyślili koło, wozy i zaprzęgi, ale to nie wystarczało, by migiem pokonywać rozległe przestrzenie.

Chłopak ulegle przytakiwał, nadstawiając uszu, ale się nie odzywał. Wolał milczeć i słuchać. Pierwszy raz sunął tak daleko ślizgaczem.

— Gnamy jak opętani, nie? — rzucił wreszcie Urchita, by wypełnić czymś nużącą ciszę. — Nie prześcignąłby nas żaden jeździec, nawet gdyby miał najszybszego konia — skwitował, dumny z pojazdu.

— Żaden śmiałek nie mógłby się z tobą równać, to prawda — potulnie zgodził się chłopak. — Chyba, żeby szczęśliwie dosiadł Pegaza… to znaczy… uskrzydlonego rumaka — dorzucił. — Wtedy mógłby konkurować z twoim rydwanem…

— Są tu takie? — zaskoczony Mu-ur z marsową miną rozejrzał się po niebie. Nie dostrzegł jednak żadnego fruwającego potwora. Na drobne ptaki nie zwracał uwagi.

— Gromowładny ma takiego na Olimpie — tłumaczył z powagą Abihu. — To niezwykły koń. W górach koło Koryntu Pegaz stuknął kopytem i sprawił, że wytrysnęło źródło ze skały.

— A, to te tutejsze brednie!.. — połapał się wreszcie wojownik, domyślając się, co tamtemu chodzi po głowie. — Mity.

— Żadne tam głupstwa — obruszył się chłopak, nie zgadzając się z Urchitą. — Starzy ludzie mogą przysięgnąć, że to prawda. Nawet niektórzy go widzieli.

— Rozumiem — Mu-ur nie chciał wdawać się w jałowy spór, który do niczego nie prowadził. — W pierwszej chwili sądziłem, że to tutejszy gatunek, którego nie wyłowiły nasze sondy.

W chaszczach chłopak opowiadał mu szeptem o leśnych duchach i bożkach, a w pierwszym odruchu zabijaka brał je mylnie za kryjące się w ciemności nocy okazy y-ockiej fauny.

Ustronie, w którym pozostawili ślizgacz, Urchita odnalazł bez męczących poszukiwań. Przebytą drogę komputer zapisał bowiem w swej elektronicznej pamięci. Mu-ur rozpoznał zresztą to miejsce po zwalonym i mocno osmolonym wiekowym dębie, który okazał się u kresu dobrym znakiem rozpoznawczym. Pokładowy analityk bąknął o tym, iż zostawił taki ślad, nie zdradzając powodu, dla którego tak nonsensownie się popisał. Szybko uporali się z tobołem, zawieszonym między konarami drzew. Skarby z rozłożystej plandeki znalazły się na powrót we wnętrzu maszyny.

Niebo było bezchmurne, jaśniało złote słońce i odzywały się leśne ptaki. Nie musieli się spieszyć i wojownik z założonymi rękami zadumał się nad tym, jak wypełnić czas do południa. Stał nad przewróconym olbrzymem. Ślady spalenizny kierowały jego myśli ku nie tak odległemu miejscu potężnej eksplozji. Ciągnęło go do kosmicznego kolosa. Zastanawiał się, czy nie zachowały się jakieś resztki ich nieodżałowanego „Met-ar-usa" Przypomniał mu się młody pastuch, któremu w lesie poderżnął gardło, ale nie czuł wyrzutów sumienia.

Chwilę tak medytował, a potem podjął decyzję. W umówiony sposób wezwał chłopaka, który przepadł w okolicznych chaszczach. Wymyślili, że będą się przywoływać głosem puszczyka. Gdy młodzian wrócił, ruszyli, a wojownik skierował maszynę na zachód. Niebawem dotarli do pasa zakazanej czerni. Lękający się bogów tubylcy nie ośmieliliby się plątać po popiołach i zgliszczach. Pożar strawił prawie wszystko, co żywe, nim go nie ugasiła potężna ulewa. Sunęli bez pośpiechu, wcinając się ślizgaczem w posępny krajobraz. Lej był tam, gdzie należało go szukać, tylko że znacznie szerszy i głębszy niż przedtem. Mu-ur nie musiał się specjalnie wysilać, by uzmysłowić sobie, co tam się stało. Z grawitacją nie było żartów. Doszło do zakrzywienia przestrzeni wewnątrz obiektu. W niewyobrażalnie krótkiej chwili statek skurczył się, by potem gwałtownie eksplodować. Efekt termiczny był skutkiem ubocznym tego nagłego procesu fizycznego.

Intuicyjnie zatrzymał ślizgacz nieopodal obco wyglądającego ściętego od góry kopca. Usytuowano go w naturalnym płaskim wgłębieniu, więc osmolona zawartość się zachowała. Kopnął nogą coś wystającego i jego oczom ukazała się strasząca pustymi oczodołami biała urchicka czaszka.

— Co to? — chłopak skoczył jak oparzony, cofając się w stronę ślizgacza. Bał się takich śladów.

Zabijaka beznamiętnie szukał dalej, a pod jego nogami kruszyły się z trzaskiem kości.

— To nasi bliscy, choć tak mało ludzcy — nienawistnie rzucił przez zęby.

Czaszek i piszczeli było znacznie więcej i z nich się składało właściwie całe czarne wzgórze. Chodziło mu po głowie, że powinni pochować zabitych, zgodnie z obowiązującym na Ab-dan-gra rytuałem. Było to obowiązkiem tych, którzy pozostali przy życiu. Na pewno ci straceńcy zasłużyli na coś więcej niż tylko na pioruny, ci-

skane przez Zeusa. Ale nie nadszedł na to czas.

Abihu trząsł się ze strachu i Mu-ur pojął, że powinien jak najszybciej opuścić krainę śmierci. Przypomniał sobie, nad czym rozwodził się przy ognisku siwobrody. O krok stąd miał być — według nestora — mityczny Hades, do którego trafiali zmarli. Usiłował sobie wyobrazić skrytą w pieczarach podziemną krainę. Czy jednak stary Charon, o którym mówił matuzalem, przewiózłby na drugą stronę Styksu dusze kosmitów? Czy nie odmówiłby im, widząc ich mało ludzkie postury? Dumał nad tym trwożnym religijnym pytaniem, opuszczając straszne miejsce. Zmienił trasę, starając się szerokim łukiem ominąć otoczoną palisadą osadę, niemniej i tak ślizgacz otarł się dwukrotnie o strzeżone przez pastuchów stada. Widzieli pasące się owce i obciągnięte skórą namioty.

Po drodze zatrzymał się na życzenie chłopca. Młokos ujrzał bowiem dojrzewający dziko łan pszenicy, znaczący się na porzuconym polu. Wysiadł i posługując się sztyletem Mu-ura naścinał trochę kłosów. Uzbierało się na wątły snopek.

— Na co ci to? — dociekliwie zapytał wojownik, który wyskoczył za nim z kabiny dla rozprostowania kości. — Ma właściwości lecznicze?

Rozgniótł w dłoni pszeniczne grono, obwąchując ziarna.

— Nie, to dla bóstw — odpowiedział młodzik. — Safona prosiła mnie o słomę — dodał, widząc zdziwienie w oczach Urchity.

Popłynęli dalej, niedorostek jednak milczał przygnębiony, nie ciesząc się z podróży i Mu-ur wywnioskował, że powinien zatrzeć przykre wrażenie. Nie należało bezcześcić ciał zmarłych i naruszać ich spokoju. To nie wróżyło niczego dobrego.

Niby to niefrasobliwie go zapytał:

— A nie chciałbyś być przez chwilę ptakiem?

Abihu przyjrzał się z niedowierzaniem jego twarzy.

— Upierzonym ptakiem, mówisz? Ze skrzydłami, dziobem i szpo-

nami jak u jastrzębia? He, he, trzymają się ciebie żarty!

— Nie to miałem na myśli. Bez skrzydeł, ma się rozumieć, mimo to unoszącym się w przestworzach — mamił młodego tubylca.

Propozycja była frapująca, lecz Abihu przyjął ją ze sporą dozą nieufności.

— Każdy chciałby polatać — wymownie wzruszył ramionami. — No, ale musiałby zrównać się z bogami. Ci to bowiem potrafią robić takie rzeczy, nie zaś śmiertelni…

Mu-ur nadal kusił gołowąsa.

— To co? Spróbujemy? Poradzimy sobie bez ich pomocy.

Wyrostek bił się z myślami.

— O ile ci nie poczują się dotknięci do żywego — zaryzykował, mimo że nadal nie wiedział, co knuje rozochocony Mu-ur. Nie chciał, by dzielny wojownik zabawiał się jego kosztem.

Wyprowadził maszynę na płaski teren i wbił w nią ostrogi. Przyspieszenie wcisnęło ich w fotele. Osiągnęli prędkość, wywołującą zawrót głowy, a pojazd oderwał się od gruntu, równając się z koronami z rzadka mijanych drzew. Mu-ur był w transie i chichotał zadowolony, wyciskając z maszyny ostatnie poty. Potem włączył system wewnętrznej grawitacji i naraz przestali odczuwać wstrząsy.

— A teraz zobaczysz, co potrafię! — krzyknął podniecony.

Rozpoczął niezwykłe akrobacje. Maszyna to szła ostrym kursem ku górze, to opadała, wchodząc w lot ślizgowy, to przyspieszała, to zwalniała. Wykonywała nagłe skręty, niczym w zwariowanym tańcu. Stawała dęba, jak spłoszony wierzchowiec, tuptała bokiem w lewo lub w prawo, bądź też rwała skokami do przodu jak uciekający szarak.

Wariacki występ nie trwał jednak długo, jako że poniosły wojownika emocje. W pewnej chwili źle wyliczył manewr — a pojazd, miast wyskoczyć ku górze, ześlizgnął się w dół, wbijając się w zarośla wyrosłego przed nimi młodnika. To był koniec popisu. Silnik zawył i

zgasł. Debiut okazał się klapą, a docierający do kabiny trzask łamanych pni i wyrywanych korzeni wyraźnie to potwierdzał. Utknęli w chaszczach.

— Skończyłeś jak Ikaros, syn Dedala na Krecie — zbity z tropu chłopak spoglądał na myśliwego z odrobiną dezaprobaty.

Mu-ur próbował się uśmiechnąć, ale jego twarz wykrzywił tylko grymas. Był rad, że żaden z jego kosmicznych kompanów nie był świadkiem jego druzgoczącej klęski.

— To tylko niewielki błąd w sztuce — usprawiedliwił się przed Abihu, bagatelizując wypadek. — Ale i tak świetnie sobie poradziliśmy — wypalił, usiłując zachować twarz przed młodym Ziemianinem. — Jak na pierwszy raz… — cmoknął z udawanym znawstwem.

Uruchomił silnik. Pojazd drgnął i powoli ruszył, wycofując się z grzęzawiska. Kilkunastoletnie jesiony i klony wyglądały jak ścięte przez drużynę mocnych drwali. Mu-ur osadził ślizgacz na murawie i wyskoczył z kabiny, starając się nie patrzeć na spustoszenia. Bardziej zajmowało go to, czy przypadkiem nie uszkodził pancerza.

— Nie ma czym się przejmować — machnął ręką, kwitując pobieżne oględziny maszyny. — Nikt niczego nie zauważy, bo obudowa była już poszczerbiona — uspokoił się. Po czym pilnie zlustrował chłopaka, mając nadzieję, że nie wygada się przed starcem lub przed Ni. — Mimo wszystko, udało nam się, nie? Spory kawałek powrotnej drogi pokonaliśmy jak ptaki.

Chłopak wyglądał za nim z kabiny.

— Jako rzekłeś — smętnie się zgodził. — Ale i tak nie będziemy jako bogowie…

Wojownik był innego zdania.

— Kto wie? Może się z nimi zrównamy… — buńczucznie rozsądził.

Wrócił do kabiny, włączył silnik i wziął kurs na obóz.

NAD koczowiskiem majestatycznie szybował jastrząb. Mi-ir wypatrzył go, siedząc bezmyślnie na niskim pieńku i niedbale przesypując ręką miałki piasek, służący do gaszenia ogniska. Ktoś tu dawno temu ścinał drzewo. Znudzony zrezygnował z tej bezwiednej czynności, wyciągnął się na trawie i z zajęciem śledził jego lot. Ptak zniknął za stromym zboczem, lecz potem znowu pojawił się na tle błękitnego nieba, by w końcu złożyć szerokie skrzydła i runąć w dół wprost na szarozielone płótna namiotów, jakby w pogoni za łakomą zdobyczą. Jednak tuż nad nimi poderwał się znowu do lotu i opadł dopiero na niską karłowatą sosnę u wejścia do wąwozu. Czego tu szukał ognistożółtymi ślepiami opierzony myśliwy o mocnych pazurach, tego Mi-ir nie wiedział. Ubarwienie miał skromne, z wierzchu brązowawe, od spodu białawe w ciemne, faliste prążki. Przeszło mu przez myśl, że we wścibskiego ptaka o znakomitym wzroku przebiegle się wcielił nieodgadniony strażnik planety, zaraz jednak odepchnął od siebie to przypuszczenie jako niedorzeczne. W jastrzębia od niechcenia cisnął kamykiem, ale go nie trafił.

— Poszło won, ptaszysko! — wrzasnął zapalczywie i cieszący się sporą rozpiętością skrzydeł przybysz widocznie pojął jego intencje. Poderwał się i odleciał.

Safona znowu gdzieś znikła i doszedł do wniosku, że powinien wreszcie obejrzeć sobie zakątek, w którym modliła się do kapryśnych bogów. Właśnie miał zamiar podreptać w tamtą stronę, gdy zauważył, że wraca ślizgacz.

Rozdział jedenasty

JAK zwinna kozica piął się w górę, zręcznie skacząc z kamienia na kamień i pokonując kolejne piędzi krętego wąwozu, wyrzeźbionego przez płynący tamtędy strumień. Narzucił sobie jednak za ostre tempo i szybko się zmęczył. Nieruchomiał, gdy brakowało mu tchu i przecierał rękawem zroszone czoło. Zdobył kolejny fragment pochyłej stromizny. Kiedy znowu się zatrzymał, by wyrównać oddech, jego myśli mimowolnie ześlizgnęły się ku temu, co poprzedniego dnia działo się w ich prymitywnym obozie. Na moment się zadumał. Słońce chyliło się ku zachodowi, zalewając czerwienią równinę. Wyładowywał ze ślizgacza przytargane nim urchickie skarby, a potem był pod ręką przy rozbijaniu trzech dodatkowych namiotów. Nim zapadł zmierzch wybrał się wzdłuż skarpy, by obejrzeć z bliska zagadkowy obelisk, wzniesiony na życzenie Safony kapryśnym yockim bogom. Przypadało letnie plemienne święto, niechybnie związane z cyklem księżyca.

— Ech, ci tubylcy! — mruknął pod nosem. Byli zależni od rytmu życia przyrody.

Ruszył dalej w górę, wciąż mając przed oczyma to, co ujrzał w poświęconym kręgu.

Zajęta obrzędem dziewka w pierwszej chwili go nie dostrzegła. Miała rozpuszczone włosy, a jej głowę zdobił gruby wieniec z kwiatów polnych. Z uniesionymi rękoma tańczyła wokół zbudowanej z niewyrobionych płaskich płyt okazałej kolumny, kłaniając się swojemu bóstwu i recytując półgłosem modlitewne frazy. Z wdziękiem kołysała biodrami. Szczeliny między kamieniami utkała zielonym mchem i kwitnącymi ziołami. Kiedy nadszedł, na krótko przerwała

podniosłą ceremonię. „To po to, żebyś był ze mną do końca życia!" — wyjawiła z zaróżowionymi policzkami, widząc niekłamane zdumienie w jego oczach. Pojął, że nie powinien jej w tym przeszkadzać. Wtargnął jak intruz między nią a jej bożyszcza. Markotny przysiadł na kępie gęstej trawy, przeganiając mrówki i usiłując dociec, czemu miał służyć osobliwy rytuał i co miał wymóc na ślepym losie. Nie potrafił wczuć się w jej położenie i nie rozumiał jej prymitywnej religii. Gdy pospołu wracali, gorąco go prosiła, żeby był świadkiem jej obrzędowej nocnej kąpieli w strumieniu. Ucieszył ją snopek pszenicznej słomy, przywleczony przez chłopaka. Jej mokre nagie piersi błyskały w świetle księżyca. Oddawała się Artemidzie, o której już słyszał od starca. Bogini była nie tylko zbawczynią ludzi i miast, ale także opiekunką stadła małżeńskiego.

Przystopował, mocno zasapany i spocony.

— To już tu? — zdumiał się, odkrywając, że wąwóz się skończył. Dało mu w kość to mordercze podejście. W przeciwieństwie do Mu-ura i Abihu nie był jeszcze na płaskowyżu, więc znalazłszy się tam, rozejrzał się z zaciekawieniem, lustrując okolicę.

Słońce sięgnęło zenitu, mocno grzało i wywnioskował, że wybrał nie najlepszą porę na tę samotną wyprawę. W oddali ośnieżone góry trwały w majestacie. Panował uderzający spokój, który jednak Urchicie się nie udzielał. Odzywały się ptaki, a las tętnił ukrytym życiem. Zmęczony przysiadł i natychmiast dopadły go niespokojne myśli, ciągnące za nim jak kąśliwe muchy. Nie umiał się od nich uwolnić.

Nie sprawdzali się jako zgrana drużyna. Nie mieli żadnego celu, utknęli w martwym punkcie, niemal gnili pod podłą skarpą, a każdy robił, co chciał, nie zważając na innych. Zasępionego Mu-ura z samego rana poniosło gdzieś ślizgaczem. Lubił rozległe przestrzenie. Wojownik zignorował niewinne pytanie o to, dokąd się wybiera, udając głuchego jak pień, co Mi-ira na moment wyprowadziło z równowagi. Abihu zapewne bezmyślnie włóczył się wzdłuż strumienia,

z nudów robiąc to i owo, a Safona przypuszczalnie kręciła się przy obelisku lub szukała leśnych owoców i grzybów. Starzec nigdzie się nie ruszał, debatował z Ni, dzieląc się z nią wiedzą o zawiłościach życia w greckiej polis. Zachowywali się niefrasobliwie, jakby byli na beztroskim pikniku i nic im nie groziło. A przecież wisiało nad nimi nieuchwytne niebezpieczeństwo, co niedwuznacznie wynikało z informacji, zapisanych na kryształe. Ktoś źle im życzący z niekłamaną uwagą śledził ich kroki. Może gdzieś tam wysoko nad nimi zamarł na orbicie stacjonarnej obcy statek kosmiczny? Nie pojmował, dlaczego skądinąd trzeźwa Urchitka nie bierze sobie tego do serca.

— Zachowują się jak pajace — wyszeptał ze zgrozą. — A przecież nadal balansujemy nad przepaścią. Na proroków, czy trzeba dostać porządnego kopa, żeby to sobie uzmysłowić?

Był podminowany, drżały i pociły mu się dłonie, napięcie w nim nie słabło, a przed oczyma rozhuśtanej wyobraźni miał wciąż ten sam przysłonięty mgłą obraz. Tajemniczy galaktyczni giganci o niewyraźnych obliczach, niby to kosmiczni egzaminatorzy, znudzeni poziewywali, sennie czekając na wynik. Nie kryli przekonania, że matołek z Urch przyniesie im pustą kartę, a ich karcące spojrzenia były aż nadto wymowne. Nigdy wcześniej nie czuł się tak fatalnie — nawet wtedy, kiedy osamotniony utknął nad najeżoną rozpadliną skalną. Dumał nad przyczynami frustracji, nie mogąc dociec, co się właściwie z nim dzieje i dlaczego zachowuje się tak niespokojnie. Podniósł się i zanurzył się między drzewa i krzewy, ginąc w gęstwinie. Jak przygłup zagadywał do płochych myśli.

— Może to nie wina Ni? — impulsywnie usprawiedliwiał się przed oblepionymi szyszkami świerkami. — Może także nie Mu-ura? — wyznawał ze skruchą zielonym paprociom. — Zmienił się, jak każde z nas... Zatem czyja?

Przeniósł w końcu całą uwagę na siwobrodego, który przypiął się do Ni i na okrągło motał jej w głowie. Intrygował go stary Ziemianin

z pseudonaukowymi deklaracjami, ale nie umiał rozszyfrować jego prawdziwych intencji.

Dociekliwy matuzalem chciał się z rana dowiedzieć, czy w plemieniu, z którego Mi-ir uprowadził Safonę, odbyła się ceremonia zaślubin, ale musiał temu zaprzeczyć. Potem stary wstydliwie go badał, oczy umykały mu w bok, czy odbył z dziewicą gody. W pierwszej chwili go nie zrozumiał. Tracka młódka działała na nie-go kojąco i w myślach jej za to dziękował. Z wieczora kładła się u jego nóg, czekając aż zaśnie, a potem bezszelestnie odchodziła na swoje posłanie. Nie było tu ani czasu, ani miejsca na więcej. Niekiedy zarzucała mu z wdziękiem ręce na ramiona i radośnie tuliła się do niego, okazując dziewczęce przywiązanie.

Zdecydował się na powrót do obozowiska. Schodził zakolami, stawiając ostrożne kroki i zważając na wystające korzenie. Matuzalem emanował czymś nieuchwytnym, dla czego było trudno znaleźć nazwę i sprawiał nieodparte wrażenie osoby, kryjącej przed otoczeniem mroczne sekrety. Jeśli rzeczywiście się maskował, to czynił po mistrzowsku, zręcznie lawirując i sprytnie ich oszukując. Czy nie należało brutalnie zedrzeć mu maski z twarzy i zmusić go, by stanął przed nimi w całej prawdzie?

Stary Y-ot przyjął ich na Ziemi z niezmąconą flegmą. I to było niepokojące. Bo przecież nie miał wcześniej do czynienia z rozwiniętą techniką i jej wyrafinowanymi wytworami, nie mówiąc o zapierających dech lotach w kosmos. Pomyślał o nierozgarniętych wojach z trackiego plemienia, którzy odważyli się wtargnąć na pokłady „Metar-usa". Chociaż nie byli zaabsorbowani niebezpieczeństwami, jakie niosły mechaniczne potęgi, bo nie mieli o nich zielonego pojęcia, to jednak nie ominęły ich niepokoje i lęki, związane z tutejszymi bóstwami, którym przypisywali upadek statku. Starzec zaś nie bał się bóstw. Nie czuł trwogi, powściągliwy, chłodny i opanowany. Łatwo było odgadnąć, że nie wierzy w mity. Był ponad kulturą, w której

tkwił. Niby Prometeusz znacznie wyprzedzał swoje czasy. A może dawno, dawno temu — myślał Urchita — oswoił się z produktami o wiele bardziej zaawansowanej technologii, co ostatecznie wyleczyło go z atawizmów?

Mi-ir zatrzymał się i kopnął krągły kamyk, który odbijając się poleciał w dół.

— To wykluczone — wybąkał, ale bez przekonania. Stał tak dłuższą chwilę, mocując się z absurdalną myślą, która wypłynęła z jego podświadomości. — To jest ab-so-lut-nie nie-moż-li-we!

Ruszył dalej, ale wkrótce znowu się zatrzymał, uzmysłowiwszy sobie, do czego doprowadziły go intuicja i zdolność analizy. Jasna błyskawica w jego głowie rozświetliła na jedno mgnienie mroki niewiedzy. Oparł się o wystającą skałę.

— Ależ on nie pochodzi z Y-o... — wyjąkał ze zgrozą, nie pojmując, dlaczego wcześniej nie przyszło mu to do głowy. — Nie, nie jest Ziemianinem, za którego chytrze się podaje...

To odkrycie przyniosło mu nieopisaną ulgę, a niepokojące myśli przestały go nagle dręczyć. Odeszły jak nożem uciął. Wyobraził sobie, że dumnie wstaje zza oślej ławy, podchodzi do nadętych weryfikatorów i wręcza im kartkę z jednym krótkim zdaniem. „Stary nie jest Y-otem". Następnie żegna ich z igrającym w kącikach ust uśmiechem i lekki jak ptak opuszcza kosmiczną salę egzaminacyjną.

— Rozpracowałem jednego z obcych — wycharczał z bezbrzeżnym zdumieniem. — Niemożliwe! Na proroków, natknąłem się na... strażnika planety... Był na wyciągnięcie ręki...

Oczarowany sobą, błogosławił siły wyższe za cudowną chwilę olśnienia. Trafiło się ślepej kurze ziarno. Natknął się na niezwykle ważny ślad, co niezawodnie oznaczało, że od znalezienia ostatecznej odpowiedzi dzieliły go tylko kroki. Po co przylecieli na Y-o? Co porabiali na tej planecie? Kto i po co ich tu ściągnął? Zrządzeniem losu dzierżył w ręku klucz, pasujący jak ulał do tajemnych kosmicznych

wrót. Te już się przed nim odrobinę uchyliły i widział padające spoza nich światło.

— Do kroćset, wprost nie chce się wierzyć, że mogliśmy być aż tak naiwni — rozsierdzony mruczał pod nosem, wyobrażając sobie, że konspiracyjnie konwersuje z Ni. — Obrzydły łysy starzec, na którego niby to przypadkiem natknęliście się przy wiodącym skrajem gór trakcie, nie jest wcale Y-otem, za którego sprytnie się podaje, mydląc wam oczy. Tubylców mógłby wystrychnąć na dudka, wiadomo, są wyjątkowo ograniczeni i tępi, ale nie nas, Urchitów — gadał do siebie. — Nas nie da się łatwo wywieść w pole. Niech mnie kule biją, on nie jest człowiekiem, nie jest Grekiem, ani Persem, ani Egipcjaninem, ani też Trakiem czy Dakiem. Nie pochodzi z Europy, z Azji czy z Afryki. Nie został spłodzony na Y-o. Wszędzie, tylko nie na tej planecie. Kim więc jest? — ponuro się roześmiał, podnosząc szyszkę i celując w szczyt niewysokiego świerka. Trafił bez pudła. Wypłoszył szaraka, który pognał zygzakiem kładąc długie uszy po sobie. — Do kata, ależ nas podszedł? — dziwił się. — Łajdak bawi się z nami w kotka i myszkę. I kto pierwszy dał się jak mucha złapać na lep jego pięknych słów? Ni! Zadzierająca nosa pokładowa piękność, której się wydawało, że zjadła wszystkie rozumy. Bez wahania uwierzyła w to, że ma przed sobą światłego Y-ota, cherlawego, słabego i stojącego nad grobem. Jakież to wzruszające — ironizował. — Jakie rozrzewniające. Ach, jak łapiące za serce…

Pozbył się uciążliwego balastu, wyrzucił z siebie to, co go dręczyło i humor od razu mu się poprawił. Nie mógł jednak poprzestać na wątłej hipotezie. Zamierzał puścić się do końca znalezionym tropem. Potrzebował czegoś namacalnego. Krótko mówiąc, musiał teraz poniuchać za dowodami, obciążającymi siwobrodego. Zaczął się zastanawiać nad tym, kogo mógłby w to wciągnąć i kto byłby w stanie przyjść mu z pomocą. I pomyślał o Safonie.

RZUTKIEJ i obrotnej Ni nie udzielała się apatia. Nie miała powodów, by się irytować. Niefrasobliwa i beztroska, zainstalowała się ze starcem w największym namiocie, by zająć się doskonaleniem znajomości y-ockich języków, które biegle znał siwobrody — przede wszystkim zaś śpiewnego greckiego i melodyjnego perskiego. Poprzedniego dnia nestor z przymkniętymi oczyma recytował fragmenty „Iliady" Homera. Miał głowę do takich rzeczy i oczy błyszczały jej z podniecenia. Później z przejęciem opisywał przygody mitycznych Argonautów, którzy pod wodzą Jazona wyprawili się po złote runo. Oglądane najpierw z lotu ptaka, a potem niezauważalnie filmowane z bliska tubylcze miasta urzekały ją stylową architekturą. Na Urch opierano się na nieco innych wzorach. Szczególnie spodobały się jej Ateny. Wysłuchawszy jego kolejnej opowieści, sięgnęła po tajemniczy kryształ informacyjny. Starała się zachować w pamięci jak najwięcej z natchnionych przechadzek zamaskowanego kamerzysty. Barwny tłum przelewał się przez ateńskie targowisko, tłocząc się wokół pełnych towaru straganów i wozów — owoców i warzyw, zboża, ryb z morza, delikatnych tkanin, narzędzi z żelaza, brązu i srebra, oraz wypalanych z gliny naczyń. Dziwiły ją stroje kobiet, tak dobrze sytuowanych, jak ubogich i prostych. Sama pragnęła mieć podobne, być tam, przeciskać się między kupującymi i sprzedającymi, wymieniać kurtuazyjne ukłony, przymierzać gotowe szaty, a także gładzić i pieścić delikatne jedwabie i cienkie płótna.

Siwobrody dostrzegał jej zachwyt. Zresztą, nie próbowała go ukrywać przed matuzalemem. Prysły dzielące ich lody i podpytywała go o mnóstwo rzeczy — jak małe dziecko, ciekawe świata, którego sekretów nie zdążyło zgłębić. Co tu dużo mówić, z dnia na dzień, a nawet z godziny na godzinę, stawała się coraz bardziej Ziemianką. Podobały się jej wystające przy nadbrzeżach portowych statki handlowe, intrygowały ją wille, świątynie i pałace. Można było odnieść wraże-

nie, że urodziła się po to, aby żyć na Y-o, a nie na Urch, i że ta krążąca wokół żółtego słońca planeta miała być jej prawdziwym domem.

— Mówisz zatem, że Persowie podbili i spustoszyli Ateny, przepędzając ich mieszkańców, ale że miasto odbito i że nadal rośnie w siłę? — zapytała.

— A jakże, tak właśnie było. I to aż dwa razy — mądrze pokiwał głową stary. — Ani to pierwsza wojna z nimi, ani pewnie ostatnia — rozsądził, zagłębiając się myślami w nie tak bardzo odległe dla niego lata i podejmując chętnie ten wątek. — Perska potęga nie ma sobie równych. Pytasz o Ateny? Wielki król, Dariusz, wpadł ponoć we wściekłość, kiedy dowiedział się, że Ateńczycy wsparli jońskich powstańców. Pierwsza wyprawa Persów zakończyła się jednak ich klęską pod Maratonem. Było to z piętnaście wiosen temu. Potem syn Dariusza i jego następca, Kserkses, ruszył z armią po raz drugi, i lądem, i wodą. Jego zastępy były potężniejsze. Pod Termopilami, mimo wysiłku Spartan i dowodzącego nimi Leonidasa, Grecy ponieśli sromotną klęskę. Attyka i Ateny zostały oddane na pastwę wroga — ciągnął bez pośpiechu. — Kiedy jednak Kserkses z armią wkraczał do Aten, mieszkańców już tam nie było. Opuścili swoje piękne miasto. Woleli uciec niż skapitulować. Kobiety, dzieci i inni niezdolni do walki obywatele zabrali wszystko, co się dało i umknęli. No, ale pozostały jeszcze siły wojenne na morzu. Pod Salaminą flota pod dowództwem kutego na cztery nogi Temistoklesa odniosła zwycięstwo nad Persami, co skłoniło wielkiego Kserksesa do odwrotu. Pozostawił jednak na ziemiach greckich armię lądową, której dowódcą mianował swojego najlepszego wodza, Mardoniosa. Złożył także propozycję Atenom: jeśli skapitulują, miasto ocaleje i z nadania perskiego króla uzyska hegemonię w Grecji. Zgromadzenie tę propozycję odrzuciło, ludność znowu opuściła miasto i Persowie spustoszyli je po raz drugi. Później jednak greccy piechurzy, na których czele stali Spartanie, dowodzeni przez królewskiego syna Pauzaniasza, pobili

Persów w bitwie pod Platejami; wkrótce też grecka flota pokonała perską u przylądka Mykale w Jonii. Gdzie się dało, wycięto w pień załogi perskie. Dziwiło cię podobno, że w tym plemieniu nie ma wojów. Ruszyli, by wesprzeć sprzymierzonych, którzy pod wodzą Ateńczyka, Kimona, chcą teraz Persom odebrać Eion, leżący u ujścia Strymontu. Tam powinna bronić się jeszcze perska załoga, o ile w międzyczasie już nie padła.

— Ale nam nie groziłoby nic — filuternie zapytała — gdybyśmy się ich śladem udali?

Roześmiał się, rozanielony, zacierając starcze pomarszczone dłonie.

— Lata całe spędziłem na pieszych wędrówkach i morskich podróżach — odrzekł — i jakoś sobie radziłem. Choć przygód miałem co niemiara. Jeno nie wolno wsadzać nosa w nie swoje sprawy, szukać awantur, a i nie pchać się samemu tam, gdzie czyhają na wędrownika wiadome niebezpieczeństwa — wyjawił. A potem wrócił do poprzedniego tematu. — Teraz ta polis rośnie w siłę. Miasta się sprzymierzyły. Dwa lata temu Arystydes przekonał Greków do powierzenia Atenom przywództwa wymierzonego przeciw Persom układu. No i nastał czas na odbudowę tego, co zniszczyła wojna — zadumał się na dłuższą chwilę. — Ich śladem, powiadasz? W Atenach warto stanąć, ale nie tylko tam. Jest ponadto wiele innych zachwycających zakątków na tych ziemiach.

Zaczął znowu wyliczać. Zagościł we wszystkich ważniejszych portach, wędrował wzdłuż wybrzeży Jonii, spędził kilka lat w Egipcie, widział ogromne grobowce faraonów, słuchał nauk kapłanów, doskonale obeznanych z astronomią, zapędził się do Babilonii i był na Krecie. Gadał więc o wspaniałościach, których nie odsłaniał kryształ informacyjny. Mówił o malarstwie i o rzeźbie, o wspaniałych pomnikach, stawianych władcom, ale też o podłości ludzkiej, kryjącej się za fasadami pięknych, stylowych budowli, o wyzysku zamożnych i

czerpaniu korzyści z cudzej pracy, i o niewolnictwie, powszechnym we wszystkich nadmorskich krajach, w głębi czarnej Afryki i wśród koczowniczych plemion Europy.

Ni słuchała gawęd z zapartym tchem, nie myśląc o cudownych ogrodach w Lipsuarra, które blakły w jej pamięci. Chwilami popadała w zadumę, próbując poddać wnikliwej ocenie procesy, jakie zachodziły w jej wrażliwej psychice. Jednak w głębi duszy godziła się z tym, że jest już kimś innym, przeobrażonym nie tylko fizycznie, lecz również uczuciowo.

Zakwilił ptak, który przysiadł obok namiotu, starzec nagle przerwał, a jego myśli pobiegły ku czemuś odległemu. Może instynkt go ostrzegł o jakimś nieuchwytnym niebezpieczeństwie?

— A gdzie Mu-ur? — dociekliwie zapytał.

Nie wiedziała. Wzruszyła obojętnie ramionami i zasłoniła usta, poziewując.

— Gdzieś pognało tę baranią głowę — odrzekła. — Jest wojownikiem, więc nie w smak mu tu siedzieć. — Wstała, odchyliła płat namiotu i wyjrzała na zewnątrz, ale nic niepokojącego nie wpadło jej w oczy. Wróciła do starego. — Przeżyliśmy tragiczną katastrofę „Metar-usa", nie przymieramy głodem i nic nam nie zagraża. Ale, co tu dużo mówić, tkwimy wciąż na dalekich obrzeżach tutejszego dziedzictwa. Czas, by i to zmienić.

Stary łypnął na nią, zastanowił się nad tym, co rzekła i nieuważnie przytaknął. Zaraz jednak się ożywił.

TRZY dorodne pstrągi szamotały się w siatce. Mi-ir pomalutku przysiadł na dużym płaskim kamieniu, przytaskanym wcześniej przez Mu-ura, starając się nie przepłoszyć sunących pod taflą wody żywych cieni. Nie miał wątpliwości, że chłopak przepada za tym pasjonującym zajęciem. Jednak nie to mu było teraz w głowie.

— Można całymi dniami wysiadywać nad szemrzącym strumieniem, a można też żeglować naszą machiną po ukwieconych łąkach, nawet między polami i winnicami — kusząco zagaił. — Czyż i to nie wielka przyjemność?

Chłopakowi zaświeciły się naraz oczy, a giętka wędka niespokojnie powędrowała do góry. Z zaciekawieniem zerknął na Mi-ira, żywo przytakując.

— Pewnie — bez wahania potwierdził.

Celował w czułe miejsca młokosa. Co jak co, ale myśl o nieziemskim rydwanie, który bez trudu pokonywał ogromne połacie nierównego gruntu, mogła pobudzić wyobraźnię każdego podrostka, gdzie by nie był chowany: pośród owiec w surowych górach, w pełnych łownej zwierzyny dziewiczych puszczach, czy w cywilizowanych krajach.

— Moglibyśmy kiedyś razem gdzieś się wybrać ślizgaczem, nie? Tu, w obozie, jest strasznie nudno i nic właściwie się nie dzieje. Czy można bez końca nosić wodę ze strumienia, rąbać drwa i rozpalać ogień? Albo wędzić ryby? To nie są zajęcia godne kogoś, kto chciałby zostać dzielnym wojem, a może nawet wodzem plemienia...

Chłopak łowił uchem jego podstępny monolog.

— Gadacie poważnie? Wzięlibyście mnie z sobą w dłuższą podróż po tym zapadlisku, między borami, w dół Nestosu? Bo z wojownikiem już jeździłem.

Mi-ir odchrząknął ze skrytym zadowoleniem, bowiem szło mu jak po maśle.

— Nie tylko bym cię wziął, ale i nauczyłbym cię prowadzić tego potwora. Jak oswojone zwierzę na smyczy. A między nami mówiąc, to zresztą nie jest wcale takie trudne.

Brzana połakomiła się na przynętę, więc Abihu przypiął się na chwilę do wędki. Nie umiał wszakże ukryć rosnącego w nim podniecenia.

— Przedni pomysł — powiedział. — Sądziłem, że jeżeli Mu-ur i wy potraficie obchodzić się z tym rydwanem, to może i ja bym też mógł. Wojownik też zaczął o tym gadać.

Mi-ir protekcjonalnie poklepał go po ramieniu.

— Zobaczymy, co się da zrobić. Ale na razie — ma się rozumieć — nikomu ani słowa. Sza! — konspiracyjnie przyłożył palec do ust. — Po co rozgłaszać — orzekł. — Mowa jest srebrem, a milczenie złotem — przypomniał sobie zasłyszane u starca powiedzenie. Nestor miał na każdą okazję tutejsze przysłowia i sypał nimi jak z rękawa. Niektóre miały na Urch swoje odpowiedniki.

Siedzieli w ciszy, trawiąc swoje myśli. Znaczące się blisko dna cienie nadal krążyły w poszukiwaniu żeru.

— Od dawna zadajesz się z siwobrodym? — Mi-ir wypłynął nagle na inne wody, rzucając niby to błahe pytanie.

Chłopak powoli się wyprostował, bo ryba, która trącała przynętę, gdzieś się zawieruszyła.

— A ze trzy nowie, a może ze cztery — odpowiedział. — Jakoś tyle.

Urchita ziewnął, udając doskonałą obojętność. W myślach szybko przeliczył czas. Niestety, znacznie krócej utrzymywali się na orbicie, podglądając planetę przez kłębowiska chmur i śląc sondy tam, gdzie znaczyły się skupiska ludzkie. Usilnie szukał powiązań między tym, co sami czynili, a tym, czym zajmował się podejrzany starzec. Każde skojarzenie, choćby z pozoru absurdalne, mogło okazać się na wagę złota.

— To niewiele — skwitował. — Sądziłem, że jesteście razem od bardzo dawna, może od wielu lat...

Abihu okazał się skory do dalszych wyjaśnień.

— A bo znamy się dłużej. Był w mojej osadzie zeszłego lata. Kurował ziołami ludzi, a potem powlókł się gdzieś dalej. Teraz zetknąłem się z nim po raz drugi. Najęliśmy się kupcom, wędrującym w górę tej rzeki. Ciągnęliśmy z nimi do umówionego miejsca, a potem wra-

caliśmy tylko we dwóch. Mój wuj zginął w lesie od olbrzymiego dzika. Zwierzę miało potężne szable. Nigdy dotąd takie się nie pojawiały — może po przeciwnej stronie gór, tam gdzie Hebros wypływa z Hadesu, ale nie tu. No i jakoś wtedy stary się przyplątał. — Młokos wzruszył ramionami. — Zaofiarował się z pomocą. Obiecał, że zaopiekuje się mną i że mnie wychowa. I cóż miałem czynić? Poszedłem za nim.

Spławik znowu drgnął, ale ryba była uparta. Kręciła się w pobliżu, płosząc inne, drobniejsze.

— Zwierzę było dziwne i podejrzanie wielkie? — trochę za głośno myślał dociekliwy Urchita, gadając bardziej do siebie niż do osieroconego chłopaka. — I co dalej?!.. — nie krył zaciekawienia. „Dzik!" — zakonotował sobie. Ścisnął dłonie, aby się opanować i aż zbielały mu nadgarstki.

— Mieliśmy wędrować na południe. Stary mówił, że może mnie doprowadzić aż do stolicy Hellady, do Aten, może do królewskiej Sparty, a może dalej. Ponoć w Atenach ma własny dach nad głową; tak kiedyś rzucił mimochodem późnym wieczorem, zadzierając głowę i wpatrując się w gwiazdy. Jakby między nimi kryły się jakieś znaki dla niego. — Chłopak odkaszlnął. — Czasami... przychodziło mi na myśl, że jego prawdziwa sadyba jest tam, hen, na wysokościach, ponad ośnieżonymi szczytami, wyżej niż sam Olimp, a nie tu.

Mi-ir odetchnął i uśmiechnął się kpiąco. Znowu poklepał kordialnie chłopca po ramieniu.

— Wyobraźnię masz bujną, co tu gadać! — ostrożnie podsumował jego szczere wyznania. Skrycie liczył, że chłopak się obruszy.

Abihu spojrzał na niego niepewnie. Pokręcił przecząco głową.

— Eee... Co to, to nie. Nie zmyślam. Nie oszukiwałbym was. Gadam, co widzę. Stary jakby na kogoś czekał, ale nie z gór, ani nie z kotliny, od rzeki. Na kogoś z firmamentu niebieskiego. Kręciliśmy

się w koło, wracając do tych samych miejsc. W dzień przyglądał się ziołom i trawom, mrucząc ich obce nazwy, podobno takie, które wymyślili medycy Egiptu i Babilonu, lecz ich nie zbierał. Nocami zaś wysiadywał, wpatrywał się w rozgwieżdżone niebo, jakby ów oczekiwany gość, przybysz, miał wnet się pojawić. A potem wyście nadeszli, to znaczy kobieta i wojownik... I on już zajął się tylko nimi — jakoś nie poplątały mu się te wyjaśnienia.

Mi-ir nadal uśmiechał się pod nosem, gryząc jakąś trawkę.

— I to cię tak zdziwiło, z tym przybyszem?!

Chłopak się zawahał. Nie wiedział, jak to wyrazić.

— Może i zdziwiło, a może i nie. Tak sobie teraz dumam, przemyśliwam i dochodzę do przekonania, że on — naprawdę — na nikogo nie czekał, a jeżeli już, to na kogoś wyimaginowanego, z marzeń i ze snów; wszak bajki biorą się z urojeń; wy — natomiast — jesteście namacalni, z krwi i kości.

— Aha. Ależ z ciebie bezbożnik — Mi-ir uznał, że w tym, co powiedział chłopiec, tkwią ziarna prawdy. — Rzeczywiście, jesteśmy z krwi i kości. — Wstał i przeciągnął się, nie przestając się uśmiechać. — Krótko mówiąc: stary, to wielki marzyciel?!

Abihu przytaknął.

— Ano. Ale to dobry człek i nikogo nie skrzywdzi.

— A w bóstwa już nie wierzysz?

Młokos miał gotową odpowiedź.

— Rodziciele mnie uczyli, że jest tylko jeden Bóg, który stworzył z niczego słońce, księżyc, gwiazdy i ziemię. Tak było i jest w ich religii. I że nie wolno czcić fałszywych bogów, ani wznosić im posągów. Grecy jednak wierzą inaczej, i Trakowie, i Persowie, i Medowie, i ponoć w Egipcie...

Nie podjął dyskusji. Siwobrody z pozoru był bez zarzutu, a przynajmniej takie czynił wrażenie na wszystkich po kolei, a najbardziej na olśnionej nim Ni. Sam mniemał inaczej, jednakże ze swoimi wąt-

pliwościami nie miał zamiaru zdradzać się przed młodym Y-otem. Klasnął w dłonie, ukontentowany pogawędką. Zabrał złowione ryby.

— O powożeniu żelaznym rydwanem, cicho, sza!..

Chłopak uśmiechnął się przyjaźnie, a w jego oczach znowu pojawiły się żywe błyski.

— Możecie na mnie polegać — solennie zapewnił odchodzącego Urchitę.

Rozdział dwunasty

SAFONA krzątała się przy obłożonym kamieniami ognisku, nad którym snuł się słodkawy dym. Wesoło trzaskało podsycone smolnymi szczapami. Była pochłonięta złowionymi rybami, a w jej ręku błyskał ostry sztylet wojownika. Można je było upiec na przygotowanym ruszcie lub oblepić gliną i włożyć do żaru. Ukochany oderwał ją od tego zajęcia, odwołując na skraj obozowiska. Nóż polecił jej odłożyć. Wybrał osłonięty porośniętym wzgórkiem zakątek nad niskim brzegiem strumienia. Tam kazał jej usiąść obok siebie.

Przez dłuższą chwilę nie otwierał ust, nie wiedząc, od czego zacząć. Nie chciał, by niewłaściwie odczytała jego intencje. Nurtowały go wątpliwości, czy nie rzuca się z motyką na słońce i czy prostolinijna y-ocka bogdanka podoła zadaniu, do którego zamierzał ją przekonać. Wydawało mu się, że jego luba nie nadaje się do takich rzeczy.

Poczekał, aż dziewczyna opłucze ręce w wodzie. Bezmyślnie strzepnął z rękawa czerwoną biedronkę.

— Czy uczyniłabyś dla mnie coś wyjątkowego — powściągliwie zagaił, ciągnąc ją za język — co wymagałoby nie tylko sprytu, ale i umiejętności dochowania tajemnicy?

Nie namyślała się, potulnie skinęła głową i zaraz dziwnie spoważniała. Spojrzała na niego pytająco i zaczęła bawić się grubym warkoczem. Wyczytał z jej oczu, że jest gotowa na wszystko, czego zapragnie jej pan i władca. Widocznie uczczona przez nią Artemida obiecała jej to, o co ją długo błagała, więc inne sprawy straciły na znaczeniu.

— To dobrze — odchrząknął. — I nie puściłabyś pary z ust, nawet

gdyby grozili, że poderżną ci gardło?.. — ciągnął ten nonsensowny wątek, starając się przy tym nie zagalopować.

Znowu skinęła głową, daleka od jakichkolwiek protestów. Jego żądania były dla niej święte i nie mogła poddawać ich w wątpliwość.

— Prędzej bym skonała, niż cię zdradziła — skwapliwie odrzekła. Zaglądała w jego chmurne oblicze, czekając, co jeszcze jej powie.

— Widziałaś spłowiałą sakwę starca? — powoli przechodził do rzeczy, dzieląc się tym, co wykluło mu się w głowie. — Siwobrody nigdy z nią się nie rozstaje i trzyma ją przy sobie, kiedy udaje się na spoczynek. — Zatarł w zamyśleniu ręce. — Dziwne to! A przecież biedak nie ma w niej niczego cennego. Bo niby skąd? Chyba, że... — na moment efektownie zawiesił głos. — Chyba, że coś przed nami ukrywa... — domyślił się z udawaną zgrozą. Filował z ukosa na prostolinijną Safonę, ciekawy jej reakcji. — Chciałbym, żebyś to sprawdziła. Trzeba pogrzebać w jego namiocie. Nie mogę wykluczyć, że nestor wszedł w posiadanie sekretnej rzeczy, która do niego nie należy, bowiem pochodzi z niebios i jest własnością bogów... — wycedził jak urchicki kapłan do wpatrujących się w niego jak w tęczę naiwnych wiernych.

Sformułował ten zarzut przekonująco, choć zarazem oględnie — jednak dla dziewczyny, która oddała swoje serce przybyszowi z gwiazd, nie miało to wagi. Miłowała go, a że była bystra, w lot pojęła, o co mu chodzi.

— Uczynię wszystko wedle twojego nakazu — oznajmiła bez wahania. — I przed nikim cię nie wydam.

— Na to liczę — bardzo go uradowała tą obietnicą. Miał nadzieję, że nie rzuciła słów na wiatr.

Był blisko niej i nie chciała, by kończył tę rozmowę. Nie podrywała się, by wracać do roboty przy ognisku.

— A może miałbyś ochotę czymś jeszcze się podzielić z Safoną, twoją niewolnicą? — ośmieliła się go zapytać.

Krył przed nią swoje sekrety i kroczył krętymi drogami. Przez krótką chwilę nęciło go pragnienie, by zignorować dzielącą ich przepaść i rzucić wszystko na jedną kartę. Zaraz jednak się opanował. Był zafajdanym kosmitą i nie mógł tego zmienić. Wychowana w szacunku dla tutejszych bóstw Ziemianka nie byłaby w stanie ogarnąć bagażu wiedzy o Urch. Czy potrafiłaby pogodzić się z tym, że nie jest człowiekiem, a tylko go udaje?

— Nie czas na to — wybąkał ze zniechęceniem. — Przyjdzie kiedyś pora... — ciężko westchnął. Nawet gdyby bardzo chciał, nie mógł jeszcze uczynić ją powiernicą i zauszniczką. Do prawdy o nim musiała dochodzić powoli, krok po kroku, tak aby nie zwaliła jej z nóg. Nie należało tego procesu przyspieszać.

— Jako sobie życzysz — potulnie odrzekła i przysunęła się do Urchity. — Stary wstaje nocą — zaczęła żywo dzielić się tym, co zaobserwowała. — Zwleka się z posłania i wypuszcza poza koczowisko. Siedzi nad szemrzącym strumieniem lub sterczy nieruchomo, podparty kosturem i patrzy w gwiazdy — szeptała mu przy uchu. — Zdaje się w nich czytać, chociaż nie są papirusem pokrytym literami. A potem z cicha łka, jakby tam wysoko, ponad rozjaśnionymi przez blask księżyca ciemnymi chmurami, coś bliskiego sercu zostawił. I jakby musiał rozstać się z tym raz na zawsze.

— Płacze?! — ogarnęło go zdumienie. Pomimo dobrych chęci nie umiał sobie wyobrazić szlochającego nestora. Przypomniał sobie, co gadał o tym Abihu.

— Tak, ma oblicze zalane łzami. Później wraca, pogodzony w duchu z tym, co się stało. Kładzie się i zapada w sen.

Właściwie nie powinno go było nic zaskoczyć. Mimo to czuł się przejęty. Na swój sposób druzgocące odkrycie nie pasowało do tego, co sobie dotąd zdołał poukładać w głowie.

— A jak to odkryłaś? — ciekawie zapytał.

Safona uśmiechnęła się z odrobiną melancholii, a może mu się tyl-

ko tak wydawało. Widocznie miała swoje dziewczęce tajemnice. Może tęskniła za bliskimi i krewnymi, których opuściła, idąc za wybranym? Tego akurat nie wiedział i jakoś dotąd nigdy go to nie zajmowało.

— Twoja luba śpi przytomnie — wyjawiła. — Jest czujna i budzi ją każdy podejrzany szelest. Przecież jest po to, żeby chronić umiłowanego. Przed wilkami, rosłym niedźwiedziem, nieprawymi ludźmi, jako również przed złymi duchami…

— Dobrze wiedzieć — skwitował pogodnie.

Podniósł się, pozwalając jej wrócić do patroszonych ryb. Ni nadchodziła właśnie z mokrymi włosami i domyślił się, że brała kąpiel w dole strumienia. Stary dał jej kawałek ługu, który jako tako się pienił. W chwilę później pojawił się sam siwobrody, niosący naręcze zeschłych ziół. Przyszło mu do głowy, że brodacz niby kozłonogi satyr podglądał z ukrycia posągowo piękną Urchitkę. Przypuszczenie to wydało mu się tak komiczne, że omal nie zarżał ze śmiechu. Później jednak spoważniał. Ujrzał bowiem sunącą ku koczowisku urchicką maszynę.

— Gdzie ten podlec był? — rzucił ciekawskie pytanie. Nikt w tym gronie nie znał jednak odpowiedzi.

KRYJÓWKA matuzalema mamiła ją i kusiła. Kiedy niby przypadkiem zerkała w jej stronę, mocniej łomotało jej serce. Urchici zażarcie się kłócili w największym namiocie. Obrzucali się stekiem wyzwisk, więc pochłonięty ich godzeniem starzec z pewnością nie pamiętał o środkach ostrożności. A zwykle miał oczy z tyłu głowy i nie było sposobu, żeby go podejść. W lot pojęła, że podobna okazja szybko się nie powtórzy. Ni i Mi-ir sztorcowali Mu-ura za samowolę. Ze strzępów słów, które do niej docierały, wynikało, że wojownik, nikogo nie pytając o zgodę, zaczął się przysposabiać do ceremonii po-

grzebowej w strefie czerni.

Pod urchickim płótnem panował półmrok. Inkrustowaną szkatułkę, dar Ni, od razu ujrzała, leżała przy wezgłowiu i nie musiała jej szukać. Miała pretekst, bo gdyby ją ktoś tu znienacka nakrył, srogo indagując, po co nieproszona wlazła, odpowiedziałaby zgodnie z prawdą, że przyszła po swoją własność. Nikt jej jednak o nic nie pytał. Sakwa wystawała spod porzuconej niedbale w kącie namiotu wytartej skóry dzika, na której starzec zwykle wysiadywał i którą nocą się okrywał. Przyklęknęła przy niej, wsuwając drżącą z wrażenia rękę pod spód. Czuła się jak złodziejka. Serce waliło jej jak młot, gdy wodziła ostrożnie palcami pod szorstkim zgrzebnym suknem, usiłując z dotyku rozpoznać, co kryje się w worze — jak czynił to w osadzie niewidomy młodzian z bielmem na oczach, którego widziała ze dwie wiosny temu. Przypatrywała mu się ze zgrozą, lękając się do niego podejść. Bose chłopaczysko od czasu do czasu szczerzyło zęby i uśmiechało się radośnie, jakby kogoś dobrze znanego witało, choć nikt przecież przed nim nie stawał i do niego nie zagadywał. Każdy mijał go obojętnie. Pamiętała, że sama próbowała potem z zawiązanymi chustą oczami rozpoznawać rzeczy z ich kształtów i że jej się to udawało. Na szczęście, sakwa była prawie pusta. Wymacała palcami rozsypane na dnie nasionka, pokruszone suszone grzyby, kawałki miękkiej, pociętej skóry cielęcej, dwie monety, dotknęła główki cebuli, aby w końcu trafić na coś, co jej się z niczym swojskim nie skojarzyło. Jednym gwałtownym ruchem wydobyła na światło dzienne nieznany przedmiot.

— Na Gromowładnego, mój miły miał rację — szepnęła ze zdziwieniem. — To nie pochodzi stąd, ale z niebios!..

Masywnej srebrzystoszarej płytki z dziwnymi przyciskami na pewno nie wykonali rzemieślnicy ani artyści Hellady. Raczej zgubił ją na ziemi któryś ze znacznych bogów Olimpu, może sama Hera. Safona ukryła ją w zanadrzu i chyłkiem wydostała się spod impregnowanej

osłony, rzucając spłoszone spojrzenia na wszystkie strony. Zdążyła w samą porę. Tamci dochodzili ze sobą do ładu. Posłyszała śmiech. Przyklękła przy palenisku i zaczęła dmuchać w żar. Starzec i Ni wynurzyli się z namiotu. Dorzuciła chrustu i po chwili ogień wzniósł się w górę. Została przy nim, wpatrując się w tańczące płomienie. Ni znowu się roześmiała, rozbawiona jedną z żartobliwych opowiastek matuzalema. Za nimi wyszedł Mi-ir, potem zaś Mu-ur. To ją uspokoiło. Uzmysłowiła sobie, iż nikt nie zauważył, że była w namiocie starca, a tam jak złodziejka grzebała w jego worku.

SŁOŃCE statecznie dźwigało się ku górze, wynurzając się spoza poszarpanej linii gór. Odzywały się ptaki. Przepędziła niegroźnego węża, który szukając ciepła bezszelestnie wślizgnął się do namiotu. Od jakiegoś czasu nie spała, czuwając przy umiłowanym i wsłuchując się w jego spokojny równy oddech. Cierpliwie czekała. Wreszcie zdecydowała się wyrwać go ze słodkich objęć Morfeusza. Delikatnie musnęła wargami jego policzek i półotwarte usta. Wątpiła, żeby ten czuły gest zapamiętał. „Obudź się, najdroższy!" — przemówiła do niego w myślach. Mi-ir ospale się poruszył, niewyraźnie mrucząc pod nosem. Powieki miał jak z ołowiu i nie zamierzał ich unieść. Nie w smak było mu ranne wstawanie i było widać, że zaraz przewróci się na drugi bok i znowu głęboko zaśnie. Któż to widział, żeby tak wcześnie podrywać się z posłania? Nie pozwoliła mu na to, wsuwając mu w rękę ów dziwny niby to boski przedmiot, który na jego rozkaz wykradła staremu. Matuzalem chyba nie zauważył jego braku, bo z wieczora go nie szukał. Jakiś czas dłubał swoim kozikiem w lipowym drewnie, więc musiała potem zgarnąć wióra i wrzucić je do ogniska.

Mi-ir w półśnie medytował nad tym, co dzierży w dłoni, a potem otworzył z lekka przerażone oczy i gwałtownie się zerwał.

Niewielka gładka płytka o zgrabnie zaokrąglonych brzegach, którą poprzedniego dnia Safona wydobyła z sakwy siwobrodego, błyszczała w promieniach wschodzącego słońca.

— Cóż to jest, do licha?! — niespokojnie zapytał i w skupieniu obejrzał przyniesiony mu łup. — Gdzie to było? — rzucił do dziewczyny, przecierając piąstkami powieki.

Przyłożyła mu palec do ust, nie chcąc, by innych pobudził. Nie zamierzała się zdradzać.

— W namiocie — szepnęła konspiracyjnie. — W worku starego człowieka.

Wygrzebał się ze śpiwora. Wyjrzał ukradkiem ze swej kryjówki, chcąc się upewnić, że nikt się nie kręci w pobliżu, ani nie podsłuchuje. Któż przy zdrowych zmysłach o tak wczesnej porze mógł się nosić z równie niecnym zamiarem? Wszyscy smacznie spali. Owiał go poranny chłód.

— Przewybornie — ziewnął, przeciągając się z ulgą. Pomyślał, że powinien się odziać i obuć.

— Czy twojej lubej nie należy się nagroda? — prawie bezdźwięcznie zapytała, filuternie przekrzywiając głowę.

— Nagroda? A jakże — szeptem pochwalił dziewkę. — Znakomicie się spisałaś. Nie przypuszczałem, że tak prędko się z tym uporasz. Mogłaś z tym poczekać do przedpołudnia.

— To serdecznie ją ucałuj — odważyła się. — Tu, w usta — pokazała mu paluszkiem.

Przymknęła błogo oczy, poddając się przelotnemu muśnięciu jego warg. Dziewczęce piersi rozkosznie zafalowały, niosąc obietnicę niebiańskich doznań.

Nagle przypomniał sobie, co gadał nestor o nie odbytych godach.

— Czy nie powinniśmy... — bąknął, pieszczotliwie gładząc jej odsłonięte ramię, a potem wsuwając dłoń pod jej koszulę.

— Zaniechaj! — to jej wystarczyło i stanowczo przytrzymała jego

rękę, karząc go za nadgorliwość. Przysłoniła mu usta. — Na to, czego łakną rozognione zmysły, przyjdzie pora — wyjawiła. — Tymczasem musisz się ułożyć z grymaśnymi bogami. A oni są przerażający, kiedy się gniewają. Mogą ukarać nas wszystkich. Nie wolno się im sprzeciwiać.

Zabrał trefny przedmiot, widomy dowód matactw siwobrodego i zdecydował, że uda się z nim w bezpieczne miejsce. Zdał się na ślepy traf. Leniwie minął cichy ślizgacz, stojący na straży ich czasowej sadyby, a Safona milczkiem za nim poszła. Pokonał szeroki strumień, zgrabnie przeskakując z kamienia na kamień. Mu-ur wymyślił takie przejście, niczym mityczny Herakles znosząc płyty i tworząc z nich dróżkę na drugi brzeg. Oddalił się na jakieś trzysta kroków i przysiadł na przygodnej stercie popękanych skał. Dziewczyna przykucnęła tuż obok, nie mniej niż on zaciekawiona zdobyczą. Trawa była mokra od rosy i skrzywił się, oglądając z uwagą swoje stopy.

— Nie próbowałaś się tym bawić? — dla pewności zapytał.

— Nie — rzekła przejęta. — Owinęłam w miękką skórkę i dobrze ukryłam.

Na płytce znaczyły się trasowane wzory. By je ujrzeć wyraźnie, musiał ją ustawić pod odpowiednim kątem do słońca. U dołu widniał delikatny owal, niby główny klawisz, a u góry — w zarys kwadratu wpisywały się małe trójkąty, każdy oznaczony innym symbolem. Ale to nie były greckie litery alfabetu. Te znał, bo stary patykiem wyrysował je kolejno na piasku, ucząc, jak się którą wymawia, od alfy do omegi. Mówił im też o przydechach i akcentach, unaoczniając je na przykładzie różnych słów.

— Miało się nosa — oznajmił Safonie, a ona potulnie przytaknęła. — Jeżeli nasz cherlający nestor jest Y-otem, za którego się podaje, to my jesteśmy białymi pelikanami z delty Wielkiej Rzeki — zadrwił sobie. Cynicznie się roześmiał i pokiwał głową w chmurnej zadumie. — To jest z pewnością inicjator, czyli urządzenie do zdalnego stero-

wania — klarował dziewce, nie przejmując się, że i tak tego nie pojmie. — Ale nad czym to draństwo ma władzę? Jaką ma moc? Gdzie jest mechanizm, który uruchamia? Może tu w pobliskich górach? — przemyśliwał. — Do krocset, czyżby siwobrody dysponował sekretną bronią? Superszybką łajbą kosmiczną? Transkontynentalnym systemem transportu? — snuł naprędce domysły. — Nie przypomina mi to komunikatora, bo nie widać mikrofonu i głośniczka. Ale kto wie?! — Niecierpliwie drapał się po brodzie, na której znaczył się kilkudniowy zarost. — No, cacuszku, przyznasz się bez bicia, do czego służysz? — jak prymitywny Y-ot bezceremonialnie potrząsnął trzymanym w ręku urządzeniem. Wydawało się, że zacznie walić nim o kamień. — Mów, bo cię rozgniotę jak pluskwę. Wrzucę cię do ogniska i skończy się na fajerwerkach! — Przerażona Safona cofnęła się o krok w obliczu takiej profanacji. Nie traktowało się lekceważąco rzeczy, należących do bogów.

Srebrzystoszara płytka nie chciała mu jednak udzielić żadnej odpowiedzi. Musiał sam dojść do tego, po co ją wyprodukowano. Eksperyment jednak mógł okazać się ryzykowny. Podniósł się ze sterty. Pozostawił skradzioną zabawkę na płycie skalnej. Znieruchomiał, gapiąc się w dal. Nie krył niezadowolenia.

— Cóż ja, biedny Urchita, mogę wiedzieć o możliwościach istot, które przenoszą się bez trudu z jednej galaktyki do drugiej i z łatwością ingerują w złożone procesy, zachodzące w gwiazdach? — histerycznie użalał się nad sobą. — Co tu ukrywać, przy nestorze jestem maleńką mrówką. Ledwo co odstaję od ziemi. Ten drań jest jak nic przedstawicielem potężnej rasy, przed którą cały kosmos stoi otworem. I ja mam mu skoczyć do oczu? Z krzywym kijaszkiem w dłoni? Złapać go za gardło? Rzucić na kolana? Przecież od razu rozłoży mnie na łopatki — biadolił. — Utrze mi nosa i da mi zdrowo po uszach, o ile nie przyjdzie mu do głowy, żeby mnie wysłać na tamten świat. Mam walczyć z nim jak Dawid z Goliatem, jak to opowiadał

Abihu? Przegram, bo nie góruje się nad takimi gigantami.

Mocował się z sobą, a potem mężnie podjął decyzję. Safona wiernie zaglądała mu w oczy — lecz gestem nie znoszącym sprzeciwu nakazał jej, by się oddaliła. Nie chciał, żeby się jej stało coś złego. Przez króciutką chwilę żałował, że wciągnął ją do tej podstępnej gry, która mogła skończyć się fatalnie.

— Sam zmierzę się z bogami — z powagą powiedział. — Ciebie nie powinno przy tym być.

Niechętnie odeszła. Zrobiła kilkanaście kroków i przystanęła, ale to mu nie wystarczało. Musiała cofnąć się jeszcze bardziej. Nie umiał orzec, czy mu się powiedzie, czy nie, a przy tym nie mógł wykluczyć tego, że nigdy więcej jej nie ujrzy. Podziękował jej w myślach jej za to, że po niefortunnym spotkaniu z tubylcami przy statku kosmicznym wyciągnęła go z opresji.

— Psy szczekają, karawana jedzie dalej — rzucił z odrobiną zadumy, biorąc trefne urządzenie do rąk. Należało przestać się mazać i wziąć się ostro do roboty.

Stuknął palcem w owal, najpierw raz, a później dla pewności drugi raz, wreszcie mocno wcisnął przycisk kciukiem, przyjmując, że włączy w ten sposób obwody płytki.

— Na proroków, to działa — szepnął bezgranicznie przejęty.

Linie na powierzchni się zajarzyły i w jednej chwili wszystkie oznaczenia stały się widoczne i czytelne. Czekał w nerwowym napięciu na to, co się dalej stanie.

— Ale heca, włączyło się zasilanie — zapiał odkrywczo. Był tak dumny, jakby wymyślił koło. Z duszą na ramieniu zapytał: — Ciekawe, jaki to gówienko ma zasięg?

Rozejrzał się po otoczeniu. Słońce odrywało się od poszarpanej linii horyzontu, tracąc czerwoną barwę. Koncertowały ptaki. Od zachodu nadciągały pierwsze chmury, zwiastujące zmianę aury. Ani chybi, zanosiło się na przelotny deszcz. Płytka nie była z pewnością

urządzeniem meteorologicznym i nie służyła do ujarzmiania sił natury. Prawdopodobnie umożliwiała szybkie przenoszenie się w przestrzeni.

— Raz kozie śmierć! — zawyrokował z miną straceńca.

Chcąc nie chcąc, wybrał jeden z trójkątów. Było ich dziewięć. Przycisk zareagował zmianą barwy światła i tym razem serce naprawdę załomotało mu w piersiach. Pojął, że wikła się w kosmiczną awanturę. Rozejrzał się po tym wyczynie, za który należało go zesłać na katorgę do kamieniołomów na Ab-su-tu, ale nadal nic się nie działo.

— Co u licha?! — mruknął z odrobiną irytacji. — Przecież to maleństwo powinno... — zaczął, ale nie zdążył dokończyć podjętej myśli.

Dookolne masywy górskie nagle gdzieś przepadły. Otoczyła go delikatna srebrzystobiała mgła. Szczelnie go otuliła, całkowicie odgradzając od widzialnego świata. Ciche o poranku powietrze rozdarł ledwo słyszalny obcy ton jakby bardzo odległego dzwonu.

Safona rozdzierająco krzyknęła, ale tego nie słyszał. Stała jak sparaliżowana i z prawdziwym przerażeniem przyglądała się niecodziennemu zjawisku. Jej ukochany zniknął w głębi wirującej białej topieli. Zakotłowało się, jakby to miejsce nawiedził niepohamowany Ares, bóg wojny, ale zaraz gęsta mgła znikła. Tam, gdzie przed chwilą stał wybranek jej serca, nikogo już nie było.

ZAPOWIADAŁ się sądny dzień. Wydawało się, że tego ranka złe duchy planety znowu sprzysięgły się przeciw rozbitkom i przypuściły na nich atak. Spokojny i ustępliwy Mi-ir zniknął bez śladu. Przepadł jak kamień w wodę, a urodziwa tracka młódka odchodziła od zmysłów. Łkała, skulona w swoim namiocie. Nie rwała się do żadnych zajęć, chociaż zwykle wszędzie jej było pełno i chętnie służyła pomocą. Nie można było niczego z niej wyciągnąć, bowiem milczała

jak grób. Wyniosłej Urchitce nie mieściło się to w głowie. Indagowali upartą jak osioł małą wszyscy po kolei — najpierw ona, przejęta do ostatnich granic, potem spowolniały tego dnia starzec, a w końcu ponury jak zwykle Mu-ur — ale bez widocznego skutku. Wstrząśnięta Ni nie umiała uwolnić się od przeświadczenia, że Safona maczała palce w zniknięciu ich kompana. Licho nie spało, a na z pozoru przychylnych tubylcach nie należało polegać, ani łatwowiernie darzyć ich zaufaniem. Podle się to zapowiadało. Nie wykluczała, że kuty na cztery nogi Mi-ir, ten szczwany lis, zobowiązał swą bogdankę pod przysięgą do milczenia. Pewnie zaklęła się przed nim na leśne duchy lub bóstwa z tutejszego panteonu, że nikomu nie zdradzi, co zamierza. I nie było na to siły. Który z niemrawo krzątających się po obozie straceńców byłby w stanie zwolnić tracką dziewkę z danego Zeusowi słowa?

Siwobrody przeżywał po swojemu to niemiłe zajście — nerwowo plątał się między namiotami, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Ze zniechęceniem zaglądał w przeróżne zakamarki, jakby czegoś szukał. Nie miał ochoty dłubać w lipowym drewnie, chociaż dopiero wyrzeźbił dwa zgrabne kubki. Obiecał, że wykona sześć, po jednym dla każdego. Nie brakowało mu drygu do tego wymagającego kunsztu zajęcia. Ręce miał niemal jak frygijski król, Midas, od którego dotyku wszystko zamieniało się w złoto. Jakiś czas za nim się snuła, nie odstępując go prawie na krok. Wreszcie go zapytała, czy przypadkiem czegoś nie zgubił, ale obruszył się i stanowczo zaprzeczył. Intuicyjnie wyczuła, że nie chce zdradzić prawdy. Łypała potem na niego ze współczuciem, bo rzuciło się jej w oczy, że nagle przybyło mu lat. Coś przygięło go do ziemi. Przygarbił się, skulił, zamknął w sobie, a jego głos zamienił się w chrypkę. Przykład Safony okazał się zaraźliwy, bowiem i on nabrał wody w usta.

Tylko gburowaty Mu-ur nie przejmował się zniknięciem Mi-ira. Kiedyś rozstał się z nim w dużo gorszych okolicznościach. Pozosta-

wił go samego w beznadziejnej sytuacji — na sterczącej nad szczerzącą kły przepaścią kruchej półce skalnej. I nic złego się nie stało jego kamratowi. Spryciarz podołał losowi. Widocznie uważał, że i tym razem pokładowy analityk, bez względu na to, w co by się nie wplątał, poradzi sobie bez niczyjej pomocy.

— He, he, he — bezczelnie roześmiał się jej w twarz, gdy go usiłowała ostrożnie wypytać, co o tym wszystkim sądzi. — A cóż mnie to obchodzi? — wściekle odwarknął, pokazując jej plecy. — Wczoraj ja oberwałem, dzisiaj pewnie jemu się dostanie... — chełpliwie się odgryzł, nie wybaczając jej, że poprzedniego dnia wieszała na nim psy.

Ciemnowłosy chłopak nudził się i od niechcenia strzelał z procy. Gumę znalazł w ładowni ślizgacza. Kiedy przypadkiem trafił kamykiem w przygięte plecy starego, dał sobie spokój z pożałowania godną zabawą. Łatwo było wybić komuś oko. Potem przykleił się do Muura. Słońce wzniosło się wysoko, a zniechęceni bezczynnym czekaniem, zaczęli głośno debatować nad wyprawą w dół strumienia. Podobno niżej można było zapolować na duże ptaki. Stary wspominał coś o dzikich kaczkach i bocianach. W końcu poniosło ich obu w tamtą stronę i w obozie ucichło.

Zachęcona ciszą tracka dziewczyna wystawiła głowę z namiotu, niepewnie się rozglądając, ale nadal nie rwała się do tego, by przed kimś otwierać duszę. Umyła zapłakaną twarz w strumieniu. Potem zaczęła uporczywie się przyglądać siwobrodemu, jakby to on zawinił, a nie jej ukochany. Ten, czując jej pełne wyrzutu spojrzenia, wpadł na niedorzeczny pomysł, że uda się śladami obozowego patałacha i spróbuje go odszukać. Jednak Ni stanowczo się sprzeciwiła. Narzekający na swe nogi staruszek nie nadawał się na tropiciela. Zaciągnęła go zresztą zaraz do dużego namiotu, bo chciała, aby jej opowiedział o greckich wazach i czarach.

Safona pozostała sama przy tlącym się ognisku. Dołożyła drew. Na północy w wysokich górach padało. Rozczesała grzebieniem zmierz-

wione włosy i uplotła warkocz. Później podkuliła nogi. Pociągała nosem, wpatrując się w strzelające płomienie. Gdyby luby był jej plemiennym mężem i gdyby naprawdę umarł, a nie został porwany przez bogów, bez wahania poszłaby za nim na stos. Wróciła pamięcią do chwili, w której starzec wyłonił się z sakwą z namiotu i włożył do niej rękę. Nie znalazłszy tego, czego szukał, zamarł na moment jak ślepiec, a oczy omal nie wyszły mu z orbit. Stał ogłupiały. Odebrany mu przedmiot dowodził jego konszachtów z bogami. Uspokoił się dopiero wtedy, kiedy sięgnął w zanadrze długiej szaty i dotknął zawieszonego na szyi medalionu. Wątpiła, czy matuzalem potrafiłby odnaleźć jej ukochanego. Mi-ir bowiem zniknął tak, jak to czyniły duchy — rozpływając się bez śladu w powietrzu. Tam, gdzie stał, pozostało jedynie koliste wgniecenie w trawie, jakby po walcu o sporej wadze.

W chwilę później wymknęła się pod obelisk, zabierając ze sobą swoje skarby. Wszystko, co miała — przepiękną szkatułę, monety z elektronu, kawałki srebra, a nawet bransoletę, którą również otrzymała od Ni — zawinęła w pszeniczną słomę i oddała w ofierze Artemidzie. Tylko ona mogła jej pomóc. Czy jej miły został porwany przez Aresa na Olimp? Czy go ukarano, zsyłając do podziemnej krainy, w której witał zmarłych Kerberos, potworny pies o trzech paszczach? A może jak tytana Prometeusza przykuto go do skał niezdobytych gór?

— Z Hadesu nie ma powrotu — łkała, siedząc na stosie kamieni, tam gdzie zniknął. — Kogo przewiezie brodaty Charon na drugą stronę rzeki, ten na wieki pozostaje w głębinach ziemi…

Świadomość tego, że nie ujrzy więcej swego umiłowanego, była dla niej nie do zniesienia.

Rozdział trzynasty

USTĄPIŁA smolista czerń i znikła zawiesista mgła, która oblepiała go i paraliżowała ruchy. Z niebotycznym zdumieniem odkrył, że po przykrótkim stanie irytującej nieważkości i braku jakichkolwiek bodźców zewnętrznych znalazł się na powrót w realnym świecie. Jego napięcie spadło.

— Uffff! — odsapnął z chwilową ulgą i instynktownie zaczerpnął powietrza, nie wypuszczając z rąk infernalnego pilota.

Z przejęcia dygotał. Stał w niewielkim rozkroku, a nogi pod nim się uginały. Usiłował się opanować i nie stracić wątłej równowagi.

— Do kata, żeby przy tym piekielnym draństwie była chociaż instrukcja obsługi... A tu nic! Radź sobie ośle sam, jak umiesz! — jąkając się, wybąkał rozżalony. Potem zaczął przyzwyczajać wzrok do obcego otoczenia.

Spedycyjny moloch wypluł go na nieprzyjemnej mrocznej stacji. Był w straszącym ogromem pomieszczeniu i domyślił się tego, chociaż nie widział ścian ani stropu. Wysoko ponad nim leniwie krążyły świetliste kule — żółte, białe, różowe i pomarańczowe, a tu i ówdzie zielone — wyznaczające pułap niby-peronu. Jak karzełek sterczał na połyskującej gładkiej płaszczyźnie, dokładnie na środku jaskrawo świecącego trójkąta z wyrysowaną sinusoidą. Zaraz jednak trójkąt pociemniał i zgasł.

Urchita z lękiem się rozejrzał. Był skazany na improwizację. Nie wydawało mu się prawdopodobne, żeby sztuczne gniazdo, do którego przeniosła go wymyślna aparatura, mieściło się na Ziemi. Czuł, że jest odrobinę lżejszy. Obok dojrzał inne trójkąty. Ktoś odwzorował tu w odpowiednio większej skali wzory i symbole z płytki, którą

dzierżył w dłoniach. To było pokrzepiające i wywnioskował, że będzie mógł stąd uciec i powrócić tam, skąd przybył. Płuca nie alarmowały o zagrożeniu i odnotował, że powietrzem w hali da się oddychać. Przetarł rękawem zroszone czoło.

— Żebyś ty wiedziała, coś ty narobiła, dziewczyno! — wyskamłał pod adresem trackiej dziewoi.

Niewinne na pierwszy rzut oka urządzenie, które posiadł dzięki sprytowi Safony, służyło do pokonywania ogromnych przestrzeni kosmicznych. Uzmysłowił sobie, że nie doceniał technologicznych możliwości demonicznej rasy, którą bezapelacyjnie reprezentował siwobrody. Z pewnością jego rodacy erę konwencjonalnych lotów kosmicznych dawno mieli za sobą. „Łajdaki, ależ wiedzą dysponują!" — miauknął do rozpierzchłych myśli. Skulił się, nie chcąc wzbudzić niczyjego zainteresowania — nikt go tu przecież nie zapraszał. Był intruzem i natrętem. No, ale cóż miał biedak począć? Postąpił naprzód, chyłkiem schodząc z platformy. Starał się nie hałasować.

— Na proroków, gdzie jestem? — szepnął ze zgrozą. Asekuracyjnie omijał pozostałe trójkąty, nie chcąc udać się w kolejną podróż w nieznane. No właśnie! Gdzie był? Dobre pytanie! Nie nasuwała mu się na razie żadna klarowna odpowiedź. Teleportował się z Y-o, lecz bezsprzecznie nie wrócił na Urch. Zerknął za siebie, upewniając się, że w razie czego trafi z powrotem na odpowiednią platformę i nie zamknie sobie drogi powrotu do przyjaciół biwakujących nad Nestosem.

Nurtowało go przeświadczenie, że w olbrzymim hangarze jest sam, ale zaraz odkrył, że się pomylił. Nie przegapiono jego przybycia. Odległa wnęka zajaśniała trupiobladym światłem i wynurzył się z niej miniaturowy jednoosobowy pojazd, niby to fotel na kółkach. Nie miał ochoty na nieprzyjazną konfrontację i serce skoczyło mu do gardła. Wlokło się ku niemu niewydarzone monstrum. Czy to był ktoś rozumny, czy maszyna? Przerażony pomyślał, że wolałby raczej

spotkanie z bezdusznym robotem, żywi byli bowiem bardziej niebezpieczni. Sięgnął za pas, łapiąc rękojeść miotacza i gotując się do nieuchronnego starcia. W zbliżającym się pojeździe gniła jajogłowa istota, podobna do tych, które przed wiekami gościły na Urch. Nieprawdopodobna relacja kosmicznego kamerzysty znajdowała tu namacalne potwierdzenie. Taka rasa naprawdę istniała.

Nadjeżdżający był wzburzony i rozsierdzony, a przy tym nie zamykały mu się usta. Gniewnie wymachiwał rękoma, pienił się, ciskał klątwy i złorzeczył przybyłemu. Jego wrogie nastawienie było widoczne, choć z tej odległości do Urchity docierały tylko strzępy słów. Jeszcze chwila i dałby nogi za pas, ale nie zdążył. Nim ruszył się z miejsca, jedna z unoszących się w górze kul spłynęła łagodnie w dół, oblewając go jasnym światłem i zatrzymując niczym na scenie. Poczuł się jak kiepski aktor, którego zaraz wygwiżdżą i obrzucą zgniłymi jajami.

Miniaturowy pojazd znieruchomiał w niewielkiej odległości i dopiero wtedy Urchita wyraźnie usłyszał głos jajogłowego. Dźwięki dochodziły z całkiem bliska — z pilota, którego ściskał w spoconej dłoni. Uniósł brwi ze zdumieniem, odkrywając, że zwędzone staremu urządzenie pełni również rolę translatora.

— Tyle czasu bez kontaktu, tyle czasu... — obcy strofował go, dając upust tłumionej złości, a przy tym wcale na niego nie patrząc. — Jedni dają dyla za wcześnie, a wracają z pustymi rękoma, ten gorliwiec znowu zaszył się tam na dobre. Siedzi u tych prostaków, jakby go ktoś do nich przywiązał i jakby te prymitywy były jego koligatami. Tyle czasu, tyle czasu... — ślinił się z męczącą chrypą. — To niewybaczalne...

Wykrzyczał się, ulżyło mu, charczał już przecież ruszając z odległej wnęki, i zdawał się teraz uspokajać. Podpłynął jeszcze bliżej i obrzucił nieżyczliwym spojrzeniem przybyłego.

— Dlaczego miałbym tu wiecznie warować? Co to? Nie mam nicze-

go innego na głowie? — zmienił nagle front i zaczął się uskarżać. Teraz łasił się jak pies, a jego głos przeszedł w żałosne crescendo. — Ten zdezelowany i wyszmelcowany świat wkrótce szlag trafi. Taki w nim chaos, taki zamęt i bałagan! — Na koniec ze zniechęceniem machnął ręką. — Ech, szkoda gadać. Tylko strzępię sobie język!

Wyraźnie brano go za kogoś innego. Popieprzony dozorca z olbrzymiej galaktycznej wozowni, stróżujący tu z obowiązku furiat, pomylił go z kimś ze swoich — i to nagłe odkrycie podziałało pokrzepiająco na Urchitę. Strój i wygląd nie miały tu nic do rzeczy i pewnie dlatego udało mu się nie zdekonspirować. Poczuł jedynie żal, że nie dowiedział się niczego więcej i że dotarły do niego tylko ostatnie zdania przykrej przydługiej tyrady.

Obcesowy jajogłowy wylał swoje żale, a jego zwrotny pojazd nadspodziewanie szybko się obrócił i zaczął się oddalać. Zapadła znowu niepokojąca cisza. Miniaturowy wehikuł nie pożeglował jednak z powrotem do wnęki. Skierował się w stronę majestatycznej bramy hangaru. Jej obie połowy drgnęły, powoli się rozsuwając i odsłaniając czyste niebo. Świetlna kula lekko się uniosła, niby uskrzydlona muza wskazując mu drogę. Ruszył powoli, pojmując, że jako przybysz z penetrowanych przez wpływowy gatunek przestrzeni kosmicznych powinien wprost ze stacji udać się do... No, właśnie, dokąd? Przyszło mu na myśl słowo „dom". Gdzie jednakże na tym dziwnym ciele niebieskim, na którym się znalazł, mógł się mieścić własny kąt wysłańca, powracającego z innej części wszechświata? Dwa słońca, jedno większe oraz drugie, mniejsze i jakby przez to bardziej odległe, a przy tym dające mniej ciepła, świeciły seledynowo. Stąpał ku monumentalnej bramie ze świadomością tego, że jego podwiązane w kostkach rzemieniem kiepskie mokasyny wyglądają komicznie. W odzieniu ze źle wyprawionych skór czuł się jak błazen, który pcha się tam, gdzie go nie powinien. Tęsknie pomyślał o Safonie, którą pozostawił na Ziemi. Z pewnością boleśnie przyjęła jego

nagłe zniknięcie.

Planeta tylko z pozoru była dziełem natury i rzuciło mu się w oczy, że jest podejrzanie mała. Horyzont był nieodległy, a podłoże, po którym heroicznie kroczył, pozbawione nierówności i jedwabiście gładkie, miękko uginało się pod jego stopami. Nie miało żadnych widocznych skaz.

— Trafiłem na sztuczną planetoidę — z niedowierzaniem wymamrotał. — Że też musiało mnie coś takiego spotkać?

Zdumiało go to miejsce. Ciało niebieskie, na które nierozważnie dał się teleportować, stanowiło niezwykłe dzieło sztuki. Jako idealna kula było wcieleniem matematycznego piękna. Poza hangarem, który opuścił, jego wzrok nie wyłuskał żadnych zabudowań, nie licząc widocznych z jednej strony w oddali kopulastych wzniesień, ledwo wynurzających się spoza przykurczonej linii horyzontu. Na niebie nie dostrzegł obłoków ani chmur; wprawdzie wyczuwał lekki ruch powietrza, ale nie wiał wiatr — tu aura na pewno nie zaskakiwała mieszkańców swymi kaprysami. Nie przeganiała ich nagłym siekącym deszczem, ani nie straszyła skokami temperatur.

— Zadziwiająca konstrukcja — cmoknął z nabożnym uznaniem. — Jak daleko należy posunąć się w ewolucji, żeby umieć tworzyć takie cuda?

Jeżeli mógł mieć wcześniej wątpliwości, związane z technologicznym potencjałem obcych, to na tej dziwnej planetoidzie musiały one rozpłynąć się bez śladu. Przyszedł mu na myśl siwobrody i Urchita zmełł w ustach straszne przekleństwo. Rozumiał, co się stało. Znalazł się tu zamiast brodacza. Matuzalem znakomicie się wcielił w rolę naiwnego Ziemianina, gotowego spieszyć z bezinteresowną pomocą potrzebującym. Dopiero teraz Mi-ir ze zgrozą sobie uzmysłowił, że jego niegroźnie brzmiący tytuł — strażnik planety — nie ma żadnych związków z mitologią i wierzeniami Y-otów. To nie była niewinna metafora. Siwobrody naprawdę strzegł Ziemi i skupiał w

swoich rękach całą realną władzę nad tym nieszczęsnym globem. Był jego suwerenem, jego rządem i armią.

— Ty wredny sukinsynie, ty krętaczu i oszuście — zgrzytnął zębami, z bólem serca uzmysławiając sobie, że w obliczu tego niemal absolutnego władcy, niby wszechmocnego boga, jest tylko marnym prochem. — Ty niewydarzeńcu i pokurczu, przenigdy ci tego nie wybaczę. Tak nas wykiwać?

Nie wiedział, dokąd ma się udać, ale to nie miało żadnego znaczenia. Wprawdzie opryskliwy dozorca zniknął, ale od strony kopulastych wzniesień pędził już ku niemu niski opływowy pojazd. Przekazano komuś pałeczkę. Z przekąsem się roześmiał, pojmując, że zadbano o to, aby nie narzekał na brak wrażeń. Miał znowu ochotę zawrócić i jak najszybciej uciec na Ziemię, ale coś go powstrzymało. Nie chciał, by prymitywny strach sabotował jego plany.

NIEPRZENIKALNE dla światła błyszczące ściany bolidu rozchyliły się jak płatki kwiatu, a z jego wnętrza wydostała się młoda zgrabna hetera. W przeciwieństwie do przykurcza z hali miała sprawne dolne kończyny. Okrywał ją z wdziękiem obcisły kombinezon. Niestety, pozbawiony owłosienia jajowaty czerep ją zdradzał — należała do tej samej co ów dziwak posępnej rasy. Przez delikatną prawie przeźroczystą skórę przezierały drobne naczynia krwionośne.

Wrażliwe nozdrza obcej niepokojąco zadygotały. Oddaliła się tylko o krok od czarnego bezkołowego pojazdu, który częściowo się zasklepił. Nie miała ochoty stawać twarzą w twarz z ziemskim pastuchem, bowiem odpychał ją smród przepoconych trackich skór. Z bezpiecznego dystansu łaskawie skinęła w jego stronę, ale jej półuśmiech był wyniosły i wzgardliwy. Powitała Urchitę jak kogoś, kogo od dawna znała — tak dobrze, że nie musiała się przedstawiać.

Od razu przeszła do rzeczy i powiało dojmującym chłodem.

— Pogrążyłeś się, durniu, po same uszy — na dzień dobry wysyczała jak żmija. — Nie wywiązałeś się z misji, którą nałożyła na ciebie rada, a przecież jej dyrektywy były jasne. Co to, rozum ci odebrało? — zaczęła go łajać, nie żałując ostrych słów. — Ty skończony idioto, siedzisz tak długo u tych bezmózgich dupków, że pewnie ci to poruczenie należało wypisać na kawałku byczej skóry — pozwoliła sobie na wątpliwą ironię, sycąc się poczuciem wyższości. — Cóż za bezczelność? Zignorowałeś i mnie, i innych. A tego ci nie było wolno — pogroziła mu palcem. — O nie! Buntownik się znalazł! Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że przynosisz ujmę szlachetnym, takim jak ja? Rzucasz na nas cień w sferach bliskich radzie i w tych niepewnych czasach stawiasz pod znakiem zapytania naszą lojalność… — płynęła niekończąca się tyrada słów.

Translator działał bez zakłóceń i Mi-ir wszystko rozumiał. Jakby miał na uszach słuchawki. Kobieta nie zwracała jednak na to podłe urządzenie uwagi. Była przeświadczona, że i bez niego przybyły wie, co mówi.

— Jakiego… znowu… poruczenia?! — zapytał zdezorientowany i zaraz ugryzł się w język. Translator zadziałał w drugą stronę.

Usiłowała spiorunować go wzrokiem, ale jej to nie wyszło. Skrzywiła się z niechęcią.

— Oj, Raho, Raho, nie kpij sobie ze mnie i nie próbuj zabawiać się moim kosztem, bo wiesz, że mnie to rani. A mogę ci się jeszcze do czegoś przydać — prychnęła, nadal biorąc Urchitę za siwobrodego z Ziemi. — A jak sądzisz? — podminowana spytała. — Ciekawe, któż to inny będzie cię bronić pod złotą antresolą? Nie ma tu nikogo, kto chciałby cię osłaniać, oprócz mnie — przekonywała, podważając jego pewność siebie. — Nie pal za sobą mostów, bo pogrzebiesz się do cna. I tak wszyscy się gubią w tym potwornym chaosie — mówiąc to, wydobyła z zanadrza mały błyszczący znaczek, pewnie identyfikator. Spuściła wzrok na to urządzenie, chwilę przy nim majstrując.

— Zapamiętałam hasło, a rozkaz rady przekazałam ci z początkiem trzeciego miesiąca. Nie mógł do ciebie nie dotrzeć i nie mogłeś go nie potwierdzić. I potwierdziłeś, bo sprawdziłam. Po trzykroć sprawdzałam, gdyż jestem dok-ład-na… — podkreśliła, podnosząc wzrok. — Rozumiesz szczwany lisie?!

Milczał, w skupieniu trawiąc to, co usłyszał, lecz jego z lekka pobladła twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Tyle zdążył nauczyć się od Mu-ura. Coś mu mówiło, że młoda wiedźma nie jest wcale groźna. Korciło go, żeby się ujawnić i bezczelnie zdradzić, że przybywa z polecenia Rahy.

Nie mógł pojąć, jakież to ważne i niecierpiące zwłoki polecenie otrzymał strażnik planety Ziemi. Na wszelki wypadek wyjął miotacz, mimochodem kierując lufę w stronę obcej.

— Zaraz, zaraz, a co to był za rozkaz? Bo nie pamiętam? — chlapnął, chcąc za wszelką cenę przedłużyć tę wariacką rozmowę.

Nie zwróciła uwagi na jego broń. Nie kojarzyła jej się z zagrożeniem.

— Jesteś stuknięty, czy co? — stopniowo zaczynała mięknąć. Niby to nieugięta i nieprzejednana, topiła się przy nim jak wosk. — To prawda, że uwielbiasz dramatyczne popisy. W moim odczuciu powinieneś być artystą na Urgu i kryjąc się za pokraczną maską wyśpiewywać nostalgiczne pieśni. Z tym by ci było bardziej do twarzy. — Pociągnęła nosem. — Ale cuchniesz! — palnęła z odrazą. Cofnęła się i oparła o karoserię. — Za każdym razem wracasz z tej obmierzłej planety inaczej przeobrażony i za każdym razem idiotycznie udajesz, że nie pojmujesz rzeczy najprostszych. Wątpliwe poczucie humoru! Wiesz, że tego nie cierpię i że to uwłacza mojej godności. To dobre dla prostaków, a nie dla nas. Nie mogę dociec, dlaczego tak cię pociągają pozy prymitywnych. I dlaczego mam się zniżać do ich poziomu?!

Mi-ir przestąpił z nogi na nogę i asekuracyjnie się obejrzał, chcąc

się upewnić, że majestatyczna brama stoi nadal otwarta. Za jego plecami nic się nie zmieniło. Chodził mu po głowie niejasny plan ucieczki. A może byłby w stanie porwać tę furiatkę na Ziemię?

— No, dobrze, niech ci będzie — wreszcie rzekła ze zniechęceniem, widząc, że jej rozmówca jest twardy jak skała i że nie zamierza ustąpić. Może przelękła się, że najzwyczajniej w świecie pożegna ją bez słowa i powróci tam, skąd przybył? — Potrafię się dostosować... — żachnęła się i zabrała się do pytania Mi-ira. — Miałeś zniszczyć prymitywny statek kosmiczny z załogą z układu... zapomniałam nazwy, lecący w stronę planety, na której od dawna się byczysz, łowiąc ryby lub obmacując co ładniejsze tubylcze samice — ciągnęła. — Tamtą cywilizację dawno szlag trafił, więc nie było racji, aby utrzymywać przy życiu jej resztek, tej gromadki z wolno poruszającego się kosmolotu. Tak mi oznajmiono — podsumowała. — Przekazałam ci to polecenie, no i co z tego wynikło? Miałeś się z tym uporać, kiedy ci dzicy byli jeszcze na obrzeżach twojego układu słonecznego. Czy potrafisz się z tego jakoś wytłumaczyć? Bo będą cię o to indagować w czasie przesłuchań, a wiesz, że potrafią być dociekliwi i że wyciągną z ciebie wszystko...

Pytania jajogłowej pozostawały bez odpowiedzi, a Mi-ir milczał, marszcząc z wysiłkiem czoło. Schował miotacz za pas i włożył ręce do szerokich kieszeni. Intensywnie wpatrywał się w hangar i składał rzucane chaotycznie informacje. Obca wcale nie oczekiwała, że jej odpowie. Perorowała za niego.

— Ty tymczasem — wycelowała w Mi-ira długim cienkim palcem — zabrałeś się do dzieła dopiero tuż przed ich lądowaniem na twojej ukochanej Ziemi. I dałeś im szansę przeżycia — oczywiście, nie wszystkim, ale tylko immortusom. Uratowali się i tam pozostali — i gościsz ich teraz, chuchając na nich jak na złote jajo, z którego ma się wykluć genialny zbawca świata. Czy możesz mi przynajmniej zdradzić, do czego oni są ci potrzebni?!

Z jego czoła nie znikały zmarszczki. Coś mu się klarowało w głowie. Coś mu świtało. Zaczął rozumieć, o co chodziło strażnikowi Ziemi. Z tego, co usłyszał, wynikało, że reprezentujący transgalaktyczną rasę matuzalem niespodziewanie stanął w ich obronie. Dlaczego to uczynił?

— Narozrabiałeś, Raho — kontynuowała jego rozmówczyni — i dobrze o tym wiesz. Lecz nie przede mną będziesz się tłumaczyć, ale — jak wspomniałam — przed radą. Oni zaś nie znają uczucia litości, a ostatnio stali się wyjątkowo okrutni. Pewnie jeszcze nie słyszałeś, jaki los spotkał dwóch konwojentów z Aosu...

Perspektywa ewentualnej kary dla strażnika planety jakoś Mi-ira nie zaciekawiała.

— A kim są ci immortusi? — zapytał obcesowo, licząc po raz kolejny na łut szczęścia. Zwrócił się znowu w jej stronę.

Przeciągał strunę. Histerycznie się roześmiała.

— Wybacz, nudzisz mnie, to są ograne numery i mam ich już dość — rzekła zniecierpliwiona. — Nie udawaj, dobrze wiesz, kim oni są. Każdy transgalaktydyta o tym wie. — Zmieniła temat. — Nie licz na to, że będę cię bronić przed najstarszymi — przyciszyła głos, jakby w obawie, że ktoś niepowołany może ją usłyszeć. — Chyba, że... — obejrzała się podejrzliwie za siebie, postanawiając wyłożyć swoje karty. Uczyniła ostrożny krok w jego stronę. — Chyba, że zdradzisz mi, co tam naprawdę wyczyniasz. Bo nie mam wątpliwości, że coś podle knujesz. Łamałam sobie nad tym głowę, ale bez skutku — przeszła do szeptu. — Daję ci jeszcze jedną szansę. Jeżeli mnie wtajemniczysz w swoje plany, zdradzę radę, złamię prawo i przeniosę się do ciebie na całą wieczność. Przecież wiesz, że nie wbiję ci noża w plecy...

Ich oczy się spotkały, a jej spojrzenie jeszcze bardziej złagodniało. Przekrzywiła głowę, oceniając krytycznie jego fatalny wygląd. Poczuł, że prezentuje się gorzej niż beznadziejnie.

Odetchnęła.

— Wystarczy... — rzekła z rezygnacją, a w jej głosie zabrzmiały nowe nuty. Odreagowała się jak beznogi dozorca i była już tylko zniewoloną faworytą, gotową z oddaniem paść przed nim na kolana. — Proszę cię, powróć do prawdziwej postaci — powiedziała błagalnie. — Chcę cię ujrzeć takim, jakim byłeś i jakim jesteś. Tak dawno cię nie widziałam... — w jej słowach brzmiał tłumiony żal. Wydawało się, że w jej oczach pojawią się łzy.

Łagodnie wyciągnęła w jego stronę maleńki identyfikator, włączając to urządzenie. Znaczek zamigotał i zaczął pulsować jaskrawoczerwonym światłem. Jednocześnie przeraźliwie zawyła oszalała wirtualna syrena. Kobieta spojrzała na Urchitę ze straszliwym niedowierzaniem — a biedak pojął, że został zdekonspirowany. Jej gładką twarz wykrzywił potworny lęk.

— Ty, ty, ty!.. — jej ręka drżała. — Nie jesteś Rahą! Jesteś... prymitywnym! Jesteś immo... — jej oskarżenie zabrzmiało prawie jak wystrzał.

Wypuszczony z rąk znaczek upadł i potoczył się do stóp Mi-ira. Nadal dojmująco wyła syrena alarmowa. Błyskawicznie sięgnął po to cacko i czerwonym przyciskiem je wyłączył. Spoglądał na jajogłową, nie rozumiejąc, czego tak się przeraziła. Dotąd nigdy nikogo nie widział w takim szoku. Nawet biedny Li-ip tak bardzo się nie bał, kiedy ich kapsuła osuwała się po górskim zboczu.

— Nie...

Skóra jej głowy i rąk pociemniała i pokryła się siatką drobnych pęknięć, starczych zmarszczek i zmaz. Niewyobrażalnie spięta dygotała, potem zesztywniała, odwróciła się jak na szczudłach i niezdarnie uderzyła ciałem w ścianę bolidu, nie trafiając do środka. Poniżona do ostatka bezradnie się osunęła. Zaczęła histerycznie łkać i jak zaszczute zwierzę wpełzła na czworakach do wehikułu. Oglądał jej pośladki. Karoseria się zasklepiła, a pojazd skoczył do przodu, na-

brał przyspieszenia i oddalił się z pędem.

Nie czekał na dalszy rozwój wypadków i zaczął uciekać. Gdyby mógł, podkuliłby ogon, ale go nie miał. W bramie hangaru instynktownie obejrzał się za siebie. Zdyszany dopadł trójkąta z wyrysowaną sinusoidą i wcisnął przycisk na pilocie. Instalacja jednak nie zareagowała. Przez krótką chwilę nic się nie działo, a potem tuż nad nim pojawiła się świecąca żółta kula. Zniewalający kobiecy głos szepnął mu prawie do ucha: „Błąd celu!"

— Szlag by cię trafił — warknął struchlały. — Chcę wrócić na Y-o! — krzyknął z przeraźliwą rozpaczą.

Przypuszczalnie go zrozumiano. A przynajmniej właściwie odczytała jego intencje czuła aparatura. Zapłonął sąsiedni trójkąt z okręgiem przeciętym dwiema siecznymi i Mi-ir szybko tam przeskoczył. Potem ogarnęła go ciemność.

Kiedy otworzył przerażone oczy, niebo było znowu jasnobłękitne, a słońce — złotożółte. Załomotało mu z radości serce. W oddali ujrzał znajome szczyty gór, a ponad nimi zalegające grubą warstwą białe obłoki. Zielona murawa nie przypominała w niczym gładkiej powierzchni planetoidy. Był na Y-o. Odetchnął z ulgą i rzucił się na trawę. Szeroko rozłożył ramiona, jakby chciał wziąć w posiadanie całutką planetę. Uratował się. Leżał tak długo, chcąc uwolnić się do końca od paraliżującego go lęku, a potem powoli się podniósł. Obóz był niedaleko i mógł wkrótce ujrzeć twarze kompanów.

Rozdział czternasty

ROZKOSZNIE tuliła się do Mi-ira, wdzięczna losowi, że pozwolił jej jedynemu wyrwać się drapieżnym mocom krainy ciemności. Obawiała się, że ukochany sobie nie poradzi. Kto przy zdrowych zmysłach zadzierał z bogami? A może wysłuchała jej próśb Artemida, której wszystko, co miała złożyła w ofierze, zawijając dary w pszeniczną słomę?

— Jak to dobrze, że wróciłeś — wyszeptała, zarzuciwszy mu ręce na ramiona. — Twoja oblubienica umierała ze strachu. Ogarnęła ją groza. Była z żalu jedną nogą na tamtym świecie. Ale ty okazałeś się silniejszy niż myślała, potężniejszy od duchów ośnieżonych gór i władców mrocznych podziemi!..

Z cicha się roześmiał, słysząc te naiwne słowa. Momentami była naprawdę niemądra. Poprawił jej opadający kosmyk włosów.

— Nie jestem takim mocarzem jak przypuszczasz — przesądził. — Tym niemniej nie brakuje mi sprytu. Jeśli trzeba, umiem ruszyć głową.

Mimo wszystko na jego twarzy malowała się troska. Wrócił pamięcią do tego, co zobaczył na odległej asteroidzie, nie mogąc pojąć, jak to się stało, że istoty na niebosiężnym pułapie rozwoju tak dalece ugrzęzły we władzy niskich żądz. „Czy tak musi być w całym wszechświecie?" — z udręką zapytał swoich myśli.

Przyzwoitość nie zawsze szła w parze z techniką. Chociaż owi suwereni posiedli ogromną wiedzę o kosmosie, to jednak pozostali przy tym żenująco ordynarni i prostaccy. Zabrakło im subtelnej równowagi między sukcesami na polu technologii a moralnością. Zapatrzeni w siebie, zadufani i niezdolni do wybaczania win, nie mówiąc

o okazywaniu słabszym serca, stwarzali wrażenie zagubionych i straszliwie powikłanych wewnętrznie. Czy wszyscy u nich tacy byli? Chodziło mu po głowie, że odkrył najbardziej kompromitującą słabość potężnej cywilizacji, sprawującej kontrolę nad rozległymi konstelacjami gwiezdnymi. A może jednak nie wszyscy tak nisko upadli? Może przejściowy kryzys dotknął tylko zbiurokratyzowanego aparatu władzy, systemu, który nieoczekiwanie się wyrodził, nabierając okrutnych cech imperialnych?

Starca Mi-ir nigdzie nie zauważył. Rozglądał się za nim po obozie, a nawet zuchwale zajrzał do jego namiotu, by wreszcie z pytaniem o niego zwrócić się do zadumanej Ni. Urchitka przyjęła jego powrót z niezmąconym spokojem i chłodną obojętnością. O dziwo, nie usiłowała ciągnąć go za język — nie skakała mu wściekle do oczu i nie zarzucała mu brawury, jak poprzedniego dnia wojownikowi. Może już sobie uzmysłowiła, że z ich podłym losem wiążą się nadal liczne niewiadome? Nieobecna myślami, zdradziła mu, że matuzalem zamierzał go odszukać. Powiedziała, że udał się za nim w górę strumienia, święcie przekonany, iż tam go odnajdzie. Na koniec pocieszyła go, że brodacz niedługo wróci.

Podminowanego Urchity nie bawiło jednak czekanie. Męczył go natłok pytań. Jajogłowa ze sztucznego ciała niebieskiego zabiła mu klina. Za wszelką cenę pragnął się dowiedzieć, kim są immortusi. Nie wątpił, że dopadnie starego i wyciśnie go jak cytrynę, choć przy tym nie mógł uwolnić się od niepokoju. Lękał się, że zdekonspirowany matuzalem da drapaka i że go nigdy więcej nie ujrzy. Z pośpiechem zjadł to, co podała mu Safona, a potem pognał w górę strumienia.

Siwobrody jednak nie zbiegł, ani nigdzie się nie ukrył, a Mi-ir natknął się na niego ponad wąwozem na skraju żywicznego lasu. Tacy jak on nie tracili ducha. Siedział na ogromnym głazie nieopodal strzelającej w niebo sosny i błądził wzrokiem po rysujących się w od-

dali ośnieżonych szczytach górskich. Mimowolnie się obejrzał, łowiąc kątem oka nadchodzącą postać, ale nie ruszył się z miejsca, ani nie sięgnął po kostur oparty o drzewo. Mi-ir dotarł do niego nieco zadyszany. Nie bawił się w kurtuazję. Nie miał wyboru, musiał być nieugięty i bezwzględny. Wyjęty miotacz mierzył w błyszczącą od potu łysinę.

— Kim są immortusi, ty... ty... galaktyczny oszuście? — charknął nienawistnie, gdy złapał oddech. Zażądał bezzwłocznych wyjaśnień.

Na nestorze jego broń nie zrobiła żadnego wrażenia. Zachowałby się podobnie, gdyby to rozhasany szkrab popisywał się przed nim wystruganą z lipowego drewna zabawką. Powoli się wyprostował i Mi-irowi przez chwilę się wydawało, że ma przed sobą nie starego, ale młodego człowieka, a przy tym niezwykle energicznego.

— Byłeś na Taurosie? — jego głos sucho zabrzmiał. Siwobrody nie zamierzał przedwcześnie dzielić się swymi sekretami.

Mi-ir zawahał się, bo nie znał nazwy odległego zakątka w kosmosie, w którym krótko przebywał.

— Odwiedziłem jakąś... planetoidę — wbrew temu, co sobie obiecywał, okazał się skłonny do ustępstw. — Wybrałem... trójkąt, oznaczony sinusoidą — odpowiedział, mocując się z sobą.

Matuzalem z ulgą odetchnął.

— A więc byłeś — złożył dłonie w zamyśleniu. — Nakryli cię?!

Mi-ir nadal mierzył w rozmówcę. Jednak bez przekonania. Lufa opadała mu w dół.

— Nakryli? Jasne, że nakryli, psiamać, czyż mogło być inaczej?..

— Kto?! — pytanie zabrzmiało jeszcze ostrzej.

— Stary beznogi operator, który miał tam oko na cały hangar. Darł mordę, bowiem był przekonany, że wrócił jeden z was. Wykrzyczał się, a potem się odczepił. Później wzięła mnie w obroty jajogłowa z jaśniepańskimi manierami. Przybyła z miasta lśniącym czarnym bolidem. Wsiadła na mnie, święcie przekonana, że ma przed sobą cie-

bie, Raho — nie zamierzał kryć tego, że zna prawdziwe imię starca. — Ucięła sobie ze mną dłuższą pogawędkę. Fatalnie to zresztą się skończyło.

Siwobrody nie próbował usprawiedliwiać stawianych pytań. Dowiedział się, czego chciał, nie zważając na wycelowaną w siebie broń. Zaczął niespiesznie zaspokajać ciekawość Mi-ira.

— Nieśmiertelnicy? Pytasz o nich? — zagadnął, skory do odsłaniania kulis. — To pojawiający się okazjonalnie w obrębie różnych gatunków w kosmosie nietuzinkowi osobnicy. Rzadkie indywidua. Ha! Doskonale wtapiają się w otoczenie i dlatego niełatwo wpaść na ich trop. Wizualnie niczym się nie różnią od tubylców, wśród których żyją. Sami też żadnych różnic nie widzą. Nie zmienia to jednak faktu, że jest w nich coś niepokojącego i budzącego trwogę, ba, niemal graniczącego z grozą. A może z magią? Są... wiecznotrwali — użył tego dziwnego określenia, brzmiącego jak tytuł bóstwa. — I to dosłownie, przyjacielu! Nie mogą umrzeć, nie mogą polec na polu walki, nie można ich skrycie zwabić w pułapkę i podstępnie zgładzić — wyliczał. — Osłania ich niepojęta moc i chroni niezbadana wszechpotęga. Czy rozumiesz, o czym mówię? — stary spojrzał na niego z niejakim wyrzutem, a może nawet z odrobiną zawiści.

— Nie — Mi-ir odparł zgodnie z prawdą. — Nie rozumiem.

Brodacz ciężko westchnął.

— Do licha, jak ci to unaocznić? — zniesmaczony zapytał. — Widzisz, wszechświat nie do końca jest taki, jak myślimy. Dyskutujemy o grawitacji, czasie, prędkości, sile, przyspieszeniu, akcji i reakcji. Z pozoru w każdym punkcie przestrzeni obowiązują te same prawa fizyczne. Mówię: z pozoru, bowiem nie jest to tak oczywiste, jak byśmy chcieli. Spod niektórych praw fizycznych immortusi są wyjęci, przecząc tej fundamentalnej zasadzie. Można by odnieść wrażenie, że jedną nogą tkwią w wyższym eonie — nostalgicznie ciągnął. — Odwołam się do cenionego na twoim globie rachunku prawdopodo-

bieństwa. Żywe organizmy są kruche, co sprawia, że łatwo je zmieść z powierzchni ziemi. Nie sposób temu zaprzeczyć. Jeżeli zdzielisz Urchitę toporem, tniesz go mieczem lub pchniesz włócznią, to zwalisz go z nóg i sprawisz, że już się nie podniesie. Czy to takie dziwne? Wie o tym nawet małe dziecko. Jednak ta prawda nie dotyczy wiecznotrwałego. Możesz próbować go wyeliminować — wolno ci, czemu nie — ale z góry wiadomo, że ci się nie powiedzie. Na przekór prawdopodobieństwu zamach na niego zostanie w niezrozumiały sposób przeniesiony na inny obiekt, a energia uderzenia się ześlizgnie. Coś go chroni, ale co? Do tego — jak dotąd — nie udało nam się dojść. To wielka zagadka.

— Starcze, przecież to wierutne brednie — odmówił mu racji Mi-ir, wsłuchujący się z uwagą w jego słowa. — Pleciesz trzy po trzy, jak by ci się pomieszało w głowie, a tu chodzi o ważne rzeczy...

Transgalaktydyta się obruszył. Zatarł starcze dłonie.

— Mylisz się, to nie dyrdymały. Wiecznotrwałym nie można uczynić krzywdy i wysłać ich — mówiąc obrazowym językiem — do podziemnego świata cieni; do Hadesu, czy jak tego by nie nazwał. Nie powiem, próbowano, ale bezskutecznie. Dlatego ich istnienie jest wielkim ciosem w nienaruszalne podstawy naszej wiedzy. To upokarzający policzek dla transgalaktydów, a zwłaszcza dla najstarszych z rady. Zarozumialcy z Taurosa nie są w stanie z tym się uporać. Nie mają zielonego pojęcia, skąd biorą się takie istoty. Sporadycznie się pojawiają, to tu, to tam, i natknąć się na nie można w różnych galaktykach. Są jakby z innego wymiaru. Nie mamy pojęcia, czy prowadzą do niego jakieś drogi...

Mi-ir z uwagą go wysłuchał. Coś mu nareszcie zaczęło świtać w głowie.

— Czy my?!.. — niepewnie zapytał, pokazując brudnym palcem na siebie.

Starzec sapnął, zerkając na niego z odrobiną uznania.

— Nareszcie — z ulgą dokończył. — Domyśliłeś się. I ty, i Ni, i Muur. Dlatego ocaleliście z katastrofy gwiazdolotu, chociaż nie mieliście szans przeżycia. Inni z kretesem przepadli, wy nie. Wam nie mógł spać włos z głowy...

— Nie do wiary! — nadal trapiła go myśl, że kuty na cztery nogi matuzalem mota mu w głowie. Podrapał się po nieogolonej brodzie, całkiem opuszczając broń. Odechciało mu się mierzyć w nestora. Zmienił nagle temat, przypominając sobie konwersację z jajogłową. — A dlaczego nie wykonałeś rozkazu, który otrzymałeś z Taurosa?..

Odpowiedź padła natychmiast.

— Do krocset! — zagrały w starym emocje i nerwowo potrząsnął pięścią. — Był niedorzeczny, podobnie jak wiele innych, ostatnio wydawanych przez sukinsynów z rady. Mogę ci wszystko dokładnie zrelacjonować i niczego nie zataję — niecierpliwie dorzucił. — Cóż miałbym z mataczenia? Tym bardziej, że sporo się już sam dowiedziałeś, bez niczyjej pomocy...

Słońce, które skryło się za ciągnącymi się obłokami, naraz się wyłoniło, przedzierając się przez skłębioną biel. Równina zatonęła w ciepłym blasku. Mi-ir skapitulował, schował miotacz i przysiadł przy swoim rozmówcy. Nie trzeba było brać starca na tortury, by rozwiązać mu język. Z własnej chęci dzielił się tym, co wiedział.

Nestor nie wydawał się wcale zdziwiony jego kapitulacją.

— Tym? — obojętnie wskazał miotacz. — Tym niczego złego nie mógłbyś mi zrobić. Podobnie jak ja tobie... Co, masz wątpliwości? — dorzucił, widząc cień niedowierzania w jego oczach. — To spróbuj. Przekonasz się. Stań tam — pokazał palcem. — Wymierz we mnie i strzel!

— Serio? Chcesz, żebym się upewnił? — Mi-irowi nie mieściło się to w głowie. Podniósł się, oddalił się na kilka kroków i spokojnie wycelował w starego. Chwilę taksowali się wzrokiem.

Brodacz nie drgnął. Nie zdradzał lęku.

— No, śmiało!

Mi-ir opuścił broń. Pokręcił przecząco głową. Przypomniał sobie, jak na oczach przelękłej Safony obalał potężne drzewo. Zdążył wyrosnąć ze szczenięcych popisów.

— Nie, nie będę robić z siebie idioty — zawyrokował.

Brodacz został na głazie, a Urchita ulokował się przed nim na murawie.

— Podobno uratowałeś nas wbrew woli rady. Tak utrzymywała tamta furiatka na Taurosie. Chcę się dowiedzieć, dlaczego?

Siwobrody skrzyżował ręce na piersiach, a na jego twarzy pojawił się wyraz zadumy.

— To może po kolei... — nieśpiesznie zagadnął i Mi-ir odniósł wrażenie, że strażnik Ziemi poczuł ulgę. Długo czekał na tę chwilę. Od dawna nie miał do kogo otworzyć ust i zwierzyć się z tego, co go gryzło. I wreszcie znalazł właściwego rozmówcę. — Moja cywilizacja, uchodząca za twór najdoskonalszy we wszechświecie, została dotknięta procesami rozkładu. Czy jesteś w stanie pojąć, ile żyją nasi mentorzy? — jego oczy zaśmiały się do siedzącego w kucki słuchacza. I dodał, nie czekając na odpowiedź: — Zdziwisz się, to spada na każdego jak grom z jasnego nieba, około miliona ziemskich lat. A może dłużej? — skrzywił się.

— Nie da się ukryć, to robi wrażenie — zgodził się Mi-ir.

Obcy odchrząknął, wiedząc, że wyzna coś nazbyt osobistego.

— Prawdę powiedziawszy, daleko mi do nich. Nie mam nawet czterech tysięcy lat. Należę więc do młodziutkich transgalaktydów, poniekąd bez wystarczającego doświadczenia życiowego. Na barki takich jak ja spadały z dawna pradawna różne galaktyczne prace, do których starsi się nie rwali — na chwilę zamilkł i Mi-ir zaczął podejrzewać, że nestor wstydzi się swego wieku.

— Cztery milenia? To też sporo — rzekł pocieszająco, czekając na ciąg dalszy opowieści.

Stary podjął przerwany wątek.

— Tak więc nas, najmłodszych, goniono do różnych robót w kosmosie — głównie tam, gdzie trafiały się rokujące kultury. I wszystko byłoby nadal w jak najlepszym porządku, gdyby nie to, że — jak ci wspomniałem — ściął nas z nóg ów kryzys. Kilku najstarszych zwyrodnialców uzurpowało sobie prawo do ratowania gatunku. Zaczęli nas katować — głos starca stał się chrapliwy — twierdząc, że niosą nam ocalenie. Z centrum płynęły sprzeczne ze sobą i siejące popłoch rozkazy, od których nie było odwołania. Podobni do mnie ratowali się ucieczką. Rozpaczliwie wybierali banicję. Z reguły kryli się na planetach, na których wcześniej wypruwali sobie żyły, a tam lawirowali jak mogli, starając się w miarę możliwości ignorować polecenia z Taurosa. Na dłuższą metę okazywało się to tragiczne w skutkach. Ci, na górze — z nawyku wskazał palcem błękit — zabierali się bowiem po kolei do wszystkich animowanych cywilizacji. Niszczyli je — właściwie tylko po to, żeby wykurzyć uciekinierów i zmusić ich do powrotu.

Mi-irowi coś zaczynało świtać w głowie.

— Owa piekielnica na Taurosie mimochodem wspomniała — przypomniał sobie jej słowa — o obróceniu w niwecz Urch. Jeżeli ją dobrze zrozumiałem. Tak, mówiła o tym. Powiedziała: „Tamtą młodą cywilizację szlag trafił!" Chodziło jej o moją rodzinną planetę. Chyba się nie mylę...

Starzec się przygarbił. Było mu jeszcze bardziej wstyd.

— Uczynili to? Już?! Sukinsyny. Dlaczego tak się spieszą? — ostatnie słowa zabrzmiały jak bolesna skarga. Zaraz jednak się wyprostował i zaczął się mobilizować, jakby jego zapas sił był niewyczerpany. — Kiedy wpadliśmy na trop immortusów — kontynuował — pierwsze oznaki zgnilizny już były widoczne w naszym półświatku. Świadomość tego, że istnieją, niewymownie przyspieszyła rozkład moralny. Schodziliśmy na psy. Z nieśmiertelnikami w kosmos żywioło-

wo wdarło się nowe, co wstrząsnęło podstawami naszego światopoglądu. Zbyt mocno uwierzyliśmy w to, że jesteśmy w stanie przeniknąć wszechświat do głębi, ogarnąć go i sobie podporządkować. Tymczasem nasze umysły przegrywały z tajemnicą. Nie umieliśmy sobie z tym poradzić. Za pośrednictwem immortusów ktoś niepojęty, spoza naszego zasięgu, skrycie zmierzał do odebrania nam władzy, a przynajmniej do jej wydatnego ograniczenia. Uzmysławiał nam naszą niemoc. Trudno, żeby świadomość tego nie wywoływała zbiorowej paranoi. Zwłaszcza w pokracznej radzie — zamilkł, ale zaraz się ożywił. — Wiesz, kosmos to ogromne pole do popisu. Można przeprowadzać gigantyczne prace, stabilizować układy słoneczne, przenosić całe systemy do innych galaktyk. Bywało, że wyrzucaliśmy na śmietnik zbędne ciała niebieskie. Jednak obecnie, jeżeli zabieramy się do takich zadań, zachowujemy daleko posuniętą ostrożność. Upewniamy się najpierw, czy na przeznaczonej do anihilacji planecie lub księżycu nie ma przypadkiem wiecznotrwałych. Jeżeli są, to zabieramy ich stamtąd, choćby to był tylko jeden skromny osobnik. Gdybyśmy go przeoczyli, straszliwy koniec czekałby tych, którzy podjęli się tej pracy. Tak się już przecież zdarzało. Ot, co! Przesiedlanie immortusów należy do mozolnych operacji, gdyż musi się na nich chuchać i dmuchać. Trwa to całymi latami, a przykładem może być wasz glob. Dwaj wiecznotrwali z Urch są teraz w rezerwacie na Taurosie. Nie są świadomi swych utajonych możliwości. Z kolei waszą trójkę wysłano w podróż międzygwiezdną. Skierowano was na Ziemię. Kiedy znaleźliście się na peryferiach tego układu solarnego, rada zmieniła decyzję. Miałem podjąć ryzyko i pozbyć się waszego kosmolotu. W następnej kolejności otrzymałbym rozkaz zniszczenia Ziemi, o ile po frontalnym ataku na was w tym systemie słonecznym z dużych mas coś jeszcze by zostało. Nawet gwiazda mogłaby nie wytrzymać konfrontacji. Taki jest najogólniej biorąc stan rzeczy — starzec się podniósł, pomagając sobie starczymi rękami. — Czy

chcecie, czy nie, utknęliście ze mną w tym bagnie po uszy...

— Ciekawe, naprawdę ciekawe — rzekł w zamyśleniu Mi-ir. — Ale i porażające...

Biały obłok nad szczytami górskimi skojarzył się mu z warkoczem Safony. Pomyślał, że dziewczyna martwi się o niego. Ledwo wrócił z zaświatów, a znowu zniknął.

— Wytrąciłem wasz statek z orbity i zepchnąłem go na ten kontynent. Wybrałem kotlinę Nestosu. Szukaliście lądowiska na północy Europy, tu jednak znalazłem dogodniejsze miejsce. Wiedziałem, że wszyscy oprócz waszej trójki zginą, ale to było nieuniknione — przyznał się do niewyobrażalnej zbrodni, za którą na Urch konałby w straszliwych mękach. — Gdyby twoi rodacy przeżyli i zdążyli się przeobrazić, byliby kulą u nogi. Nie udałoby mi się przeprowadzić planu ratowania Ziemi. Byłem pewien, że poradzicie sobie i że się dogadamy. Liczyłem i nadal liczę na to, że mi pomożecie. W was moja nadzieja — w słowach starca Mi-ir wyczuł nutę desperacji. — Z kolei ja jestem waszą ostatnią deską ratunku.

— Liczysz na nas?! — Urchitę ogarnął smutek. Oczyma wyobraźni ujrzał zwłoki pobratymców, wyrzucane przez Traków z kosmicznego kolosa jak ciała dzikich zwierząt.

— To oczywiste — rzekł starzec. — I nie wstydzę się tego wyznać. Miłuję tę planetę. Jestem na niej od stuleci i zdążyłem się do niej przywiązać. A ponadto odwaliłem tu kawał dobrej roboty. Jeżeli ze mną pozostaniecie, będę mieć pewność, że ci zwyrodnialcy jej nie zniszczą. Nie odważą się. — Odgonił pszczołę, krążącą mu koło ucha. — Nie odważą się — powtórzył. — Nie zdajesz sobie sprawy z tego, jakie skutki wywołałoby takie nieprzemyślane uderzenie. Czy wiesz, co spowodowała korekta położenia waszego statku? Sprowadziłem go przecież tylko z orbity okołoziemskiej. Takie tam sobie wymuszone lądowanie. A jednak!.. Jedna z planet tego układu słonecznego straciła księżyc, a druga się rozpadła, zamieniając się w

sznur odłamków skalnych. — Pogładził brodę w zadumie. — Taka jest prawda. Gdybym zaatakował was wtedy, kiedy byliście jeszcze daleko, zadany cios po odwróceniu trafiłby we mnie. I to potężnie zwielokrotniony. Wykonawszy zadanie, musiałbym więc zbiec, lotem błyskawicy umknąć gdzieś daleko. Decydowałyby ułamki sekund. Z pewnością i tak przetrwalibyście w przestrzeni kosmicznej, znajdując gdzieś oparcie. A może waszemu statkowi kosmicznemu w ogóle nic by się nie stało? Ściągając was na Ziemię, miałem pewność, że impet ulegnie przeniesieniu daleko poza jej orbitę — podsumował. — Ta planeta jest rękojmią waszego bezpieczeństwa. Są tu warunki do znośnej egzystencji, powietrze i pokarm. A żyć będziecie — co tu dużo mówić — naprawdę długo, pewnie tyle co ja.

Starzec zamilkł, a rozsypane fragmenty łamigłówki zaczęły nareszcie się układać w logiczną całość.

— Ooo!.. — uprzytomnił sobie Mi-ir. — Furiatka na Taurosie widocznie odkryła, że jestem immortusem. Straszliwie się przeraziła. Miała taki mały znaczek...

— I zajarzył się rubinowo, wskazując na zagrożenie pierwszego stopnia?..

Mi-ir skinął głową.

— Tak było, jak mówisz.

— Niesamowite — ożywił się nagle siwobrody. — Niezapowiedziana wizyta obskurnego dzikusa z kosmicznej dżungli — zaczął z cicha chichotać, wyraźnie rozbawiony. Po chwili omal nie skręcał się ze śmiechu. — To nowy rozdział w stosunkach między transgalaktydami a wybranymi. Musieli nieźle srać w gacie — próbował się domyślać. — Przeżyli szok. Nie mogą was skrzywdzić, to oczywiste, jak dwa razy dwa. Jednakże najchętniej ujrzeliby was w pilnie strzeżonym rezerwacie. Sami tu się nie obronicie, ale razem ze mną, ze strażnikiem planety, a właściwie byłym strażnikiem planety, możecie sobie jakoś poradzić. Przetrwać, urządzić się i znaleźć tu dom.

Mi-ir podniósł się i otrzepał szatę z trawy.

— Wydaje mi się, że nadążam za twoim tokiem myślenia. Ty nam pomożesz zachować niezawisłość, my zaś wesprzemy cię w dziele ratowania Ziemi. Czyż nie tak?..

— Tak, tak, dokładnie tak... — potwierdził siwobrody. — Ale żeby nam się udało, musimy się zabezpieczyć. Nie dopuścić do tego, by doszło do inwazji z Taurosa. Objaśnię ci wszystko z detalami, żebyś nie miał cienia wątpliwości. — Zlustrował z troską horyzont, jakby miał się właśnie nad nim pojawić wrogi statek międzygalaktyczny z uzbrojoną po zęby nienawistną załogą. — Oni mogą tu zawitać w każdej chwili. Na pewno lękają się immortusów bardziej niż najwścieklejszych bestii, ale przy tym rzadko kiedy rezygnują ze swych chorobliwych planów. Zdekonspirowałeś nas, pojawiając się wśród nich, więc należy liczyć się z kontruderzeniem...

— Zatem popełniłem błąd, udając się na Taurosa... — chłodno zauważył Mi-ir. Medytował nad swoją tożsamością. Najpierw był Urchitą, potem w wyniku przeobrażenia stał się Ziemianinem; teraz zaś okazało się, że to jeszcze nie wszystko.

Siwobrody skrzywił się.

— Błąd i nie błąd — powiedział. — Sądziłem, że możemy to odłożyć na kilka miesięcy. Miałem zamiar odsłonić przed wami prawdziwe uroki Ziemi, pokazać wam Ateny, inne miasta, tutejszą kulturę, życie, ale cóż? — z zafrasowaniem podrapał się po łysinie. — Rzecz w tym, że na jednej z gór północnego masywu półwyspu jest osadzony międzygalaktyczny przekaźnik, bez którego dalekie kosmiczne wyprawy nie są możliwe. Tworzy on pomost między nami a Taurosem. Jest z pewnością ostatnim w tej części kosmosu tego typu urządzeniem, skoro zniszczono waszą ukochaną Urch; tam bowiem znajdował się podobny. Jeżeli wyłączymy przekaźnik, ci dranie z Taurosa nie będą mogli do nas dotrzeć, a to jest decydujące. Zyskamy nielichą przewagę, wynoszącą blisko dwa i pół tysiąca ziemskich

lat...

Mi-ir spoglądał na starca z niejakim niedowierzaniem — prawie jak malec, który dziwi się, że mogą istnieć poprzeczki za wysokie dla dorosłych.

— A sam nie możesz wyłączyć tego pochrzanionego przekaźnika?

Wyjął z zanadrza płytkę pilotującą, przyglądając się jej z zaciekawieniem. Starzec ujrzał wreszcie swoją zgubę, ale o nią się nie upomniał.

— To? — skrzywił się. — Ten instrument ma niewielki zasięg i umożliwia przeskok — na przykład — z kontynentu na kontynent. Aby służył do podróży międzygwiezdnych, musi być sprzężony z dwiema stacjami, wysyłającą i odbierającą. — Wyjaśnienie było przekonujące. — A jeśli chodzi o twoje ostatnie pytanie, to muszę wyznać, że unieszkodliwienie iglicy wcale nie jest takie łatwe. Jest doskonale zabezpieczona, bo to przecież obiekt strategiczny. Nie dysponuję narzędziami, umożliwiającymi zniszczenie lub zawieszenie pracy teleportera międzygalaktycznego. Aby je zdobyć, musiałbym udać się najpierw na Favo...

— Na Favo?! — Mi-ir zrobił wielkie oczy. Nic mu nie mówiła ta nazwa, ale poczuł smak fascynującej przygody. Ziemia Ziemią, ale nie miał nic przeciw temu, żeby pohasać między gwiazdami.

— To planetoida, znajdująca się w bezpośredniej bliskości Taurosa. Nie widziałeś jej, lądując w bazie, bo stamtąd jest niewidoczna...

— Ujrzałem tylko dwa słońca.

— Otóż na Favo są magazyny ze sprzętem, przy pomocy którego można rozbroić ziemski przekaźnik. Chodzi o specjalne zasobniki, nośniki energii. Ale są tam również strażnicy, z którymi sam bym sobie nie poradził.

Głos mu zadrżał. Urchita pojął, że chodzi o sprawę znacznie poważniejszą, niż wcześniej przypuszczał. Coś mu mówiło, że nie powinien się wahać.

— Zgoda — wypalił w ciemno. — Uważam, że powinniśmy ci pomóc — dzielnie zapiał. — I tu, na Y-o, i tam, na Favo.

Żółte słońce skryło się znowu za skłębionymi obłokami. Mi-ir usłużnie podał nestorowi sękaty kostur. W milczeniu pożegnali płaskowyż, powoli schodząc w dół skalistego wąwozu. Negocjacje, którą właśnie ukończyli, były jedyne w swoim rodzaju i nad podziw udane. Obyło się bez długich targów. Obaj byli radzi, że się dogadali. Teraz należało przekuć słowa w czyn. A przede wszystkim otworzyć oczy nieświadomym niczego towarzyszom na to, co wokół nich faktycznie się dzieje.

— A czy na Urch pędził żywot strażnik planety? — Mi-ira nagle olśnił pewien domysł.

Starzec przystanął, znieruchomiał i chwilę się zastanawiał.

— Był tam taki — rozwiał jego wątpliwości. — Ty go nie znałeś — dodał, widząc zdziwienie w jego oczach. — Mu-ur natomiast spotykał się z nim na Ab-dan-gra. Ma się rozumieć, nie wiedział, z kim ma do czynienia.

— Gadał z wojownikiem? Dywagował z nim? Nie chce się wierzyć — wykrztusił, nieco wytrącony z równowagi. — Dlaczego właśnie z tym mrukiem?

Starzec ścisnął mocniej kostur.

— To nie sprawa prestiżu — odezwał się. — Po prostu… — zająknął się — z waszej trójki wojownik… był… najbardziej nieobliczalny. I nieprzewidywalny. A w przypadku immortusa — jak już wiesz — to rzecz nie bez znaczenia. Trzeba go było mieć na oku. Uważniej niż waszej dwójce patrzeć mu na ręce. I po cichu pilnować, żeby nie szarpnął się na coś szalonego…

Ruszył dalej, macając kijem i kierując się w dół. Mi-irowi przyszło do głowy, że powinien na razie dać sobie spokój z nurtującymi go wątpliwościami. Każda odpowiedź rodziła ból następnych dziesięciu niecierpliwych pytań. I tak mogło być bez końca. Zaczął w mil-

czeniu posuwać się za nim.

Przystanęli na chwilę, by odpocząć, tam, gdzie zwykle Abihu łowił ryby.

— Byliście zatem w komitywie, ty i tamten strażnik planety? — zagadnął.

Matuzalem przytaknął.

— Owszem, ale on nie zdecydował się otwarcie zadrzeć z radą. Co nie znaczy, że mi po cichu nie pomagał. Oby ci, tam, na Taurosie, do tego nie doszli. Miał swoje wymyślne sposoby oddziaływania na skrytego i zamkniętego w sobie wojownika. Znał go jak własną kieszeń i umiał nim manipulować. Odwiedził nawet Ziemię tuż po katastrofie, złożył tu niespodzianą wizytę i prawie niewidocznie dotrzymywał towarzystwa Mu-urowi. To on sprawił, że zabijaka bez wahania podszedł do ogniska, przy którym szykowałem się z chłopakiem do snu. No, ale ze mną nie gadał i nie dzielił się planami na przyszłość. To były jego sprawy. Ma się rozumieć, możesz kamratowi o tym wspomnieć, ale wydaje mi się, że lepiej będzie dla niego, jeśli się nie dowie. A może sam z czasem na to wpadnie?

— Niezwykłe, zdumiewające, niewiarygodne — Mi-ir nie krył zachwytu dla tej wyjątkowej strategii.

— Wcale mu się nie dziwię — spokojnie ciągnął nestor, wracając do strażnika Urch — że miał dość tej roboty i waszej planety. I że chciał odejść. Urobił się tam po łokcie. To nie takie proste, niezauważenie przyczynić się na zaludnionym globie do szybkiego pojawienia się nowych technologii. Przy tym bez podejrzeń o ingerencję z zewnątrz. A wszystko tylko po to — śmiechu warte — żeby można było trójkę wiecznotrwałych wyekspediować do innego układu solarnego. To nieomal jak stawianie wieloprzęsłowego mostu dla kilku mrówek. Wychodziło mu to bokiem.

Mi-irowi wydawało się, że rozumie starego.

— Na jego miejscu też pewnie miałbym dość — orzekł, spuszczając

z pokorą głowę.

Pogapili się na ryby krążące pod powierzchnią, a potem zaczęli posuwać się w dół.

Safona dostrzegła, że Mi-ir wraca ze starcem i bardzo się ucieszyła. Podbiegła do namiotu i podzieliła się z Ni tą nowiną.

Rozdział piętnasty

RZUCIŁO ich ku niewzruszonej i wiecznej siedzibie bogów, ku znaczącym się między stromymi szczytami przełęczom, głębokim urwiskom i żlebom. Rdzenna majestatyczna grań wypiętrzała się w kilka samodzielnych poszarpanych wierzchołków. Niektóre z nich wrastały w gęstą mgłę. Płaski skrawek skalistego podłoża okazał się dokładnie taki, jakiego wymagał wzięty w drogę pojazd. Wychylali się i kolejno wyskakiwali z kabiny urchickiego wehikułu, najpierw Mi-ir, po nim Raha, potem pozostali, a ich nienawykłe do chłodu twarze owiewało ostre górskie powietrze. Biel leżącego tu płatami śniegu raziła nieprzyzwyczajone oczy. Z ich lądowiska rozciągał się rozległy widok na pokryte ciemnym szpilkowym borem pofałdowane zbocza. Chłonęli niecodzienny krajobraz z zapartym tchem.

Safona z nieukrywanym podziwem wykrzyknęła:

— Na Gromowładnego, jakże tu pięknie!

Matuzalem starał się być powściągliwy i rzeczowy, ale i jemu udzielał się ich zachwyt.

— Zazwyczaj kruchego i śliskiego lodu jest tu dużo mniej — rzeczowo objaśniał — ale tego roku zima była wyjątkowo ostra jak na te ciepłe strony. Nadejdzie lato, to go ubędzie.

Nie powędrowali w dół Nestosu traktem, którym ciągnęli greccy kupcy, i nie udali się ku wybrzeżu morskiemu, z czym się wcześniej nosili. W ogóle nie puścili się w żadną drogę. Tamto było i minęło. Siwobrody, który jeszcze kilka dni wcześniej z namaszczeniem i powagą pouczał ich, że tu się pokonuje odległości pieszo, albo na mule, albo na koniu, przeniósł ich w okamgnieniu ze ślizgaczem i całym dobytkiem w ośnieżone góry Hellady. Nie musiał już kryć swej nie-

ziemskiej potęgi przed przybyszami z Urch. Zmieniały się koleje losu i zaczynały się przed nimi rysować zadania na kosmiczną skalę. Czekał ich niebezpieczny wypad na Favo.

— No to ruszamy — rzucił z zachętą, wskazując kierunek, gdy się napatrzyli i nasycili. — To tylko kilka kroków.

Pociągnął ich za sobą po grani, na tyle szerokiej, by dało się w skupieniu kroczyć gęsiego. Czuł się tu prawie jak u siebie, może jak Trak w obejściu albo przy marnej chacie, i pewnie dosyć często tu zaglądał, mimo że wokół straszyło pustkowie. Masyw był raczej niedostępny i odpychający, a między szczytami świszczał niemiły wiatr.

Wątła ścieżyna, którą stary z pewnością odnalazłby również po zmroku, wiodła wprost ku strzelającej w górę litej ścianie. Wyrastała przed nimi, wyniosła i groźna, zagradzając im drogę.

— Imponująca — Mu-ur zadarł głowę i przymrużył oczy. Skrzywił się jednak zaraz z odrazą, uzmysławiając sobie, że nie tak dawno zbliżoną pochyłość jak ostatni głupiec pokonywał wbrew swojej woli.

— Nie lękaj się, bracie, nie będziemy zdobywać tej stromizny — zarżał wniebowzięty Raha, świadomy tego, że niepokaźna trzódka, którą wiedzie, jeszcze nie odgaduje, dokąd zdąża.

Zaczął rozgarniać wątły mech i odsłonił przed nimi zarys sekretnego wejścia, o którego istnieniu z pewnością nie wiedzieli pozbawieni ogłady prości pasterze, doglądający dużo niżej swoich chudych kóz. Zresztą, kto przy zdrowych zmysłach pchałby się tam, gdzie dostojnie się znaczyła chmurna i wyniosła siedziba srogich bogów? Kto odważyłby się naruszać ich spokój i zuchwale żądać dla siebie czary nektaru lub ambrozji? Lita kamienna ściana była wydrążona, kryjąc w uśpionym wnętrzu jakieś tajemnice.

— No tak, a jakże… — od razu połapała się Ni, sytuując się obok starca i delikatnie wodząc palcami po ledwo widocznej szczelinie. Zaraz się jednak cofnęła.

Z pozoru niewzruszona skała posłusznie drgnęła, ustępując przy-

byłym. Ukryty za nią sezam uchylał swe podwoje. Odsłoniły się nieoświetlone i nierówne kamienne schody, prowadzące w głąb masywu niby do mrocznych potępieńczych lochów.

— Czyżby tu mieszkały groźne Mojry? — zapytała z zaniepokojeniem tracka dziewka.

Siwobrody zaprzeczył. Jego otoczone zmarszczkami oczy zaśmiały się do niej, a potem do stojącej obok niej Ni. Było widać, że coraz bardziej przeszkadza mu starczy wygląd i że pragnie się uwolnić od ciążącej mu teraz jak garb postury.

— W tej z pozoru złowrogiej czeluści gromadzę moje skarby, których ze zrozumiałych względów nie mogę pozostawić na powierzchni. Ściągam je sobie przy nadarzających się okazjach nie tylko z najciekawszych zakątków tego globu, ale i z innych planet, które czasem odwiedzam. O tej ukrytej niby-jaskini, przed wiekami wydrążonej, nikt na Ziemi jeszcze nie wie — dorzucił obiecująco. — I nikt jej dotąd nie zaszczycił swoją obecnością. Wy będziecie pierwsi. A i pewnie jedyni...

— A gdzie jest przekaźnik? — zaciekawiło Mu-ura.

Stary cofnął się o kilka kroków, zostawiając ślady na rzadkim śniegu i pokazując ręką.

— Wysoko, na szczycie — powiedział.

Cała piątka zgodnie spojrzała we wskazaną stronę, by dojrzeć ledwo się znaczącą i lekko błyszczącą w słońcu iglicę.

— Czy będziemy tam się wdrapywać? — zachodził w głowę zaciekawiony Abihu, cokolwiek już pojmujący z sekretów matuzalema i przybyszy z gwiazd. Poprzedniego dnia przysłuchiwał się rozstrzygającej debacie przy ognisku, a potem toczącej się tam pospiesznie przy świetle księżyca elektryzującej naradzie wojennej.

— Och, nie, chociaż widok stamtąd nie ma sobie równych, młodzianie — zwłaszcza gdy się rozpogodzi — podzielił się swoją wiedzą Raha. — Ujrzysz błękitne morze, a na horyzoncie ziemie za za-

toką. Obyś tylko nie natrafił na burzę. — Wrócił myślami ze szczytu i przypomniał sobie o obowiązkach gospodarza. — Może to nie są gustownie urządzone wnętrza, lecz nic nie stoi na przeszkodzie temu, abyście je sobie obejrzeli. To nie Hades, wejdźcie... — zatarł ręce i wykonał zachęcający gest. — Goście w dom, to i bogowie w dom! Tym greckim jest tu zresztą tylko o krok — zażartował. — Ale mnie nie odwiedzają. Nie ma co tu wystawać na chłodzie...

Ostrożnie się opuszczali po nieużywanych stromych stopniach, czując na twarzach nawiew ciepłego powietrza. Pod nieobecność kosmicznego mocodawcy nie przestawała działać zainstalowana tam klimatyzacja. Wykute w litej skale surowe zejście może nie wyglądało kusząco, ale na pewno nie prowadziło do krainy zmarłych. Na nierównych ścianach nie znaczyły się żadne ozdoby.

— Nieźle siwobrody okopał się na Y-o — z cicha mruknął Mi-ir do schodzącej jego śladem Urchitki. Gdy się na moment zatrzymał, mimowolnie wsparła się o jego ramię. Przeszło jej przez myśl, że nie jest to jedyna świetnie zamaskowana kryjówka ich wszechwładnego opiekuna. Na innych kontynentach mógł mieć podobne, dobrze ukryte i wtopione w pejzaż.

Kamienne schody się skończyły i cała szóstka znalazła się w jasno oświetlonym mamucim pomieszczeniu, pełnym dzieł sztuki. Nawa było zaprzeczeniem surowego zejścia i Ni krzyknęła z niekłamanym zachwytem, ale zaraz zamilkła, przytłoczona oszałamiającym bogactwem. Ściany były kryte kamiennymi płaskorzeźbami i marmurem. Tajemnych źródeł rozproszonego ciepłego światła nie można było dociec. Ostrożnie wkraczali między nieco chaotycznie eksponowane tu zbiory. Witały ich kamienne kolumny i posągi. Skarbów były setki, jeśli nie tysiące. Nie brakowało złota, srebra, miedzi i drogich kamieni. Wzrok rwał się do oglądania, a cenne wyroby rzemieślników i artystów różnych ziem cieszyły spragnione oczy.

Przyciągnęła uwagę Urchitki spora kolekcja misternych greckich

naczyń. Ich zawiłe kształty odtwarzał onegdaj siwobrody patykiem na suchym piasku, wbijając jej w głowę właściwe, znane tylko Hellenom nazwy.

— *Pytos, lutroforos, lagynos* — poszeptywała, pomagając sobie palcem. — *Stamnos, hydria, oichonoe*...

Dalej ujrzała kratery i amfory. Nie zdążyła się jednakże im przypatrzeć, ani żadnej z czar pieszczotliwie wziąć do rąk, bo odciągnął ją głos nestora.

Mi-ir, który śmiało zapuścił się głąb masywu, ginąc w labiryncie korytarzy, trafił na kolekcję naturalnej wielkości ludzkich figur. Wyglądały jak żywe. Panował tajemniczy półmrok, a słabsze światło wydobywało z mroku mniej intratnych szczegółów. Załomotało mu serce. Przeląkł się, że zaczaili się tu na niego zawzięci tuziemcy, by ostro wziąć go w obroty.

— Co za ulga! — szybko się pozbierał. — Do diaska, nie są prawdziwi, to tylko manekiny.

Zdawała się go lunatycznie przyzywać młodziutka kobieta o delikatnych rysach twarzy, nieco skośnych oczach i wymyślnie ułożonych ciemnych lśniących włosach, w które wbito wiążące fryzurę szpile. Prawie na palcach, jakby w obawie, że może ją spłoszyć, zbliżył się do stojącej nieruchomo damy. Głowę miała z wdziękiem pochyloną, dzięki czemu lepiej było widać jej kształtną łabędzią szyję, a powieki na wpół opuszczone. Nie wypadało jej zuchwale zaglądać w naznaczone marsem srogie oblicze mężczyzny. Wpływała na niego nadzmysłowo, jakby nadal żyła, a nie była tylko kukłą — i odniósł wrażenie, że od dawna tu czeka właśnie na niego. A może był faktycznie kimś nad wyraz wyjątkowym? To i owo wbiło mu się w pamięć w związku z różnicami między rasami ludzkimi na Y-o, więc bez specjalnego trudu odgadł, iż śliczna laleczka jak nic pochodzi z dalekiej Azji. Przyjrzał się jej mediumicznemu ubiorowi. Przepasane pasem malowane w kwiaty jedwabne kimono otulało szczupłą syl-

wetkę. Na nogach miała — także wykończone jedwabiem — proste sandały. Obok z powagą wystawał równie nieruchomy typ, na którego nałożono bogato zdobioną metalową zbroję, a do odzianej w rękawicę prawicy wciśnięto ciężki miecz. Z uznaniem otaksował go wzrokiem. Mocna szczęka i gęste brwi nadawały twarzy zdecydowany wyraz. Z takim nie było bezpiecznie zetrzeć się w otwartym polu. U jego stóp leżały porzucone tarcza z wytłoczonym dziwnym herbem i hełm. Wystającym dalej innym odzianym manekinom Urchita nie zdążył się dokładnie przyjrzeć. Niestety, musiał wracać. Po drodze zapuścił jeszcze żurawia do wyłożonej ciemnym drewnem sali, ale jej widok wydał mu się odrażający, bowiem skojarzyła mu się z izbami tortur, do których prawie każdy Urchita czuł żywiołową niechęć.

Na siwobrodym nie robiła żadnego wrażenia ta sceneria, bo dawno temu do niej przywykł.

— Hej, hej, zawracajcie! — donośnie wołał któryś raz z rzędu. — Nie rozchodźcie się i nie oddalajcie! — klaskał w dłonie, zgarniając ich jak kwoka kurczęta. — I podejdźcie tu, gdzie jestem. Tak wiele mamy do zrobienia...

Był po przeciwnej stronie interieuru, tam, gdzie lejące się ze ścian światło przechodziło w silny oranż, tuż przy rozwieszonych w pokaźnej wnęce lekkich stalowoszarych skafandrach kosmicznych. Raha ostrożnie zdjął jeden z nich, podając go przejętemu chłopakowi, który za nim wiernie ciągnął. — Będzie na ciebie w sam raz — orzekł z pogodnym uśmiechem. Następny wyjął dla siebie. Potem w kolejce ustawiły się Ni i Safona. Próżniowe odzienia nie wyszły spod rak rzemieślników trzeciej planety od Słońca i bezsprzecznie musiano je sprowadzić z odległych stron kosmosu. Skąd? Tego nikt z przybyłych nie wiedział. W zabarwionym ciemnym oranżem zaciszu witała ich zupełnie inna epoka, a pieczołowicie zgromadzony sprzęt przywoływał na myśl podniecające loty w kosmos i ekscytującą kolo-

nizację nowych planet.

Miękkie w dotyku gładkie próżniowe płaszcze przystosowywały się do kształtów ciała i hermetycznie je otulały, choć nie miały żadnych widocznych zapięć. Nic z tych rzeczy. Inteligentne molekuły okrycia zdawały się trafnie odgadywać, czego oczekuje ich dysponent. Bez pośpiechu je na siebie wciągali, rozstając się z łachami, które wcześniej nosili. Nowe przenosiły ich w czasie o kilka dobrych tysiącleci, przeistaczając w wyśmienicie wyposażoną ekipę, zdolną w każdej chwili ruszyć na podbój gwiezdnych szlaków. I pomyśleć, że jeszcze niedawno okutani w zwierzęce skóry i niepewni swego losu smętnie plątali się po porośniętej bukowymi lasami dolinie Nestosu...

Mi-ir zbliżył się, gdy tamte były gotowe. Zamarł, gdy wpadła mu w oczy Safona. Przetarł powieki, chcąc się upewnić, że wzrok go nie myli. Wbił mu się w czerep obraz niepoetycznej trackiej dziewki, naiwnie się trzymającej wydumanych przepowiedni i z przejęciem padającej do stóp kamiennym bóstwom. Tymczasem w kombinezonie kosmicznym, okręcająca warkocz, by zmieścił się pod hełmofonem, zrobiła na nim nagle wrażenie kogoś całkiem innego gatunku — kogoś, kto należąc do dumnej z siebie i inteligentnej rasy zupełnym przypadkiem i tylko na krótko trafił do plemiennej wioski między prostych pasterzy i bitnych wojów. Przymierzył się do próżniowego stroju. Szata nie tylko zdobiła, ale i zmieniała tego, kto ją nosił. Tak pewnie było w calutkim kosmosie, wzdłuż i wszerz — bez względu na to, gdzie by się kto nie znalazł. Ogarnęły go wątpliwości, czy zakochana w nim bogdanka zechce być nadal bezgranicznie mu oddaną i wierną niewolnicą. Obawiał się, że zapragnie upodobnić się do Ni, która za nic miała mężczyzn i okazywała im jawne lekceważenie.

— I jeszcze rzecz najważniejsza... — usłyszał w hełmofonie silny głos siwobrodego. — Chodzi o broń, którą macie ze sobą zabrać.

To, co przytaskał z zaułka, z dumą im pokazując, wcale nie wyglądało groźnie.

— Prezentują się mniej niż skromnie — oględnie zauważyła Ni. Jej słowa brzmiały w słuchawkach czysto i wyraźnie.

Na pierwszy rzut oka z każdej z tych pukawek można było oddać co najwyżej kilka niewinnych strzałów. I to głównie dla wywołania wrażenia, na postrach lub na wiwat. Na Urch dostojnicy z wyższych sfer podobnymi posługiwali się do samoobrony. Tak przynajmniej motywowali to, że je nosili przy sobie, bo z reguły ich nie używali. Stanowiły one część efektownego, bo efektownego, ale lipnego osprzętu, który do niczego się nie przydawał, pomijając funkcje zdobnicze. Dobrze się prezentowały przy długich pomarszczonych falmonach, spod których wystawało krótkie miidim.

— Mniej niż skromnie? To złudzenie… — z pasją przekonywał transgalaktyda. — Są kilkaset razy silniejsze od waszych, a tym samym o niebo przydatniejsze — otwierał im oczy na to, co dzierżył w dłoni. — Trudno sobie wyobrazić lepszą broń szturmową. Gdyby doszło do ostrego starcia i wymiany ognia z tamtymi na Favo, bez niej nie mielibyśmy właściwie żadnych szans. Zresztą, co tu ukrywać — zdradził z odrobiną przekory, ale i dumy w głosie — te kąśliwe cacka zostały tu ściągnięte wbrew naszemu prawu… — z cicha zarechotał, jakby mu się to z czymś zabawnym skojarzyło. — Ale warto było się narazić i zaryzykować. Przebijają pola ochronne transgalaktydów… — wyśpiewał im w zaufaniu, tym samym odsłaniając i własną piętę achillesową. — Tym właśnie motywowano rygorystycznie egzekwowany i bezwzględny zakaz ich wywozu na planety i księżyce, zasiedlone przez niższe rasy.

— Można was tym zabić? — z przejęciem zachrypiał Mu-ur, który na samym końcu dotarł do przebieralni.

— Zabić? Nieee… — skrzywił się. — Za mocno powiedziane, tylko zranić, unieszkodliwić na pewien czas. Chyba nie zapamiętałeś, co wczoraj mówiłem.

— Może powinniśmy je przestrzelać? — wpadł mu w słowa Mi-ir.

Powtórnie zaprzeczył.

— Nie, po co? Jeśli chodzi o obsługę, to niewiele się różnią od waszych miotaczy najnowszej generacji. Reguluje się moc w wiadomy sposób, można ponadto wyprofilować strumień plazmy i ustawić broń na ogień ciągły.

Dla upewnienia się jeszcze raz odsłonił przed Urchitami ich zabójcze właściwości, pokrótce instruując, jak się nimi posługiwać. Mi-ir jednak na niego nie zważał.

— Pif-paf! — niesmacznie sobie zażartował, przykładając wojownikowi ciut, ciut lżejszą od urchickiego miotacza zabójczą broń do głowy. — Jesteś martwy...

Mu-ur z jawną pogardą zmierzył go wzrokiem, a jego oczy cisnęły pioruny. Nie odpowiedział i zrobiło mu się trochę głupio. Niepotrzebnie darł z nim koty. Wkurzył się, bo to bydlę gdzieś polazło. Zabijaka miał przy pasie podniecająco błyszczący sztylet, który zapewne bezczelnie zwędził z kolekcji starego. Misternie zdobionej kością słoniową i srebrem rękojeści wcześniej Mi-ir przy nim nie widział. Nie zmieniało to w niczym faktu, że sam naruszył koronną zasadę, którą wtłaczano im pod czachy na Ab-dan-gra. Takie szczeniackie popisy były absolutnie niedopuszczalne. Pod żadnym pozorem nie należało mierzyć do kompanów z broni palnej.

Co mogły strachliwie kicające szaraczki w obliczu zastępu uzbrojonych po zęby jezdnych? Zamierzali skoczyć do oczu reprezentantom przepotężnej cywilizacji, która władała niezmierzonymi połaciami kosmosu, a więc z pozoru porywali się z motyką na słońce. Czy stali na przegranych pozycjach? Obcy mieli ukryte słabości, a ich znajomość mogła przesądzić o rezultatach starcia. O ile doszłoby faktycznie do wymiany ognia, nie mówiąc o bezpardonowej walce wręcz. Nie było więc tak źle. Nie wybierali się na piknik na skraju toczącej zakolami wody sielskiej ziemskiej rzeki, ale nie szli też jak ostatni głupcy walić głową o mur.

— Przepraszam! — pokajał się, zdając sobie sprawę z powagi sytuacji.

W ukrytym w masywie górskim Olimpu podziemnym składzie nie zabawili długo. Kombinezony dały im przejmująco odczuć, że znaleźli się jakby w innym wymiarze. Rozmawiali niewiele i prawie szeptem. Raha był lepiej wyposażony niż członkowie jego drużyny. Rozłożył przed sobą kilka z pozoru niewinnych, ale śmiercionośnych gadżetów, nie pozwalając im ich dotykać. Pieczołowicie je rozmieścił w płaskim pojemniku, który zawiesił sobie u pasa. Gdy się z tym ostatnim uporał, znieruchomiał na chwilę, mrużąc oczy.

— To wszystko — wyrwało mu się z piersi. — Mam nadzieję, że poza jonowym palnikiem niczego więcej nie będę musiał użyć...

Byli gotowi. Komando szykowało się do akcji. Karty rozdano już z wieczora i każdy powtarzał w myślach, co ma robić. Zezowali na niego z uwagą, czekając na polecenia, a właściwie na rozkazy. To on tu dowodził.

— No i co, efenari? — Mi-ir przerwał złowróżbną ciszę. — Zaczynamy?..

Obdarzył go tytułem, który przysługiwał wyższym rangą dowódcom na Ab-dan-gra. Raha domyślnie się uśmiechnął i skinął z powagą głową.

— Zwracajcie się do mnie po imieniu — powiedział stłumionym głosem. Z pewnością miał ogromną tremę i gdzieś tam w głębi jego duszy czaił się lęk. Pewnie nigdy dotąd nie podnosił ręki na swoich. — Tak będzie lepiej — A potem dodał bez zwłoki: — Ruszamy!

Opuścili gęsiego podziemny skarbiec, z żalem żegnając latami gromadzone tam precjoza. Mi-ir ciągnął na szarym końcu i niechętnie wznosił stopy na kolejne stopnie zmurszałych schodów. Lenił się, bowiem nagle odechciało mu się ruszać do odległej galaktyki. Jej nazwa uleciała mu zresztą z głowy. Tracił ducha. Był raz na Taurosie, a z obłąkanego spotkania z jazgoczącą jajogłową nie zdążył się jeszcze

otrząsnąć. Najchętniej zawróciłby i ukrył się na dole, pozwalając innym zaznać bez niego smaku niezwykłej przygody. Nie wypadało jednak przyznać się do tchórzostwa. Straciłby twarz przed pozostałymi członkami błyskawicznie powołanej do życia kosmicznej formacji. „Chodzi, bracia, o wysoką stawkę — brzmiały mu w uszach pełne patosu słowa siwobrodego. — O przyszłość okrytej błękitem planety, pełnej stepów, puszcz i dżungli, gór, mórz, rzek i jezior, o los nieprzeliczonych organizmów żywych!" W tym szczególnym gronie nie było miejsca dla strachajłów.

Safona i Abihu nie uczestniczyli w ryzykownej wyprawie, chociaż i oni dumnie paradowali w kombinezonach próżniowych. Mieli jak psy myśliwskie warować przy ślizgaczu, nigdzie się nie oddalać i wyczekiwać na powrót grupy.

OTOCZENIE, w którym niespodzianie zakwitli jak wiosenne kwiaty z Lipsuarra, przywoływało tamto z nieżyczliwego i nadąsanego Taurosa. Nawykłych do niewielkich i ciasnych pomieszczeń kosmiczny terminal porażał swym bezmiarem. Czymże były pioruny Zeusa w porównaniu z tymi, które tu drzemały? Tu mogliby podrygiwać i hasać jednoocy giganci, o ile tacy jakimś cudem uchowaliby się między miriadami płonących gwiazd i o ile stworzyłaby takich matka natura. Gęsty mrok rozświetlały jedynie wolno pływające kule, jednakże inaczej zabarwione, niż na planetoidzie, której spokój wcześniej Mi-ir naruszył. Do wierzei zadufanych kosmicznych półbogów zastukało szczerzące kły nieznane. Zawiesista mgła ustąpiła, odsłaniając zawartość przewozowego kokonu, a wypluta z jego wnętrza czwórka zerwała się z miejsc. Każdy ruszył pędem w swoją stronę, zaaferowany czekającym go zadaniem. Za nimi jeszcze przez chwilę jarzył się trójkąt z wyrazistym wzorem, przywołującym na myśl grecką literę „delta". Potem zgasł.

Mu-ur pobiegł w kierunku półotwartej bramy, a tam znieruchomiał. Z otwartymi z wrażenia ustami przyglądał się dwóm słońcom na pozbawionym chmur niebie. Choć świeciły, trudno mu było określić porę dnia. Teren wokół tej jednostki — odmiennie niż na Taurosie — pokrywały nachodzące na siebie zabudowania o osobliwych zarysach i niepojętym przeznaczeniu. Strzelały w górę wyłaniające się znad okrągłych kopuł smukłe wieże, a między nimi znaczyły się powietrzne dukty i niby-mosty — tak z przęsłami, jak i bez przęseł. W większości były półprzejrzyste, a rzucał się w oczy panujący w nich ruch. Nie to jednak zaciekawiło przybyłego. Stał jak wryty, z hipnotycznym przejęciem wodząc wzrokiem za swoim podwójnym cieniem. Przyszło mu do głowy, że w bramie nie jest sam i że przyczaiło się tu dwóch bitnych wojowników z białych pustyń Urch. Doskonale jednak wiedział, że to niemożliwe.

— Ruszaj się — usłyszał w słuchawkach strofujący go szept. — Akcja!

Szybko się ocknął, wracając do rzeczywistości. Niepotrzebnie się zagapił. Zgodnie z instrukcją, którą otrzymał od Rahy, szarpnął dźwignik w dół, a urządzenie posłusznie zareagowało. Uruchomił skryty mechanizm, zamykający potężne wrota. Kwatery drgnęły, majestatycznie ruszając z miejsc. Poszło mu gładko. Ostrożnie się wychylił, gotowy sprawdzić celność nowiutkiej broni, jednak w zasięgu jego sokolego wzroku nic nie zasługiwało na strzał. Czy ich życie wisiało na włosku? A może strach miał wielkie oczy? A stary przesadzał, bajdurząc o zagrożeniu? Dostojnie sunęły podwoje, zaś odległość między nimi się zmniejszała. Miał kilkanaście sekund na to, by podumać nad tym, po co wzniesiono tak ogromny obiekt. Wychylił się i rzucił okiem w górę, oceniając wysokość bastionu. Nie było trudno się domyślić. Zapewne wysyłano tędy w przestrzeń kosmiczną ogromne zespoły elementów, które wpierw ostrożnie tu wtaczano. Może to były doskonale wyposażone krążowniki, a może tyta-

niczne stacje badawcze, instalowane na pozbawionych atmosfery księżycach?

Wrota prawie bez szczęku się zetknęły, nie pozostawiając najmniejszej szpary.

— Pierwsze zadanie wykonane! — zapiał pod nosem. — Teraz drugie...

Z radosnym napięciem czekał na ten moment. Cofnął się w podskokach, docierając do zamka. Miotacz niewiele ważył w dłoni. Złożył się i oddał krótki strzał, celując w samo serce skomplikowanego mechanizmu. Urządzenie w okamgnieniu się stopiło, zamieniając w bezkształtną, szybko stygnącą masę. Nikt już nie mógł stąd otworzyć potężnej bramy.

Był z siebie wściekle dumny. Poczuł, że robi dokładnie to, do czego jest stworzony. Jego żywiołem była wojna. Sprawdzał się w działaniu.

— Zrobione — wycedził. — Teraz trzecie...

Jego pokładowy kompan prosto z trójkąta pognał na lewo, błyskawicznie docierając do słabo oświetlonej wnęki. Miał bliżej niż Mu-ur do własnego celu. Spadł tam jak grom z jasnego nieba. Doskonale wiedział, na kogo się natknie. Ruchomy niby-fotel znienacka się obrócił, a rozsierdzony jajogłowy strażnik spojrzał na niego z mieszaniną wściekłej złości i tłumionego lęku. Nie zdążył jednak otworzyć wąskich ust, żeby obrzucić go wyzwiskami. Zamachowiec z Ziemi był szybszy.

— Masz, tępaku! — warknął Mi-ir.

Oddany bez uprzedzenia strzał wcisnął transgalaktydę w miękkie obicie. Strumień gorącej plazmy rozerwał jego czarny kombinezon i niewidoczne pole ochronne. Trafiony desperacko jęknął, a z jego pożółkłej twarzy znikły ślady emocji. Przykurczone ciało zaczęło się bezwładnie osuwać i strażnik opadł czaszką w dół na matową posadzkę. Rozszedł się swąd spalenizny. Między jego łopatkami ryso-

wała się rana wylotowa o mocno poszarpanych brzegach. Urchita zapamiętał wyrafinowany tatuaż, znaczący się na potylicy.

Zgodnie z instrukcją miał odczekać przy leżącym z pół minuty, aby się upewnić, że go skutecznie wyeliminował. Cierpliwie warował. Wydawało mu się, że dokonał mordu beznamiętnie, chłodno i bezdusznie, jednak przyłapał się na tym, że nogi mu się trzęsą. Zaczerpnął gwałtownie powietrza. Nigdy w życiu nie strzelał do inteligentnej istoty, a chociaż wiedział, że jej nie zabił, ogarnęły go na krótko obrzydzenie i wstręt. Nie zapomniał o zatopionych w ciałach transgalaktydów mikroprocesorach. Nie miał więc wątpliwości, że po ukończeniu błyskawicznej akcji, kiedy cali i zdrowi ponownie znajdą się na Y-o, śmiertelnie postrzelony strażnik otworzy oczy i podniesie się z ziemi. Z pozoru niebezpieczna rana w lot się zabliźni, a obrażenia znikną niczym za sprawą magicznych zaklęć. Co należało zrobić, żeby podły degenerat nigdy nie zmartwychwstał? Tego stary im nie zdradził. Nie zamierzał odkrywać wszystkich kart. Może trzeba było rozerwać go na strzępy lub jego ciało zamienić w popiół?

Dotykający czerepem posadzki jajogłowy nie stracił przytomności i się poruszył. Stęknął i z ogromnym wysiłkiem próbował się podnieść. Urchita strzelił jeszcze raz, z sadyzmem celując w czubek głowy. To poskutkowało. Obcy koszmarnie się wygiął i tym razem naprawdę znieruchomiał. Miał go odfajkowanego.

Przyjrzał się temu, co działo się po drugiej stronie niby-peronu. Niezwykle skutecznie wykorzystali moment zaskoczenia. Rzutka Ni unieszkodliwiła drugiego czuwającego dozorcę, wywiązując się ze swojej części misji. Pojął, po co tak morderczo trenowali na Ab-dangra i później w czasie lotu przez mroźne próżnie. Ani chybi, strażnik Urch po cichu przyłożył się do tego, żeby dobrze wypadli. Przygotowywano ich od dawna do błyskawicznej wyprawy na Favo, choć przecież nie byli tego świadomi. Ale pewnie dlatego teraz szło im tak gładko.

Czuwający nad przebiegiem akcji Raha zajął pozycję przy masywnej ścianie, w skupieniu wodząc czujnikiem po lśniącej płaszczyźnie. W kombinezonie próżniowym ubyło mu lat i w niczym nie przypominał ślamazarnego starca znad Nestosu. Czuło się przez skórę, że jest na Ziemi jedynym niekwestionowanym władcą, a grecki Gromodzierżca i cała jego zarozumiała świta są przy nim jak pędraki. Bez przerwy miał na oku Mu-ura, jakby nie był pewny tego, czy mrukliwy Urchita sobie poradzi. Flegmatycznie się przesuwał, krok po kroku, cierpliwie szukając ukrytego wejścia do arsenału, a ściślej — słabszego wycinka ściany, gotowego ustąpić pod naporem siły. Nie zwracał uwagi na ciągnącą się wyżej wąziutką antresolę, ani na biegnący co kilka metrów pionowy pas mozaiki.

Znalazł wreszcie to, czego szukał, czujnik zaczął z cicha popiskiwać, więc ryknął na Mi-ira i na Ni, przywołując ich do siebie. Biedaczyna, tak był przejęty, iż zapomniał na krótko, że porozumiewa się z nimi przy pomocy fal radiowych.

— Na proroków! — błagalnie jęknęła Ni. — Rozerwie nam uszy.

Urchici kończyli się wyżywać na tablicach kontrolnych, zamieniając je w bezużyteczny złom. Niszcząc je, wywoływali długotrwałą blokadę dostępu. Nikt nie mógł z powierzchni Favo transferować się do wnętrza stacji i próbować im przeszkodzić.

Doszlusowali wkrótce do starego, pomagając mu złożyć na pozór skromny palnik z wydobytych z płaskiego pojemnika elementów.

— Jest dużo cieńsza niż sądziłem — stary odsapnął, czując bliskość Ni. — Obejdzie się bez fajerwerków i eksplozji...

Mu-ur był nadal na czatach. Warował przy zatrzaśniętej gigantycznej furcie, bacznie omiatając gotową do strzału bronią całą widoczną przestrzeń hali. Zaczął wszakże już się wycofywać. Doszlusowywał do pozostałych. Palnik ciął gładką ściankę bez hałasu, bez dymu i bez strat energii, a jego cichej pracy nie towarzyszyły żadne widowiskowe rozbłyski. Raha posługiwał się nim po mistrzowsku. Może

od dawna niezmordowanie ćwiczył tę czynność na masywach skalnych Ziemi? Do Mu-ura należało tu ostatnie słowo. Wkrótce mógł staranować swoim masywnym ciałem prostokąt powstałych drzwi i bezceremonialnie wedrzeć się do środka. Poszli jego śladem, przez nierówny próg kolejno wskakując do kryjącej się za ścianą sali.

Mieszcząca się za sforsowaną ścianą niewielka składnica właściwie świeciła pustkami, jeżeli nie liczyć zajmujących trzy ściany bliźniaczych schowków i rozrzuconych po posadzce półprzeźroczystych sześcianików — dużo większych od tych, które służyły na Urch do gry w kości. Było ich z piętnaście. W każdym z nich krył się mniejszy ciemniejszy sześcian, cyklicznie wysyłający błysk światła. Być może, jakieś podejrzane typy tu się wcześniej kręciły, bo niektóre schowki zastali otwarte i splądrowane. A może po prostu ktoś niechlujny po sobie nie posprzątał? Rozglądali się, omiatając wzrokiem ascetyczne wnętrze z nieodległym stropem, na którym delikatnie się rysował obcy im ornament. Na lewo znaczył się szary prostokąt szczelnie zamkniętego wejścia.

— Co? Są wyjęte i rozsypane? To niemożliwe — zdumiał się Raha. — Co tu się dzieje na Favo? — głośno myślał. — Hę? Coś za łatwo nam poszło...

Rozrzucone sześcianiki nie udzieliły mu żadnej odpowiedzi, chociaż to właśnie one przywabiły tu go z daleka. Po chwili wahania pochylił się, zręcznie złapał dwa i zgarnął je bez słowa do podręcznego pojemnika.

— Udało się — rzucił sucho, zerkając z ulgą na pozostałych buntowników. — Jak na razie jesteśmy górą. I mamy to, czego nam trzeba. Nie musimy rozwalać sejfów. — Znieruchomiał na krótką chwilę, bo zalała go fala wspomnień, ale im się nie poddał. Bywał w przeszłości na Favo, jednak nie jako konspirator i rebeliant. — Zmykamy na Ziemię — zawyrokował, wskazując dłonią prostokąt wypalonego wejścia. — Palnik możecie zostawić. Galopem!.. — zachęcił ich z we-

rwą.

Wyrwali się przez otwór do hali, nie czekając na ponaglenia i pobiegli w kierunku zbawiennego trójkąta — niby ekspresowej windy, w szalonym tempie szybującej przez przestrzenie galaktyk. Raha zatrzymał się przy postrzelonym przez Mi-ira dozorcy. Jajogłowy znowu się poruszył i jęknął z bólem — nie zajmowało go jednak to, kto nad nim stoi. Nie rozpoznałby zresztą żadnego z intruzów, odzianych w identyczne kombinezony. Starzec ściągnął mu z przegubu dłoni metalową bransoletę i zaraz dołączył do pozostałych.

Trójkąt z okręgiem przeciętym dwiema prostymi zajarzył się i usłyszeli jego cichy szept.

— Najgorsze mamy za sobą!

Gęstniejąca komunikacyjna mgła otuliła ich szczelnym kokonem. Zwyciężyła nieważkość, a wraz z nią niespokojne przeświadczenie, że wszechświat przestał istnieć. Zanurzeni w niby-nicości, zawiśli ponad nieogarnioną przestrzenią i niezmierzonym czasem. Zaraz jednak to wrażenie minęło.

Była noc, a rozgrzane twarze owiewał chłodny wiatr. Rozgwieżdżone ciemnogranatowe niebo przecinało jasne pasmo Drogi Mlecznej. Siwobrody pierwszy zdjął hełmofon, wciągając do płuc ostre górskie powietrze. Pozostali poszli w jego ślady. Sprawdził wzrokiem, czy wszyscy dotarli.

— Udało się — powiedział. — Dzięki! Byliście świetni. Spisaliście się na medal.

KIEDY zmęczeni i syci wrażeń komandosi wrócili na Ziemię, marzyli już tylko o tym, żeby przyłożyć głowę do poduszki. W podziemnym skarbcu nie było sypialni, więc rozłożyli się na materacach. Dostali śpiwory.

Rahy nie męczyła tak mocno potrzeba snu. Zabrał się nocą do pra-

cy, uporał się z kłopotliwym przekaźnikiem i poddał potężną machinę swojej woli, blokując możliwość transferu. Nikt ze zdeprawowanych obcych nie był już w stanie tu przybyć, by rozprawić się z hardym desperatem.

Mimo że akcja była udana, transgalaktyda nie był pewny tego, czy czegoś nie przeoczył. Wprawdzie wszystko przewidział i dokładnie zaplanował, lecz mimo to nie opuszczały go wątpliwości.

Rozdział szesnasty

PO AKCJI regenerowano siły. Rozespani i poziewujący goście Rahy przedpołudnie spędzili między skarbami, ukrytymi w masywie wyniosłej góry Olimp, zamieszkałej przez greckich bogów. Cała piątka plątała się i snuła w labiryncie efektownie wyposażonych sal i krętych korytarzy. Mu-ura rozpierała duma, podobnie Ni — i wydawać by się mogło, że ich głowy wkrótce ozdobią wawrzyny. Nie opuściła ich jeszcze euforia, a zapał nie ostygł. Sycili się zaskakująco łatwym zwycięstwem nad prawie nieśmiertelną rasą, od której ich lud był w przeszłości niewolniczo zależny, podobnie jak wiele innych kosmicznych nacji, rozsianych po nieogarnionym wszechświecie. Nic więc dziwnego, że czuli potrzebę fetowania.

Ni błąkała się po głowie myśl, że powinni zacząć liczyć czas od pamiętnego dnia zwycięstwa. Dzięki ich wysiłkowi na okrytej rozległym płaszczem chmur Y-o świtała nowa era. Podobnie zrobiono na Urch, opierając kalendarz na dacie zjednoczenia plemion. Koniec wieńczył podjęte pospołu dzieło, a ludna kolonia wyrwała się spod władzy kosmicznego hegemona. Żałowała tylko tego, że oprócz nich na tym ogromnym globie nikt więcej nie wiedział o tym triumfie.

Nie obyło się bez cichych katastrof. Safonie stłukła się cenna waza. Nieporadnie obracała ją w dłoniach, chcąc ogarnąć dwa rzędy płaskorzeźb z długą procesją wiernych, niosących dary do świątyni. Była ciężka i wyślizgnęła się jej, rozpryskując się na drobne kawałki.

W chwilę później stojąca obok Ni podobnie się popisała i mająca poczucie winy tracka dziewka poczuła się rozgrzeszona. A może Urchitka uczyniła to celowo?

— Ups! Mówi się trudno — beztrosko rzuciła. — Na pewno nie zu-

bożymy naszego przyjaciela, o to się nie martw! Ma tego tyle, że można w tym zatonąć.

— To prawda — zgodziła się zawstydzona dziewka.

Po spóźnionym porannym posiłku natchniony transgalaktyda zachował się iście po królewsku i zaproponował im nowe odzienia. Sam pozbył się znoszonej brudnoszarej siermięgi i miał na sobie — jak przystało na dostojnego greckiego starca — długi biały chiton, spięty na ramionach fibulami i zszyty bokami. Siwa broda była wyczesana i wyfrezowana. Służące im wiernie srebrzystoszare kombinezony powróciły do rozświetlonej oranżowym światłem szatni. Nie mogli okrywać się nadal trackimi skórami i szmatami, gdy tu czekało tyle przepysznych kreacji. Nestor wręczał im świecące nowością lniane i wełniane szaty, krygując się i tłumacząc z tego, że nie ofiaruje im tak wykwintnych rzeczy, na jakie zasługują. Zależało mu, aby w Atenach, do których ich usilnie zapraszał, nie rzucali się w oczy, a wyglądali jak średnio zamożni przybysze z wielojęzycznych miast Jonii.

Mi-ira nie zaciekawiały stroje, ani męskie, ani damskie. Zabrakło mu naraz fantazji i potrzeby odmiany. Połączone z okrzykami podziwu ceremonialne przymiarki uznał za dowód zniewieścienia. Odłożył tę konieczność na później i leniwie wrócił do woskowej figury, która wcześniej wpadła mu w oczy. Przechodzący Raha zastał go zadumanego i nostalgicznie wpatrującego się w filigranową kobiecą postać, zdającą się tu cierpliwie czekać na niezwykłego przybysza z gwiazd, jakby był jej przeznaczony.

Trudno, żeby nie zatrzymał się na dwa słowa.

— To jedna z wielu konkubin liczącego się kiedyś na wschodzie władcy — gorliwie mu podpowiedział, choć Mi-ir nie pytał. — Przebrzmiałe dzieje. Niestety, odeszła z tego świata — dzielił się posiadaną wiedzą. — A szkoda, bo nie brakowało jej gracji i wdzięku oraz wielu innych cnót. Panujący kazał ją zgładzić, chociaż podobno bar-

dzo ją kochał, bowiem oskarżono ją o to, że go zdradza z jednym z ministrów dworu. Zarzut był wyssany z palca, ale cóż z tego? Lękano się jej wpływu na władcę. Przewidywano, że wykorzystując swą pozycję zacznie skrycie pociągać za sznurki. Tak pojmowano rację stanu. Została poćwiartowana, a jej członki rzucono wygłodniałym bestiom na pożarcie...

— W rzeczy samej, to niemiłe — niemrawo zgodził się z siwobrodym. I zaraz dodał: — Przepiękna, szkoda, że jej z nami nie ma... Transgalaktyda nie podjął tego wątku. Nie chciał być nadmiernie domyślny lub najzwyczajniej w świecie nie miał zamiaru zajmować się spełnianiem kaprysów Urchity. Pożegnał go, pędząc dalej.

Mi-ir pozostał sam. Niejasno chodziło mu po głowie, że mógłby zwrócić się do niego z prośbą o to, aby powołał do życia identyczną piękność i mu ją podarował. Czy nie ośmieszyłby się przed nestorem? Czy transgalaktyda umiałby stworzyć człowieka? Jeśli chodziło o ścisłość, miał jedną hożą niewolnicę, którą sam sobie znalazł. Właściwie to ona go sobie wybrała, ale co to miało do rzeczy. Pobiegł myślami do Safony i usiłował ją sobie wyobrazić w dalekowschodniej toalecie z misternie ułożoną fryzurą i sandałkami na drobnych stopach. Zaczął mimowolnie porównywać obie damy. Trackiej młódce nie brakowało urody, była spontaniczna i radosna, dawała się lubić, ale na pewno nie miała takiej klasy jak cudna konkubina z cesarskiego dworu. Pod tym względem przegrywała nawet z chłodną Ni.

Stary wracał. Urchita nadal wystawał przy figurze urzekającej Chinki. Czyżby ten biedak zakochał się w martwym manekinie?

— Hej, zwróciłeś uwagę na jej stopy? — szybko zapytał, usiłując go do niej zniechęcić. — Są śmiesznie małe. To wina fatalnej tradycji. Już małym dziewczynkom krępuje się je, aby nie rosły. Na długie lata boleśnie podwija się palce. W rezultacie tej tortury kobiety często nie mogą chodzić. W maleńkich pantofelkach może wyglądają zgrabnie, ale cierpią do końca życia. Kończyny mają obrzydliwie

zdeformowane…

— To okrutne. Serio? — Mi-ir zrobił wielkie oczy. — A co ty na to?

— Co ja na to? — udał oburzonego. — Nie kpij sobie ze mnie, nie mogę tego zmienić. Nie ingeruję w regionalne zwyczaje…

Znowu pobiegł, a Urchicie przyszło do głowy, żeby podejść do Chinki i obejrzeć ją sobie z bliska. Rozejrzał się, nie chcąc, by ktoś niepowołany był przypadkiem świadkiem tej sceny. Ostrożnie wszedł na podest. Pieszczotliwie objął jej kibić, a potem pochylił się i zajrzał w jej tajemnicze oczy.

Przeraził się i odskoczył w popłochu. Odniósł wrażenie, że hipnotycznym spojrzeniem przeszyła go na wylot żywa kobieta.

— Czary, czy co? — mruknął poruszony do głębi.

Pożegnał pełnym zawodu wzrokiem filigranową damę i odszedł, udając się śladami siwobrodego. W chwilę później przystanął i trwogą się obejrzał. Usiłował ochłonąć po tym zdarzeniu. Figura stała na postumencie. Nie przejawiała oznak życia. Nie ruszyła się z miejsca i nie zamierzała deptać mu po piętach.

— Na proroków, co to było? — niepewnie zapytał.

Minął kolekcje, obrazujące życie dzikich plemion w głębi Afryki, ale nie poświęcił im większej uwagi. Nie obchodziły go malowane jaskrawymi farbami groźne maski, ostre włócznie, rzeźbione tarcze, figurki z hebanu i mahoniu oraz urzekające różnorodnością kształtów plecionki.

PO NIECIERPLIWYCH poszukiwaniach Mu-ur odnalazł zaciszny westybul z windą, wszedł do kabiny i zjechał na trzeci poziom. Raha skierował go na to piętro, co zrozumiałe, gdyż milczka pociągało wszystko, co wiązało się z wojaczką. Dociekliwy Urchita jednak nie wysiadł z windy. Nie było w niej niczego niezwykłego, podobne chodziły na „Met-ar-usie". Sterczał przy przyciskach i łamał sobie głowę.

Ze znaków na pulpicie wynikało, że przepastny skarbiec ma aż osiem kondygnacji. Ostrzegano go, że ciekawość jest pierwszym stopniem do piekła, ale nie byłby sobą, gdyby jej nie uległ. Z duszą na ramieniu zjechał na sam dół. Niestety, poczuł się zawiedziony, bo w lochach świeciło pustkami. Powiewało chłodem. Nie natknął się w nich na Charona i jego trójgłowego psa. Nie przeniósł się tu z wyspy Lemnos kujący młotem kulejący Hefajstos, biegły w sztuce kowalskiej i w złotnictwie. Skalne ściany, które wydobywały z mroku rzadko porozmieszczane światła, były wyrobione i nierówne jak w sztolni kopalnianej. Nie przeszkadzał mu brak oświetlenia, bo doskonale widział w ciemnościach. W głębi cicho pracował dobrze osłonięty agregator i wywnioskował, że ma przed sobą źródło energii całego systemu. Obszedł dookoła pierścieniową zabudowę, ale nie znalazł dostępu do aparatury. Była zabezpieczona przed intruzami. Wybrał na chybił trafił korytarz. Posuwał się wzdłuż poznaczonej śladami uderzeń skalnej ściany, zaintrygowany tym, dokąd go doprowadzi. Rysująca się przed nim sporawa wnęka była pusta, a punktów świetlnych ubyło. Mimo to tam się zapuścił. Wzrokiem nocnego myśliwego wyłowił coś, na co nikt inny nie zwróciłby uwagi. Nie miał omamów wzrokowych. Ostatki docierającego tu światła załamywały się na dziwnym obiekcie, którego nie było widać. Zbliżył się i wyciągnął rękę. Dłoń rozmyła się przed jego oczyma.

— Maskowanie! — oniemiał. — Doskonałe...

Odważył się i przeniknął przez osłonę na drugą stronę. Czarny uskrzydlony pojazd o zadziwiająco lekkiej konstrukcji przypominał kształtem grecką literę delta. Bez wątpienia, służył do lotów nad powierzchnią globu, a może nawet do cięcia przestrzeni kosmicznych. Obudowa kabiny pilota zachęcająco unosiła się do góry, więc mógł rozwalić się za sterami. Wygodnie się oparł i pociągnął drążek do siebie. Tym nierozważnym ruchem obudził osieroconego potwora. Zapłonęła różnobarwnymi światłami tablica sygnalizacyjna, a ro-

snący szum dowodził, że zaktywizowały się urządzenia pokładowe. Obudowa kabiny w lot się zasklepiła, zamykając go jak w klatce. Nie na żarty się zaniepokoił i szpetnie zaklął. W dwie sekundy dał się zatrzasnąć we wnętrzu obcej maszyny. W popłochu przetarł zroszone potem czoło i zaczął główkować nad tym, jak wyrwać się z przemyślnej pułapki. Nie było tu żadnych instrukcji, coś mu jednak mówiło, że obsługa tego myśliwca nie należy do najtrudniejszych. Intuicja go nie myliła. Po kilku próbach udało mu się unieść pokrywę i szczęśliwie uśpić wszystkie pokładowe diabły.

Z ulgą wyskoczył na zewnątrz.

— Do licha, byłbym pod kreską! — zaburczał, sumując amatorskie zmagania z wyrafinowaną, a jednocześnie bezmyślną kupą żelastwa. Był mokry z wrażenia, a nogi pod nim się trzęsły.

Nie poddał się i kiedy nieco ochłonął, zaczął dociekać, w jaki sposób zgrabny pościgowiec opuszcza ponurą pieczarę w masywie góry. Był ustawiony w stronę jednej ze ścian i zbliżył do niej, ze skupieniem badając jej powierzchnię. Wpadł mu w oczy zarys szerokiego i gładkiego luku. Pokrzepiony tym odkryciem zawrócił do windy. Pomyślał, że wcześniej czy później uda mu się namówić starego, by mu pozwolił tym diabelstwem poszybować w przestrzeniach. Z takich przyjemności się nie rezygnowało.

Na trzecim poziomie nie brakowało różnych technicznych ciekawostek i nie mógł przeboleć tego, że nie pofatygował się z nim Raha, od niejakiego czasu skłonny do dzielenia się informacjami. Z nieopisanym zachwytem przymierzał się do tego, co mu wpadało w oczy. Z nabożnym szacunkiem ważył w dłoniach większe i mniejsze dezintegratory, działka laserowe, armatki elektromagnetyczne i fotonowe, rakietnice i granaty grawitacyjne, a także lekkie emitery biopola. Ku swemu zaskoczeniu natknął się dalej na ze smakiem urządzone muzeum myśliwskie i już stamtąd tak szybko nie wyszedł. Instynkt myśliwego znalazł w nim pożywkę, kiedy w asyście Abihu zaczął za-

głębiać się w trackie bory. Kręcili się po ostępach, tropiąc dziki i sarny. Czaili się i wietrzyli, podpatrując leśną faunę. Tu, w muzeum, pochłonęły go dżungle, stepy, sawanny i góry oraz jeziora i rzeki, pełne ptactwa i płochliwej zwierzyny. Kusze, łuki, dzidy, oszczepy, sztylety, siatki i wnyki okazały się nie mniej zajmujące niż wysokiej klasy pociski, zdolne zmieść z powierzchni globu rozległą polis lub zamienić w pył niepokaźną planetoidę.

NOWE KREACJE pobudziły wyobraźnię Ni i Safony. Raha skierował je do wyłożonej marmurami sali, w której mogły się odświeżyć i przebrać. To, co tam zastały, przeszło ich najśmielsze oczekiwania. Jego łazienki zdecydowanie wyprzedzały wszystko, co wymyślono dotąd na Y-o i na Urch.

— Na bogów, jakież to wspaniałości! — zachłystywała się Safona. — Jakie cuda?!

Były tam zgrabne wanny z ogrzewaną bieżącą wodą, kabiny z natryskami i inne urządzenia, których przeznaczenia Ni nie umiała dociec, nie mówiąc o niewielkim uroczo wkomponowanym w całość basenie. Bezzwłocznie zafundowały sobie porządną kąpiel, ginąc po czubki głów w obfitej białej pianie. Przed zajmującym prawie całą ścianę olbrzymim lustrem młodziutkie kobiety mogły się upajać swoim wyglądem. Dające wierne odbicie zwierciadło! To był doskonały wynalazek! Kiedy bogowie stwarzali kobietę, powinni byli od razu o nie się zatroszczyć, a nie czekać, aż śmiertelni je wymyślą. Stały bez odzienia, kontemplując nadane im przez naturę kształty. Kilka razy po zdjęciu szat pluskały się razem w strumieniu, więc zdążyły nawyknąć do siebie. Tam jednak płynąca z gór woda była chłodna, jeśli wręcz nie lodowato zimna, a do mycia służył prymitywny ług. Tu leżały pachnące mydełka i stały wyrafinowane płyny do kąpieli. Safona zawiesiła sobie na szyi woreczek z mirrą, z rozko-

szą wdychając jej zapach. Poodmykała flakony i słoiczki z pachnidłami i balsamami. Mieszały się wonie henny, nardu, szafranu, aromatycznej trzciny, cynamonu i aloesu. Ni, chociaż wyższa, piersi miała drobniejsze, a biodra węższe. Kędziory Safony ociupinę kontrastowały z jej prostymi i jasnymi jak len włosami. Teraz starannie je czesała, chcąc, by dobrze wyglądały. Nie brakowało tu grzebieni i szczotek. Spędziły tam sporo czasu, ale kiedy opuściły ten niezastąpiony przybytek, były już innymi kobietami.

Ni oczarowała siwobrodego. Kiedy pojawiła się w kuchni, odświeżona i przebrana w odsłaniający ramiona pachnący chiton o starannie układanych fałdach, z wrażenia zastygł w bezruchu. Z odrobiną zmieszania na twarzy porównał ją do boskiej Afrodyty, zrodzonej u brzegów Cypru z morskiej piany, zroszonej krwią okaleczonego Uranosa. Potem niezgrabnym gestem poprawił jej himation i wskazał ręką włosy, ze znawstwem rzucając:

— Należałoby je fryzować na modłę grecką! — A widząc znaki zapytania w jej oczach, smętnie dodał: — Ateńskie kobiety noszą włosy kręcone, ułożone w długie loki. Upinają je sobie w misterne sploty i koki. Tu jednak nie ma dziewki służebnej, która potrafiłaby tym się zająć.

Ścięła go z nóg swoją urodą i przelękła się, że dojdzie do impasu w ich wzajemnych stosunkach. Stał przy niej, z wrażenia prawie nie oddychając i nieświadomie obracał w palcach monetą, którą podniósł ze stołu.

— Fałszywa — potulnie zdradził, widząc, że zwróciła na nią uwagę. — Jest dziełem tyrana Polikratesa z wyspy Samos. Niby złota, ale faktycznie z ołowiu.

Przytaknęła i bez słowa odeszła, pociągnięta przez Safonę. Nie miała ochoty słuchać wykładu o plagiatorach i oszustach.

Udawała, że jego bólu nie dostrzega. Nie zamierzała go uwodzić. Jednak w głębi duszy żałowała, że transgalaktyda jest tak podeszły w

latach. Nie był uderzająco przystojny i męski. A któż by tego wymagał od wiekowego matuzalema, choćby nie wiadomo jak krzepkiego? Ale nie tylko o to chodziło. Czy można było wiązać się z kosmitą, wprawdzie wyglądającym na siedemdziesiąt lub osiemdziesiąt lat, lecz w rzeczywistości liczącym ich sobie tysiące? Leciwy patriarcha pożegnał i pogrzebał — przez bezlitośnie płynące wieki — dziesiątki y-ockich pokoleń. Był nieprzyzwoicie stary. Najstarszy na tej planecie. Mogły z nim konkurować tylko niektóre drzewa świata. Pasowali więc do siebie jak pięść do nosa.

— Fałszywa — mimowolnie powtórzyła. Przyszło jej do głowy, że i w jej egzystencji było coś z tandetnej blagi. Czy mogła poszczycić się tym, że jest prześliczną Ziemianką? Nie. Stanowiła jedynie kolejne wcielenie wynaturzonej bestii.

Gubiła się w ocenie tego, kim w istocie była. Z dawnej Urchitki niewiele w niej pozostało i pogodziła się z tą bolesną stratą. Jednak nie mogła wyrwać z siebie głęboko zakorzenionego aotusa. Tłumiła w sobie wściekłą oślinioną chimerę, jednocześnie szaleńczo kochając się w greckiej sztuce i w niej widząc wybawienie dla siebie. A przecież jako zagadkowy i niepojęty immortus miała — podobnie jak Raha — żyć niemal wiecznie. Czas dla niej się nie liczył, a przemijania nie wpisano w jej tajemniczą naturę. Gdzie zatem powinna była szukać namiętnego kochanka? Wśród śmiertelnych, jak bogini jutrzenki, kochliwa Eos, czy wśród nieśmiertelnych? Czy ten trzęsący się mastodont nie pasował paradoksalnie do świata jej oczekiwań? Zgodnie z greckim porządkiem ludziom wypadało wiązać się z ludźmi, a bogom z bogami.

— Nonsens! — prychnęła. Nie zamierzała dokonywać zimnych, wyrachowanych wyborów. I nie obchodziło jej, czy upragniony kochanek będzie śmiertelny, czy nieśmiertelny. Skrycie marzyła o szalonej miłości, choć trafnie przewidywała, że nie jest jej pisana. Było mało prawdopodobne, żeby spotkała lubego, który rozpaliłby jej

zmysły, mimo że taki przewijał się w jej snach.

Po szturmie na Favo przykry okres zmagań ze złośliwym losem dobiegał końca. Bohaterowie byli zmęczeni, ale radośni, bowiem udało im się definitywnie odciąć od przeszłości. Nadchodziły miesiące i lata względnego spokoju, lecz także demonicznej władzy inteligentnych i czarownych kobiet nad utrudzonymi herosami. Ci przecież byli spragnieni uciech, których brakowało im w walce. „Musisz nauczyć się cenić siebie — po wspólnej kąpieli Ni cicho tłumaczyła trackiej dziewce. — Nie możesz wciąż ulegać. To nie Mi-ir jest twoim bogiem, to twe ciało jest boskie, powabne, piękne i świeże. Odważ się, rzuć go do swych stóp, nakaż mu, aby adorował cię i wielbił!..” Jej dobre rady nie docierały do szczerej i prostolinijnej dziewki. Myślała i czuła po swojemu. Podlegała prawom surowego patriarchalnego wychowania i nie potrafiłaby zmienić siebie.

Przystanęła, oglądając się za Safoną, która została z tyłu. Uśmiechnęła się, przypominając sobie, jak roztargniony Mi-ir przyjął nową kreację swej niewolnicy. Najzwyczajniej w świecie jej nie poznał. Oszołomiony i nieprzytomny, nie pojmował, skąd się wzięła w skarbcu nestora ciemnowłosa dziewczyna, wyglądająca jak Greczynka i odziana w wykwintne szaty. Dopiero kiedy tracka dziewka zwróciła się do niego, podeszła i zagadała, połapał się, kogo ma przed sobą.

Widząc jego zdziwioną minę, Safona usiłowała go rozbawić.

— Czym ładna, najdroższy? — figlarnie zapytała, zabawnie się przed nim kłaniając.

Przytaknął, a jego twarz rozjaśnił blady uśmiech. Potem przytulił ją do siebie.

Gdy rozległ się gong mistrza ceremonii, Safona i Ni wróciły do sali jadalnej i zatrzymały przy niskich marmurowych stołach, przy których ulokowano łoża biesiadne. Okrągłymi ze zdumienia oczyma podziwiały kulinarne dzieło Rahy. W jadłospisie znalazły się kuchnie

grecka, perska i egipska. Obok owoców z drzew południowych, pomarańczy, bananów, daktyli, oraz obok naczyń ze źródlaną wodą i z czerwonym winem z greckich winnic, były tu wyłożone w misach różne gatunki mięsa i ryb, z sosami i bez sosów, z jarzynami i innymi wyszukanymi dodatkami. Safona od ciągnących szlakiem kupców nasłuchała się o sekretach jońskiego podniebienia. Tu mogła przekonać się, że w ich opowieściach nie było przesady. Zaintrygowała ją upieczona w całości ośmiornica. Pojęła, że bardzo dobrze uczyniła, porzucając bez wahania rodzinne plemię, odchodząc za młodym cudzoziemcem i oddając mu serce. Jej niewinne dziewczęce sny nie kłamały. W tej niewyobrażalnej feerycznej krainie ziszczały się bowiem najskrytsze marzenia.

PO SUTYM posiłku, obficie zakrapianym winem, Rahę opuścił wcześniejszy animusz. Przygasł i posmutniał. I nie był to skutek nadmiaru boskiego trunku, który niby młodziutki Ganimedes na Olimpie szczodrze rozlewał Abihu do czar, skwapliwie wyciąganych w jego stronę. Nestorowi leżało coś na sercu. Wykorzystał chwilę zamieszania, aby odciągnąć Mi-ira od stołu i zaprosić do studia za oranżową przebieralnią. Tam go poprosił o to, aby jeszcze raz opowiedział mu ze szczegółami o spotkaniu z tajemniczą jajogłową. Cicho pracowała elektroniczna aparatura. Sporawy ekran pokazywał niby iluminator miriady gwiazd i Urchita przez chwilę czuł się tak, jakby znowu znajdował się na pokładzie tnącego zimne przestrzenie „Met-ar-usa".

Nieco otępiałego Mi-ira nie bawiło szperanie w sennych zakamarkach pamięci. Wzięty w krzyżowy ogień pytań, cofnął się jednak myślami do chwil, spędzonych na Taurosie. Co tu dużo mówić, takie rzeczy nie ulatywały z głowy. Nie otarł się przecież przypadkiem o zabłąkanego trackiego pastucha. Odtworzył toczący się przy bolidzie

dialog, czy raczej rozdmuchany monolog, a potem zajął się tym, co wychwyciły jego czujne oczy.

Gdy skończył, pozostawił zamyślonego Rahę przy szumiącym cicho urządzeniu, kojarzącym się mu z rozdzielnią impulsu zwrotnego w generatorze pola grawitacyjnego na „Met-ar-usie". Wrócił do pozostałych, którzy ani myśleli kończyć zaczętej uczty. Ktoś włączył niespokojną muzykę, w której dźwięki rogu i innych instrumentów mieszały się z rytmem bębna. Zapalono stojące obok stołów lampiony. Półleżąc oglądał niewidzącym wzrokiem pucharek do wina. Odruchowo stukał paznokciem w zawiły ornament. Pędy pnącej się ku górze rośliny oplatały tułów mitycznego potwora z trzema głowami i ziejącymi ogniem pyskami. Jeżeli w grę wchodził kolejny test, wymyślony i narzucony przez siły wyższe — duchy nie duchy, zjawy nie zjawy — to na pewno nie odnosił się on do niego. Raha sam musiał sobie z nim poradzić. Odkrył to i nagle mu ulżyło.

Safona podeszła z tyłu z dzbanem wina i owiał go zapach jej drogich pachnideł. Pochyliła się nad jego kielichem. Podniósł się i pogłaskał jej gładkie ramię.

— Eucharisto! — rzucił po grecku, gdy napełniła puste naczynie, łapiąc się w chwilę później, że pierwszy raz wypowiedział do niej to sakramentalne słowo. Nie dziękowało się przecież niewolnicy.

Rozdział siedemnasty

WINA BYŁO w nadmiarze i nie żałowali go sobie, lejąc bez umiaru. Ni nieopatrznie wychyliła kilka czar, więc rozgrzana i rozogniona postanowiła na uboczu ochłonąć i pozbierać rozbiegane myśli. Przyszło jej do głowy, żeby odetchnąć świeżym górskim powietrzem. Zabrała ze sobą chętną każdej odmiany Safonę i we dwie wymknęły się z sali biesiadnej, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Zanosiło się na niewybredną zabawę, a nie lubiła prostackich popisów, świadczących o nieokrzesaniu i braku ogłady. Nie pochodziła z urchickiego gminu, zaś jej rodzice szczycili się tym, że należą do majętnego klanu z wielowiekowymi tradycjami. Wydostały się po nierównych kamiennych schodach na zaśnieżoną przełęcz, a potem z przejęciem rozglądały po surowej okolicy. Wyprawianie się tutaj nie było jednak mądrym pomysłem. Hulał ostry świszczący wiatr, szarpał strojami i przykurczone z zimna musiały szczelniej otulać się himationami. Bogom z Olimpu z pewnością taka aura nie psuła humorów, a chociaż wizualnie przypominali śmiertelnych, nie kostnieli na zimnie i nie narzekali na ziąb. Na takim odludziu bardziej od cienkich greckich szat przydawały się śmierdzące spalenizną grube trackie skóry. Wyniósł je za nimi zapobiegliwy Raha, który natychmiast pociągnął za nimi na górę. W mig się zorientował, gdzie ich szukać. Peplosami radził im osłonić głowy.

— Zaziębicie się i trzeba będzie warzyć gorący napój z ziół i miodu, dobroczynnie działający na gardło — zrzędliwie uzasadniał nadgorliwość, jednak pod jego nosem igrał figlarny uśmiech. Nic sobie nie robił z tego, że piękna Urchitka wymyka się spod jego opiekuńczych skrzydeł. Zawsze był gotowy do odgrywania roli kapłana boga sztuki

lekarskiej, Asklepiosa. Chętnie się pod nią podpisywał w dolinie Nestosu, chwaląc znajomością leczniczych liści i korzeni.

— To wiecznotrwali mogą cierpieć jak ludzie? Ścinają ich z nóg ich dolegliwości? — z przekąsem odszczeknęła Ni, nie rezygnując jednak z dodatkowego okrycia, mimo że w pierwszej chwili żachnęła się tak, jakby chciał jej zarzucić na ramiona palącą koszulę Dejaniry. Wydawało się, że ma po uszy jego towarzystwa, chociaż przecież w Tracji ustawicznie wisiała mu na szyi. Kłótnia wisiała w powietrzu.

— Czy ja wiem? Pewnie ludzkie choroby ich omijają, ale nigdy nic nie wiadomo — rozsądził z pogodnym błyskiem w oku. — Po co kusić los? — dorzucił bałamutnie.

Przełknęła w milczeniu jego odpowiedź i nie skoczyła mu do gardła, choć miała na to ochotę. Raha zresztą uznał, że zrobił to, co do niego należało. Nie chciał jej rozdrażniać. Trzymając język na wodzy, z lekka się ukłonił i zawrócił na dół do rozbawionej kompanii.

Uparta Ni postawiła na swoim. Zmusiły się i poszły na mało udaną przechadzkę po ostrej grani. Iglica na wysokim szczycie majestatycznie błyszczała w słońcu, ale Urchitka omiotła ją niewidzącym spojrzeniem, gdyż przestała się jej kojarzyć z utajonym zagrożeniem. Nie działała, a teleporter został wyłączony. Nie była już skalnym gniazdem czarnego niby-orła, który dotąd wisiał nad Wyspami Jońskimi i Egejskimi, Cykladami, Kretą, Peloponezem, Tesalią, Attyką, Tracją i nad całą Ziemią, gotowy spaść i pozostawić po sobie dymiące zgliszcza. Zachowała się jako relikt systemu, który w tym układzie słonecznym stracił upiorną moc. Nie służyła żadnemu oprawcy z nienaturalnie gładkich złowieszczych planetoid, a na ten glob posępne upiory z kosmosu nie miały wstępu. Wszystko po odległy horyzont i dalej należało teraz do nich niby do udzielnych władczyń. Były u siebie i nie musiały się lękać pozbawionych skrupułów sardonicznych starców o niewyobrażalnej wręcz potędze.

— Ładnie tutaj, ale ziąb straszny od wichru… — upomniała się Sa-

fona. Mimo skór nadal szczękała zębami. Stała obok Ni, przestępując z nogi na nogę i za nic mając jej metafizyczną zadumę nad losami świata. Myślała przyziemnie i marzyła o tym, żeby jak najszybciej wrócić do swoich. Zmarznięte ręce chowała pod himationem.

Jasnowłosa piękność obrzuciła ją uważnym spojrzeniem. Tracka dziewka nie kryła w sobie uśpionego aotusa, była najzwyklejszą pod słońcem Y-otką o nietrudnej do zrozumienia naturze i póki co nie budziła w niej lęku opatrzona licznymi znakami zapytania nieuchronna nieśmiertelność. Dopiero teraz uzmysłowiła sobie, że naraża ją na przeziębienie i katar. Samolubnie odniosła do siebie sarkanie nestora i nie wpadła na to, że chciał raczej zadbać o kruchą Ziemiankę i jej zdrowie, a nie o nie do zdarcia organizm Urchitki.

— Wracamy — z ociąganiem zadecydowała, mimo że nie miała ochoty opuszczać przełęczy. Pożegnała wzrokiem śpiący ślizgacz, mało już im przydatny i przez to coraz bardziej obcy. — Może by i nawet znośnie było tam na dole — parsknęła z rozgoryczeniem, kiedy znalazły się z powrotem przy wykutym w skale zejściu — gdyby nie te męczące dźwięki. Po co ci głupcy włączyli jazgotliwą muzykę? — obłudnie poskarżyła się trackiej dziewce. — Na „Met-ar-usie" nie mogliby sobie na coś takiego pozwolić. Budzący respekt Ag zaraz przywołałby ich do porządku. Jaki był, taki był, ale dbał o dyscyplinę... — zachłysnęła się wspomnieniem lotu.

Rozważny dowódca kosmicznej wyprawy nie dotrzymywał im jednak towarzystwa. On i cała reszta załogi heroicznie oddali życie, żeby ich niezwykła trójka mogła przetrwać i nieugięcie zmierzyć się z przeznaczeniem.

Rozlewane bez umiaru wino zrobiło swoje i biesiadnicy na dole do cna przestali się kontrolować, bowiem niczym pogardzani przez Greków barbarzyńcy nie mieszali jak należy tego trunku ze źródlaną wodą. Rozochoceni, dokazywali i swawolili. Nie umilały im czasu tancerki, fletnistki i harfistki, więc sami jak umieli, tak sobie uprzy-

jemniali ucztę. Ich dzikie harce jednak w niczym nie przypominały ubogaconego filozoficznymi dysputami sympozjonu. Niezaprzeczenie zabrakło im stylu. Mu-ur z wykrzywioną w paroksyzmie ohydną maską szamana na twarzy wybijał jak pomyleniec wściekły rytm na zwędzonym z kolekcji Rahy afrykańskim bębnie, obciągniętym skórą kozła. Wydawało się, że zaraz wyruszy na plemienną wojnę. Falowały barwione na intensywne kolory ptasie pióra. Mi-ir odrzucił płaszcz i jak głupiec przytupywał z wyciągniętymi rękoma, obracając się w podskokach dokoła. Porwał do tańca powracającą Safonę, czym ją ucieszył. Rozgrzeszył ją bez słowa za to, że znikła bez jego wiedzy i zgody. Szczęśliwa, dała mu się poprowadzić i pokazała, co potrafi, chwaląc plemiennymi pląsami i zdradzając posmutniałą Ni. Jedynie Abihu zachowywał się w miarę przyzwoicie. Nie groziło mu, że urżnie się w trupa. Półleżący na kline chłopak zabawiał się leniwie kunsztownie wyrzeźbionymi kośćmi do gry, ale nikt się nie kwapił, by usiąść i pójść z nim w zawody, więc Ni przyszło do głowy, że może przy nim się zatrzymać.

Były to ostatnie pożegnalne błazeństwa, gdyż jedną nogą stali już w Attyce. Opasane metalowymi listwami dwie solidne skrzynie z dębowego drewna z niezbędnym ekwipunkiem czekały przygotowane. Matuzalem przerwał te godne pożałowania popisy. Wyłączył hałaśliwą muzykę i klasnął w starcze dłonie, chcąc skupić na sobie uwagę bractwa. Zamierzał podzielić się z obecnymi czymś, co nie cierpiało zwłoki.

— Nadszedł czas, przyjaciele, żeby wyruszyć w drogę. Przeniesiemy się do Aten — patetycznie oznajmił, nie kryjąc odrobiny wzruszenia. — Tam będziecie mogli dalej się bawić, o ile nie stracicie na to ochoty. A gdzie się zatrzymamy? — składnie dorzucił, uprzedzając ich ewentualne pytania i nie pozwalając nikomu w proteście otworzyć ust. — O to nie musicie się martwić — zaręczył pewny siebie. — Znam to nadmorskie miasto jak własną kieszeń, bo w nim od

dawna mieszkam i robię interesy. Należę do dobrze sytuowanych cudzoziemskich kupców — pochwalił się z błyskiem w oku. — Przygotowałem tam dla was przepięknie urządzoną i z gustem wyposażoną willę. Do niej stąd trafimy.

Było widać, że nie chce ich tu dłużej więzić i że sam pragnie wyrwać się z zagubionej w górach skalnej komory, więc pod jego komendę ruszyli się z miejsc, ale niemrawo i ospale. Nie mieli ochoty przerywać zabawy.

— Należało się tego spodziewać — ze wzgardą wydęła usta Ni. — Nic o nas bez nas — z przekąsem dmuchnęła do ucha rozpromienionej i ciężko oddychającej Safony, która w końcu do niej wróciła. — Tacy są właśnie mężczyźni, wredne zarozumiałe samce…

Tracka piękność jednak nie rozumiała, co gryzie jej przyjaciółkę.

— Jeden talent ma sześćdziesiąt min, jedna mina — sto drachm, jedna drachma — sześć oboli — z pozoru bez sensu zamruczał pod nosem Abihu. Podniósł się i omal nie wylądował nosem na ramieniu Ni, jakby miał nieźle w czubie. Dopiero po chwili się zorientowała, że dzierży w dłoni całkiem pokaźny trzos. Tylko na co mu były pieniądze? Widać nie dotarło do niego, co mówił Raha.

— I rzecz ostatnia… — znowu zaczął starzec, z nagła przyciszając głos i zebrani zamarli, wyczuwając napięcie. — Jakoś trudno mi o tym powiedzieć… — Można było odnieść wrażenie, że jest w niejakiej rozterce. — Tak się składa, że właścicielem owej ateńskiej willi oraz rozlicznych ziemskich majętności — starannie dobierał słowa — jest człek do mnie raczej niepodobny, o nieco innej fizjonomii, a zarazem sporo młodszy. Człek o imieniu Eurypides, pewnie tego samego wzrostu… — z zafrasowaniem zatarł dłonie, a potem pokazał, jaki tamten jest wysoki. — Właśnie on, a nie żaden zajęty ziołami i wspominający liczne wyprawy stojący nad grobem starzec tam was ochoczo przywita i chętnie ugości. Nie mogę udać się w tę podróż w obecnej postaci, ponieważ nikt by mnie nie rozpoznał i nie uznał za

swego. Wypchnięto by mnie z mojego domostwa jak łachmaniarza i żebraka, więc musiałbym się otrzepywać z ulicznego pyłu — bezradnie rozłożył ręce, udając głęboki smutek. — Pozwólcie zatem, że jako cherlawy nestor już się pożegnam, rozstając się raz na zawsze z waszym gronem. To, co było, minęło i nie wróci. Ów dużo młodszy Y-ot z powodzeniem mnie zastąpi...

Zapadła dojmująca cisza. Po co ta kwiecista przemowa? Spoglądali po sobie, dłuższą chwilę nie dowierzając temu, co usłyszeli. O co chodziło transgalaktydzie?

— Chcesz zmienić posturę? Nie, nie... Nigdy! — uczuciowa i na swój sposób poczciwa dusza wojownika nie godziła na takie rozwiązanie. Zaraz jednak powściągnął emocje, świadomy tego, że nie ma na to wpływu. Zresztą, jakie to mogło mieć znaczenie?

Jednak miało. Zdesperowana Safona uderzyła w płacz, czego nikt się po niej nie spodziewał. Łkała jak dziecko, a rzęsiste łzy zaczęły spływać po jej zmartwiałych z żalu policzkach. Przywiązała się do Rahy bardziej niż inni z ich dziwacznej kompanii. Zbliżyła się do zafrasowanego matuzalema i nic nie mówiąc pieszczotliwie pogłaskała go po długiej siwej brodzie. Potem ucałowała ze czcią jego starcze dłonie. Może już kiedyś tak żegnała kogoś ze swojej wioski? Kogoś, kto był jej równie oddany i bliski?

Ogarnął ją i przytulił do siebie. Pewnie nie spodziewał się, że tracka wieśniaczka tak do niego przylgnie.

— Nie rozpaczaj — rzekł. — Po co ten żal? Nie załamuj rąk. Ujrzysz mnie przecież znowu. Ucieszysz się. Tyle tylko, że żywszego i zdrowszego. I z większą fantazją...

— Oko w oko z kolejną metamorfozą — olśniony tym odkryciem Mi-ir triumfalnie zerknął na Ni. — Że też wcześniej nie wpadłem na to. Ho, ho! Przecież to od początku było oczywiste. Nie tylko wredne aotusy potrafią robić takie numery...

Nie było się o co sprzeczać. Nikt z nich nie miał powodu, by zabra-

niać siwobrodemu wrócić do poprzedniej postaci. Pożegnali go i acz niechętnie pozwolili mu umknąć do oblanych oranżowym światłem pomieszczeń, a tam szczelnie zamknąć drzwi.

Odeszła ich ochota do zabawy. W napięciu czekali na to, co się stanie, nie niecierpliwiąc się i nie próbując ponaglać starego. Nie dawało się Rahy podejrzeć, bo drzwi nie miały szpar. Abihu nadal podrzucał kości. Wreszcie zlustrował pytającym wzrokiem obecnych, podniósł się z łoża i włączył niegłośną muzykę.

Ku zaskoczeniu Mi-ira, Safona, która zdążyła wytrzeć zapłakane policzki, przejęła inicjatywę.

— Jeśli stąd odchodzimy, to należy pogasić lampiony — rzekła z energią, zaganiając pozostałych do pracy. — Inaczej wszystko spłonie.

Nie był potrzebny żaden róg ani głos koryfeusza. Główny aktor zrzucił maskę i bezzwłocznie powrócił na opuszczoną przed chwilą scenę, doskonale wiedząc, że pewni jego nadejścia widzowie nie opuszczą kamiennych ław teatru.

— Na trony Zeusa — wyjąkała wstrząśnięta do głębi Ni. — Jakże to, to on?!

Jego powrót był ciosem dla nagle zmizerniałej Urchitki. Boskie chłopię o złotych skrzydłach wypuściło świetlistą strzałę, która dźwięcząc utkwiła w jej sercu, rozdzierając je na dwoje. Gdyby wcześniej przewidziała to taktyczne posunięcie transgalaktydy, w kotlinie Nestosu tak bardzo by się nie lepiła do powłóczącego nogami matuzalema.

Mężczyzna, który wyłonił się zza zaczarowanych wierzei, był skrytym panem jej losu i królem płochych myśli i uczuć. Wiele razy widziała go w rojeniach sennych i mnąc rękami derkę pragnęła aż do bólu — gotowa oddać wszystko, byleby tylko razem z nim być. Nie musiała wypłakiwać za nim oczu i z rozpaczą go szukać, krążąc po Atenach, Sparcie, Koryncie i innych miastach, ani też zaklinać tutej-

szych bogów, by pomogli jej go odnaleźć, jak to śpiewano w miłosnych pieśniach. Ku jej niewyobrażalnemu zdumieniu umiłowany był cały czas na wyciągnięcie ręki.

— To potwór — wyszeptała, nie godząc się z tym, co odkryła. — Hipokryta i oszust!

Nie sądziła, że paruzja transgalaktydy tak bardzo nią wstrząśnie. Uraził jej dumę. Wejrzał drań w jej duszę i sprytnie się wykreował na obiekt jej marzeń. Serce jej łomotało i wyrywało się z piersi, lecz przecież nie mogła okazać tego, co czuje. Była kobietą i wiedziała, że nigdy mu tego nie wybaczy.

Nikt nie zwrócił uwagi na jej nagle pobladłą twarz. Pozostali hurmem poderwali się na równe nogi i zajęli olśniewającym wcieleniem nestora. Wymodelował się nad wyraz wytwornie. Otoczyli cudownie odmłodzonego starca, obmacując jego pozbawioną zmarszczek twarz, poklepując go po ramionach i ucząc się go od nowa. Oglądali go jak dorodnego niewolnika na targu, prawie zaglądając mu w zęby i wydawało się, że zaczną zajadle wykłócać się o cenę i skakać sobie do oczu.

W nowym wcieleniu Raha był mężczyzną przystojnym, silnym, władczym i pewnym siebie. Nie pozostało w nim niczego z dawnej ślamazarności starca, z jego ułomnego chodu, przygarbionej sylwetki i opieszałości, choć było widać, że ma bezsprzecznie jego rysy. A może nestora zastąpił jego dojrzały syn? Szczupłą, pociągłą twarz okalały ciemne, kręcone włosy, które przetykały tylko z rzadka nitki siwizny. Broda była krótko przystrzyżona. Spojrzenie miał bystre i przenikliwe, ale szczere. Nieco się zmieszał w obliczu żywiołowej reakcji kosmicznych wędrowców. Z entuzjazmem ściskali za ręce kupca z Aten, przyjmując go bez zastrzeżeń do kompanii. Abihu i Safona włączyli się z zapałem w to żywiołowe powitanie — ta ostatnia jakby niepewna tego, czy przystojny kupiec rozpozna w niej prostą dziewkę, która tak często służyła mu pomocą przy obozowym ogni-

sku.

Odmłodzony Raha nie chciał przedłużać tej uciążliwej i zawstydzającej go ceremonii, tym bardziej, że Ni — jak zdążył zauważyć — nie przyłączyła się do powitań.

— Wystarczy, mili bracia — uwolnił się z uścisków i uniósł wysoko swe wypielęgnowane dłonie. — Tu, na tej planecie, mówi się: „Komu w drogę, temu czas!"

WEWNĘTRZNY dziedziniec okalały bogato rzeźbione marmurowe kolumny, a pośrodku dumnie królowała wyłożona kamiennymi płytami sadzawka. Woda tryskała w górę i spływała po białym marmurze. Ukryci w cieniu przed gorącym słońcem, stali w otoczeniu starannie pielęgnowanych roślin, kwiatów w wazonach i pnących się ku górze bluszczy. Wino wyparowało im z głów. Niepewnie się rozglądali, jakby w obawie, że coś złego może czaić się w pobliżu. Witały ich zmyślne milczące posągi i pełne scen rodzajowych ścienne płaskorzeźby. Stopnie, prowadzące do akwenu, zachęcały do zrzucenia szat i zanurzenia się w przejrzystej wodzie.

Opasane metalowymi taśmami dębowe skrzynie należało umieścić w mrocznych piwnicach, kryjących się pod willą. Mężczyźni tym się zajęli w pierwszej kolejności, odkładając na później oglądanie wystawnej siedziby. Opuścili na krótko kobiety i zeszli po schodach, dźwigając ciężary. Dwie przyjaciółki pozostały sam na sam z nieznaną im wcześniej finezją kształtów i wzorów. Przykuły ich uwagę ryte w płaskim kamieniu śmiałe sceny miłosne, z pewnością dzieła tutejszych snycerzy. Potem Ni zaczęła adorować wydobytą z czarnego bazaltu wysmakowaną figurę nagiej hetery, umieszczoną na niewielkim postumencie. Ze zdziwieniem odkryła, że uwieczniona przez artystę niewiasta jest zadziwiająco do niej podobna, jakby to ona bez szat pozowała uzdolnionemu kamieniarzowi. Wydało się jej

to co nieco podejrzane, ale przecież nie wypadało doszukiwać się sprawcy. Gdy mężczyźni uporali się z niewdzięcznym zajęciem i powrócili do atrium, Raha, właściwie zaś Eurypides, gdyż do tego imienia zmuszeni byli teraz przywyknąć, ochoczo się ofiarował, że oprowadzi obie po budynku.

Domostwo było okazałe. Skierowane zabudową do środka, czerpało światło nie tyle z zewnętrznych okien, w które były wprawione mało przejrzyste, grube szyby, co z wewnętrznego dziedzińca. Pełnił on rolę tak atrium jak perystylu. Zajrzeli do komnat, mieszczących się na parterze. Sufity ozdobiono malowidłami, sztukateriami, złoceniami oraz kością słoniową. Niektóre stropy były kasetonowe. Na ścianach widniały lampy z brązu i z terakoty, wiszące na uchwytach w formie galeonów. Ścienne polichromie cechowały lekkość, zwiewność, wdzięk i czar. Niektóre ściany wyszykowano tak, żeby stworzyć imitację barwnego alabastru lub porfiru, ale inne z kolei posiadały okładziny z prawdziwego marmuru. W jednej z większych komnat kryły się liczne zwoje papirusów. Kolekcja była spora, a jej właściciel włożył w ten zbiór sporo serca. Na malowidle ściennym muzy śpiewały Apollinowi. Eurypides wyjął rękopis z purpurowego skórzanego futerału i trzymając za złoty drążek rozwinął przez Safoną i Ni, aby mogły się zapoznać z kształtem greckich i perskich liter.

Małe amorki na malowidłach przyciągały uwagę trackiej dziewczyny. Z nabożnym lękiem dotykała posągów bogów, spoglądała na mozaiki posadzkowe, po których kroczyła ostrożnie, żeby nie obudzić utrwalonych przez artystów dzikich zwierząt. Sypialnie były na piętrze. Tam, w korytarzu, obie mogły obejrzeć inne jeszcze płaskorzeźby z jeszcze śmielszymi scenami miłosnymi. Przy Eurypidesie zezowały na nie raczej dyskretnie. Znalazły kilka pokojów do spania, każdy inaczej umeblowany i urządzony. Łoża były szerokie, intarsjowane drogimi kawałkami drewna oraz inkrustowane złotem i srebrem.

Rzuciły się im w oczy starannie utkane pościele i kapy — jedwabiste, barwne, ciemnozielone, szkarłatne, fioletowe, obramowane purpurą i poprzetykane złotem. Okna się otwierały i wychodziły na zadbany ogród.

Kiedy zeszły na dół, Eurypides z fałszywą skromnością pochwalił się imponującą zastawą. Znalazła się w jego posiadaniu cenna kolekcja sreber. Filiżanki i kubki z wyrzeźbionymi gałązkami oliwnymi, amfory z błękitnego szkła z białymi ozdobami w formie kamei i inne przedmioty zachwycająco się prezentowały, a Ni w ich obliczu nad wyraz szybko się udobruchała. Chociaż się dąsała, postanawiając, że nie będzie okazywać gospodarzowi żadnych względów, a straszyć go dystansem i chłodem, to jednak zmieniło jej nastawienie obcowanie z kunsztownymi drobiazgami. Dała się im bez reszty pochłonąć. Nie byłaby kobietą, gdyby nie doceniła zgromadzonych tu walorów. Pogodziła się z myślą, że obcy odkrył jej afekty i rozszyfrował kobiece sekrety. Z powodzeniem zacierał przykre wrażenie dziełami mistrzów i można było zauważyć, że to odnosi zamierzony skutek.

— To, co tu masz jest przepiękne! Tyle wspaniałości! — w pewnej chwili zakrzyknęła tak samo promiennie, jak dawniej przy okrytym siermięgą siwobrodym. — Czegoś takiego nie ujrzałabym na Urch! — Po czym ufnie zajrzała w jego wcale nie marsowe oblicze.

Niezmiernie go tym uradowała. Znowu było między nimi tak, jak tam — we wciśniętej między wysokie góry zalesionej kotlinie Nestosu, gdzie mogli wysiadywać obok siebie i gawędzić bez końca o tym, co im było bliskie.

Cierpliwie czekał na tę chwilę. Wydobył spomiędzy fałd himationu prezent odpowiedni na taką okazję. Było to oprawione w szczere złoto kształtne zwierciadełko. Z przejęciem ujęła w dłonie kosztowny upominek. Oparła się o jego ramię i sowicie go wynagrodziła, tkliwie całując w policzek. Odwzajemnił ten szczery gest, a na nieco

zawstydzoną twarz Ni wypełzł nieśmiały rumieniec.

Safona spoglądała na nich okrągłymi z wrażenia oczyma. Spodobały się jej te czułostki. Opuściła zaraz zapatrzoną w siebie parę i odszukała Mi-ira. Wzorując się na Ni złożyła bez uprzedzenia na jego policzku równie słodki pocałunek. Akurat nie dumał o amorach, myślami będąc daleko i wprawiła go tym w osłupienie. Obejrzał ją sobie od stóp do głów, ale nie odpłacił jej tym samym. Zaraz jednak się opamiętał. Widząc, że jeszcze na coś czeka, przygarnął ją do siebie, objął w pół i pieszczotliwie pogłaskał po głowie.

ZŁAKNIONE nowych wrażeń odważyły się wczesnym wieczorem na pierwszą ostrożną przechadzkę. Nie byłyby sobą, gdyby nie wyściubiły nosa z willi. Wyszły w asyście Mu-ura i Abihu, nie wypadało bowiem dobrze urodzonym ateńskim kobietom snuć się po mieście bez męskiej asysty. Twarze zakryły chustami. Bujna roślinność dodawała uroku okolicy. Po zmroku skwar zelżał, a powietrze było chłodniejsze i łatwiej się oddychało. Mi-ir ku żalowi Safony sprytnie wykręcił się z udziału w tej wyprawie, zasłaniając się bólem głowy. Była to jednak tylko wymówka, bowiem miał ważkie powody, by pozostać pod dachem. Zamierzał powrócić do podjętej w skarbcu z pozoru błahej rozmowy. To, o co go wówczas podpytywał Raha, niepokoiło go i gryzło. Najpierw wypuścił się do rozległego i urządzonego z dużym smakiem ogrodu, gdzie w samotności podziwiał liczne groty, pergole i kapliczki, fontanny i miniaturowe wodospady. Przechadzał się w cieniu figowców, grusz, granatów i kasztanowców, a w myślach porównywał rosnące tu i wychuchane przez ogrodników cudeńka z tym, co widywał w Lipsuarra. Skojarzenia nie były jednak przykre. Wznoszące się tu i ówdzie palmy przypominały urchickie neatrondy. Po powrocie na dziedziniec admirował i wąchał fiołki, róże i hiacynty. Nie wiedział, gdzie skrył się gospodarz tego przybyt-

ku. Plącząc się po willi, znalazł go w końcu tuż przy zejściu do przepastnych piwnic przy ręcznej dłubaninie. Eurypides siedział przy stolarskim warsztacie, rozkoszując się widokiem prawie ukończonej miniatury greckiej triery. Pieczołowicie odtworzył szczegóły pokładu i rufy.

— Czyżby to był kolejny prometejski dar dla śmiertelnych tej planety? — zgrzytnął, nie kryjąc ironii.

Eurypides nie dostrzegł szyderstwa w jego głosie. Był pochłonięty swoimi myślami i przez to nieobecny.

— O co pytałeś?! — ocknął się, widząc Urchitę. Przyczesał ręką kędzierzawe włosy. — Ależ skąd — stanowczo zaprzeczył. — Takie jak ten — wskazał z cichą dumą — pływają już po ciepłych morzach, docierając na zachód aż do Słupów Herkulesa. Mają trzy rzędy wioseł i załogę, złożoną ze sternika, pięćdziesięciu wioślarzy, nadzorującego ich pracę keleustesa i sekundującego mu muzyka, grającego na aulosie. Nadaje on rytm i tempo wiosłowaniu. Ta triera ma blisko sto łokci długości — dzielił się z nim posiadaną wiedzą. — To moje całkiem prywatne zajęcie. Mogę przy nim odpocząć od absorbujących mnie zajęć i podumać nad nowymi.

Nie to w gruncie rzeczy obchodziło nieco podminowanego Urchitę. Postanowił nie bawić się w żadne wstępy i od razu przejść do rzeczy.

— A może łajdaczka z Taurosa bezczelnie łgała — rzucił — mówiąc, że planeta Urch została zniszczona. Zaś przekaźnik nadal tam działa?!

Transgalaktyda ogarnął go życzliwym spojrzeniem i z uznaniem skinął głową. Prawie bezgłośnie klasnął w dłonie.

— Brawo — odrzekł, oceniając jego występ. — Z poprawnym rozumowaniem nie masz kłopotów — pochwalił go. I dodał sucho: — A jak sądzisz? Co zrobiłem? — rzucił pytanie i natychmiast odpowiedział: — Już to sprawdziłem, wyobraź sobie.

Mi-ir nie spuszczał wzroku z jego ust.

— No i co? — czekał zaintrygowany.

Gospodarz zmarkotniał, a ramiona mu opadły. Ujął delikatnie model pływającej triery i uniósł go pod światło.

— Niestety, nie wiem, co — ze smutkiem oznajmił.

Zabrzmiało to mało przekonująco. Czy tego należało się spodziewać po genialnym strażniku Ziemi, dla którego nie było żadnych tajemnic?

— Jak to?! Nie wiesz? To niewiarygodne. Przecież poruszasz się między gwiazdami jak Trak po własnym obejściu… — Mi-ir nienawistnie w niego się wpatrywał, gotowy przycisnąć go do muru i zmusić do bezzwłocznego wyjawienia tego, co kosmiczny łazęga śmie przed nim ukrywać.

Strażnik chwilę milczał, przeżuwając porażkę. Potem niechętnie wyjaśnił:

— Teleportowałem na Urch niewielką beczułkę z czerwonym winem z greckich winnic — powiedział. Odstawił model na podstawę i zaczął nerwowo stukać palcami po wyślizganym dębowym blacie. — Beczułeczka znikła, co oznaczało, że przekaźnik na Urch nadal działa. Potem wysłałem jońską kamienną donicę z afrykańskim kaktusem. Ale ta — dodał — po krótkiej chwili została odesłana na Ziemię. Selektor odrzucił organizm żywy.

Mi-ir nie wiedział, co z tego powinno wynikać.

— I na co się potem zdecydowałeś?

Eurypides odrzekł:

— Szczerze mówiąc, na nic. Wyłączyłem przekaźnik na Olimpie.

Zapadło kłopotliwe milczenie. Mi-irowi kotłowały się w głowie różne myśli. Nie opuszczało go przykre przeświadczenie, że skomplikowane kosmiczne procesy, nad którymi usiłowali skutecznie zapanować, nadal wymykają się im spod kontroli.

— Czy to oznacza, że nasi wrogowie dotarli aż na Urch? I że stamtąd mogą przedostać się do nas? — rzucił grobowym głosem.

Gospodarz po chwili namysłu potwierdził jego domysł.

— Jeżeli tam są i jeżeli zechcą się stamtąd do nas pofatygować, to uporają się z tym w piętnaście lub dwadzieścia dni — straszył. — Bez przekaźnika są skazani na środki konwencjonalne, więc zapewne skorzystają z szybkiego kosmolotu. Oczywiście — zaraz dorzucił — to czysto teoretyczne dywagacje.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Jak zapewne się domyślasz, każda transmisja jest monitorowana. Pozostaje odnotowana w systemie kontroli. Sprawdziłem to, ponieważ dziwnym trafem się okazało, że mam dostęp do tych danych. Nikt obcy nie przybył ostatnio na wasz glob. Transfer z transgalaktycznych planetoid jest niemożliwy. O to pieczołowicie zadbał strażnik Urch, który po cichu ze mną spiskował. Co nie oznacza, że nie pozostawił sobie kodu dostępu. Chociaż z drugiej strony patrząc... Na bogów, gdyby go nakryli, wycisnęliby z niego i tę informację...

Mi-ir skrzywił się z niesmakiem.

— I pomyśleć, że nam to zajęło prawie pół roku, szkoda gadać... — szperał w pamięci, mimowolnie zestawiając różne liczby. To mu się nie mieściło w głowie. Usiłował sobie wyobrazić start z wyspy Abdan-gra i przelot na Ziemię w tak krótkim czasie. — Ale i tak pruliśmy przestrzenie z szybkością większą od prędkości światła...

Eurypides zmarszczył brwi.

— A co tu ma do rzeczy światło? — zapytał. — Ach, tak, do diaska, to pierwsza graniczna w próżni — sam sobie wartko podpowiedział. — Vara stanął przed nie lada wyzwaniem — dał się naciągnąć na wynurzenia. — Żeby was wysłać na Ziemię, musiał wymusić niewyobrażalny skok technologiczny. Za jednym zamachem wasi uczeni przenieśli się w czasie o dobrych kilkaset lat. Co tu dużo kryć, miał głowę nie od parady.

Zapadło milczenie. Mi-ir nie dał się zwieść. Nadal wiercił mu dziurę w brzuchu.

— Wypytywałeś mnie nerwowo w pod koniec uczty o jajogłową z Taurosa. Czy chodziło ci o jej rolę w tym wszystkim?

Pan domu usiłował zasztyletować go wzrokiem. Musiał zaprzeczyć.

— Nie, poszło mi o coś innego... — mruknął niechętnie.

Ciężko westchnął, podniósł się i pokazał swemu rozmówcy wejście do piwnic. I one zapewne — podobnie jak skarbiec w masywie Olimpu — kryły wiele tajemnic. Urchita odniósł wszakże wrażenie, że Eurypides chce odwlec dalszą rozmowę o tych niejasnych sprawach.

— Zejdź ze mną — zachęcił go — a pokażę ci moje osobiste zbiory!

Kamienne korytarze i ściany nie działały przytłaczająco. Znaleźli się w słabo oświetlonym audytorium. Wszędzie na podestach stały ręcznie wykonane miniatury.

— Zajmuję się nimi w wolnym czasie — pochwalił się przed Mi-irem. — Od setek lat. Wyobraź sobie, że sam je wszystkie złożyłem, posklejałem i ozdobiłem. Bez niczyjej pomocy.

Witały ich liczne antyczne budowle, świątynie i pałace wschodnich władców, piramidy i grobowce, otoczone prymitywną palisadą osady, mosty, zaprzężone w zwierzęta pojazdy oraz łodzie i statki.

Mi-ir oglądał te urokliwe makiety, które wyszły spod ręki nieskończenie cierpliwego rzemieślnika, ale nie bez wstydu i pewnego zażenowania. Były tego setki i zaczął się zastanawiać, ile sam by podobnych wykonał, gdyby przyszło mu żyć z pięćset lub z tysiąc lat. Potem uzmysłowił sobie z bólem, że — być może — i jego czeka podobny los. Czy nieśmiertelność, ten przywilej bogów, za którym wzdychali zwykli zjadacze chleba, nie była w gruncie rzeczy potwornym przekleństwem i przerażającym więzieniem bez wyjścia? Miał przez moment wrażenie, że widzi jak w lustrze swoją przyszłość. Nie tak ją sobie wyobrażał.

— Przepiękne i pełne czaru — pochwalił gospodarza, starając się zachować takt. — Wymagały talentu i czasu.

Bez pośpiechu wdrapali się na górę. Tam zaś uparty Mi-ir powrócił

do tematu jajogłowej. Bez ogródek strzelił w transgalaktydę nowym pytaniem, a Eurypides znowu ciężko westchnął. Usiadł przy modelu triery, a potem odrzekł ze zniecierpliwieniem i irytacją w głosie:

— Tu chodzi, nadmiernie dociekliwy Urchito, o moje sprawy osobiste, że tak powiem, a nie o los Ziemi lub innej przeklętej planety. Tylko o to. Zakładałem, iż jesteś wystarczająco bystry, by się tego domyślić!

Mi-ir poczuł się zbity z tropu, a na jego twarz powoli wypełzł rumieniec. Jajogłowa z Taurosa zachowywała się przecież jak zraniona kochanka. Ciekawe, dlaczego o tym nie pamiętał? Na moment zajęła jego uwagę słodka Safona. Zaraz jednak uczepił się innej myśli. Nie umiał pogodzić się ze zniszczeniem Urch.

— A może moi rodacy — tak jak my tu, na Ziemi — kontrolują wszystkie teleportacje? I bronią się przed inwazją, rozpaczliwie licząc na czyjąś pomoc? — wypalił na oślep.

Eurypides wpatrywał się niewidzącymi oczyma w odległy punkt w przestrzeni. Tłumaczenie tamtemu czegokolwiek było w tej sytuacji bezsporną stratą czasu. Po co bezsensownie walić głową w mur? Perswazją niczego nie mógł wskórać.

— Nie — spokojnie odparł. — Sądzę, że na waszym globie nie pozostał nikt, kto mógłby go bronić. To niemożliwe. Nie ma tam żadnego immortusa, ani tym bardziej strażnika planety. Zrezygnowano z anihilacji Urch, więc z pewnością ostała się jako ciało niebieskie, ale przypuszczalnie doszczętnie zniszczono jej faunę i florę. Przybysza z kosmosu, kim by nie był, powitają zatem odarte z zieleni kontynenty i wyspy. Od biedy można zajrzeć na ten nieszczęsny glob, aby się o tym naocznie przekonać. A przy okazji założyć blokadę na przekaźnik.

Urchita z ulgą odetchnął. Teraz wiedział, że transgalaktyda gra w otwarte karty.

— Nareszcie mówisz do rzeczy. Udamy się tam razem, aby się

upewnić. Czy selektor obu nas przepuści?

Eurypides uśmiechnął się zagadkowo.

— Czemu nie? Owszem, wybiorę się na Urch — rzekł po chwili wahania — lecz bez ciebie. Nie powinienem cię narażać.

Mi-ir omal się nie zachłysnął. Nie zamierzał ustępować.

— Nie ma mowy! — postawił się, gotowy iść na noże. — Wyprawisz się tam, ale ze mną. Jestem wiecznotrwałym, więc przy mnie będziesz bezpieczny — uparcie trwał przy swoim, odwołując się do wątpliwych argumentów.

Pan domu nadal się uśmiechał. Wiedział o rzeczach, o których Urchita nie miał zielonego pojęcia, lecz świadomość tego jego rozmówcę doprowadzała chwilami do pasji. Nie mógł się równać z przedstawicielem pankosmicznego gatunku.

— Zgoda! — transgaktyda ugiął się w obliczu nacisku. Poddał się, nie chcąc wywoływać kłótni. Uznał, że nie powinien spierać się bez powodu. — Skoro tak ci na tym zależy, udamy się tam razem, będzie raźniej — westchnął. — Ale nie znajdziesz tam niczego — smętnie zaznaczył — co byłoby ci potrzebne do szczęścia.

Rozdział osiemnasty

DOBRZE sytuowani Ateńczycy w właściwy sobie sposób witali upalną porę roku, zapowiadającą żar i suszę na polach, w winnicach i w gajach oliwnych. Kto miał majętności i dobrze nabity trzos, ten bawił się i zażywał rozkoszy. Delektował się, korzystając z uroków pełnej żywych barw kończącej się wiosny. Ni i Mu-ur oglądali więc pogodnych i weselących się obywateli. Dopiero co tu przybyli, więc nie mieli jeszcze okazji, by zajrzeć do uboższych dzielnic, a tam zetknąć z ciemniejszymi stronami miasta. W okalających bogate domostwa arystokratów wypielęgnowanych ogrodach toczyło się wieczorne życie. Składano sobie wizyty i ucztowano, paliły się rozwieszone lampiony, służba roznosiła potrawy, podawała owoce i wino. Mało kto posilał się między kolumnami, a korzystano z łoży biesiadnych, powynoszonych na zewnątrz. Mężowie z laurami na czołach przechadzali się między obsypanymi kwiatami krzewami, rozprawiając o sprawach wyższego rzędu, może o filozofii i polityce, o poezji i sztuce, czy o tym, jak na losy ludzkie wpływają gwiazdy.

Kiedy mieli zawracać, znienacka zastąpiła im drogę okryta łachmanami pochylona kobieca postać — ni to żebraczka, ni to jakaś wieszczka, o starej i pooranej zmarszczkami twarzy. Rozłożyła drapieżnie ręce, a poruszając się niby w tańcu, z powagą złożyła im głęboki i służebny pokłon, prawie aż do ziemi, omal przy tym nie szurając głową po szarym pyle.

— O wielcy bogowie — krzyknęła chrapliwie. — O prawdziwie nieśmiertelni. Spójrzcie na tę, która umiera w bólach, która ginie jak robak i schnie jak marna trawa. Wejrzyjcie na nią łaskawie!

Należała do najuboższych i dobrze o tym wiedziała. Była niewiele

warta. Wietrzący bliżej nieznane niebezpieczeństwo Mu-ur sięgnął ukradkiem po broń, którą przezornie zabrał ze sobą. Zwędzony ze skarbca maleńki dezintegrator nie najgorzej mieścił się mu w dłoni. Za pasem krył sztylet, z którym starał się nie rozstawać.

Ni wpadła w panikę. Zbladła. Wydawało się, że za chwilę rzuci się na nią i wydrapie jej oczy. Czyżby odrażająca wiedźma była bardziej domyślna niż wszystkowiedząca Pytia z Delf?

— Nie jesteśmy bogami, ani ich wysłannikami! — jej rozpaczliwy głos zabrzmiał ostro i odpychająco. — Tylko zwykłymi ludźmi!

Stara jednak nie zamierzała ustąpić. Okrywająca ją czarna chusta zsunęła jej się z głowy, a długie, siwe i mocno przerzedzone włosy sięgnęły prawie do kolan. Znowu uniosła ręce, niby w jakimś natchnieniu, poruszając się w takty niesłyszalnej muzyki.

— O królujący, o przybyli z niebios na potężnym rydwanie — zawołała. — Nie opuszczajcie śmiertelnej, tej, która jest w potrzebie!..

Safona pierwsza zdała sobie sprawę z tego, o co chodzi starej. Ocierała się wiele razy o ludzką nędzę, więc nie dostrzegła w tym żałosnym spektaklu żadnych ukrytych podtekstów. Nikt nie usiłował zdekonspirować przybyszy z gwiazd lub w inny sposób im zagrozić.

— Trzeba dać jej coś na odczepne — dmuchnął jej do ucha domyślny chłopak.

Jednym ruchem ściągnęła z dłoni cienką, srebrną bransoletę i cisnęła ją żebraczce. Starucha zręcznie złapała zdobycz, ucałowała ją i natychmiast przypadła dziewczynie do kolan. Zaraz też uniosła się i w głębokim pokłonie poczęła cofać się do tyłu, ustępując obcym placu. Nim się spostrzegli, rozmyła się w gęstniejącym mroku.

Nikt nie miał ochoty komentować tej sceny, zbyt była żenująca. Zadziwiająco spokojny Mu-ur flegmatycznie chował dezintegrator. Jak na pierwszy raz, mieli dosyć wrażeń.

— Na proroków, tu trzeba mieć mocne nerwy — jęknęła zdesperowana Ni. — Do willi, wystarczy na dzisiaj!

Ulokowane w obramowaniu górskiego pejzażu i opasane murami miasto okazało się większe niż sadzili. Na wznoszącym się nad zabudowaniami wapiennym wzgórzu nie witała ich świątynia Ateny, którą utrwaliła dla nielicznych potomnych kamera natchnionego transgalaktydy. Hekatompedon przecież doszczętnie zniszczyli Persowie. Rysowały się tam tylko resztki ruin i odbudowany skarbiec świątynny. Mieszała się w głowie Ni oglądana teraźniejszość z wizją odgadywanej i nie tak bardzo odległej przeszłości.

Po kilkunastu krokach znowu się zatrzymali, bowiem Urchitka usłyszała dźwięki subtelnej i słodkiej melodii. W mijanym ogrodzie ktoś między pergolami czarownie przygrywał na aulosie. Zasłuchała się w płynące tony, chcąc uspokoić się, ochłonąć i zapomnieć o tym, co ją przed chwilą wyprowadziło z równowagi. Zmysły miała napięte do ostatnich granic. Nie zauważyła, że Mu-ur, korzystając z okazji, bezszelestnie zawrócił i zniknął jak duch, udając się pewnie śladami staruchy. Może chciał naprawić ich bezprzykładny błąd? Przecież nie powinni byli dopuszczać do siebie nikogo.

— Do domu, do naszych pieleszy — szepnęła nie bez odrobiny nostalgii i żalu, gdy ucichła melodia. Dość miała świadków greckiego geniuszu. Potem rozejrzała się za Mu-urem. Abihu i Safona stali nieopodal rosochatego oliwnego drzewa, skrycie rozprawiając i nie zamierzając bez niej się oddalać. — A gdzie wojownik? — niegłośno zawołała. Chłopak obojętnie pokazał ręką.

Zabijaka niby zjawa wynurzył się z powrotem z mroku. Kończył wycierać sztylet. Z niezwykłym namaszczeniem chował go za pas. Oddał Safonie srebrną bransoletę.

Bestia w niej zjadliwie zachichotała. — Na Atenę! — wystękała. — Dlaczego on to uczynił? Dlaczego zabił?

Usłyszała znowu miły głos Mi-ti, swojej niani. „Jesteś stworzona po to — opiekunka szeptała jej do ucha — aby być szczęściem innych; być szczęśliwą i dawać szczęście. Oto twe powołanie, prawdziwe,

wieczne, i twój los!..” Spłoszona, obejrzała się za siebie, ale niani nie ujrzała. Zerknęła w górę, lecz tam napotkała tylko zdziwione szklane oczy martwego Ta-ota. Technik nie został należycie pogrzebany, podobnie jak jego kamraci z rozbitego kosmolotu. Świecił księżyc. Zadrżała i nagle poczuła, że ogarnia ją śmiertelny chłód. Przyspieszyła kroku. Musiała się otrząsnąć. Kiedy wszakże spostrzegła, że fronton willi Eurypidesa jest jasno oświetlony niczym na przyjęcie panny młodej i że życzliwie wita ich z daleka, zwolniła, czując, że wraca jej spokój.

Podcienie tworzyła kolumnada z sześciu słupów, dźwigających poziome belkowanie. Imitacja portyku w formie czterech półkolumn znajdowała się powyżej, zdobiąc górną część ściany. Pomiędzy półkolumnami kryły się okna, otoczone zdobieniami. Szczególnie bogatą dekorację miał murowany portal, kryjący się pod portykiem. Dekoracja była złożona z wąskich pasemek, coraz to głębszych w miarę zbliżania się do otworu. Najszerszy pas zewnętrzny zdobiły płasko rzeźbione rozety. Z obu stron portalu gzyms podparto konsolami o misternie opracowanym profilu.

Milczące kolumny skrycie chwaliły się rolą wiekowych strażników domu. Było w nich coś nieuchwytnego, co kazało w pół kroku zatrzymać się ponuremu wojownikowi. Wydawały się wibrować. Może tu warowały zaklęte w kamieniu duchy, gotowe jak wierne czworonogi ostrzec gospodarza o grożącym mu niebezpieczeństwie? Mu-ur mocował się wzrokiem z nieporuszonymi słupami, rozważając taką nadzwyczajną możliwość. Prędzej musiałby uznać, że między wypukłościami w szczelinach wzorów były ukryte wszystkowidzące kamery, a cała posiadłość opleciona czułą siecią miniaturowych elektronicznych zabezpieczeń. Przecież w tym niecodziennym miejscu gościli przybysze z niedosięgłych dla Y-otów stron kosmosu. Ale czy światli Ateńczycy mogli wiedzieć, kto z takim natężeniem od stuleci trudzi się na rzecz ich nobilitacji i pracuje w mozole na ich sukcesy i

triumfy? Kto wymyśla dla nich nowe rzeczy?

Kiedy przekroczyli progi, ku swemu zdumieniu spostrzegli dwóch odzianych w krótkie chitony młodych Greków, którzy krzątali się akurat po perystylu, zapalając światła. Byli podobnego wzrostu. Ich poczynania zdradzały, że są tu zadomowieni. Służący na modłę perską w pas skłonili się przybyszom, okazując im należny szacunek i manifestując w ten sposób, że w domowej hierarchii przypada im poślednie miejsce. Safona na moment zesztywniała, nienawykła do odbierania takich czołobitności. Ich twarze nie wyrażały żadnych uczuć, a malowała się na nich jedynie gotowość pospieszenia na każde wezwanie gości.

Raha kończył przechadzać się po ogrodzie. Kiedy ujrzał Ni, na jego nieco zasępionej twarzy odmalował się uśmiech. Zacierając uniżenie ręce poprosił ją o wrażenia z miasta. Urchitka wspomniała o widocznych jeszcze śladach zniszczeń, pozostałych po wojnie z Kserksesem, szczególnie na skale Akropolu, który podziwiali przy zachodzie słońca. Safona, choć nie pytana, odważnie się wtrącała, dorzucając swoje trzy grosze i ciągle ucząc się tego, że to ten sam matuzalem, którego dobrze znała. Dusza w nim się nie zmieniła. A chociaż wcześniej się nie umawiały, zgodnie przemilczały zajście ze starą żebraczką.

DOBIEGAŁA końca wieczerza, a sytym wrażeń stołownikom udzielił się nastrój błogiego lenistwa. Służący rozwiesili w ogrodzie lampiony, tyle tylko że nie kryły one w swych wnętrzach świec łojowych lub smolnych pochodni. Tu, na terenie swojej posiadłości, Eurypides mógł sobie pozwolić na bezprzykładne oszustwo, a znane tutejszym prymitywne oświetlenie zastąpić jonowym, o dostosowanym migotliwym blasku. Nikt dociekliwy nie mógł tu wejść, żeby to sprawdzić i wytknąć mu mistyfikację. Ogród pachniał kwiatami. Ni

dała się namówić na spacer w jego towarzystwie, a na długi chiton zarzuciła barwną i haftowaną złotem lekką chlamidę. Egzotycznych roślin tu nie brakowało, więc ślicznotka z przyzwyczajenia — choć było już ciemno — pytała co rusz o ich greckie nazwy, a Eurypides cierpliwie odpowiadał. Przy okazji zerkała na swe sandały, wykonane ze złotej i purpurowej skóry. Zabrała ze sobą niewielki wachlarz, który po rozłożeniu odsłaniał gaj oliwny, goszczący dwoje młodych kochanków. Byli po raz pierwszy sam na sam pod zarzuconym gwiazdami nocnym niebem, odkąd to stary człowiek z siwą brodą i błyszczącą łysiną przeistoczył się w młodszego i korzystnie się prezentującego adoratora. Musiała się z tym oswoić. Jej niedoszły kochanek starał się być powściągliwy, taktownie za nią podążał i zdawał się jej nie narzucać, ale też odgadywał, że dystans między nimi jest tak wątły i kruchy jak skorupa jaja. Ni nie poddawała się wszakże żywiołowi namiętności. Pochylała się i zrywała drobne kwiaty, tworząc bukiecik z fiołków, stokrotek, złotych nagietków, dzwonków, złocienia z Afryki, powoju, goździków, naparstnicy i bratków. Zatrzymała się nareszcie przy szarłacie, którego łodygi były wzniesione tak wysoko, że kwiaty sterczały jej na wprost oczu.

Altana była obrośnięta winoroślą, a marmurowa rzeźba przedstawiała bożka miłości. Być może, Eurypides, świadomie lub nie, doprowadził ją do tego zakątka lub skrycie liczył na to, że sama go odnajdzie. Nie chciała w nim pozostać. Zapytała, czy przypadkiem któryś z jego sług nie umie grać na instrumencie. Gospodarz uległ jej kaprysowi. Zawrócili, a kiedy znaleźli się blisko budynku, zaklaskał kilka razy w dłonie. Na ten znak jeden z młodych sług szybko podbiegł.

— Aulos, lira czy harfa? — z zafrasowaniem zapytał Urchitki, pamiętając, ile jej naopowiadał w trackich górach o greckich muzykantach i ich umiejętnościach.

— Niech będzie aulos! — zgodziła się łaskawie.

Łoża biesiadne były nadal wystawione, mogli więc spocząć i w spokoju przysłuchiwać się muzyce. Domowy wykonawca okazał się nad podziw utalentowany, zaś melodyjny ton instrumentu niemal przypominał głos ludzki. Wyrażał radość i ból, nadzieję i rozpacz, tęsknotę i spełnienie. Kiedy utwór się skończył, a sługa odszedł, uprzednio się skłoniwszy, Eurypides ujął delikatnie dłoń Ni i uniósł do ust. Pocałunek był słodki. Zajrzała mu niepewnie w oczy i poczuła, że ogarnia ją błogie drżenie. Był tak blisko niej jak nigdy dotąd. Pojęła, że fałszem byłaby dalsza obrona. Na czym polegał czar, któremu musiała ulec? Po pierwszych gwałtownych pocałunkach dała mu się poprowadzić w objęciach w głąb ogrodu — do tej samej altany, do której wcześniej nie chciała zajrzeć, a której wielkodusznie patronował pobłażliwy bożek miłości.

Małomówny wojownik zniknął gdzieś bez śladu. Być może, poszedł tropić nocne ptaki. Trzymający się za ręce Mi-ir i Safona obeszli zasypiające ciemne domostwo. Jako że pierwszy raz w życiu dziewczyna znalazła się oko w oko z tak okazałym gmachem, lustrowała każdy szczegół architektury z niesłabnącą uwagą, dociekliwie, a nawet z niejakim znawstwem, kamień po kamieniu, jakby była szukającym wzorów cieślą i murarzem. Pieszczotliwie wodziła palcami po szorstkich kolumnach, wpatrując się w ich doryckie zwieńczenia. Niestety, na płaski dach nie miała jak się wdrapać, zresztą, po co miałaby tam zaglądać? W jej stronach jeszcze nie wznoszono tak starannie wykończonych budowli i zadumała się nad tym, czy podobny przybytek nie mógłby kiedyś wyróżć w osamotnionej trackiej osadzie. Rzucony malowniczo między otoczone zagajnikami wapienne skały, odcinałby się szarą bielą na tle ciemnego boru. Cichy i skromny Abihu powrócił do atrium, a na jego prośbę jeden ze służących uruchomił tryskającą wodą fontannę. Delikatna mgiełka, niby rosa, pokrywała rosnące w kamiennych i glinianych wazonach rośliny.

Nadchodziła pierwsza w miarę beztroska noc po bolesnej szarpaninie ostatnich dni i nikomu w willi Eurypidesa nie chciało się spać. Księżyc był w pełni i wydawał się tego wieczora wyjątkowo życzliwie spoglądać z czarnego nieba na śmiertelnych, marzących o spełnieniu się na ukwieconych łożach. Nocny ptak koncertował bez umiaru, a zapachy ogrodu odurzały. Zawieszone na ścianach lampy z brązu i z terrakoty rzucały subtelny blask, wydobywając z ciemności szczegóły płaskorzeźb i mozaik, zaś półmrok działał obezwładniająco. Nocą willa stawała się tajemnicza i bardziej intrygująca niż w blasku dnia. Kroczono po jej wnętrzach cicho i ostrożnie, aby nie pobudzić hałasem kamiennych figur i zastygłych w bezruchu na malowidłach postaci.

SAFONA nie dała na siebie długo czekać. Zatrzymała się przed łożem, nakrytym jedwabistym ciemnozielonym płótnem i zdobioną kapą. Była naga, jeśli nie liczyć powłóczystego nocnego chitonu, który z wdziękiem zsuwał się jej z ramion. Stała boso na chłodnej posadzce, a pod jej stopami myśliwy w uwiecznionej w marmurze scenie wbijał turowi w kark ostrą dzidę. Jej kochanek wspierał dłoń na wykładanej kością słoniową ramie. Widząc go przed sobą, zaczęła znowu szeptać zaklęcia. Przyzywała w myślach bogów plemienia i obcych bogów — zwłaszcza tych, którzy troszczyli się o zaręczonych i o młodych małżonków. „Oto miły mój, w którym mam upodobanie!..” — powtarzała słowa przyniesionej z Egiptu weselnej pieśni. Była mu przeznaczona i do niego należała, stanowili jedno niczym dwa trwale spojone kawałki drewna, więc sczezłaby z kretesem, gdyby jej kochany na zawsze przepadł. Słała ostatnie błagania do tajemnych mocy, aby nigdy do tego nie doszło: żeby los strasznym nieszczęściem ich nie rozdzielił i żeby nie musiała z rozpaczą wyrywać włosów i przeklinać jego przeciwności i okrucieństw.

Usiadła na miękkim łożu, widząc przez otwarte okno migające gwiazdy. Dziwnym trafem nocny ptak przeniósł się na wysoką gałąź, teraz koncertując tylko dla nich dwojga, a jego zapamiętałym trelom nie było końca. Jej umiłowany uniósł się z powagą i namaszczeniem, jakby w euforycznym dionizyjskim seansie, który właśnie inicjował, było istotnie coś wysoce sakralnego. Olśniła go myśl, że jego udziałem staje się to, co zazdrośni bogowie przezornie rezerwują dla siebie — cenniejszy od ambrozji i nektaru smak miłości bez granic. Ostrożnie dotykał jej pachnących od wonności włosów, spragnionych ust, muszli uszu i gładkiej szyi. Odważnie sięgnął do jej pełnych piersi, widocznych pod przejrzystą tkaniną i wyczuł bijące szczęściem serce. Objął ją i przytulił. I ona syciła się jego bliskością. Odległy świat zawirował, pozwalając jej zapomnieć o wszystkim, przez co dotąd przeszła. Trwała tak blisko niego, świadoma tego, że całej nocy nie wystarczy, aby ich uniesieniu nadać wszelkie możliwe kształty. Ostrożnie zdjął z niej przejrzystą szatę i opadła pod nim na łoże. Jego usta błądziły po gładkim brzuchu, a palce po krągłych udach.

— Miłuję cię, Satario! — wyszeptał.

Tak dotąd powściągliwa i skromna, stała się naraz nad wyraz szczodra i bezwstydnie rozpustna. Czyż nie miała za nauczycielkę natury matki? Gwałtownie porwała go swymi ramionami, wpijając się w jego usta. Przywarła do niego i omal nie wtopiła się w jego mocne i muskularne ciało. Była źródłem, z którego pił nie wodę, lecz ogień. Bez oporów i z rozkoszą poddał się jej, dzikiej — on, obcy, tracąc zmysły w upojnym tańcu.

MU-UR nie mógł zasnąć. Spoczywał na łożu, niewidzącymi oczyma wpatrując się w powałę, kłaniającą się kasetonowymi głowami dziwacznych ptaków i zwierząt. Z półmroku wynurzały się ich osobliwe

mityczne kształty. Sypialnia Abihu była pusta. Nic nikomu nie mówiąc, żydowski chłopak wyniósł się za willę, gdzie urządził się po swojemu, moszcząc sobie blisko szemrzącego wodospadu spartańskie legowisko. Obyty z rozległymi łąkami i niezmierzonymi borami, nie zmrużyłby oka w czterech ścianach ze smakiem urządzonej komnaty. Nie był nawykłym do wygód i obrosłym w tłuszcz bogaczem. Zresztą w przesiąkniętym wonią kwiatów ogrodzie było chłodniej niż na piętrze. Willa mu się podobała, lecz nie na tyle, by mógł się w niej czuć swobodnie i pewnie, a zbyt kanciaste ruchy sprawiały, że ciągle w niej o coś zawadzał. Miałby potem ze wstydem się tłumaczyć z potłuczonej cennej wazy? Ruszające na łowy nocne ptaki, pohukujące bystrookie sowy, a nawet cicho sunące nietoperze, były mu przyjaciółmi, których nigdy się nie próbował wyrzec. One od dawna kołysały go do snu.

Znieruchomiały na posłaniu wojownik popadł w głęboką zadumę. Z mozaiki zapamiętanych zdarzeń, z kalejdoskopu przejść i przeżyć, nie wyłaniało się jednakże nic, co mógłby uznać za zajmujące i godne uwagi. Użalał się w myślach nad sobą, nie licząc na niczyje wsparcie, bo przecież nie miał nikogo, komu mógłby wypłakać się w rękaw. Pogłębiający się stan frustracji towarzyszył mu od kilku dni, gdyż nie potrafił odnaleźć się w nowym świecie, daleko od białych pustyń planety Urch i wojowniczego plemienia, którego pradawnym tradycjom pozostawał nadal rozpaczliwie wierny. Brzmiała mu w uszach smutna i pełna dysonansów melodia, którą nucili pokonani wojownicy, bowiem nie wiedział, kim jest. Raha nazwał go uszczypliwie wyjącym z wilkami. Od biedy mógłby skowyczeć w księżycową noc, by wyrazić swój ból. Nie pojmował, dlaczego musi bezlitośnie mordować i zaglądać oddającym ostatnie tchnienie niewinnym ofiarom w oczy. „Dokąd podążasz i ku czemu zmierzasz?" — rzucał natchnione pytania niewidomy prorok, Ab-id. Czy jego słowa — gryzł się w milczeniu — mogły mieć jakieś znaczenie po długiej po-

dróży międzygwiezdnej i nagłym przeobrażeniu na obcej planecie? Czy posiadały jeszcze moc? Były tu wprawdzie białe, żółte i brunatne pustynie, ale zbyt odległe od trasy ich wędrówki, a poza tym mało obchodzące Eurypidesa, Mi-ira i Ni, nigdy więc dotąd nie poczuł rozkoszy obcowania z nimi. Nie widział ciągnących się aż po horyzont oślepiających piasków i nie pokonywał ich na posłusznie kroczącym wielbłądzie. Nie słyszał tajemnej mowy rozpalonych słońcem pękających pustynnych skał. Liczył na to, że odzyska pewność siebie, stając się myśliwym — bowiem w łowach na dzikiego zwierza, tura, rosłego dzika czy niedźwiedzia, było coś z potyczek z wyćwiczonym groźnym przeciwnikiem. W Atenach jednakże nie miał się na co zasadzać, a miasto wydawało się kpić z Urchity i z jego kunsztu. Czuł, że jest zbędny, a nie chciał znaleźć się na budzącej zgrozę liście nożowników skrytobójców, których należało pojmać i zakuć w kajdany.

Zdrzemnął się po północy, jednak sen miał płytki i nerwowy. Szamotał się, trapiony przez majaki. Przeobrażenie nie uwolniło go od przykrych wspomnień i w półśnie przeniósł się na wyspę Ab-dangra. Uznany za pomylonego stary nauczyciel przyzywał go, wołał do siebie, choć jego głosu nie słyszał. Miał puste niewidzące oczy jak ociemniały prorok Ab-id. Potem mistrz obrócił się nagle w staruchę z zakurzonego ateńskiego bruku. Rzucił jej srebrną bransoletę, taką samą jaką miała Safona, lecz w rękach starej urzekająca kobieca ozdoba przemieniła się w groźną syczącą żmiję. Zlany potem, niespokojnie zerwał się z posłania, niewyraźnie coś bełkocząc. Nieprzytomnym wzrokiem wodził wokół siebie, nie pojmując, co się z nim stało. Dopiero po chwili się zorientował, w czym rzecz. Na mozaikowej posadzce rysowała się scena, w której główną rolę odgrywał potężny wąż, oplatający i duszący w swych uściskach walczącego z rozpaczą mitycznego stwora, ni to lwa, ni to osła, ni to konia.

Opadł na srebrną kapę, ale zaraz się podniósł i chyłkiem wydostał

się z komnaty sypialnej. Był wściekły na siebie. Wiszące na ścianach lampiony przygasły. Dumał nad starym, pomylonym nauczycielem i jego wątpliwymi mądrościami. Ten, odrzucony przez rodaków, nie przestawał głosić prawdy — własnej prawdy, podawanej zawoalowanym i niejasnym językiem, nie dla wszystkich zrozumiałym. Na wewnętrznym dziedzińcu panowała cisza. Nikt nie wyłączył fontanny z wodotryskiem w kształcie głowy żyrafy, więc subtelna mgła pokrywała wszystko dokoła. Księżyc jeszcze świecił i korzystając z jego bladego światła zanurzył się w chłodnej wodzie. To go orzeźwiło i dodało mu sił, przynosząc świeżość udręczonemu ciału. Stopniowo wracał mu spokój, którego mu ostatnio tak brakowało. Miał pod sobą marmurowe dno, które kojarzyło mu się po trosze z pancerzem ich statku kosmicznego.

Woda lekko go unosiła, zaś jego myśli krążyły wokół tego, co go od wielu dni nurtowało. Tam, w górskiej kotlinie, w pobliżu jaru, w którym siwobrody niespiesznie cedząc słowa opowiadał czarnowłosemu chłopakowi o Faetonie, synu boga słońca, Heliosa, doszło do czegoś, czego nie rozumiał. Gdyby nie dziwne widzenie, któremu wówczas niespodzianie uległ, nie zachowałby się jak ostatni głupiec, nie zbliżyłby się do ogniska i nie zagadałby do transgalaktydy. Przed nikim nie przyznał się do tego, co go wtedy pchnęło do działania, gdyż lękał się, że uznano by go za niepoczytalnego. Dostrzegł zaś starego nauczyciela z wyspy Ab-dan-gra. Czy ukazał mu się duch zmarłego, czy też było to coś innego? Czy na krótką chwilę postradał zmysły? Przybyły zza światów pomylony mistrz sterczał pod sąsiednim drzewem, będąc nieomal na wyciągnięcie ręki. Przejęty do głębi swoją niezwykłą rolą, pokazywał mu siwobrodego przy rzucającym w górę iskry ognisku. Zachęcał go wymownymi gestami, żeby zbliżył się do siedzącego na pniu starca i potraktował go jak swego.

Dopadło go olśnienie, na które tak długo czekał.

— Ach, to tak — mruknął z rozżaleniem. — Nie do uwierzenia! Da-

łem się omotać jak urchicki malec. Teraz już rozumiem. Okręcił mnie sobie spryciarz dookoła palca.

To nie była postać, utworzona z dymu ogniska lub z leśnych mgieł, unoszących się nad mokradłami. Omal nie załkał, pojmując, że wreszcie tu, w Atenach, udało mu się połączyć z pozoru nie mające ze sobą związku fakty. Nie ulegał złudzeniom. Nie miał wówczas omamów wzrokowych i nie mógł ich mieć, gdyż z natury był opanowany i trzeźwy. Wbrew jego wcześniejszym przypuszczeniom mistrz z Ab-dan-gra musiał faktycznie wtedy stać pod kasztanowcem o popękanej korze. Mógł zaś tam stać, jeżeli się założyło, iż ów nie był wcale wygnanym nauczycielem, za jakiego się podawał, ale nieśmiertelnym strażnikiem tamtej planety.

— Zabawili się, dranie, moim kosztem! — gorzko skonstatował. — I jeden, i drugi...

Trudno było nie zgodzić się z tym punktem widzenia. Tamten jako transgalaktyda bezspornie na krótko pojawił się na Y-o, aby pchnąć ogłupiałego immortusa w ramiona Rahy. Powiodło się mu, bo przecież każdy Urchita wierzył w duchy przodków. Z perfidią wywiązał się z cichej umowy ze spiskującym obrońcą Ziemi, nie dekonspirując się i nie demaskując. Tacy cwaniacy nie popełniali błędów.

Powoli się uspokajał, godząc się z tą niewiarygodną hipotezą. Pierwsze odkrycie przygnało następne, te łasiły się do niego jak spragnione pieszczot psy i natarczywie krążyły mu wokół głowy jak bzyczące muchy. Uzmysłowił sobie, że spisek obcych może mieć znacznie szerszy zasięg, niż to im oględnie sugerował przebiegły Raha. I że z pewnością szlachetnym transgalaktydom chodziło o coś więcej, niż tylko o cnotliwe ratowanie raczkujących cywilizacji. Swoje wiedział i nie był naiwny. Nosił głowę na karku. Każdy przewrót, jaki by nie był, brutalny czy nie, miał przecież zawsze to samo na celu — zdobycie władzy. Nęciła ona wszystkich, którzy mieli w sobie choć odrobinę ambicji.

— Do krocset! — wyszeptał. — Umiem kłaść trupem, dźgać i dobijać. Cóż to dla mnie, poderżnąć komuś gardło? Uporam się z każdym, kto nieopatrznie wejdzie mi w drogę. Nadaję się do mokrej roboty jak nic. Nie ma ode mnie lepszych. A oni z pewnością takich łotrów potrzebują. I będą w stanie poznać się na mnie, o ile już się nie poznali…

Wynurzył się mokry z sadzawki i pociągnął do ogrodu, a świecący księżyc cierpliwie mu towarzyszył, zaglądając w ponurą twarz. Palma sięgała odważnie w niebo, rozkładając u góry swe potężne liście. Pomyślał, że powinien dbać o formę, ćwiczyć ciało i nie poddawać się słabościom. Objął pieszczotliwie jej włochaty pień, jakby chciał sprawdzić, jaki opór mu stawi. Wytężając ramiona, uda i kolana, zaczął się wspinać, zdobywając ją piędź po piędzi i łokieć po łokciu. Wkrótce znalazł się pod koroną, wydając przytłumiony zwycięski okrzyk. Zsunął się w dół, aż dotknął stopami murawy, a potem bez trudu powtórzył ten zwariowany wyczyn.

Był już prawie w swojej sypialni, gdy nagle usłyszał szelest. Szmer był ledwo słyszalny. Przywarł do ściany, kryjąc się w płytkiej wnęce, przeznaczonej dla kamiennej rzeźby. Nie chciał, ażeby go widziano, lecz też nie miał wątpliwości, kogo to mimowolnie przyłapał na gorącym uczynku. Nawet w zupełnych ciemnościach, w gęstym borze i przy zachmurzonym nocnym niebie bez trudu rozpoznałby uroczą, ale i zarozumiałą Ni. Ta, skąpo odziana, wymykała się właśnie cichaczem z komnaty gospodarza, ciągnąc za sobą delikatną woń drogich pachnideł. Na pokładach „Met-ar-usa” do czegoś takiego by nie doszło. Nie próbował się domyślać, co u niego robiła. Nie musiał.

Rozdział dziewiętnasty

DZIEŃ był bezwietrzny. Dobrze utrzymani hebanowi niewolnicy z głębi Czarnego Lądu cierpliwie czekali na rozgrzanym słońcem kamiennym podeście przed willą, gotowi w każdej chwili poderwać się i ruszyć w drogę. Obok nich stały lektyki. Wytarty z obłoków przejrzysty błękit nieba wprawdzie zapowiadał spiekotę, jednak Ni nie opuszczał pogodny nastrój. Nuciła pod nosem tracką piosnkę, zasłyszaną u ożywionej Safony. Zdumiewała ją skala głosu tej dziewczyny, a zwłaszcza łatwość, z jaką brała wysokie tony. Ranek okazał się nad wyraz spokojny. Od świtu bez umiaru koncertowały ptaki, a ich świergot nie ustawał. Po upojnej nocy w ramionach jedynego obudziła się, przeciągając się z rozkoszą, a w oknie przywitała ją gołębica, niosąca w dziobie gałązkę drzewa oliwnego. Przyjęła to za sprzyjającą wróżbę. Zresztą zewsząd płynęły podobne fluidy. Widocznie tutejsi bogowie pogodzili się już z ich przybyciem. Cóż zresztą mogli innego uczynić, skoro od dawna bez sprzeciwu dzielili Olimp z nieśmiertelnym jak oni alochtonem z odległych gwiazd? Szybko się uwinęła, gotując się do drogi i wraz z Safoną wyfrunęła przed willę. Ulokowała się w okrytym zwiewną tkaniną wnętrzu, wspierając się na haftowanych poduszkach. Eurypides zajął obok niej miejsce, najpierw się upewniwszy, że pozostała czwórka usadowiła się w dwu następnych lektykach. Ruszono, gdy tylko dał umówiony znak. Niewolnicy podnieśli się, z początku ślimacząc się i trzymając się żółwiego tempa, potem już jednak dość żwawo biegli, zachowując wyważony rytm, więc lektykami nie trzęsło. Za nimi rysowały się w oddali pnące się po wydzieranym lasom wzgórzach troskliwie pielęgnowane winnice i gaje oliwne. Senne miasto obudziło się już do ży-

cia i śpieszyło się, chcąc się uporać z codziennymi obowiązkami nim spadnie z nieba żar. Przybywało pieszych i pojazdów, zaprzężonych w muły i woły. Na grzbietach obciążonych do ostatnich granic wychudłych osłów kolebały się towary.

Barwny tłum hałaśliwie przelewał się i kłębił między straganami. Kupcy pokrzykiwali, jazgotliwie zachęcając do oglądania wystawionych na sprzedaż wyrobów. W harmidrze i w tłoku niosący lektyki niewolnicy ocierali się o wolnych, o iluzjonistów, o odziane w jaskrawe chitony prostytutki, za którymi ciągnęła się silna woń perfum i o szlachetne matrony w wykwintnych szatach z najdroższych tkanin. Wysiedli i wmieszali się w ten tłum, z niesłabnącą uwagą chłonąc wszystko, co im wpadało w oczy. Agora! Handel zamieniał się tu w wyrafinowany rytuał i był wyniesiony nieomal do poziomu sztuki. Skrybowie, wróżbiarki i magowie w łachmanach donośnie zachwalali swe usługi, bądź klepali tajemne zaklęcia. Tancerze popisywali się przed gapiami przy dźwiękach skocznej muzyki. Kupujący zawzięcie się targowali, starając się uzyskać jak najniższe ceny. Rozłożyli się tu tkacze, krawcy, złotnicy, garncarze, szewcy i cieśle. Chłopi oferowali żywność, świeże, solone i suszone ryby, jaja, chleb, warzywa i zboże. Handlowano również niewolnikami i zwierzętami. Eurypides zbierał ukłony kupców — dawno go nie widziano, więc wypytywano go o szczegóły dłuższej podróży morskiej, którą miał rzekomo odbyć.

Mu-ura barwne targowisko nie zajmowało. Był wojownikiem i spełniał się w walce, a nie przy straganach. Sterczał przy chudym jak szczapa żonglerze, popisującym się sztuczkami z cienkimi obrożami, a potem poniosło go na skraj agory, gdzie trafił na kryjącą się w niskich murach gospodę.

W piwnicy brakowało światła, a przy ciągnących się wzdłuż okopconych ścian kamiennych płytach stołowych rozgościła się miejscowa klientela. Kupcy trącali się, wznosząc toasty i opijając transakcje.

Któremuś rozwiązał się akurat gruby lniany wór i wysypały się z niego z kwikiem trzy prosiaki. Gonił za nimi i zgarniał je z powrotem. Przenoszący ogromną amforę rosły niewolnik omal się przy tym nie potknął. W głębi mieściła się szafa, akurat otwarta i odsłaniająca komplety naczyń, kubków, kielichów i czar z dwoma uchwytami. Przykuła jego wzrok niewielka beczułka, stojąca na jednym z wolnych stołów. Ławy miały wysokie oparcia i niektórzy z biesiadujących rozłożyli się na nich ze skrzyżowanymi nogami. Środek sali był pusty. Wojownik rozglądał się z wahaniem, starając się przebić wzrokiem półmrok. Z odległego kąta dobiegły go krzykliwe głosy. Nie byłby sobą, gdyby mimowolnie nie sprawdził, czy sztylet ma pod ręką. Pijący wszczęli kłótnię, bo któryś z nich oszukiwał przy grze w kości. Zaaferowany gospodarz wyjrzał z zaplecza i zaklaskał w dłonie, a na ten znak wybiegły gibkie dziewczyny w bardzo krótkich chitonach. Zaczęły tańczyć z rozpuszczonymi włosami, wybijając rytm kastanietami. Towarzyszył im ponury brodaty mężczyzna, przygrywający na nieznanym Urchicie instrumencie, z pewnością od dawna służący Posejdonowi. Jedno oko miał zasłonięte czarną przepaską, chyba stracił je w portowej bójce.

Ten widok wywołał w nim odlegle skojarzenia. Przez chwilę wyobrażał sobie, że znalazł się w knajpie przy redzie w Ab-dan-is i że ogląda urchickich marynarzy, sączących za ciemnymi stołami tamtejsze piwo. Poczuł dojmujący ból i z niechęcią wydął usta. Nie zdecydował się usiąść, bo nie znalazłby kompana od serca. Opuścił gospodę i znowu wmieszał się w przelewający się barwny tłum, odruchowo rozglądając się za znajomymi twarzami. Zaczepił go brudny sutener, oferujący usługi młodziutkiej białej niewolnicy. Dziewczyna nie była brzydka, ale trochę zaniedbana. Obrzuciła go długim zachłannym spojrzeniem, podziwiając jego bicepsy. Bezwstydnie obnażyła przed nim drobną pierś. Odwrócił się bez słowa, ignorując lubieżną ofertę. Nie pociągały go kobiety.

Eurypides wyłowił go orlim wzrokiem i nagląco przywołał do siebie. Miał powód, by go wzywać. Trzymał na ramieniu małe figlarne i ruchliwe zwierzę, okropnie brzydkie, lecz mimo to mające uderzająco ludzkie rysy. A może to było prawdziwe tubylcze dziecko, a urodziło się takie, bo jego matkę pokarali za coś bogowie?

Wskazał na wścibskiego kamrata na uwięzi, który zabawnie popiskiwał, co rusz sięgając do rąk Ni po suszone daktyle.

— Przewyborna okazja, zielona małpka, wyjątkowa rzadkość — oświadczył ze sporą dozą pewności siebie. — Sądzę, że niezgorzej wybrałem, ha, ha, ha! — w rozbawieniu pokazał zęby. — Ma się rozumieć, nabyłem ją z myślą o tobie. Nie będziesz się czuł samotny jak palec...

Chcąc nie chcąc Mu-ur pochwycił podany mu łańcuszek i małpa zręcznie przeskoczyła na jego rosłe ramię. Brzydką mordką cmoknęła go na powitanie. Skrzywił się, z obrzydzeniem odchylając głowę i unosząc brwi w wyrazie niebotycznego zdumienia.

— To dla mnie? — nie chciało mu się wierzyć. Z niesmakiem zezował na cudacznego zwierzaka, nie mogąc przeniknąć niepojętych intencji Rahy. — Dlaczego dla mnie?

Tamtemu przylepił się do ust ironiczny uśmiech. Kpił sobie z wojownika w żywe oczy. Nie opuszczał go znakomity humor, skoro w żartach posuwał się tak daleko.

— Jak to, dlaczego? — udał zdziwienie. — To oczywiste, wspina się z łatwością na każdą palmę — podle rzucił pod jego adresem, perfidnie wbijając mu szpilę. — Będzie ci sekundować w kolejnych wyprawach. Znajdziesz kompana jak się patrzy...

Mu-ur zrobił wielkie oczy.

— Ach, tak?.. — mruknął z nutą zawodu w głosie, nie dając jednak po sobie poznać, czy go to ubodło, czy nie. — Do licha!

Zrobił dobrą minę do złej gry, ale w głębi duszy zazgrzytał zębami. Odeszli i pozostał z dziwacznym zwierzakiem, główkując nad tym,

jak zareagować na drobną impertynencję. Ktoś go widocznie ukradkiem śledził w nocy, chociaż starał się nikomu nie wpaść w oczy. Z pewnością dojrzał go któryś z dyskretnych służących, mających pieczę nad willą i ogrodem, a potem usłużnie doniósł swojemu panu. A może Raha monitorował posiadłość przy pomocy dobrze ukrytych kamer?

Mimo brzydoty małpka okazała się przezabawna i migiem do niego przylgnęła, o czym mógł się naocznie przekonać. Przyciągała uwagę i pojął, że dzięki niej mijający go spoglądają na niego życzliwie. Jednak po uwzględnieniu wszystkich za i przeciw uznał, że musi się na kupcu odegrać. Nie byłby sobą, gdyby nie oddał mu pięknym za nadobne. Chwilę ważył w dłoni wydobyte z zanadrza srebrne tetradrachmy, a potem szybko się zdecydował. Chodził mu po głowie komiczny pomysł. Przecisnął się przez tłum i dotarł do straganów z wyrobami złotniczymi. Tu było w czym wybierać. Ślizgał się wzrokiem po kolczykach, naszyjnikach, bransoletkach, obręczach na nogi, złotych i srebrnych pierścionkach oraz kosztownych szkatułkach z kości słoniowej. Safona wisiała przy tych skarbach na ramieniu Mi-ira, szukając czegoś dla siebie. Poszedł dalej. Między wyłożonymi naczyniami dostrzegł połyskującą czarną amforę, którą ozdobiono nadzwyczaj śmiałą sceną miłosną. Dwoje kochanków gubiło się w rozkosznych uściskach i żadne z nich nie kryło swoich wstydliwości. Za czymś takim węszył. Naczynie nie było tanie, jednak nabył je bez targu, a potem nie rozstając się z popiskującym stworzeniem na ramieniu niecierpliwie udał się śladem Eurypidesa. Odnalazł go przy lektykach, napuszonego, z powagą rozmawiającego z Ni i z kurtuazją odpowiadającego na ukłony.

Pokazał mu świeżo nabytą amforę, tłumiąc w sobie chichot i zachowując kamienną twarz.

— Nie dziw się, Eurypidesie. Ty wybrałeś podarek dla mnie, a ja by się odwdzięczyć pomyślałem o upominku dla ciebie — rzekł z nie-

szczerym uśmiechem i mylącym szacunkiem. — Sądzę, że doskonale wybrałem, nie? — z tym retorycznym pytaniem zwrócił się jednak nie do transgalaktydy, a do figlarnej małpy, pokazując jej paluchem fikuśne kształty na czarnym wazonie.

Brzydula w lot pojęła, co ma robić. Zeskoczyła mu z ramienia i kpiąco popiskując, kabotyńsko złapała się za łeb. Pokracznie się kiwała, okazując niepojęte zdumienie.

Strzał był celny i na twarz Eurypidesa wypełzł rumieniec wstydu, czego Mu-ur nie przewidział. Zostawił amforę w jego rękach, odwrócił się i triumfując pociągnął za sobą pocieszne zwierzę, nie czekając na to, co obdarowany mu powie. Odpłacił mu pięknym za nadobne. „Oko za oko, ząb za ząb!" — mruknął do małpy, gdy wskoczyła mu znowu na ramię. Tak uczył Hammurabi, władca babiloński, o czym jego brzydula nie mogła wiedzieć. Do jego zbioru praw siwobrody niekiedy się odwoływał, podejmując nad Nestosem wywody na tematy etyczne i filozoficzne.

W jakiś czas później udali się z targu na wysoki Akropol, skąd mogli się lepiej przyjrzeć rysującemu się między wzniesieniami miastu i znaczącemu się w oddali ciemnobłękitnemu morzu zatoki. Zostawili po prawej Areopag. Wspinali się na własnych nogach, nie chcąc przeciążać niewolników, którzy niemrawo podążali za nimi z pustymi lektykami. Eurypides niczym retor popisywał się wiedzą o tubylcach i ich obyczajach, chętnie też objaśniał, którym bóstwom i w jakich okolicznościach oddaje się cześć i składa ofiary. Na płaskim szczycie wzniesienia po dawnej świątyni Ateny niewiele pozostało. Przygonieni tu do pracy niewolni umacniali obwarowanie, korzystając z resztek poprzetrącanych kamiennych kolumn. Drobniejsze odłamki ściągali i wrzucali do sporawego zagłębienia, gdzie miały spocząć na długie wieki.

— Persowie zrobili swoje, w zacietrzewieniu przekroczyli wszelkie granice, tym niemniej kiedyś tu będzie pięknie — Eurypides entu-

zjastycznie zwierzał się Ni z podejmowanych planów. — Trwają już prace. Mam nawet niepokaźną makietę w piwnicach, z parametrami obiektów, wyliczonymi z niedosięgłą tutaj matematyczną dokładnością. Widzę to w snach — puścił przed nią wodze fantazji. — Zajmie im to pewnie z pięćdziesiąt lat — roztropnie przewidywał. — Temistokles tak długo, jak może, radzi sobie z odbudową, a po nim przyjdą inni. Syn Neoklesa ciągnie mury aż do morza, wznosi i upiększa nowy port. Tu zaś roją mi się nowe świątynie, a od zachodu wyrazistsze propyleje z dwoma skrzydłami, południowym i północnym. No i posągi Ateny, dziewicy i wojowniczki — z twoim słodkim obliczem, ma się rozumieć — okazałe i strzelające w niebo...

Słońce sięgało zenitu, zbliżało się południe i przejęty wyprawą do miasta transgalaktyda orzekł, że czas wracać do willi. Obrzucił z uwagą małe stadko i odruchowo zerknął na nadgarstek, ale nie miał na ręce chronometru. W Atenach nie nosił przecież ze sobą żadnego takiego urządzenia. Nadchodziła pora sjesty i ruch wokół pustoszejącej agory z wolna zamierał. Nim wsiadł, w samotności zastygł na krótko, lustrując z napięciem Pnyks, Wzgórze Nimf i Wzgórze Muz, a następnie po przeciwnej stronie wyrastający dużo dalej Likabet. Nie było tam żadnych ukrytych wrogów i odetchnął z ulgą. Upajał się jeszcze chwilę widokiem ze świątynnego wzniesienia.

Syta wrażeń Safona zasnęła na ramieniu Mi-ira, ściskając w ręku złote i srebrne bransolety. Jej ukochany również był senny i przymknął oczy. Błąkała mu się po głowie niejasna myśl, że mimo zmęczenia powinni czuć się pokrzepieni na duchu i nie lada ukontentowani.

— Satysfakcja — półszepnął z niewymowną ulgą, tuląc do siebie tracką dziewkę.

Przeszli samych siebie, odnosząc ciche zwycięstwo nad słabościami. Okazali się ludźmi między ludźmi. Pod czujnym okiem siwobrodego błyskawicznie zapuścili korzenie na tej planecie i na niej się za-

domowili. Uczynili ogromne postępy, a ateński egzamin z adaptacji do nowych warunków życia to wyraźnie potwierdził. Celująco go zdali. Bez paniki wtopili się w tłum tubylców, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi, nie wzbudzając podejrzeń co do swego pochodzenia i nikogo nie niepokojąc. Byli na miarę genialnego mistrza. Ziewnął szeroko, nie zasłaniając ręką ust. W gruncie rzeczy całkiem dobrze czuli się między tutejszymi. Jakby tu urodzili się i dorośli.

LEKKA bryza marszczyła powierzchnię wody, a o pale mola uderzały niewielkie fale. Port pracował mimo upalnego dnia i roiło się w nim od władających różnymi językami marynarzy. Kręcili się między nimi robotnicy stoczniowi, rzemieślnicy uszczelniający statki, nurkowie, rozsypywacze piasku, a przede wszystkim dokerzy i tragarze. Załadowane towarami statki wypływały w dal i w oczy Ni wpadały rozpięte żagle, bądź też poruszające się rytmicznie rzędy wioseł. Eurypides teleportował się tu z nią z piwnic willi. Trafili wprost do innych podziemi, większych i bardziej rozbudowanych — pod portowe magazyny, w których składowano towary, przeznaczone do wywozu drogą morską, bądź też sprowadzone tą samą drogą z zamorskich krain. Mimo zmęczenia i żaru usilnie prosiła go o tę wyprawę, chcąc z bliska ujrzeć Pireus i morze. Wydostali się na światło dzienne, korzystając z prymitywnej, otwartej windy towarowej. Dziedziniec był okolony zabudowaniami i krzątali się po nim posługacze, wykonujący rozliczne portowe prace. Wprost z podwórca wychodziło się na rozległe molo, skąd widać było morze — hen, aż po daleki horyzont. Odległe wysepki dodawały uroku morskiemu pejzażowi, a niebieskozielona toń zdawała się nie mieć granic. Po prawej stronie znaczył się port, zaś przy redach stały przycumowane statki.

Przejęta do głębi, chłonęła roztaczający się przed nią widok. Budziły w niej zachwyt urokliwe ziemskie pejzaże, o czym Eurypides nig-

dy nie zapominał. Do jej wrażliwości na piękno przyrody odwoływał się już przecież w dolinie Nestosu jako do swoistej karty przetargowej.

— Prawdę mówiąc, to jest serce Aten, nie Akropol, nie rynek, nie Areopag i nie świątynie — z cicha objaśniał, idąc za jej wzrokiem. — Tędy sprowadza się wszystko, co potrzebne miastu. Z Hellespontu — skumbrie i rybę soloną, z ziemi italskiej — krupy i mięso wołowe, z Kyreny — drzewa i zapasy skóry, z Syrakuz — sery i świnie, z Egiptu — liny, maszty i żagle, z Libii — kość słoniową, z Rodos — rodzynki i figi, z Kartaginy — łoża i poduszki...

— Trzymasz tu pewnie własne statki? — usiłowała zaspokoić swoją ciekawość.

— Mam je, a jakże, i je cenię. Wspieram ponadto swoimi talentami i minami flotę miejską, a w rezultacie tego cieszę się pewnymi przywilejami, mimo iż jestem cudzoziemcem...

— Czy wybierzemy się w podróż morską? — zapytała.

— Ależ tak, ma się rozumieć, nie mógłbym ci odmówić... — solennie ją zapewnił, pamiętając o zwyczajowym miesiącu poślubnym, którym cieszyli się zwykle młodzi małżonkowie, zwłaszcza ci z zamożniejszych rodzin. — Myślałem o wyprawie w górę Nilu aż do Teb, a może nawet do pierwszej katarakty...

Słodko zamruczała, wsparła mu się na ramieniu i cmoknęła go w policzek.

— Stokrotne dzięki — rzekła. — Nawet nie wiesz, jaki jesteś dla mnie dobry. Wojownik też ma do ciebie prośbę, ale samemu było mu niezręcznie. Chciałby polatać maszyną bojową, którą znalazł na samym dnie twojego skarbca... — powściągliwie zdradziła, niepewna tego, jaki efekt to wywoła.

Eurypides się roześmiał.

— Odnalazł ją? Ależ ma nosa!..

Mu-ur w tym samym czasie zażywał kąpieli w atrium. Fontanna

bardziej mu odpowiadała niż nagrzana łaźnia gospodarza. Zielona małpa pozostała na brzegu, smutnawo popiskując, bowiem nie cierpiała wody. Chętnie natomiast sięgała po dojrzałe owoce i nie gardziła winem, o ile było bardzo słodkie. Urzekała zmiennymi nastrojami, zdając się pod tym względem dorównywać ludziom, a nawet ich prześcigać. Z rozbawieniem śledził jej grymasy, a potem nawet żartobliwie usiłował z nią gawędzić. Rzucał pieszczotliwe pytania, jednak nie chciała mu po grecku odpowiadać. Była tylko nierozumnym zwierzęciem i — prawdę mówiąc — nie znała żadnego y-ockiego języka, ani nie potrafiła się go nauczyć.

— Beznadziejnie tępa jesteś — z odrobiną zniecierpliwienia rzucił do szkaradnego czworonoga. — Mimo to cię lubię. I pewnie pojmę cię za żonę.

— Tylko w miłości zupełne nic może być dla ciebie wszystkim — usłyszał za sobą czyjś żywcem kpiący głos.

Leniwie się odwrócił, zezując w stronę kolumnady.

— To ty? — zdziwił się, widząc Mi-ira. — W jakiej znowu miłości? — zawstydzony wymamrotał.

NIEBO było zasnute oparami i dymami, fioletowe słońce ledwo przezierało przez ciężkie chmury, zaś szara pustynia ciągnęła się wokół, ogarniając całą widoczną okolicę. Obdarta z zieleni planeta dogorywała. Odziani w ochronne kombinezony niepewnie stali na pofałdowanym zboczu Ra-tan-gra. Dzierżyli w dłoniach gotowe do użycia dezintegratory, ale nie było do kogo mierzyć. Nikt nie przeżył. Mi-ir zerkał przez błyszczącą okrywę hełmofonu na szary popiół, unoszący się przy lada ruchu. Spływały mu gorzkie łzy po policzkach. Nie wstydził się tego, że szlocha. Nie spodziewał się, że to, co ujrzy, będzie takie straszne. Pod ręką mściwego oprawcy pokryte zielenią wzgórza zamieniły się w pogorzelisko i nawet głęboko

tkwiące w glebie korzenie były spopielone. Śmierć zebrała na tym globie obfite żniwo i dwaj niepozorni przybysze z Y-o nie mieli tu czego szukać. Ten sam widok czekał ich wszędzie, pod każdą szerokością geograficzną.

Wystająca w niebo stalowa iglica oparła się szalejącemu żywiołowi. Zorientowany w topografii terenu Raha usiłował odnaleźć wejście do komór, które powinny były mieścić się w poszarpanym masywie skalnym poniżej przekaźnika międzygalaktycznego. Rozgrzebywał szlam, brodził w szarym pyle, aż w sobie tylko wiadomy sposób dotarł do zarysu bramy. Odmówiła jednak posłuszeństwa i nie zamierzała uchylić się przed przybyłymi, więc pozostawało mu jedyne w tych warunkach rozwiązanie. Należało wedrzeć się siłą. Nestor zabrał się do wycinania prymitywnego przejścia w kamiennej ścianie.

Usytuowane na najwyższym poziomie środkowe pomieszczenie było puste i wymarłe. Tutejszy strażnik zadbał o to, aby nic cennego nie pozostało na zdewastowanej planecie. Znikły wszystkie skarby. Przepadły, unicestwione lub wywleczone gdzieś w nieznane. Poszli dalej, oświetlając sobie drogę. W jednej z głucho odbijających kroki ciemnych sal przy końcu długiego korytarza natrafili na rozbitą skrzynię.

Między rozsypanymi trocinami zarysował się znajomy kształt. Mir pochylił się i podniósł niewinną dziecięcą zabawkę. Trzymał w ręku gumową lalkę, imitującą urchickiego oseska z olbrzymią sięgającą do połowy pleców grzywą i niewielkim ogonem. Poruszana, otwierała i przymykała oczy.

Nie umiał opanować udręki. Odłożył ten drobiazg, gdyż oglądanie go było torturą, a z oczu wbrew jego woli znowu płynęły łzy.

— Weź się w garść — próbował dodać sobie otuchy.

Uczepił się myśli, że należy do światłej elity i że nie może być niewolnikiem własnych słabości. Kiedyś wyrzekł się z dumą tych łapiących za serce obrazów i z dziejową misją udał się w gwiazdy. Oddał

się ratowaniu gatunku. Heroicznie ogołocił samego siebie, rozstając się na zawsze z ojczystą ziemią, z ziomkami i z mową, którą się posługiwał, a nawet w końcu z własnym ciałem. Jednak nie mógł przewidzieć jednego. Tego mianowicie, że nie uwolni się od balastu pamięci.

Eurypides domyślał się, jakim katuszom jest poddawany Urchita. Nikt go nie zmuszał do tej krótkiej wyprawy i nie powinien był się na nią decydować. Uczynił to wbrew sugestiom transgalaktydy. Uparciuch nie chciał słuchać jego dobrych rad. A któż to przy zdrowych zmysłach grzebie w mogile, by ujrzeć oblicze zmarłego, którego zwłoki nadwerężył czas? Liczył się zachowany w pamięci wizerunek żywego, a nie pozostałe po nim prochy.

— Przypuszczenia się potwierdziły — rzucił do Mi-ira. Stał przy ścianie z systemem obsługi przekaźnika. W powietrzu ubyło tlenu, nie zdjęli hełmofonów i rozmawiali przez radio. Na tablicy migotały tylko dwa punktowe światła. — Uporali się z życiem biologicznym, doszczętnie wszystko niszcząc i ulotnili się bez śladu...

Urchita połapał się, że ściska w ręku dezintegrator. Włożył niepotrzebną broń do kabury.

— Sadystyczni mordercy. Zwyrodniali oprawcy... Powinniśmy z nimi... — ze złością warknął i urwał, jakby zabrakło mu słów. Kipiał z gniewu.

— Skończyć raz na zawsze? — domyślnie dopowiedział Raha. — O to się nie martw, przyjacielu. Imperium, które marnotrawi dorobek pokoleń i cynicznie unicestwia najcenniejsze dzieła, a przy tym zwyrodniale karze niewinne istoty, musi się rozpaść — niespiesznie cedził, dzieląc się tym, co go gryzło. — Głęboko w to wierzę i jestem pewny, że kres tych szaleńców jest bliski. Nie zasługują na to, żeby żyć!

Zagadywał do Mi-ira, a jednocześnie zręcznie manewrował przyrządami, działając jak dobrze zaprogramowany automat. Nie wyko-

nywał żadnych zbędnych ruchów. Naładowany tajemniczą energią sześcian — jeden z tych, po które wybrali się na Favo — znienacka się zajarzył, wydając niby to ptasi trel, a potem pociemniał, gasnąc jak nadwątlona świeca.

Wreszcie z ulgą się wyprostował.

— Zrobione? — z zaciekawieniem zapytał Mi-ir, sekundujący jego czynnościom. Szybko ochłonął z gniewu.

— Gotowe — potwierdził. — Teraz przekaźnik tylko nam służy. Oba są w naszej mocy.

— To dobrze — skwitował.

Raha pakował instrumenty do płaskiego pojemnika, zmieniając temat rozmowy.

— Panowała tu straszliwie wysoka temperatura. Spopieliło roślinność i wymarły wszystkie zwierzęta, nie mówiąc o twoich biednych rodakach. Uderzono w nich bez ostrzeżenia. Zupełnie zaskoczeni, nie umieli sięgnąć po środki obrony. Gdyby przewidzieli totalny atak — próbował sobie wyobrazić — pewnie jak krety wryliby się w grunt i zabezpieczyliby się w podziemnych bunkrach i głębokich schronach.

Tą samą drogą wydostali się na powierzchnię, na której królowała wszechwładna szarość. Mi-ir dumał o gumowej zabawce, leżącej w kącie sali. Ciągnęła się za nim myśl, że porzucił żywe, płaczące dziecko i że powinien po nie wrócić. Stłumił w sobie płynące z serca odruchy, uzmysławiając sobie, że musi być bezlitosny i bezwzględny jak zamknięty w sobie Mu-ur. Wróciła mu przed oczy znieruchomiała na skalnym odstępie pokancerowana kapsuła ratunkowa. Nie był już Urchitą, w niczym nie przypominał mieszkańca tej planety i musiał sobie wbić do głowy, że duszą i ciałem należy do Y-o. A jego dumni przodkowie z długimi grzywami? Cóż, odeszli w niepamięć. Zapewne odnotowano ich cywilizację w horrendalnym kosmicznym katalogu wymarłych ras, a jemu nie pozostawało nic innego, jak po-

godzić się z tym przygnębiającym faktem. Byty powstawały i ginęły. Tak było od zarania dziejów i tak pewnie miało być do końca świata. Naturalnie, z małymi wyjątkami.

Pogoda coraz bardziej się psuła. Zwałowisko czarnych, groźnych chmur posępnie znaczyło się na niebie, a ich pułap się obniżał. Zerwał się świszczący wiatr, zwiastujący burzę, zaś powietrze niebezpiecznie się naelektryzowało. Kotłujący się ołowiany żywioł parł naprzód, niby w poszukiwaniu nowego żeru. Jasny błysk przeszył szare dymy i zagrzmiało.

Eurypides łypał na Mi-ira. Nie miał ochoty wracać na Ziemię.

— Jeszcze chwilę możemy tu się pokręcić, nic nam nie grozi, tym bardziej, że już nikt obcy nie ma dostępu do przekaźnika — z rozmysłem oznajmił. — Wybierzmy się zatem na wyspę Ab-dan-gra! — zaproponował niezobowiązująco.

Apatyczny Mi-ir obojętnie wzruszył ramionami.

— Czemu nie? Możemy tam się udać — podporządkował się jego kaprysom. Jednak nie ruszył się z miejsca, bowiem dziwna myśl zaświtała mu w głowie. — A jeśli chodzi o przekaźnik... — zawahał się, nie wiedząc, jak to ująć. W końcu ostrożnie zapytał: — Nie sądzisz, że ktoś z Taurosa mógł przypadkiem skorzystać z naszego środka transportu w tym czasie, kiedy było otwarte połączenie z Ziemią?

Zafrasowany Raha niepewnie się roześmiał. Może nieświadomie przeoczył tę ewentualność?

— O ile zdołałby wydębić od Vary kod dostępu — odrzekł z namysłem. — Mógł wybrać się po kryjomu najpierw tu, a stąd za naszymi plecami przenieść się na Ziemię. Teoretycznie jest to możliwe, ale czy prawdopodobne? — głośno myślał. — Wymagałoby to nie lada determinacji. Ktoś musiałby żmudnie śledzić wszystkie możliwe połączenia i niczym genialny telepata trafnie przewidywać nasze posunięcia. Tam, na górze, nie myśli się takimi kategoriami. Bo po co? Nikt nie komplikuje sobie życia z powodu takich drobnostek, jak

bunt nieopierzonego strażnika planety, chyba, że... — nagle zamarł, uzmysławiając sobie, że jednak jest ktoś taki.

— Chyba, że w grę wchodzi wredna, zaborcza jajogłowa, pragnąca porachować ci kości — kwaśno dokończył za niego Mi-ir. A potem dodał: — Miłość i nienawiść? Są jak dwa przeciwne bieguny magnesu...

— Herna?! — Eurypides nagle zamknął się w sobie i zmełł w ustach przekleństwo. — Cóż, bywamy zaślepieni, zdarza się... — dorzucił po chwili zagadkowo, nie tłumacząc, co ma na myśli.

— Powiedziała, że jeżeli wtajemniczysz ją w swoje plany, zdradzi radę, złamie prawo i przeniesie się do ciebie...

— Do licha, mogłeś tam, w górach, wbić mi do głowy, że chce pójść na całego, a nie dopiero teraz. Ty się z nią widziałeś, nie ja... — rzucił rozzłoszczony, a potem wściekły jak diabli ruszył przed siebie.

Powietrze na wyspie było mniej zadymione niż w okolicach Ratan-gra. Pył opadał na ocean, okrywając morską toń brudną szarą powłoką, a wodna otchłań żarłocznie pochłaniała to, czym ją karmiło niebo.

Eurypides litował się nad Urchitą, pojmując, że zabierając go tutaj pogłębił jego udrękę. Próbował postawić go na nogi.

— Wierz mi, ta planeta w przyszłości się odrodzi — uderzył w wysokie uroczyste tony. — Nie jest tak źle. Woda będzie kryształowo czysta, a lądy pokryją się zielenią — prorokował z głębokim przekonaniem. — Czas jest najlepszym lekarzem, zagoi więc rany i tego globu.

Mi-ir odruchowo sięgnął ręką do twarzy, chcąc wytrzeć załzawione oczy, ale stuknął rękawicą w szybkę hełmofonu. Zniszczenia, na które się natknęli, przeczyły temu orędziu.

— Gadka dla naiwnych — smętnawo miauknął pod nosem. — Widzę, jak to wygląda. Nie rozumiem, skąd ten optymizm.

Raha był innego zdania i nie zamierzał go zmieniać. Cóż, o życiu

planet wiedział więcej niż którykolwiek z rozbitków z Urch. Znał przecież kosmos dużo lepiej od nich.

— Mylisz się, bracie — zaczął fachowo i trochę przez nos. — Wbrew temu, co ci wpada w oczy, zniszczenia są powierzchowne. Fala ognia przeszła po lądach, lecz nie tknęła głębin mórz. Potencjał oceanów się zachował. Tam w głębi tętni życie. Nawet bez akcji ratunkowej z zewnątrz ten glob będzie w stanie to wykorzystać. Każdy las odrasta po pożarze.

W milczeniu ruszyli, kierując się ku bazie, z której wybrani, przy powszechnym aplauzie, wystartowali w przestrzeń kosmiczną, by gatunkowi zapewnić przetrwanie. Mi-ir nie spodziewał się, że kiedykolwiek tu wróci. Nigdy nie brał pod uwagę takiej ewentualności. Rozglądał się i z wrażenia mocniej biło mu serce.

Wykonane z najtrwalszych materiałów budynki się ostały, wyrastając w pobliżu wzgórza jak czarne straszydła, lecz płaszczyzna kosmodromu była pusta. Nikt już stąd nie miał odlecieć w kosmos. Na obrzeżach znaczyły się szczątki porzuconych maszyn, których przeznaczenia nie sposób było dociec.

Jakiś cień mignął przy jednym z wejść i Urchita odruchowo pokazał ręką w tamtą stronę.

— Tam ktoś jest! — zawołał ściszonym głosem.

Wyczekująco spojrzał na Eurypidesa. Ów pojął, o co mu chodzi. Wydobył z płaskiego pojemnika indykator i chwilę nim manipulował.

— Racja, ktoś albo coś, może dzikie zwierzę...

Budynek, którego szkielet sięgał wysoko w niebo, miał liczne podjazdy i wejścia. Wkrótce znaleźli się w ponurym wnętrzu. Rozglądali się czujnie, posuwając się z bronią gotową do strzału. Starali się zachowywać cicho i nie stąpać zbyt hałaśliwie, jednak Mi-ir niechcący trącił nogą zgniecioną puszkę.

— Ależ ze mnie łamaga! — syknął z niezadowoleniem.

Blaszany odgłos wypłoszył lokatora z podłej kryjówki, a lękliwie pochylona sylwetka przemknęła szybko przy ścianie. Wystraszony Urchita próbował zniknąć intruzom z oczu, jednak się przeliczył.

— Co robisz?! — rozpaczliwie krzyknął Mi-ir, rzucając się w stronę transgalaktydy.

Było za późno. Eurypides oddał strzał, a krótka świetlista smuga dopadła zbiega, zwalając go z nóg.

Raha chwilę stał nieruchomo, jakby zmienił się w surową dorycką kolumnę. Potem zwrócił się do tamtego.

— Tylko w ten sposób mogłem mu pomóc — skwitował, widząc jego złość.

— No, wiesz? Zabralibyśmy go ze sobą na Ziemię — żałośnie zaoponował Urchita. — A mówiłeś, że najpierw nie należy szkodzić!

Podeszli do ofiary. Tubylec nie dawał oznak życia. Transgalaktyda pochylił się, z uwagą lustrując ciało. Skanował je czujnikiem. Potem przewrócił Urchitę na plecy. Piersi i brzuch leżącego były pokryte ropiejącymi ranami. Zmarły kończyny miał czarne od poparzeń. Podobnie ogon. Miejscami spod skóry wyzierały białe kości.

Mi-ir poczuł, że łapią go mdłości i odsunął się, nie mogąc patrzeć na trupa.

— Niekiedy musimy wybierać mniejsze zło — senior wyjaśnił surowo. — Bywa, że jest ono jedynym ratunkiem. — Wskazał na podkurczone zwłoki, które wyglądały niczym kupa szarych brudnych szmat, jak wszystko na tej wyspie i na całej planecie. — Śmierć była dla niego jedynym lekarstwem. Na bogów Olimpu, przecież nie miał szans przeżycia. W straszliwych męczarniach dogorywał. Oszczędziłem mu nadmiaru cierpień.

Pożegnali trupa i wydostali się z martwego budynku tą samą drogą, którą przybyli. Jego szkielet został za nimi niby dom żałoby, spoglądający złowróżbnie w szarą dal oczodołami wypalonych okien. Nie było tu czego szukać. Opuścili bez żalu kikut wyspy Ab-dan-gra,

przenosząc się znowu w pobliże transgalaktycznego przekaźnika.

Nie mieli jednak szczęścia i żaden z nich nie przewidział, że wpadną z deszczu pod rynnę. Trafili w sam środek szalejącego żywiołu. Iglicy prawie nie było widać, a wyjący wiatr chłostał ich kombinezony strugami brudnego deszczu. Grunt drżał.

Zeszli szybko do niszy.

— Zmykamy, prędko! — krzyknął Raha, jakby przeczuwając, że najgorsze dopiero nadchodzi.

Mi-ir zrobił się nagle bardzo ciężki i poczuł, że zapada się w miękknące podłoże.

— Pomóż mi! — zawołał.

Transgalaktyda złapał go mocno od tyłu i pociągnął do góry, uwalniając jego nogi. Wydobył go z grzęzawiska.

Skryli się pod litą ścianą, ciężko oddychając. Mglista, śliska i mulista topiel, w którą przemienił się spopielały grunt, liczyła na łakomy kąsek. Nie mogli pozwolić, by z apetytem ich połknęła.

— Wystarczyła jedna ulewa i już jest inaczej. Na bogów, co tu się dzieje?! — rozdzierająco zawołał Mi-ir.

Przeczucie nie omyliło seniora, najgorsze bowiem dopiero nadchodziło. Jeżeli chciał coś jeszcze powiedzieć, to nie zdążył. Oślepił ich nagły błysk, a towarzyszący wyładowaniu grzmot zdawał się rozrywać im uszy. Trafiło w podstawę iglicy. Grunt zadrżał. W trupio-sinym świetle Mi-ir ujrzał, że okalające przekaźnik skały sypią się w dół. Szybko cofnął się pod sklepienie skalne.

— Nie wychylaj się! — ostrzegawczo krzyknął do Eurypidesa, ale na próżno.

Nieświadomy niebezpieczeństwa Raha odruchowo wyjrzał, chcąc sprawdzić, co się dzieje.

Transgalaktyda oberwał w głowę ułomkiem skalnym i omal nie wypuścił z ręki płytki pilota. Ryzykując własnym życiem, Urchita przytrzymał go, zręcznie łapiąc bezcenny dla nich przyrząd, który prze-

padłby w trzęsawisku. Wciągnął Rahę pod kamienny okap. Przez krótką chwilę był absolutnie pewny, że przenigdy nie ujrzy słonecznej Hellady i że w tym podłym miejscu pozostanie na wieki.

— Przepadliśmy! — wymamrotał.

Zdążyli w ostatniej chwili. Srebrzystoszara mgła oddzieliła ich od szalejących żywiołów, mających za nic każdego, kto znalazł się w zasięgu ich złowieszczej mocy. Mdłe światło w ateńskich piwnicach, do których trafili, wydało się im bardziej błogosławione niż blask złotego słońca. Opadli na czystą i lśniącą kamienną posadzkę, ściskając się nawzajem z nieopisaną ulgą i nie przejmując poszerzającą się kałużą lepkiego błota.

— Nigdy więcej... — zbielałymi z trwogi wargami wyszeptał Mi-ir, niezgrabnie usiłujący się podnieść i stanąć na nogi.

Miał dość wątpliwego uczestnictwa w spóźnionym pogrzebie startej z powierzchni Urch cywilizacji. Jednak nie żałował, że tam się wybrał. Powinien był to zrobić. Dzięki temu wywiązał się z moralnej powinności.

Rozdział dwudziesty

NABYTA na targu zielona małpa szarogęsiła się po willi. Sprytnie uwolniła się z uwięzi i z właściwą sobie przekorą zaglądała do kolejnych sypialni na piętrze, popiskując i bez skrupułów budząc pogrążonych we śnie domowników. Dokazywała jak najęta, nikomu nie przepuszczając i chociaż dopiero świtało w lot postawiła mieszkańców na nogi. Wyzywająco ściągnęła kapę z Rahy, a potem z zadartym ogonem rzuciła się na głowę Ni, by zaraz w podskokach uciec z jej sypialni. Poirytowany Mi-ir próbował ująć grasującego czworonoga, jednak jego wysiłki spełzły na niczym, bo stwór był nad wyraz zwinny i szybki. Ścigający małpę Urchita omal nie strącił z piedestału marmurowego popiersia, przedstawiającego zamyślonego jońskiego filozofa. Dopiero rzutki Mu-ur pochwycił chudego niewydarzeńca i nałożył mu obrożę.

Budził się nowy dzień, słońce powoli dźwigało się ku górze, zaś w willi Eurypidesa pojawiły się dwie młode służebne, które miały zająć się kuchnią oraz toaletą Ni i Safony. Mi-ir otarł się o nie, kiedy wchodziły. Ateński kupiec nie miał na czole żadnych śladów po nieszczęśliwym zajściu pod iglicą, czym go w gruncie rzeczy nie zaskoczył. Nie pierwszy raz Urchita zachodził w głowę, jak to możliwe, żeby spory mózg transgalaktydy mieścił się w dużo mniejszym ludzkim czerepie. Nie śmiał go jednak o to pytać, jakby chodziło o sprawy intymne.

Półgębkiem wspomniał Mu-urowi o pełnej wrażeń nocnej wyprawie, która Ni w ogóle nie zaciekawiła, jakby tamta planeta całkiem uleciała jej z pamięci. W przeciwieństwie do niej mruczek okazał się skory do rozmowy. Tego dnia wojownik miał na sobie nabyty na

agorze skórzany strój myśliwski i pewnie chciał wyczytać z oczu domowników, czy dobrze w nim wygląda. Nie odpowiadały mu wykwintne greckie szaty i lepiej by się czuł, gdyby zamieszkał wśród bitnych Spartan. Tam w mig zyskałby uznanie. Pod pretekstem rannego spaceru wynieśli się we dwójkę z sennej willi, odchodząc daleko i zatrzymując się dopiero przy granicznym ogródku skalnym. Usiedli na trawie, żeby bez świadków pogawędzić.

Jego rewelacje przyjął wojownik nad wyraz spokojnie — i Mi-ir doszedł do przekonania, że było lepiej, iż kamrata ominął widok potwornych zniszczeń, jakie dotknęły ich rodzinne gniazdo. Co innego usłyszeć z cudzych ust, a co innego ujrzeć na własne oczy.

— Jeżeli nasz glob odfajkowano, to żal. Dranie! Póki co została nam tylko ta planeta — milczek z ponuro spuszczoną głową podsumował jego wywody. — No i to, co mamy w sobie...

— W sobie? — niedomyślnie zapytał Mi-ir.

Jego rozmówca przytaknął, bacząc na nadgarstki, ozdobione skórzanymi bransoletami, przydatnymi w walce wręcz. Potem zaczął bawić się wyjętym sztyletem, oglądając lśniące ostrze pod słońce i zdmuchując z niego niewidoczny pył.

— To oczywiste — odrzekł. — Po pierwsze, los obdarował nas nieśmiertelnością. Możemy żyć całe lata i nie bać się śmierci — zaczął, usiłując pozbierać myśli. — Nie wyciągniemy nóg, nawet gdyby ktoś próbował nas zgładzić i sumiennie się do tego przykładał. To jedno. A po drugie, jako Urchici jesteśmy zdolni do przeistoczeń biologicznych. Tak więc cały świat stoi przed nami otworem. Nie myślałeś nigdy o dalekich podróżach? Co mówię, świat? Kosmos, który nie ma granic. Długo nad tym dumałem — wzięło go na zwierzenia i otworzył przed kamratem swoją duszę, co wcześniej mu się nie zdarzało — i doszedłem do przekonania, że bylibyśmy w stanie osiąść na każdym globie, na którym dałoby się czym oddychać. Nie musimy wiecznie się kisić na trzeciej od Słońca i jak pajace udawać ludzi.

Może są gdzieś ciała niebieskie sprzyjające życiu, ciekawsze niż ta planeta i będące prawdziwym rajem?

Mi-ira zaskoczył punkt widzenia wojownika. Nie spodziewał się, że będzie mu się marzyć ucieczka z edenu, do którego szczęśliwym trafem trafili. Jego plany kłóciły się ze zdrowym rozsądkiem. Czy można było marnować czas i wiecznie szukać szczęścia?

— No, nie wiem, nie wiem — powściągliwie zaoponował. — Kosmos placem zabaw? Wątpię, czy znalazłbyś coś równie zajmującego — snuł przypuszczenia. — Wokół martwe globy, poryte przez meteory. Pustki! Nie ma życia. Może musiałbyś szukać dziesiątki lub nawet setki lat, o ile by ci Raha nie udostępnił dobrych map gwiezdnych i nie dał jasnych wskazówek? Na Ziemi nie brakuje rozkoszy i wygód. Jest podobna do Urch. Dobrze mi w ludzkim ciele i wcale nie udaję, że jestem Y-otem. Ja się nim czuję — podkreślił. — Jakiż więc pożytek miałbym z następnej metamorfozy? — sondował go, zaniepokojony tym, co niepoprawnemu fantaście roiło się w głowie.

Wojownik miał zamiar wykręcić się od odpowiedzi, tym niemniej przemógł się i wyrzucił z siebie to, co go gryzło.

— Właśnie chodzi o te nieszczęsne wygody — żachnął się, okazując zniecierpliwienie. Z rozmachem wbił sztylet w trawę aż po rzeźbioną rękojeść, dając upust złości. — Rozleniwicie się, obrośniecie tłuszczem i uzależnicie od Rahy. A gdzie dyscyplina, gdzie karność? Przeistoczenie to sprawność, którą trzeba w sobie pielęgnować i rozwijać — mędrkował jak zadufany ważniak z urchickiej elity. — Nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać umiejętność szybkiej zmiany postury i błyskawicznego ukrycia się pod szatą innego gatunku — perswadował. — Co tu dużo kryć, marzę o tym, żeby powtórnie się przeistoczyć — wyjawił nareszcie z błyskiem w oku. Sapnął, a po chwili spokojnie ciągnął dalej: — Chciałbym wybrać się na rozległe pustynie Egiptu, o których opowiadał mi Abihu, może gdzieś w pobliże Memfis, a tam niczym aotus czuć się przez krótki

czas dzikim zwierzęciem. Mógłbym przemienić się we lwa, wylegującego się na nagich skałach. W tym ziemskim drapieżniku jest coś z Urchity. Jest podobny do nas jak małpa do człowieka — zająknął się przy tym porównaniu.

Zamilkł, zezując na kamrata. Obawiał się, że powiedział za dużo.

— To niebezpieczne dziedziczne skłonności, łatwo ulec zaślepieniu i popełnić błąd! — nerwowo roześmiał się Mi-ir, odruchowo zaciskając pięści. Ze zgrozą sobie uprzytomnił, że zabijaka może się okazać bombą z opóźnionym zapłonem. — Nie zdajesz sobie sprawy z ogromnego ryzyka? Przecież nam wszystkim grozi metamorfoza wsteczna. Jeśli ci się nie uda ten numer i zamiast w dumnego króla pustyni przeistoczysz się w aotusa, będziemy musieli obezwładnić cię i zadźgać. No nie, bo jak tu zabić wiecznotrwałego? — zastanowił się i poprawił. — Raczej cię uwięzić i wyrzucić w kosmos. Względnie stąd się wynieść, pozostawiając tę planetę na pastwę losu. Jako złowrogi aotus zniszczyłbyś ją doszczętnie. A przecież Raha by ci tego nie darował. Jak pragnę zdrowia, pokrzyżowałbyś jego plany! Nie szkoda by ci było? Pamiętasz, co mówił Mi-as o łowach na przypadkowo przeobrażonych? O regresie? Jeżeli przeistoczysz się w aotusa, przestaniesz panować nad sobą. Stracisz kontrolę…

— Zawsze ryzykujemy, bez względu na to, do czego byśmy się nie zabierali — niechętnie odparł Mu-ur. — Trzeba umieć zachować ostrożność i nie popadać w brawurę. Są granice, których dzielny wojownik nawet w boju nie przekracza… — zasłonił się swoim doświadczeniem, które w jego przekonaniu miało stanowić gwarancję bezpieczeństwa. — Mój nos mi mówi, że jako wiecznotrwali nie stanowimy dla siebie zagrożenia — ciągnął dalej. — Nic złego nie może się stać, tak uważam, a poza tym…

— Tak? — ciekawie zapytał Mi-ir.

Wojownik wycierał w trawę wyjęty z ziemi sztylet.

— Nie chciałbyś zamienić się w sokoła lub orła? Jak gdyby nigdy nic

polatać sobie, a potem wrócić do ludzkiej postaci? — kusił. — Tak dla przyjemności? Aby zaznać nowych wrażeń? Aby się sprawdzić? Czuję, że potrafimy dowolnie się przeobrażać i że możemy z tej zdolności korzystać na co dzień. A nie tylko przy wyjątkowych okazjach. Tyle tylko że ze strachu sramy w gacie. Moim zdaniem, to, co stało się z nami, kiedy znaleźliśmy się w górach Tracji, było tylko niewinną przygrywką. Nasz potencjał jest dużo większy… — zamilkł na chwilę, ale zaraz z ożywieniem dodał: — Popatrz, nie uwierzysz!

Wyciągnął przed siebie prawą rękę. Na jego czole pojawiły się zmarszczki. Skupił uwagę na czymś nieuchwytnym, a jego dłoń zaczęła się zmieniać. Przebiegły po niej linie drobnych wybrzuszeń. Najpierw płynnie się przekształciła w uzbrojoną w pazury łapę grzywacza, a potem w końskie kopyto. W końcu wróciła do poprzedniej postaci.

Osłupiony Mi-ir starł pot z czoła i odetchnął z ulgą, nie komentując tego popisu. Przypomniał sobie, co mówili kapłani na Ab-dan-gra. Wojownika miała ponoć cechować nadzwyczaj wysoka podatność na przeobrażenie.

— To więcej niż metamorfoza progresywna, którą przeszliśmy po wylądowaniu na Ziemi — z dumą rzucił zabijaka. — Byłeś świadkiem przeistoczenia z wyboru, świadomego i w pełni kontrolowanego. Dla zabawy. Na zawołanie.

W milczeniu wracali do willi. Mi-ir pochylał się co rusz, zrywając kwiaty na bukiecik dla Safony.

— Strażnikowi Urch udał się wyrafinowany eksperyment z naszym gatunkiem — bronił nadal swojego stanowiska. — Potrafił przekształcić agresywne aotusy w udaną inteligentną rasę. Stracił na to z półtora tysiąca lat. Wydaje mi się, że nie wolno nam teraz tego lekkomyślnie marnować.

— A kto myśli o marnowaniu tego dorobku? — obruszył się Mu-ur. A potem dodał, święcie przekonany o swojej racji: — Jeśli chcesz,

możesz wybrać się ze mną do Afryki. Ja w każdym razie nie zrezygnuję — rzekł z maniackim uporem. — Muszę spróbować. Przynajmniej raz.

Analityk ciężko westchnął.

— Polecę tam z tobą — podjął męską decyzję. — A mam inne wyjście? Ktoś musi cię pilnować.

CZEKAŁY przy cumującym przy redzie statku Eurypidesa, podziwiając jego wyrafinowane kształty. Diera najpierw służyła do przewożenia towarów, wina, oliwy i wyrobów rzemiosła, a potem przerobiono ją z myślą o wymaganiach wygodnickiego właściciela i wyposażono w niebrzydkie kajuty. Stała się reprezentacyjną jednostką gospodarza. Chroniły ją różne zabezpieczenia, którymi nie mogły się poszczycić tutejsze środki transportu wodnego. Jakie? Tego Ni dokładnie nie wiedziała. Orientowała się jedynie, że nie groziły jej żadne burze, ani kręcący się między wyspami zachłanni piraci. Inaczej transgalaktyda nie pozwoliłby im na samodzielną wyprawę morską.

Kończono załadunek. Zachęcone życzliwym gestem, przedostały się na pokład po chybocącym się trapie, a na rozkaz sternika czarni niewolnicy wnieśli za nimi zdobnie okutą skrzynię. Tę ostatnią Ni i Safona miały otworzyć dopiero na pełnym morzu. Niebawem diera odbiła od brzegu. Wykonana z miękkiego drzewa jodłowego, miała wielki żagiel rejowy na wysokim środkowym maszcie oraz wyżej — trójkątny purpurowy żagiel topowy. Zdobiła ją przegięta szyja łabędzia na wysokiej rufie, a po jej obu stronach znajdowały się szerokie wiosła sterowe. Pokład pokryto zwykłym drewnem, ale galeryjki przy burtach zostały starannie wyrzeźbione. Niżej w dwóch rzędach byli rozmieszczeni wioślarze. Ni krążyła z Safoną po pokładzie w radosnym przeświadczeniu, że osiągnęła to, czego pragnęła i o czym

w gruncie rzeczy już marzyła, oglądając pokrytą chmurami planetę z zawieszonego na orbicie „Met-ar-usa". Z uwagą śledziła pomniejsze łodzie i nie miała ochoty schodzić do kajut. Akurat wyruszył za nimi z portu w ćwiczebny rejs okręt wojenny i zaczął je doganiać.

— Na Posejdona, jaki jest szybki — zawołała tracka dziewczyna, pozwalająca, by wiatr rozwiewał jej włosy. Nie lubiła okrywać głowy. — Pewnie mógłby dotrzeć na skraj świata…

Istotnie, pentekontera z łatwością pruła fale, mając po obu stronach po trzy rzędy wioseł. Okręt był długi, smukły niski, i bardzo zwrotny — i zapewne wystarczająco masywny, żeby móc ostrym taranem przebić łódź wroga. Furkotała z tyłu ognista bandera. Pod pokład schroniły się dopiero wtedy, kiedy wojenna triera minęła ich statek i zaczęła się oddalać. Skrzynia bowiem kusiła i nie byłyby kobietami, gdyby do niej nie zajrzały. Uchyliły ją przy akompaniamencie radosnych okrzyków i pisków, odkrywając prawdziwe cuda. Ni wydobywała długie i krótkie chitony z delikatnych materiałów, chlajny, himationy i peplosy, sandały w różnych kolorach, krepidy i sznurowane buty, parasolki, wachlarzyki oraz inne damskie ozdoby. Mogły krygować się i przymierzać do woli.

Potem zaczęły rozmawiać o sprawach, które nie wiązały się z okryciami i ozdobami.

— Wiesz, że nasz adonis pod okiem jednego ze sług uczy się czytania greckich liter i ich pisania? — rzekła Ni.

Safona rzuciła ku niej ciekawskie spojrzenie. Chłopak coraz częściej znikał i rzadko go widywała.

— Mówisz, że Abihu pragnie zostać pisarzem?

Ni skinęła głową.

— Może tak, a może nie. Po prostu nasz gospodarz postanowił zadbać o jego wykształcenie — z powagą wyjaśniła. A potem dodała: — Nie sądzisz, że i ty powinnaś zabrać się do nauki?

Dziewczyna skrzywiła się, nie wyobrażając sobie siebie w tej roli.

— Czy kobiecie to przystoi? Czy jest jej to potrzebne? Spartanie uważają, że powinna rodzić dzieci, trzymać się kuchni i nie mieszać się do męskich spraw… — z obawą pociągnęła ją za język.

— Spartańskim mężatkom może to niepotrzebne, tobie na pewno tak — bez wahania orzekła Ni. — Zresztą możemy się do tego zabrać razem. Pośród ateńskich heter nie brakuje i takich, które konkurują z mężczyznami pod względem znajomości prawa i filozofii… — to mówiąc, podrzuciła jej jeden z wachlarzyków. — Pasuje jak ulał do twojego stroju.

— To Eurypides ma takich światłych służących? — podpytywała ją. — Aż dziw bierze, że nie kryje przed nimi swoich sekretów. Nie lęka się, że go wydadzą?

Drgnęły jej powieki.

— Sentheus i Thaisarion są z nim od trzystu lat — wyjawiła w największej tajemnicy. — Usłyszałam to od niego. Obdarował ich młodością i długowiecznością, więc będą mu zawsze wierni i nigdy go nie opuszczą.

Klasnęła w dłonie, a oczy jej zalśniły.

— Zatem potrafi śmiertelnego uczynić nieśmiertelnym?

Urchitka z powagą to potwierdziła.

— Mi-ir ci nie mówił? Pewnie i ciebie to czeka…

Safona zamilkła, urzeczona, ale i zaniepokojona tą nadzwyczajną perspektywą.

— Czy mój luby będzie chciał mnie mieć tak długo? — z namysłem wyrzekła do siebie, gdy Ni na chwilę się oddaliła. Nie liczyła na niczyją odpowiedź. Wróciła myślami do plemiennej wioski i wyrzeźbionej z lipowego drewna maleńkiej kołyski. „Staniecie się oboje jako bogowie!" — głosiła przepowiednia. Ku jej zdumieniu — jak dotąd — sprawdzała się co do joty.

POLECIELI wzdłuż wybrzeża, mając po lewej stronie drobne wyspy Morza Egejskiego. Kościste palce Peloponezu nieodmiennie wskazywały w stronę Afryki i tam mieli zamiar dotrzeć. Zagapili się na górzystą Kretę, której szczyty kryły się w śniegu. Pilotowana przez Sentheusa maszyna bojowa szybko osiągnęła brzegi Czarnego Lądu i obniżyła lot. Rozpostarła się przed nimi rozległa delta Nilu. Kiedy w dole zaznaczyło się Memfis, otoczone nadrzeczną zielenią upraw, skręcili na zachód i daleko za miastem opadli na skalisty grunt.

Z bojowej maszyny wynurzyło się dwóch odzianych z grecka nieruchliwych pasażerów. Mrużyli oczy w blasku oślepiającego słońca i rozglądali się po pustynnym otoczeniu.

— To do jutra! — machnąwszy ręką, pilot obojętnie rzucił im na pożegnanie.

— Pamiętaj, o wschodzie słońca! — dla pewności krzyknął za nim Mi-ir.

Maszyna bezszelestnie wzniosła się w górę i w jednej chwili znikła im z oczu, gdyż pilotujący ją włączył maskowanie. Była o niebo lepsza od urchickich aerolotów, ulokowanych w ładowni „Met-ar-usa".

Zostali sami. Stali i tępo patrzyli, wsłuchując się w dojmującą ciszę. Tylko wiatr wdzierał się im w uszy swoim świstem. Utknęli na skraju płaskowyżu obok wielkiej nekropoli. Nikt ich nie widział i nie słyszał. Surowe w swej powadze budowle, kryjące w niedostępnych wnętrzach zabalsamowane szczątki faraonów, wydawały się ignorować obecność dwóch wiecznotrwałych, którzy pokusili się na szaleńczy eksperyment. Podziwiali w milczeniu urzekające swoimi proporcjami i prostotą kształtów grobowce wielkich królów. Jednak naprawdę ich uwaga była zwrócona ku innym, niezrozumiałym dla Y-otów sprawom.

Przysadziste trójkątne piramidy urozmaicały pustynię i Mi-irowi przyszło na myśl, że Raha mógł przenieść ich kształty z jakiejś bar-

dzo odległej planety. Może wcielił się w przeszłości w rolę wybitnego arcykapłana boga Amona? Może to on przez ponad półwiecze rządził Egiptem jako Ramzes Wielki i zamienił to państwo w największe podówczas światowe imperium?

— Wydaje mi się, że ich obsesją jest kamień — mruknął Mu-ur, usiłujący w myślach dopasować egipskie budowle do oślepiających pustyń Urch. — Rzucają się na wielkie rzeczy, chcąc pokazać, iż są zdolni zapanować nad martwą materią. Niepokoi ich inercja. Objawiają litej skale swoją niemal nadprzyrodzoną moc. Manifestują siłę ducha. Bowiem rzeczą ludzką jest dorównywać bogom.

— A jeśli kierują nimi inne intencje? — powściągliwie zripostował Mi-ir. — I po prostu przywiązują wielką wagę do życia pozagrobowego? Zauważyłeś, że dla ludzi zaczyna się ono dopiero po śmierci.

Mu-ur zwrócił się w stronę pustyni.

— Ech, nie przybyliśmy tu po to, żeby kłaniać się tym monumentom. Przywiódł nas tu inny cel.

— To prawda — potulnie zgodził się Mi-ir.

Rozglądali się za odpowiednim miejscem. Wreszcie je wybrali. Usiedli w cieniu skał, oddając się kontemplacji, w pełni świadomi powagi sytuacji. Mogło im się udać, lecz mogli też przegrać z kretesem. Siedzieli z podwiniętymi nogami, kołysząc się i melodyjnie recytując śpiewne frazy. Powtarzali wyuczone formuły medytacyjne, związane z cudem przeobrażenia, cierpliwie zmagając się z sobą, a kiedy słońce było w zenicie, poczuli się wewnętrznie przygotowani do rzucenia wyzwania losowi. Metamorfoza miała w sobie — bez wątpienia — coś ze śmierci. Należało wyrzec się posiadanej fizys, a głęboko wierząc w niemal nieskończoną moc własnej woli, zmusić kruche ciało, żeby przybrało inne kształty.

Dwa potężne lwy o płowym ubarwieniu, które pojawiły się w tym zakątku, niejednego myśliwego mogły zauroczyć swą urodą. Różniły się grzywami, zdobiącymi głowę, szyję i przód tułowia. Pierwszy z

samców miał ją ciemnobrązową, drugi — czarną, poprzetykaną nieco jaśniejszymi nitkami. Ogony kończyły się kiściami długich włosów z ukrytymi w nich rogowymi kolcami.

Zwierzęta biegły radośnie, groźnie porykując. Pokręciły się najpierw w pobliżu nekropoli, a potem skierowały się ku widocznym w oddali zaroślom niby to w poszukiwaniu żeru.

WILLA przywitała ich pustkami, gdyż Safona i Ni nadal żeglowały wzdłuż wybrzeży Peloponezu. Na spotkanie wyszedł im jedynie Abihu i obrzucił ich pełnym zawodu spojrzeniem, sądząc, że wybrali się bez niego na polowanie. Gdyby tak było, nigdy by im nie wybaczył. Thaisarion powiadomił obu Urchitów, że gospodarz niecierpliwie na nich czeka, gdyż coś ważnego się wydarzyło, o czym niezwłocznie pragnie ich powiadomić. Byli ciekawi, co się stało, ale nie mieli ochoty ruszać się z miejsca i zbagatelizowali to wezwanie. Roznosiło ich ze szczęścia. Posilali się, wyciągnięci na łożach biesiadnych, a towarzysząca im biedna małpa płaciła wysoką cenę za ich doskonałe humory. Porozumiewali się bowiem nie słowami, ale pustynnymi pomrukami. Ich żywa maskotka widocznie rozumiała mowę lwa, gdyż nerwowo się szarpała, nie kryjąc przerażenia i chcąc się w popłochu uwolnić z uwięzi. Kiedy Mu-ur potężnie zaryczał, skuliła się i zamilkła, drżąc na drobnym ciele z opętańczego strachu.

Gospodarz stwarzał wrażenie poruszonego. Nie mogąc się ich doczekać, wyszedł ku nim w długim białym chitonie. Choć był dostojny i władczy, na jego obliczu rysował się frasunek. Nie miał dobrych wieści.

— Niestety, popsuję wam humory, bracia. Nie będę przed wami tego kryć — zaczął bez ogródek, nie siadając i nie przyłączając się do porannego posiłku. Przyjął jedynie od służącego kielich wina. — Mamy niemile widzianego gościa na Ziemi — zdradził im w sekre-

cie. — I to, niestety, aż z Taurosa.

Poderwał ich tą nowiną na równe nogi. W jednej chwili miny im zrzedły.

— Jak to możliwe? — wściekle parsknął Mi-ir. A potem w lot się domyślił. — No tak, przecież sam wykryłem lukę w systemie… — wychrypiał z żalem.

Gospodarz nerwowo odchrząknął i szarpnął się za ucho z odrobiną wstydu.

— To fakt, przewidziałeś to — rzekł do niego. — Doszedłeś do tego, kiedy byliśmy na Urch. Niestety, już wtedy było za późno na jakąkolwiek interwencję…

Tłumaczenie było klarowne i trudno się było spierać o to, kto zawinił.

— Oczywiście Herna skorzystała z tej drogi? — domyślnie zapytał Mu-ur.

Eurypides potwierdził z grobową miną.

— Niestety, tak. Przemknęła się za naszymi plecami.

Zapadła złowróżbna cisza. Wydawało się im, że zamknęli najbardziej tragiczny rozdział swojej historii, ale się pomylili. Wredna jajogłowa z Taurosa przejrzała ich plany i udowodniła, że przewyższa ich inteligencją. Śmiała się teraz pewnie w kułak, za nic mając ich koncepty i zamysły oraz metody obrony.

— Jesteś pewien, że to ona? — Mi-ir chciał się ostatecznie upewnić, nie do końca przeświadczony o grożącym im niebezpieczeństwie.

Eurypides rozłożył szeroko ręce.

— Ależ, tak — tubalnie zawołał. — Jest niemożliwe, aby dwóch transgalaktydów znajdowało się na tej samej dziewiczej planecie i aby jeden o drugim niczego nie wiedział.

Wyznanie zabrzmiało szczerze, jednak Urchita rozpaczliwie się z tym nie godził. Było jakieś wyjście z tej pułapki?

— A może ona należy do waszego spisku? — wtrącił się nagle Mu-

ur.

Transgalaktyda zrobił wielkie oczy.

— Do jakiego… znowu… spisku? — zapytał z osłupieniem.

Mi-ir w kilku słowach wyjaśnił, o co chodzi wojownikowi, lecz zdziwiony Eurypides tylko prychnął ze złością. Nie potraktował ich domysłu poważnie.

— Nie powiem, młodzi też sieją zamęt, nie tylko ci najstarsi i najgorsi… — zaczął sarkać, mimowolnie się wczuwając w porzuconą rolę posiwiałego starca z Tracji. — Jątrzą, mataczą, zwodzą, kopią dołki, nie przebierając w środkach. Jednak kiedy wszyscy patrzą sobie na ręce, konspiracja nie ma najmniejszego sensu. Nigdy nie należałem do żadnego podejrzanego sprzysiężenia, ani nie próbowałem współtworzyć transgalaktycznego podziemia, gdyż w lot by je wykryto. Oj, dano by nam popalić! — oznajmił z przygnębieniem. — Jeżeli ktoś chciał się wychylić, musiał liczyć na własne siły. Rzecz w tym — zaświeciły mu się oczy — że tylko ja mam ze sobą nieśmiertelników. Żaden z pozostałych strażników planet nie pokusił się, żeby zdobyć podobną kartę przetargową…

Te urywane wyjaśnienia musiały ich na razie zadowolić. Mi-ir sięgnął po owoc ze srebrnej tacy, obracając nim w dłoni.

— Nie jest dobrze, zatem przegraliśmy — ponuro wycedził, choć nie chciało mu się wierzyć w to, co mówi. — Mamy się więc poddać, bez walki? Rzucić broń? Ustąpić jej pola? Może dać nogę z tej planety?

— Nie — zapalczywie krzyknął Eurypides. — Po stokroć nie!.. — w jego oczach pojawiły się niebezpieczne błyski, a w słowach zabrzmiały naprawdę groźne nuty. — Musimy zgładzić to obłudne babsko — wściekle rozsądził, nie kryjąc przed nimi swojej nienawiści do Herny i pieniąc się ze złości. — Uporać się z nią raz na zawsze! Żeby nie psuła nam więcej szyków…

Spojrzeli dziwnie po sobie, jakby nie pojmując tego, ku czemu

zmierza.

— Coś takiego? To transgalaktydę... można... unicestwić? —zapytał do głębi przejęty Mi-ir. Przerabiali ten temat przed nie tak dawną wyprawą na Favo, ale nadal nie mieściło się mu to w głowie. — Nieodwracalnie i do końca?..

Zapadło milczenie i wydawało się, że nie usłyszą żadnej odpowiedzi.

— Owszem, można — spode łba odrzekł gospodarz, odsłaniając tym samym i swoją piętę Achillesa. — Na bogów całego kosmosu, nie ma rzeczy niemożliwych — zagadkowo dorzucił, w niemym gniewie zaciskając pięści.

Z LEKKA pofałdowane zielone tereny prawdopodobnie należały do dobrze sytuowanego urzędnika z królewskiego lub książęcego dworu. Wskazywał na to urzekająco wymodelowany i z dużym nakładem pracy urządzony ogród. O każdy szczegół wypieszczonego krajobrazu zadbano tu z niezwykłym kunsztem. Powietrze rezonowało od dźwięku cykad, od których roiło się na drobno kwitnących drzewkach owocowych. Z oddali dochodził przytłumiony odgłos dzwonu, niby to zapowiadającego ważną uroczystość, na którą nie można było nie przybyć, nie obrażając władcy.

Ich obecność tutaj graniczyła z absurdem i wydawała się rażącym nieporozumieniem. Kosmiczne kombinezony wściekle rzucały się w oczy, dokumentnie nie pasując do otoczenia, w którym się znaleźli we czwórkę. Przedzielony na dwie części ogród rozdzielał niski murek, wykonany ze starannie obrobionych kamieni z wyrytymi prostymi symbolami i powtarzającym się motywem smoka. Przyczaili się za nim, przywierając do murawy, kryjąc się i rozdzielając na flanki. Dalej stał okazały dom. Spadzisty dach, wsparty na kolumnach i pokryty dachówką, miał w sobie coś osobliwego, z czym w Attyce się

nie zetknęli, a to wskutek wklęsłego, łukowego wygięcia okapów. Narożne kalenice zdobiły figury.

Szykowali się do ataku jak najciszej, wyposażeni w pojedyncze śmiercionośne dla transgalaktydów pociski. Trzymali się ziemi i kryli się za nielicznymi skalnymi załamaniami, tym niemniej niewiele to dawało, a element zaskoczenia zupełnie nie wchodził w grę. Od razu zostali dostrzeżeni. Spodziewano się ich przybycia, więc zabawa w chowanego nie miała sensu. Z tamtej strony linii frontu ruszył ku nim niestrudzony emisariusz.

— Uwaga! — padło przez radio niespokojne ostrzeżenie.

Pawilon opuściła filigranowa kobieca postać, nie zamierzająca kryć swoich intencji i w sposób oczywisty zwracająca się w ich stronę. Uderzała niezwykłą urodą, a na jej widok przypatrującemu się przez lornetę Mi-irowi gwałtownie załomotało serce.

Uwagą wrócił do skarbów Rahy. Witająca ich niewinna Chinka była wierną kopią konkubiny, której niby to woskową figurę oglądał w masywie Olimpu, nie mogąc oderwać od niej oczu. Muzealny manekin był martwy, zaś ta damulka poruszała się z wdziękiem, stawiając drobne ale szybkie kroczki. Doskonale się orientowała, gdzie się skryli i nie musiała ich wypatrywać — jakby okoliczne skałki były dla niej przeźroczyste.

Przeszyła Urhitę zatrważająca myśl, że okrutny Raha już raz tu, w Chinach, poćwiartował Hernę i rzucił jej członki na pożarcie wygłodniałym bestiom, ale że nie uczynił tego wystarczająco dokładnie. Może nie był tak pedantyczny jak należało? Może odrodziła się wbrew jego woli? Potem odsunął od siebie to przypuszczenie i przywołał przed oczy surowe oblicze jajogłowej ze stacji na Taurosie. Jeżeli któraś z tych niebezpiecznych samic była prawdziwa, to właśnie tamta, nie ta.

— Coś się nie zgadza — Eurypides zmełł w ustach przekleństwo. Słychać go było dobrze w słuchawkach.

— Czy to nie ona? — mruknął przez zęby Mu-ur, gotujący się z rozwagą i znawstwem do pierwszego strzału.

— Ona, ona — palnął pośpiesznie transgalaktyda. — Mimo to... eee... — zaczął, lecz nie dokończył.

Była pełna wdzięku i wrażliwy na piękno Mi-ir poczuł się nią oczarowany i zafascynowany. Lękał się jej, a choć instynkt go przed nią ostrzegał, zapragnął jej aż do bólu. I to go zaniepokoiło. Czyżby nieuchwytnie przejmowała nad nim kontrolę? Odniósł wrażenie, że do jego mózgu wślizguje się okrutny zimny wąż, taki jak z rajskiego ogrodu w religii Abihu. „Miłuję cię i tracę dla ciebie głowę!" — uparcie podpowiadał mu nierealny głosik, gotowy w każdej chwili zastąpić jego umyśl i wolę. Pomyślał o Safonie i nagle mu ulżyło.

Herna była coraz bliżej. Miała na głowie czarną, misternie splecioną perukę. A może to były jej własne, starannie ułożone długie włosy? Ściśle obejmująca nogi jedwabna suknia cieszyła oczy haftem w kwiaty wiśni i papużki.

— Ognia! — ospale zarządził Raha i można było odnieść wrażenie, że na krótką chwilę przysnął. Może walczył z sobą jak Mi-ir, nie chcąc ulec namiętności? — Zaraz, zaraz... — urwał. — Nie! — niepewnie rozsądził, jakby do cna utracił zdolność trafnej oceny sytuacji. — Ona nie ma broni i nie chronią jej żadne zabezpieczenia... — bełkotliwie wydukał, dziwiąc się temu, że dopiero teraz na to wpadł. — To zaskakujące — wstydliwie dodał. — A potem sapnął, całkiem zrezyg-nowany i przybity: — Na bogów, jak mogłem się tak dać podejść, to tylko... łajdacki... perfekcyjny... eee... obraz... hologram. Jej tu nie ma. Zmarnowalibyśmy jedynie cenne ładunki. Tylko gdzie się skryła?

Drobna chińska dama wydawała się słyszeć jego przegrany głos, głucho brzmiący w słuchawkach hełmofonów. Czuła, że jest górą. Triumfowała. Przystanęła, wyjęła z porcelanowego puzderka białą delikatną chustę, podniosła ją do góry i zaczęła nią pomachiwać,

chcąc w ten sposób podkreślić, że przybywa w pokojowych zamiarach. To ona miała tu władzę.

Ni nie posłuchała Eurypidesa. Pociągnęła za spust. Uczyniła to odruchowo, bez namysłu, ulegając niepojętemu nakazowi chwili, jednak nie celując w filigranową Chinkę o niespotykanej urodzie, ale w niewielkie okienko, za którym przesunął się ledwo widoczny cień. Bezbłędnie trafiła, bo natychmiast obraz zbliżającej się niewinnej kobiety zamigotał i zgasł, rozpływając się w powietrzu, zaś urokliwy pawilon z nagłym hukiem eksplodował. Stało się jutro! Zadudniło im w uszach, a w niebo strzeliły potężne czerwone płomienie ognia.

W tym samym momencie Urchitka poczuła niezwykłą ulgę. Jakby za sprawą nieznanych istot wyższych uwolniła nieprzebyte przestrzenie kosmosu od całego zła, które tam się pleniło. Niepewnie obejrzała się na Rahę, nie wiedząc, jak przyjmie jej szalony popis. Transgalaktyda drżącą ręką zdjął hełmofon, odsłaniając spocone czoło. Nie wyczytała jednak w jego mętnym spojrzeniu oceny swego czynu. Ani pochwały, ani nagany.